

 terytoria  
skandynawii

# Leena Lander

## Niech się rozpęta burza



lesiojot

Leena Lander  
Niech się rozpęta  
burza

Przełożył Sebastian Musielak

**słowo / obraz terytoria**

W ziemi i skałach jest siła skrytego, ale że kamienie ku naszej potrzebie obrócić możemy, pracą pilnego ich poszukiwacza nie przystoi gardzić - owszem chwalić ją a respektem darzyć należy. Takż ochotności ku badaniom ziemi nie wolno lekce sobie ważyć, a rychlej trzebnie ku niej rozchęcać, aby się porównał z pochopem, z którym kawalerowie ku pannom, albo pszoły ku kwiatom garną się, aby z nich wodę i wosk spijać. Badacz skał tedy bacznym i ochotnym bydź powinien, a od chciwstwa wolnym.

Sigrid Aronus Forsius, *Mineographia*, 1643  
(pierwszy podręcznik mineralogii w szwedzkiej Finlandii)

*Na środku podwórza stoi drobne, jasnowłose dziecko, stoi cicho i bez ruchu.*

*Czego chcesz, dziecko?*

*Ja chcę umrzeć.*

Nie, odsuń od siebie ten obraz. Nie myśl o nim. Będziesz cierpieć. Wcale nie chcesz wiedzieć, co się wydarzyło.

Opowiedz raczej historię o kamieniach, one zawsze cię intrygowały. Już jako dziecko zbierałaś najzwyklejsze polne kamienie, myślaś je i wkładałaś do kartonowego pudła, które trzymałaś pod łóżkiem. Twoje siostry najpierw się śmiały, potem kiwały głowami z politowaniem. Powtarzały ci wciąż, jakie to głupie. Przecież kamienie to nic. Można je mieć za darmo.

Ale to nie tak. Kamień to czas, symbol jego niewzruszonej ciepłości.

Pole magnetyczne może się odwrócić, struktura litosfery całkowicie się zmienić, lecz nie kamienie.

Kamienie trwają. I mówią.

Tak opowiadała Vida Harjula.

To przez nią omamiły cię kamienie. To jej wina, że nawet teraz, w tej przerażającej chwili, gdy zimowe słońce rozświetla doskonały mrok i w głównej komorze neolitycznego grobu w Newgrange dostrzeżasz kruche ciało dziecka, twoje myśli nie mogą się oderwać od płyty ofiarnej, na której spoczywa.

W przeciwieństwie do pozostałych ołtarzy z piaskowca i łupku, ta została wyrzeźbiona z granitu. Zachowała się najlepiej, nadal jest prawie idealnie okrągła. Średnica gdzieś około metra. Całkowicie pokryta zdobieniami, z obu stron.

Gdy delikatnie muskasz spiralne wzory palcami, opuszki mówią ci od razu, że dłuto rzeźbiarza nie było z metalu, lecz z kamienia. Mikroskopijne ślady, jeden przy drugim. Żmudny, długi proces, ale konieczny. Artysta żył w czasach, gdy miedź była dla ludzi zwykłym kamieniem, jeszcze nikomu nie przyszło do głowy, by wrzucić go do ognia, więc nie wiedziano, że staje się wtedy plastyczny jak glina, a po ostygnięciu dużo od niej twardszy.

Tej płycie nadano jednak kształt dużo wcześniej, niemal dokładnie pięć tysięcy lat temu, jeśli wierzyć węglowej metodzie datowania.

A zatem pięć tysięcy lat temu niewielkie plemię, zaliczane przez dzisiejszą naukę do ludów prymitywnych, nieznających dobrodziejstw współczesnej inżynierii, przetransportowało z miejsca odległego stąd o setki kilometrów gigantyczne kamienne bloki i wybudowało z nich olbrzymi grobowiec. W jego głównej komorze ustawiono płyty ofiarne, które czekały, aż przez ciasny, długi korytarz podpełźnie do nich słońce. O świcie najkrótszego dnia roku.

I nikt nie wie, po co.

Choć ty akurat powinnaś. Przecież po to tutaj przyjechałaś: uchylić rąbka pewnej ciężkiej jak kamień tajemnicy. Aby się tutaj dostać w dniu przesilenia zimowego, trzeba się sporo natrudzić. Trzeba tego bardzo, bardzo chcieć. I jakimś cudem dopełnić wszystkich formalności. Może to ta ich celtycka gościnność, lecz równie dobrze na Irlandczyków mogła podziałać twoja skandynawska egzotyczność albo przedmiot twoich badań, mroczny i tajemniczy jak sama Północ. A być może przyczynił się do tego twój dobry duch, wobec którego masz wielki dług wdzięczności. Kochanek Vidy Harjuli. Mężczyzna, który zniszczył jej życie.

*Gdy kocham, jestem jak kamień w morskiej toni. Pograżam się głęboko, do samego dna. Nie, to nieprawda. Tak pokochałem tylko Ciebie...*

Zapomnij te słowa. Ze też ci nie wstyd, czytać cudze listy. To, że ich adresatka już nie żyje, niczego nie zmienia. Tak czy inaczej to bezwstydną ciekawość. Gdyby twoja babka chciała,

abyś je przeczytała, sama dałaby ci je do rąk, prawda?

Przecież te podniosłe słowa nie mają już teraz żadnego znaczenia, dla nikogo. Ot, gierka, jedna z niezliczonych zabaw, którymi człowiek zabija sobie czas, byle tylko nie myśleć o tym, że każda chwila przybliża go do grobu. I mimo że zabawa w miłość nie jest ani mniej, ani bardziej poważna od pozostałych gier, uczestniczące w niej osoby muszą traktować ją całkowicie serio. Muszą się w nią bawić ze śmiertelną powagą. Kto wejdzie do gry, musi zaakceptować jej reguły, choćby na drodze miłości stało prawo. Musi się jej poddać. Dać się oczarować. Ponieść. Zaangażować wszystkie swoje umiejętności - odwagę, spryt, pomysłowość - w zażartej walce o najwyższą świętość, której wynik nigdy nie jest przesądzony.

Dopiero potem, gdy zabawa się kończy, można dostrzec jej prawdziwą naturę, jej rytualny charakter i nieudolne maski: *Cesarz maleńki siedzi na pieńku, czarny jak smoła, biały jak śnieg, a kto ostatni, na tego śmierć!*

Lecz o co chodziło w tej wielkiej zabawie, w tym świętym misterium, dla którego wzniesiono ten megalityczny grobowiec? Marzenie o nieśmiertelności? Wiara w nadejście nowego początku, gdy oddzielona od światłości ciemność ustąpi znad otchłani, gdy pustka wypełni się treścią?

Co mogło popchnąć, żyjącego rzekomo w mroku ślepych popędów człowieka pierwotnego do budowy takiego cudu architektury, takiego porażającego, kamiennego pałacu ku czci najniższego w roku słońca?

Jego surowy, nieznan nam bóg kazał mu uwiecznić w pomniku chwilę, w której się zbiega niepojęta wieczność i ulotność czasu, a poczucie próżności wszelkich ludzkich poczynań zamienia się w siłę. Gdy promień słońca staje się pomostem, łączącym noc i dzień. Człowiek może wtedy odczuć, jak jego życie, biegnące nieuchronnie w niebyt, zwalnia i bierze go pod swoje skrzydła niczym wielki, ciepły ptak. Może uciec na tę chwilę od żalostnej powszedniości, od dławiącego strachu przed rozczarowaniem, od poczucia własnej małości i od wyrzutów sumienia. Pan czasu przybywa wtedy ze swoimi zabawkami, spogląda łaskawiej i przyjmuje ofiarę. Z fiołkowym

smakiem w ustach, drżącymi palcami macasz swój niepowtarzalny byt, jesteś, tu i teraz.

Ale nie. Skała pokazuje ci tylko śmierć, bezsensowną przemoc. Zamiast doświadczyć czystości, przeżywasz wstrząs, bo widzisz ofiarę. Martwe ciało młodej dziewczynki. Czy to nie ta sama dziewczynka, której zaginięcie pogrążyło w żałobie całą Irlandię? Mała Tereska, której zapłakana matka błagała w wiadomościach: Jestem biedna, lecz oddam wszystko, co mam, tylko mi ją oddajcie!

*Wszystko, tylko mi ją oddajcie.*

*Wszystko.*

Oprzyj się o stojącego obok mężczyznę, zamknij oczy. To tylko wytwór twojej wyobraźni. Niczego nie widziałaś, niczego nie wiesz. Kto mógłby przekazać matce najstraszniejszą wiadomość w jej życiu? Ty na pewno nie. Nie ty.

*W pszenicznym świetle lata stoi bezcielesne, jasnowłose dziecko, stoi i wpatruje się w kałużę. Co z tobą? Czego chcesz, dziewczynko?*

*Stoi tak, w czerwonych kaloszach, nieporuszona i skupiona, spowita w diamentowe refleksy. Głucha na warkot silnika samochodu. Dziewczynka nie płacze, nie narzeka. Po prostu jest.*

*Czego chcesz, dziecko?*

*Ja chcę umrzeć.*

## PIERWSZY POZIOM

Najskuteczniejszą metodą eksploatacji miejscowego złoża okazał się podział obszaru górniczego na poziomy. Pierwszym poziomem jest powierzchnia ziemi, ostatnim zaś dno kopalni, czyli największa głębokość, na jakiej można urabiać rudę na współczesnym etapie rozwoju techniki górniczej. Na plan złoża nanosi się szyby, wyrobiska i filary. Przed przystąpieniem do budowy kopalni wierci się otwory badawcze.

Sean O'Brien, *On the Geology and Tectonics of the Olkikumpu Ore Field and Region*, „Buli” 1936



## Olkikumpu, maj 1936

Nad świeżo usypaną mogiłą stoi mężczyzna. Nie płacze, nie lamentuje, ale i nie odchodzi.

To Eero Harjula, mój dziadek. Właśnie złożono do zimnej ziemi jego dziecko, na kopczyku leżą jeszcze wieńce: „*W Tobie ufam, oznajmij mi drogę, bo do Ciebie podnoszę duszę moją*”. *Będzie mi Ciebie brakować, Ciocia Natalia...*

Lekarz, który dokonał oględzin drobnego ciała, chciał pocieszyć zdruzgotanych rodziców i powiedział, że jemu zmarło już dwoje dzieci. Jedno przy porodzie, drugie na gruźlicę. Otóż to, on stracił już dwoje, a oni dopiero jedno. Takie jest życie, trzeba do tego przywyknąć.

Ale nie można. Nie ma na to czasu, kiedy zdradliwa śmierć uderza nagle, jak grom z jasnego nieba: śliczna, grzeczna dziewczynka, na swój sposób pełna życia, choć płochliwa i delikatna jak pliszka. Po prostu ideał. Aż wtem zrywa się wiatr. I dziecka już nie ma.

Mężczyzna nie płacze. Nie płacze, ale i nie zamierza wracać do domu.

Kobieta, jego żona Vida, idzie piaszczystą aleją między brzo-  
zami do bramy cmentarza, zatrzymuje się i zagląda do wózka, w którym śpi niemowlę. Dziecko ma piąstkę przy policzku, kobieta nasuwa na nią kołderkę, a wtedy zaróżowione paluszki nagle się prostują. Kobieta odwraca się od wózka i, szlochając bezgłośnie, wraca, nie wiedząc nawet, że przeszła przez zieloną od mchu kałużę i zmoczyła sobie nogi.

Staje przy mężu, chwyta go za rękaw.

- Daj mi spokój.

Ich ciężkie spojrzenia nie podnoszą się ku sobie, mężczyzna nie chce jej bliskości, nie może dzielić z nią swojego smutku.

Kobieta znowu go dotyka. Choć wie, że nie powinna.

- Do pioruna, czy człowiek nie może w spokoju postać nad grobem swego jedyne dziecko?

Lecz kobieta nie ustępuje, wczepia się w klapy jego płaszcza i choć cała się trzęsie od cichego szlochu, nie puszcza, mimo że mąż próbuje ją odepchnąć.

Eero Harjula spotkał ją po raz pierwszy w biurze. Piękną tłu-maczkę, wdowę po górniku, która była na ustach całej kopalni. Wszyscy gadali, że jest zupełnie stuknięta.

Nie potrafiła się nawet obyczajnie ubrać. Nosiła białe kostiumy z maleńkimi, błyszczącymi guzikami i nieprzyzwoicie duże, złote kolczyki. Kto widział podobne zgorzenie, nie minął przecież nawet rok, jak męża pochowała. Po żałobie ani śladu. Nic, tylko na okrągło się uśmiecha i patrzy ci prosto w oczy jak niewinna owieczka.

- Panie Harjula, miejsce składowania odpadów poprodukcyjnych to hałda, prawda? Panie Harjula, niech mnie kule biją! Szytgar nie szytgar, pod ziemią człowiek panem się nie staje!

Gdy usłyszał jej śmiech, odjęło mu rozum. To był początek upadku. Liczył na to, że się zaśmieje, w końcu powiedział to żartem, ale na coś takiego nie był przygotowany. Śmiech chlusnął na niego jak woda z przerwanej tamy, spadł na niego i oszołomił, jak mokre pranie na wiosennym wietrze. Zaparło mu dech w piersiach. Zesztywniał i poczerwieniał. Był przekonany, że śmieje się z niego, Jezu, co to za kloc, i te dłonie jak szufle! A potem to już musiała ją rozbawić ta jego nabiegła krwią gęba, z której można było czytać, jak z otwartej księgi: a wóz strażacki, panie Harjula, jaki ma kolor?

Ależ mu było głupio! Głupio! Był taki wściekły, taki urażony, że miał ochotę złapać ją za włosy, zatargać pod ścianę i na miejscu zerznąć, wiedziałyby paniusia, z kim ma do czynienia.

Lecz czy naprawdę zdobyłby się nato? Skądże! Upuścił jeszcze na podłogę karty pracy. Kobieta wstała zza biurka, tu jest jeszcze jedna, panie Harjula, podniosła szybko leżącą pod krzesłem kartę i wsunęła ją w komicznie drżącą dłoń szytgara, przy dotyku między ich dłońmi przeskoczyła iskra.

- *Gelejza* to chyba rodzaj wrębiarki, prawda? A więc to musi być nasz *jack leg...* a *lajner* to oczywiście *Leyner*, j ej starszy

model, nie myślę się...?

A on nie mógł wydusić z siebie nawet jednego słowa, on, Eero Harjula, co nigdy dziewcząt się nie bał, o czym mogłaby zaświadczyć niejedna panna z okolicy. Lecz przyszła kryska na matyska, tym razem zatkało go tak, że czym prędzej czmychnął z pokoju i jeszcze, diabli nadali, nogi mu się na rowerze plątały, gdy jechał do domu. I nie widział przed sobą nic, tylko tę czarną spódnicę, ciasno opinającą jej pośladki, gdy schylała się po tę kartę.

- A jak nazywacie inaczej tę laskę, którą się wpycha ładunek wybuchowy w otwór strzałowy, panie Harjula?

Oczy uśmiechnięte, na palcach malutkie plamki po atramencie. Pióro zawisło nad kartką w oczekiwaniu na ten ważny szczegół.

Dlaczego wysiali mnie, wściekał się w duchu. Jak jej teraz powiedzieć, że ludzie mówią na tę laskę tak, że przy kobiecie nie przystoi tego powtarzać?

Nie, nie było innego wyjścia, jak salwować się ucieczką i w szalonym pędzie popedałować do domu, mijając po drodze ubranych w białe szaty kaznodziejów z północy, którzy szli, jak zawsze, z czarnymi książkami pod pachą. Módlcie się za mnie, Bracia, krzyknął do nich, módlcie się, żeby ta kobieta nawróciła grzesznika! Bo rzeczywiście, podczas tej niezapomnianej jazdy rowerem do domu zdeklarowany kawaler Eero Harjula, sztygar w kopalni Olkikumpu, poprzysiągł sobie, że poślubi młodą wdowę Vidę Tichonow choćby nie wiadomo co, i to jeszcze przed końcem jej żałoby po mężu, jakimś kanadyjskim górniku.

Lecz nie było to takie proste. Kobieta bowiem najwyraźniej nabrała przekonania, że Harjula jest żalonym fajtlapą, którym nie warto zawracać sobie głowy. I tak by zapewne zostało, gdyby łaskawy los nie wspomógł go górniczym dniem sportu.

Eero Harjula strzelał wybornie od dziecka. Nie miał jeszcze dziesięciu lat, a już pod czujnym okiem ojca trafiał, w co chciał, nawet ze starego pistoletu skałkowego. Ale i tak nie miał pojęcia, jak mu się udało znowu wzbudzić w sobie ten kamienny spokój, mimo że czuł na sobie jej palące, pełne niedowierzania spojrzenie. Jak mu się udało w tym swoim

wielkim łapsku utrzymać pistolet tak, że ani drgnął, że z zimną krwią pobił na głowę wszystkich konkurentów, swoich i gości!

Trafił nawet kilka razy w sam środek tarczy z odległości trzystu metrów, nie rozproszyły go ani przeraźliwa kanonada wystrzałów, ani jęk rykoszetów. Gdy potem chłopcy oglądali tarcze, przecierali oczy ze zdumienia.

Za to Isidor Haarla, naczelnik biura, wszystkie próby przestrzelił, czemu dziwili się wszyscy, bo Haarla w żartach nie raz się przechwalał, ilu to czerwonych osobiście sprzątnął w osiemnastym roku<sup>1</sup>.

- Jak można trafić do człowieka, kiedy do głupiej tarczy się nie umie?

Ale naczelnik odpowiadał bez zmruczenia oka:

- Paru komuchów mogło się w centrum ostać, ale za to po bokach trup ścielił się gęsto.

Górnicza brać nieszczególnie gustowała w podobnych żartach, ale i nie można było brać słów Haarli zupełnie na poważnie.

- Czy to wojna tak nauczyła strzelać pana Harjule? - Vida Tichonow podeszła do niego. Miał wrażenie, że z jej oczu wyziera zupełnie nowe, pełne respektu spojrzenie.

- Nie - zaśmiał się. - Ludziom się jeszcze nie naprzykrzałem. W osiemnastym strzelałem tylko do wilków.

Strzelałem do wilków i byłem gospodarzem pełną gębą, choć byłem wtedy zaledwie czternastoletnim smarkaczem, taki był ze mnie bohater!

- Ale winchestera też miałem na podorędziu, gdyby mnie czasem jaki niedźwiedź naszedł. Ale nie naszedł. Jestem prostym górnikiem, na polityce się nie wyznaję.

Vida Tichonow uśmiechnęła się.

I nie odmówiła mu zaszczytu kupienia jej czerwonej lemoniady i garści losów na loterii. Wdowa wygrała jedynie książkę, lecz i tak sprawiała wrażenie bardzo tym uradowanej.

Dla niego natomiast liczyło się tylko jedno: żeby kobieta znowu się śmiała. Tym swoim niskim, prowokacyjnym

---

<sup>1</sup> Chodzi o krótką wojnę domową z pierwszej połowy 1918 roku, w której starły się „biała” i „czerwona” Finlandia (przyp. tłum.).

śmiechem, który doprowadzał go do szaleństwa. I żeby się śmiała z jego żartów, a nie z jego niezdamości.

Usiadł obok niej na huśtawce i opowiedział, jak raz musiał pójść do pracy do gospodarza.

Kopalnię zamknęli kiedyś na jakiś czas, bo był zawał. Trzeba było coś wymyślić, bo by jedzenia w końcu zabrakło. Więc idę do gospodarza i mówię: Chyba znajdziecie tu jaką robotę dla takiego zdrowego chłopaka jak ja? Pewnie, czemu nie, mówi gospodarz. Daje mi motykę i stertę worków. Byłeś się nie opieprzał, powiedział mi jeszcze, jak szliśmy na kartoflisko, bo lenistwa nie cierpię jak zarazy. Ja leniwy? No więc zacząłem machać, jakbym miał szufle zamiast dłoni, bo i zresztą mam, Bóg mnie pokarał takimi wielkimi łapskami, ale pary mam w nich, oj mam, za to mogę ci ręczyć. Ale jak wieczorem, po dziesięciu godzinach, skończyłem wreszcie pracę, na dnie worka miałem tylko kilogram kartofli. Jak zobaczył to gospodarz, zaczął się drapać po głowie. Nie rozgniewał się, ale mi mówi, że na jego rozum to coś mało tych ziemniaków. Aja mu na to, że nic na to nie poradzę: z początku było nieźle, coś tam się znalazło, ale głębiej nie było już ani jednego, do samych dwunastu metrów...

Gdy zaczynał jej opowiadać nową anegdotę, truchlał na myśl, że ktoś go już ubiegł, że ona ją zna. Ale wdowa nigdy nie zawiodła jego oczekiwań, jej cudowny śmiech wciąż na nowo zapierał mu dech w piersiach. Posiadł ją niecały miesiąc później.

No, posiadał jak posiadał.

Rzeczywiście, to on zaczął. Ale Vida Tichonow potrafiła odpłacić tą samą monetą. I anegdotą. Czy pan Harjula chciałby usłyszeć, jak niebezpieczne jest życie fińskich górników w Kanadzie?

Pewnie, złotko, czemu nie. Jeśli chcesz, to posłucham.

Tak, złotko bardzo tego chciało.

Zdarzyło się raz w kopalni Creighton, że podczas przerwy obiadowej giez ukąsił górnika w wiadome, czułe miejsce. Zrobił się wielki bąbel, który bolał potwornie. Jeden kopacz poradził jęczącemu biedakowi, żeby wsadził opuchnięty narząd w

maślanke, to ból minie, jak ręką odjął. Co było robić, rad nie rad, rzeczony górnik, Matti mu było, jeśli dobrze pamiętam, wymknął się cichcem do pobliskiej mleczarni i zrobił, jak mu kazali. Lecz tak się nieszczęśliwie złożyło, że nakryła go przy tym jedna mleczarka i zdumiona pyta, co ten wyrabia. Matti, rzecz jasna, bardzo się zmieszał, ale i on się dziwi, że co to, pierwszy raz to widzi? Na co ona: Pałę już widziałam, ale dopiero teraz widzę, jak się ją ładuje!

Oj, miała dziewczyna gadkę, miała!

Sztygar postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy. Ostatecznie ta wyzywająca bezwstydnosc podniecała go jeszcze bardziej: dalej, maleńka, pozwól mi chociaż rozpiąć ci bluzkę! Co z tego, kiedy nie mógł swoimi grubymi paluchami nawet ująć guzików, diabelnie były małe, a bluzka na dodatek zapięta ciasno na amen. A przecież Harjula nowicjuszem nie był i przywykł już do tego, że zawsze miał to, co chciał. Ale ta kobieta przywiozła ze świata takie gorsety, że szatan by gorszych nie wymyślił, i mężczyzna był wobec nich bezradny jak dziecko.

Kobieta wyszła mu naprzeciw.

Zaprowadziła go do swojego małego mieszkania, bez pośpiechu się rozebrała i dała mu to, czego tak bardzo pragnął, prosto i zwyczajnie, jakby stawiała przed nim filiżankę kawy.

I z początku było nawet całkiem, całkiem, co tu dużo gadać, bo pod tym swoim pancernym gorsetem wdówka była wcale do rzeczy, choć biust miała trochę za mały, jak na jego gust. Ale te pieszczoty! I to takie, których bardziej nieśmiały od niego nie chciałby nawet spróbować.

Lubiła je tak, że zaczęło to budzić jego podejrzenia. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jeśli kobieta tak się zachowuje, to on wie o niej zbyt mało, by tak po prostu się z nią ożenić. Jak tu taktownie spytać, czy ona się w ogóle nadaje na żonę?

Nic z tego.

Bo Vida Tichonow nie chciała nawet słyszeć o małżeństwie.

- To zniewolenie kobiety - oświadczyła spokojnie, po czym wyplątała się z prześcieradła i przeszła przez pokój spowita wyłącznie nimbem kobiecej godności: i nie warto więcej o tym

mówić, zwłaszcza nam, jest nam tak dobrze, czuję się taka lekka, jak jeszcze nigdy, może zaparzę kawy, posiedzimy sobie.

Ale przecież on nie mógł nad tym przejść do porządku dziennego.

Jak to: zniewolenie?

Harjula nigdy nie rozpatrywał sprawy z takiego punktu widzenia, podzielał raczej pogląd, że małżeństwo jest ślepą uliczką, w którą kobieta stara się za wszelką cenę zapędzić mężczyznę. Ileż to razy miał wyrzuty sumienia, że nie jest w stanie zrobić decydującego kroku. Tyle dobrych dziewcząt przez niego płakało.

Ale Vidę Tichonow ulepiono z całkiem innej gliny. Za mąż? Nigdy w życiu. Szczęśliwe małżeństwo to niedorzeczność. Bo małżeństwo to instytucja, za której pomocą kapitalistyczne społeczeństwo pozbawia kobiety tożsamości. Poza tym, Vida w żadnym wypadku nie chciała mieć do czynienia z klerem i nie potrafiła sobie nawet wyobrazić siebie pokornie przyjmującej od tych krwiopijców jakiegokolwiek błogosławieństwa.

Takie buty. A dlaczego?

Kobieta usiadła na pościeli i ułożyła głowę mężczyzny na swoim białym, ciepłym udzie.

- Księża pobłogosławili karabiny, którymi ci rzeźnicy rozstrzelali mojego brata w osiemnastym roku nad jakimś dołem w piachu - powiedziała. - Celowali do legitymacji stowarzyszenia robotniczego, którą przybili mu do piersi gwoździami. Tak słyszałam.

- Różne rzeczy opowiadali o tamtej wojnie. Po obu stronach - wymamrotał i odchrząknął. Tuż przed sobą widział ciemną kępkę włosów łonowych i aż go skręcało z pożądania.

- Co opowiadali, to opowiadali, ale tak go zabili i zakopali w tym dole, jak psa. Miał szesnaście lat.

- Ale w Kanadzie zgodziłaś się wyjść za mąż.

- To prawda - przyznała i pogładziła go po włosach. - Tak się złożyło.

- A ten twój kanadyjski mąż, dobry był dla ciebie?

- Dobry, ale nie był Kanadyjczykiem, lecz Ukraińcem. Tak, był dla mnie dobry przez te dwa miesiące po ślubie, które dane

mu było jeszcze przeżyć.

Cholera, a co mu się stało?

- Spadł z komina huty, z dwustu stóp. Kiedy zalepiął go betonem, ześlizgnął się z rusztowania i spadł.

- Przecież był górnikiem?

- Był, był, ale za ten komin miał dostać dodatek za niebezpieczną pracę, a ten szaleniec chciał nam kupić dom. U nas przy każdym betonowaniu komina zabijało się średnio dwóch ludzi i dlatego płacili za tę robotę niewyobrażalne pieniądze.

Harjul spojrział na nią kątem oka, by sprawdzić, czy nie zaczęła czasem płakać, i niech to szlag, miał wrażenie, że jej zielone oczy nieco się zaczerwieniły. Serce ścisnęła mu ponura zazdrość.

- Musiał być ci bardzo drogi, chociaż to Rusek i tak nagle zrobił z ciebie wdowę?

- Nie miałabym nic przeciwko, gdyby ciągle żył, ale dajmy już temu spokój. Ja chciałam wrócić do Finlandii, on chciał zostać tam. Tak że tak czy owak, na pewno nie bylibyśmy szczęśliwi. Nie podzielał moich postępowych poglądów. Uważał, że miejsce kobiety jest w domu i to mężczyzna decyduje, gdzie ten dom jest. Ale powiedział mi to dopiero po ślubie. I zaraz też zakazał mi chodzić na zebrania Związku Robotnic. I do szkoły niedzielnej.

- Szkoły niedzielnej ?

- Uczyłyśmy w niedziele dzieci imigrantów. Historia socjalizmu i takie tam. No wiesz. Żeby wyrosły na porządnym ludzi.

- Jesteś komunistką, Vida?

- Powiedziałabym raczej, że socjalistką. Z początku polityka mnie nie zajmowała, ale po tym, co te bestie zrobiły z moim bratem, domyśliłam się, że mnie też zaczną szukać. Drugi brat uciekł do północnej Rosji do legionu murmańskiego<sup>2</sup>, a potem

---

<sup>2</sup> Legion murmański - batalion ochotników utworzony w po łowie 1918 roku przez Brytyjczyków z Finów, którzy w czasie fińskiej wojny domowej przeszli na stronę bolszewickiej Rosji, a potem walczyli po stronie aliantów przeciwko połączonym siłom rosyjsko-niemieckim oraz białym oddziałom fińskim, próbującym opanować białomorską Karelię (przyp. tłum.).



wstąpił do armii brytyjskiej. Ruszyłam za nim. Prawie całą drogę przeszłam na piechotę. Jak się ma piętnaście lat, to ma się jeszcze siły na takie szaleństwa. Ale brat się znalazł i Anglicy załatwili nam dokumenty imigracyjne do Kanady.

- Jak tam było?

Vida Tichonow roześmiała się.

- Jak to zwykle za granicą, hulanki i swawole: praca po piętnaście godzin, świątek piątek, bieda, szczury, choroby, smutek i okrutna tęsknota za domem. Brat mi tam umarł. Nabawił się gruźlicy, powietrze w kopalni węgla mu nie służyło.

- A ten Jewgienij Tichonow to był jedyny mężczyzna, z którym się... złączyłaś?

- Tak. Ja oczywiście chciałam żyć z nim w wolnym związku, ale on powiedział, że jeśli mu się przydarzy jakieś nieszczęście, nie dostanę żadnego odszkodowania. I przydarzyło się, więc w tym względzie okazał się mądrzejszy ode mnie.

- A potem nie było już nikogo?

-Nie.

- Żadnego... związku?

- Nie. Nie zakochałam się w nikim więcej.

Otóż to. Wszystko takie proste i oczywiste. I Eero Harjula nie wiedział już, co myśleć, czemu wierzyć. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym gorsze obrazy podsuwała mu wyobraźnia. W swoich koszmarach widział oślinionych, obłeśnych starców jęczących pod jej drzwiami, karczemne awantury, zakrwawione ciała, porzucone noworodki.

Ale wtedy czuł w kroczu porażające muśnięcie włosów kobiety albo podniecający zapach jej łona i przepadał z kretesem.

Od początku miał wrażenie, że Vida Tichonow jest dla niego zbyt inteligentna. Robiła z nim przeciw, co chciała. Mimo że mówiła bardzo wiele, jej niedopowiedziane tajemnice paliły mu wnętrzości, jeszcze bardziej wzmagając jego nienasycone pragnienie.

W końcu sztygar Eero Harjula znalazł się w takim stanie, że już nic nie mogło go powstrzymać. Nawet ta jej okropna bezpośredniość, gdy bez śladu zażenowania podawała mu gumkę: Ale pamiętaj, nie chcę mieć żadnych dzieci!

O nieboszczyku Tichonowie wdowa nie miała już nic więcej do powiedzenia. Lecz i to potrafiła zakomunikować Eero Harjuli z ujmującą łagodnością, patrząc na niego czystymi jak u dziecka oczami: Ale nie mówmy już o tym, on już dawno nie żyje, nic po nim nie zostało, aja mogę tylko wierzyć, że te bezkształtne zwłoki, które wsadzili do trumny, to był rzeczywiście biedny Genia.

Zupełnie, jak gdyby chodziło o zwyczajną, przygodną znajomość, o człowieka, którego się już nawet dobrze nie pamięta.

Najgorsze było to, że nigdy nie pozwalała mu zostać u siebie na noc. Gospodyni zakazała jej przyjmować nocnych gości. A Vida Tichonow za nic nie chciała stracić dobrego, taniego mieszkania.

Co wieczór więc Eero Harjula wychodził od niej na miękkich nogach, wsiadał na rower i pedałowal do domu. Sam. Zmęczony. Odrzucony i wykorzystany.

- Czy ty w ogóle za mną tęsknisz?

- Kochany, myślę o tobie przez całą noc. Przez całą noc myślę o tobie.

Przez całą noc.

Tylko o tobie, mój złoty.

Ale Vida Tichonow spała, zasypiała zaraz po jego wyjściu i nie było wątpliwości, że spała jak zabita przez całą przeklętą noc, było to po niej zawsze widać rano w pracy. Tylko on nie mógł zmrużyć oka, łamiąc sobie głowę nad tym, co z nim jest nie tak, że Vida Tichonow nie chce go za męża, choć przedtem zgodziła się wyjść za jakiegoś cholernego Ruska.

W ciągu dwóch tygodni kobieta doprowadziła Eero Harjule, zdrowego przecież byka, do granicy obłądu. Nie ma żadnych wątpliwości, że przepadłby z kretesem w objęciach tej wyzwolonej kobiety. Pewnej bezsennej nocy nie przeżyłby zawału ciężkiej jak strop zazdrości, zadusiłyby go czarne jak piekło podejrzenia, samotność, skurcze żołądka, palące pożądanie, straszliwy lęk przed odrzuceniem.

Mężczyzna musiał podjąć decyzję.

- Musimy się pobrać, bo zwariuję! Umrę!

Vida Tichonow zaczęła z uśmiechem rozpinać bluzkę, lecz on złapał ją za nadgarstki.

- Nie! Najpierw musisz mi obiecać.
- Przecież sam dobrze wiesz. Nie chcę ślubu.
- To będziesz mieć pogrzeb.
- Nie opowiadaj głupot.
- Będziesz mieć pogrzeb, zobaczysz.

No to ślub cywilny. Kobieta nie oponowała. Jeśli sprawę da się załatwić bez kleru, to ona się zgadza. Umowa stoi, ucieszył się mężczyzna. Ostatecznie jednak sprawę przesądziły chyba kremowa satyna i koronki od kupca bławatnego. Vida Tichonow zmieniła nazwisko na Harjula i wszystko między nimi układało się tak dobrze, że już lepiej trudno sobie wyobrazić.

Było tak do czasu, gdy urodziła się córka.

Wtedy kobieta się zmieniła.

W zasadzie zaczęło się to już w czasie ciąży. Po tym, jak się dowiedziała, że jest brzemienna, płakała całymi tygodniami. Mężczyzna jej nie rozumiał. Nie potrafił poważnie traktować jej słów, kiedy mu mówiła, że nie chce mieć rodziny. Wydawało mu się to nienaturalne. Nigdy nie spotkał drugiej takiej kobiety.

Oczywiście, z czasem Vida się uspokoiła, lecz pozostało w niej coś obcego. Coś dziwnego. Zbliżała się coraz bardziej do dziecka, oddalając od męża, od swojego ciała. Jeszcze go nie odrzuciła, nie, tego nie można jej było zarzucić, ale gdy brał ją teraz w ramiona, wydawała mu się jakaś obca.

Mężczyzna sądził, że to przez dziecko. Kiedy po tym, jak przyszło na świat, próbował dotknąć piersi żony, które były teraz duże i białe, poprzecinane niebieskimi żyłkami, nabrzmiałe od słodkiej cieczy, kobieta zasłoniła je rękoma, zupełnie jak gdyby chciała mu powiedzieć, że nie należą już do niego, lecz do dziecka.

Stojąc nad grobem, mężczyzna przypomina sobie, jak raz pewnej nocy poczuł tak przemożną zazdrość o dziecko, że wypił jego mleko. Kobieta waliła go pięściami, lecz on był znacznie silniejszy.

Gdy Eero Harjula wspomina teraz to zdarzenie, patrząc na świeżą mogiłę córki, targa nim straszliwy ból. Że i tę radość odebrał swojemu maleństwu. Że bardziej myślał ojej matce niż o niej, jego nieśmiałej rusałeczce.

Tata, mówiła mu z ufnością. Tata. Tata, tata, pójdę z tobą! Nie pamiętała, nie miała pojęcia, co jej zrobił, gdy była jeszcze niemowlęciem i leżała w łóżeczku, płacząc z tęsknoty do mamy.

Tata, mogę...

Mężczyzna międli w kieszeni papierową chusteczkę. Nie chce jej wyjmować, dopóki kobieta nie pójdzie.

Któż mógł przewidzieć coś takiego? Mówi do siebie w myślach: I ja popełniałem błędy, nikt nie jest doskonały, ale śmierć to za wiele. Śmierci do tego domu nie prosiłem. I to takiej śmierci.

- Widzisz? - odzywa się Eero Harjula zachrypniętym głosem, zwracając się do kobiety. - Widzisz teraz, do czego prowadzi za dawanie się z obcymi?

Kobieta opuszcza rozmazaną od płaczu twarz, kiwa potakująco głową.

- Lecz nasze łzy nie wrócą jej życia.

Nie wrócą. To prawda.

Mężczyzna wyjmuje z kieszeni chusteczkę, podsuwa żonie. Kobieta bierze ją do ręki, wydmuchuje nos i wyciera oczy.

To pierwszy gest pocieszenia, na który się zdobył Eero Harjula, odkąd znaleziono ciało dziewczynki: Ostatecznie i ty masz prawo cierpieć. W końcu byłaś matką. I to dobrą matką. W tym względzie nie dam nikomu powiedzieć o tobie złego słowa. Dobra matka. W każdym razie do wtedy...

- Czas... - bąka pod nosem, tupiąc brudnymi butami. - Czas jest jedynym lekarstwem.

Kobieta kiwa głową, lecz znów wybucha niemym płaczem. Nie może znieść jego rzeczowego tonu.

- Słyszysz, co mówię, Vida?

Kiwa głową, że słyszy. Z boku spod żałobnej woalki wysunęły się jej włosy. Rano nie mogła znaleźć szpilek, nie miała siły, by

ich szukać.

Kobieta przestała zwracać uwagę na swój wygląd. Ona, która zawsze chciała być najpiękniejsza.

- Na pewno jeszcze kiedyś urodzi nam się dziecko - mówi mężczyzna i zaczyna poprawiać czarną przepaskę na ramieniu, aby nie patrzeć już na żonę. - Urodzi nam się druga mała Aino i zacniemy wszystko od nowa. Nie będziemy dopuszczać do siebie obcych, nie będziemy chodzić po ludziach, żeby nie nauczyła się ufać nieznanym, nie, będziemy ją razem chronić od zła wszelkiego... od złych pokus, których takie maleństwo nie może swoim dziecinnym rozumkiem nijak pojąć...

Zupełnie bezwolnie zwarte w pięści ręce zaczynają drżeć, mężczyzna mówi, jakby wyuczył się słów na pamięć, lecz zawodzi go męstwo, przestaje już panować nad wstrząsającym jego piersią spazmem i wybucha głośnym płaczem.

- Urodzi nam się jeszcze dziecko - mówi Eero Harjula, gdy wreszcie się uspokaja i wydmuchuje nos.

Kobieta patrzy ukradkiem w stronę bramy, skąd dobiega stłumione skrzypienie sprężyn wózka.

- Co? - pyta mężczyzna wyzywająco, choć sam nie wie, o co mu chodzi.

Kobieta stoi w milczeniu z głową wciśniętą między barki, jakby czekała na cios. Skrzypienie ustało. Może to był tylko wiatr.

- Napisałaś już matce? O tym tam?

Kobieta odgarnia niesforny kosmyk z oczu, wpycha pod czarną woalkę. Nie potrafi odpowiedzieć. Albo nie chce.

- Nie możemy go zatrzymać. Chyba sama rozumiesz? Nie będziesz w stanie się nim zajmować. Nie teraz, kiedy straciłaś córkę. I lekarz mówił, że nie jesteś zdrowa. Może to nawet gruźlica. Niemowlę może się zarazić i na pewno nie wyjdzie mu to na dobre. Musisz mieć czas, żeby przyjść do siebie. Skoro twoja matka go nie weźmie, porozmawiam z Natalią. Widziałem w gazetach, ludzie zamieszczają ogłoszenia, ale tak nie można, człowiek to przecież nie szczeniak...

Eero Harjula nie chce, by jego głos brzmiał karcąco, daleko mu do tego, lecz w milczeniu żony wyczuwa dziecinną

przekorę. Wręcz niechęć.

- Natalia kocha dzieci, sama dobrze wiesz. Kiedy nie może mieć swoich. Miałoby u niej dobrą opiekę.

Żadnej odpowiedzi.

Tego już za wiele, nawet męska cierpliwość ma swoje granice, dość już tej zawziętej, bezmyślnej niemoty! Eero Harjula staje przed żoną, chwytają za ramiona: Teraz mi spojrzysz prosto w oczy, teraz kobieto spojrzysz na swojego męża.

- O czym ty myślisz, Vida?! O czym?!

Kobieta się wzdryga. Odstępuje od męża, i zaraz, chcąc pokryć swoją niewrażliwość, schyla się i poprawia trzepoczące na wietrze wstążki na wieńcach.

- O kamieniu - odpowiada cicho, prawie niedosłyszalnie. - Myślę o tym, jaki kamień jej postawić.

Eero Harjula i ból zdradzonego mężczyzny.

A może to było zupełnie inaczej? Skąd mi w ogóle przyszło na myśl, że wszystkie historie zaczynają się na grobie?

Wynika to oczywiście z moich dziecięcych obsesji. Jeszcze gorsze od zbieractwa polnych kamieni było to, że uwielbiałam przesiadywać między nagrobkami. Rysowałam je, kopiowałam nazwiska zmarłych, układałam biografie.

I co najgłupsze, rozmawiałam z nimi.

Z nagrobkami!

Lecz w tamtych czasach nikomu by nawet nie przyszło do głowy zaprowadzić dziecko do psychologa, choćby nawet przehandlowało młodszą siostrę za worek kamieni. A gdyby tak się stało, terapeuta nie musiałby być wielkim geniuszem, by stwierdzić, że zaburzenia psychiczne dziecka są bez wątpienia wynikiem wstrząsu wywołanego koniecznością opuszczenia Wyspy. Na progu okresu dojrzewania najpierw straciłam matkę, a zaraz potem zostałam wygnana z rajy dzieciństwa. Z bezpiecznego świata nagrzanych w słońcu skał, wody i niekończących się gier i zabaw.

Zostałam zesłana do miasta, które było dla nas wszystkich obce. Które nie chciało się z nami bawić. Którego peryferie śmiały się z nas do rozpuku, widząc nasze trampki i plisowane spódniczki.

Na Wyspie, której ojciec był królem, nikt by nie mógł się z nas śmiać. Nawet we śnie. Nie, czegoś takiego nie można było sobie nawet wyobrazić.

Lecz w mieście wszystko było inaczej. Nie miałyśmy nawet paru nędznych groszy, żeby kupić sobie garść cukierków w kiosku, i mówiłyśmy inaczej niż miejscowi. I nie miałyśmy matki, a nasz ojciec był świrem. I może nawet dałoby się to wszystko jakoś przełknąć, gdyby nie to, że mieszkaliśmy na cmentarzu. Ten temat był przedmiotem wiecznych drwin.

No bo czy normalny człowiek sam by się zgłosił na cmentarnego stróża i dobrowolnie zamieszkał w dwupokojowej budzie,

oddalonej od grobów o niecałe dwieście metrów? Jeszcze większą podejrzliwość miejscowych wzbudzał fakt, że stróż ma tylko córki, cały babiniec. Jak rada kościoła mogła być tak krótkowzroczna? Czy to przystoi, by rozkrzyczana dzieciarnia mąciła wieczny spokój zmarłych?

Ileż to razy stojący nad trumną ksiądz, śpiewając psalm, krzywił się przez nas z niesmakiem, gdy dostrzegał głowy zgorszonych żałobników, obracające się ku białej wierzbie, zza której dobiegały nasze ściszone głosy i chlupotanie biota. A raz pewien mężczyzna tak się zagapił na gołe łydki mojej siostry Vanamo, która kosila pobliski trawnik, że wpadł do niezasypanej jeszcze mogiły swojej żony.

Zaczęły się sypać skargi. Sodoma i Gomora! Żeby sobie urządzać śmichy chichy i zabawę z ostatniej posługi człowieka! Żeby odprawienie świętego sakramentu zakłócały w najgorszy możliwy sposób osoby bezbożne i niewychowane, a do tego niekompletnie ubrane!

Rada kościelna przyznała się do błędu, przywołując na swoją obronę zwykłą, ludzką litość: Przecież nie można było pozostawić na łasce losu, bez dachu nad głową człowieka, który całe życie służył parafii, z piątką dzieci osieroconych przez zmarłą na raka matkę.

Ojciec otrzymał pisemną naganę, ale nie stracił pracy. Przypadek przeszedł do historii parafii jako książkowy przykład chrześcijańskiego miłosierdzia: *Patrzajna to posługiwanie, któreś przyjął w Panu, abyś je wypełnił*. List św. Pawła do Kołosan, rozdział czwarty, wers siedemnasty.

Mogłam więc zostać w zaczarowanym sadzie i dalej chować swoje skarby pod opieką jaszczurek w omszałym, kamiennym murze starego cmentarza. Za murem zaś stało wiele niewymownie pięknych rzeźb. Były wśród nich nagie, lamentujące kobiety, anioły, wzbijające się do lotu ptaki, płomienie i gwiazdy.

Nowa część cmentarza była już zupełnie inna. Każdego roku traktorzyści i robotnicy zrównywali coraz to większe połacie te-



renu pod poświęconą ziemię. Przychodzili wtedy specjaliści, którzy robili odwierty i sprawdzali nośność i barwę skały. Kiedyś pozwolili mi zostać dłużej i wtedy się dowiedziałam, że najważniejsza rzecz to ustalić liczbę i rozmieszczenie patronów, by pęknięcie skały nie stało na warwie.

Potem obok tego kamieniołomu powstał zakład kamieniarski i wtedy poznałam tajniki kruszenia, klinowania i kawałkowania granitu, tudzież fascynujące szczegóły ostatecznej obróbki kamienia.

Nie znałam nikogo, kto orientowałby się w tajemnicach fińskich skał lepiej od babci Vidy z domu starców. Żona górnika, praktycznie przez całe życie mieszkała przy kopalni miedzi i niklu w O1-kikumpu, jeśli nie liczyć tych dziesięciu lat, które spędziła w Kanadzie. Ostatecznie jednak i ten wyjazd pogłębił jej znajomość geologii Finlandii. Gdy wróciła do kraju, równie biedna jak wówczas, gdy wyjeżdżała, знаła już doskonale angielski i dzięki temu dostała pracę tłumaczki w kopalni, która przed wojną należała do Brytyjczyków.

Vida musiała być obdarzona pamięcią ejdetyczną: mając ponad dziewięćdziesiąt lat, ciągle jeszcze potrafiła dokładnie opisać niewiarygodną liczbę kamieni, choć już zapominała, co robiła przed dziesięcioma minutami.

*Beryl, turmalin, spektrolit, granat, kwarc, ametyst, korund, kordieryt, rodonit, jaspis...* Same ich nazwy brzmiały jak zaklęcia, którymi zwabiła nas do zaczarowanego świata kamieni. Opowiadała nam o tym, jak budowano piramidy, o córce króla, którą pogrzebano żywcem w kamiennej jaskini, o ludożercach, którzy wzniesli ogromne, megalityczne budowle.

Spędzałyśmy z nią dwie godziny każdej niedzieli. Nasz milczący ojciec woził nas do niej swoim fordem escortem, którego z racji podwyższonego dachu przezywałyśmy Żółwiem - model ten doskonale się nadawał do przewożenia nawet dość sporych nagrobków - sam jednak nie zostawał, by pogawędzić z matką. Zapach domu starców przyprawiał go o mdłości. Zupełnie jak szpital, gdzie musieliśmy w końcu zawieźć mamę.

Wtedy przez prawie cały czas odwiedzin siedział na ławce w parku, by nasza śmiertelnie chora, milcząca matka mogła go widzieć z okna swojej sali.

Ostatecznie nikt się tym nie przejmował, bo nikt za starym Harjulą nie tęsknił. A już Vida najmniej. I bez tego miała pełne ręce roboty z nami, dziewczętami. Z naszą edukacją. Czym i w jakiej ziemi kopać. I po czym poznać, że znalezisko jest cokolwiek warte.

O diamentach nie było co marzyć. Ani o szmaragdach, rubinach i szafirach. Tych najcenniejszych kamieni szlachetnych po prostu u nas nie ma, i basta. To dlatego, że podłoże skalne Finlandii jest strasznie, ale to strasznie stare, najstarsze na Ziemi. Zrodzone miliardy lat temu minerały zdążyły już zmatowieć.

*No, ale nie spuszczać zaraz nosów na kwintę, dziewczynki, nasze pegmatyty granitowe to przecież prawdziwa kopalnia skarbów... Chociażby taki spektrolit, który znajdziecie na każdym podwórku... między naszymi zwyczajnymi czerwonymi granitami.*

*Mieni się wszystkimi kolorami tęczy, jak pióra na szyi gołębia...! A Ibo poszukajcie w czystym strumieniu. Przy odrobinie szczęścia można drobną siatką wyłowić z dna rozkosznie czerwony almandyn... Ale oczywiście najlepszym miejscem do poszukiwań jest kopalnia, i nikt wam nie powie, że jest inaczej...*

Otóż to: kopalnia.

Oj, jak strasznie nam było żal ludzi, którzy potrafili przeżyć całe swoje życie tylko na powierzchni ziemi, nie wiedząc nawet o podziemnym świecie!

Mimo że kobiet nigdy nie wpuszczano pod ziemię, Vida jak z rękawa sypała opowieściami o życiu w brzuchu czarnej skały, o złowróżbnych znakach, o katastrofach i kopalnianych czartach, duchach górników, którzy postradali pod ziemią życie.

*Kamienie potrafią mówić, żebyście wiedziały. Ale ich mowę rozumieją tylko ci, co czują skalę. Jak Iivari Trutka. Albo Emmanuel Aamio, Król Pik Gdy Król Pik krzyknął do Eero, natychmiast wylaź, skała się odezwała, zaraz coś się stanie,*

*już waszego dziadka tam nie było. I tam był zawał, dokładnie w tym miejscu, gdzie stali. Dwa i pół tygodnia go usuwali...*

Niekończące się historie. A przynajmniej tak nam się zdawało, dopóki Vida nagle nie odeszła. Jeśli można tak powiedzieć o kobiecie ponad dziewięćdziesięcioletniej, którą uważaliśmy za nieśmiertelną, bo pamiętałyśmy ją od zawsze.

I pozostałe po niej góry kamieni i listów, wycinków z gazet, nekrologów. Dopiero wtedy się dowiedziałam, że babka miała także córkę. Aino Helena Harjula, urodzona w roku 1930, tragicznie zmarła w dniu urodzin mojego ojca.

Dziecko, o którym Vida nawet nie wspominała, którego zdjęć nigdy nie pokazywała. O nim mówić nie będziemy, zepchniemy je na samo dno mrocznej otchłani pamięci. Będziemy rozmawiać o kamieniach, one są niezniszczalne, one są wieczne. W kamieniach zakłęty jest czas, ta chwila, przeszłość i przyszłość.

- Bogowie na samym początku odbierają nam te zabawki, które najbardziej kochamy - mawiała Vida, gdy przeczytała w gazecie nekrolog dziecka.

Tak jak było z tymi bliźniakami, które mieszkały przy ulicy Nowomiejskiej w domu nad apteką.

Blade, zamknięte w sobie dzieci, które spotykałam czasem, idąc na przedszkolny plac zabaw po siostrzyczkę. Miały pięć lub sześć lat, duże oczy i słodkie buzie, choć ubrane były jeszcze gorzej od naszej Orvokki. Ale podczas gdy żywa, spocona Orvokki kopała doły, robiła babki i, chichocząc, szufłowała innym dzieciom piasek do nogawek, ci chłopcy siedzieli w milczeniu obok siebie, przesuając monotonnie swoje samochodziki w tę i z powrotem po niebieskich, łuszczących się deskach piaskownicy. Skupieni na zabawie, naśladowali cicho warkot silnika, od czasu do czasu coś do siebie szepcząc.

Aż pewnego dnia coś takiego.

Przychodzę po siostrzyczkę, która jak zawsze mi ucieka, bo nie chce wracać do domu. Przysiadam więc obok bliźniaków. Mają nowy samochodzik. To dopiero wydarzenie. Prawdziwe święto. Trzeba zapytać o markę, głośno podziwiać. Chevrolet impala. Chev-vy, mówi drugi. Można poznać po skrzydłach,

dodaje ten, który siedzi bliżej mnie. Nie podnosi oczu, lecz w jego głosie pobrzmiwa nutka dumy. Inni mają przecież tylko ople, fordys i volkswageny. No, no, proszę, proszę, a skąd się to cacko tu wzięło?

Ale w tej samej chwili mnie zatyka, nie wierzę własnym oczom: spod wypłowiałego kaszkietu sączy się ciemna strużka krwi, spływa po włosach na ucho, z ucha na szyję. Od taty, mówi chłopiec. Dziś tata wrócił do domu, szepcze.

Brat również krwawi, krew ścieka mu po białym czole jak strugi czerwonego deszczu. Wciągam głęboko powietrze, wstaję, pokazuję na chłopców.

Ale przedszkolanki udają, że nic się nie stało, choć na ich placu zabaw są ciężko ranne dzieci. Co się stało? - pytam, lecz chłopcy nie dają się dotknąć.

Co to ma znaczyć? Kobiety, zazwyczaj działające mi ha nerwy swoją nadopiekuńczością, teraz nie robią nic, odmachują mi tylko z uśmiechem, podchodzą, Orvokki znów była dziś po prostu wyborna, mówią i, zaśmiewając się do łez, powtarzają mi słowa małej mądrali.

Pokazuję im ręką na chłopców, lecz one tylko kiwają głowami, tak, tak, czyż to nie słodkie maluchy, takie grzeczne i tak niewiele im trzeba, oj, gdyby wszystkie dzieci były takie, wstyd byłoby nawet brać za tę pracę pieniądze. Tak, tak, przedszkolanki udają, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, że twarze chłopców wyglądają zupełnie normalnie. A ja jestem tutaj obca, dopiero co przyjechaliśmy z Wyspy, więc nie mogę im wygarnąć, że mamy tu dwóch maluchów, którzy za chwilę wykrwawią się na śmierć, a wy, ciotki klotki, miecie jęzorami, jak gdyby nigdy nic! Czy wy nie widzicie, że cholerne bachory są całe we krwi?!

I wtedy gdy spoglądam na dzieciaki znowu, po krwi nie ma ani śladu i chłopcy, cicho się poszturchując, jeżdżą po piaskowej ścieżce swoim chevroletem, zamknięci w swym podwójnym, samowystarczalnym świetle.

Więc to wszystko był piasek? Bo już takiej okropności nie mogłam sobie chyba wyobrazić, bez przesady...

Siostry mi mówią, że całą tę historię wysłałam z palca dużo później. To było podobno bardzo w moim stylu, zawsze dbałam o właściwą oprawę artystyczną dla moich wydumanych horrorów. Miałam więc wymyślić tę historię o ociekających krwią bliźniakach tydzień po fakcie, gdy w gazecie napisali, co się z nimi stało. Zabił ich żelazkiem w ataku szaleństwa zwolniony z więzienia ojciec.

Nie dostały pomnika, bo ich matka pozostała bez środków do życia. Drewniany krzyż z małą, żelazną tabliczką z wrytymi imionami oraz datą urodzenia i śmierci. Później kobieta przyczepiła do krzyża dwie małe, gipsowe dłonie. Złożone jak do modlitwy. I to wszystko - jeśli nie liczyć tych kilku samochodzików, które zwędziłam dla nich ze sklepu i którymi jeździłam po ich małym grobie w górę i w dół, żeby sprawić im radość.

## Olkikumpu, grudzień 1933

Trzęsąca się z zimna kobieta na zawianym śniegiem peronie, z walizką w rękę i małą dziewczynką przy boku. To Vida Harjula. czeka na pociąg do Helsinek. Środek dworcowego placu zdobi wielki, opasany kolorowymi taśmami świerk, połyskujący niczym wytworna suknia balowa. Ludzie stoją przy pakunkach z prezentami i uśmiechają się do niej, myśląc, że jest jedną z nich, że jedzie do babki albo ciotki, opychać się zapiekanką z brukwi, rozkoszować zapachem świec i rywalizować z krewnymi o to, kto najlepiej przyrzucił śledzia.

Odwzajemnia uśmiechy, nie chce myśleć o czekającym ją ponurym pokoju hotelowym, ani o trudnościach, które z samej natury rzeczy piętrzą się przed samotną kobietą z dzieckiem w dużym, obcym mieście. Lecz przecież do tej pory jakoś dawała sobie radę, wychodziła cało z dużo gorszej biedy, więc dlaczego nie miałyby sobie poradzić teraz?

Człowiek zawsze sobie poradzi, kiedy musi.

A ona musiała. Musiała wyjechać, by zdjąć z barków porządnego człowieka brzemię, którego ten nigdy nie podjąłby się dźwigać, gdyby tylko wiedział.

Nie oszukałam go celowo, kobieta powtarza sobie w myślach i schyla się, by strzepnąć śnieg z daszka czerwonego, aksamitnego kaszkietu córki. Wyobrażałam sobie po prostu, że jestem mocniejsza. Ale się pomyliłam.

Kiedy się to zaczęło?

Któż to wie. Takie rzeczy zachodzą zupełnie niezauważenie. Komu by się chciało ich szukać, wypatrywać mikroskopijnych, niewidocznych niemal pęknięć, nie grubszych od włosa. To nie dziury ani rozpadliny, ale skąd. Wstawali co rano tak, jak zawsze, ubierali się, szli do pracy, jedli kolację, kochali się, kładli spać. Poza tym nie działo się nic godnego uwagi, nic

alarmującego.

Vida Harjula wierzyła w swoją miłość, wierzyła, że jest mocna jak skała, na której zbudowali sobie życie. W czasie, gdy cały kraj, łkając dumę, stał w kolejce po zasilek, jej mąż z wysoko uniesioną głową maszerował do kasy kopalni po owoce swej ciężkiej pracy w sercu ziemi.

Później kobieta dowiedziała się więcej o skałach. To na przykład, że w określonych warunkach skała eroduje. Pojawiają się drobniuteńkie pęknięcia, które z czasem prowadzą do jej rozpadu.

Gromadzi się napięcie, które rozładowuje się w najmniej spodziewanym momencie. W gwałtownym zawale. A nawet w wybuchu.

Były między nimi kłótnie, jak to między kochankami. Kto ich nie zna. Były sprawy, w których za nic nie mogli się dogadać: wtedy ona rzucała, czym popadnie, a on trząsał drzwiami. Lecz wszystko to należało do zwyczajnego pożycia małżeńskiego i Vida specjalnie się tym nie martwiła. Jak już, była raczej dumna, bo w tych utarczkach miłość i pożądanie wysuwały się na plan pierwszy: Mój mąż ma taki temperament, że gdy zamykam się w sypialni na klucz, boję się, że przejdzie przez drzwi...!

Ale zaczęły się dziać rzeczy inne, poważniejsze.

Całkowicie wariackie.

I kobieta, która nauczyła się już żyć z tym, że jej dusza od czasu do czasu odrywa się od ciała i ulatuje w nikomu nieznanym kierunku, przeraziła się nie na żarty.

Zaczęła słyszeć co innego, niż do niej mówiono. I nie były to zwyczajne przesłyszenia, ale szczególnie obrzydliwe, diaboliczne przeinaczenia. Słowa nagle zaczęły zmieniać znaczenie.

Pierwszy raz przytrafił się w piękny, pogodny poranek niedzielny. Mąż stanął w progu kuchni, trzymając w rękach miskę i przybory do golenia.

- Uprasowałaś mi już śmiertelną koszulę?

- Co takiego?

- Pytałem, czy uprasowałaś mi odświętną koszulę.

- Usłyszałam co innego.  
Mężczyzna zmarszczył brwi.

-Co?

Kobieta nie odpowiedziała.

- Umyj sobie uszy - poradził i roześmiał się wesoło, czochrając jej włosy.

Z początku kobieta nie mogła tego pojąć. Mimo że już wiele lat wcześniej przeczytała o sobie w rozdziale książki lekarskiej zatytułowanym *Choroby umysłowe*, ciągle nie mogła się pogodzić z tym, że jest szalona. Lecz wraz z pojawieniem się tego nowego, niezwyklego objawu musiała przyznać: A jednak mieszka we mnie to zaraźliwe szaleństwo, teraz wiem już na pewno, że jestem chora. Nadal jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że choroba mogłaby się okazać mocniejsza od jej miłości. Że mogłaby żyć w niej własnym życiem i bezustannie szukać nowych sposobów, by ją pogrążyć. Ją, która czuła się taka mocna i zdrowa. Ale w końcu musiała uwierzyć.

Bo na tym się nie skończyło.

Minęło może kilka tygodni czy miesięcy, aż nagle znów:

- Byłem w sklepie zapłacić rachunek - wspomniał mężczyzna mimochodem po powrocie z dziennej szczyty.

- Duży był?

- Nie - odpowiedział Eero Harjula, rozwiązując sznurowadła.

- Sam się zdziwiłem. Wtedy pomyślałem, że pewnie zapomniał, jak cię posuwał wtedy w magazynie.

Kobieta zamruła i skrzywiła się, jakby usłyszała kiepski żart.

- Co zapomniał?

- Sama mi opowiadałaś, pamiętasz? Dwa tygodnie temu, w środę albo w czwartek. Więc wracam do sklepu i mu mówię, na pewno nie policzyłeś tego razu, kiedy nie miałeś już patronów na półce i poszedłeś z moją żoną do magazynu. Ale się chłop ucieszył, że mu przypomniałem.

Kobieta przez chwilę milczała.

- Zapomniał policzyć patrony z magazynu? To przed chwilą powiedziałeś? Zaraz na samym początku?

- No przecież ci mówię. Co masz taką dziwną minę? A co,



miałem mu nic nie mówić? Mnie dobroczynności nie potrzeba, w końcu chłop też próbuje co nieco zarobić...

Kobieta poczuła pałący jak roztopiony ołów strach. Pałący i przeraźliwie zimny. Ale nie dała po sobie niczego poznać. Wierzyła jeszcze w swój spryt. Przecież udało jej się oszukać męża i własne szaleństwo. Nawet gdyby mężczyzna coś zauważył, nawet gdyby jego miłość zaczęła gasnąć, wiedziała, jak w nim podsycać ogień pożądania.

Codziennie obchodziła handlowe uliczki Olkikumpu i przynosiła do domu różne drobiazgi, kojące oczy górnika strudzonego ciężką pracą pod ziemią. Kwiaty i koronkowe obrusy dopełniały iluzji domowego rajy, nic jednak nie mogło się równać z tym, do czego była zdolna w nocy. Nawet w chłodne zimowe wieczory nie zakładała flanelowej pizamy, jak inne kobiety, lecz marzła w brzoskwińowej, jedwabnej bluzce z dużym rozcięciem z boku. A gdy przy głównej ulicy otwarto kinematograf, do którego chodziła, kiedy tylko mogła, zaczęła sobie uświadamiać, co może zdziałać drobny, z pozoru nieświadomy gest, i jakie piorunujące wrażenie robią na mężczyznach wysokie obcasy; podpatrzyła też, jak poruszać się wolniej i bardziej miękko, z seksapilem.

Czasami ta gra stawała się tak podniecająca, że kobieta całkowicie poddawała się wampowi, w którego zaczęła się przeistaczać. I prawie zapominała, po co ten cały trud.

Właśnie wtedy wydarzyło się coś, czego w ogóle nie brała w rachubę. Coś absolutnie niedopuszczalnego. Mimo że zachowywała najdalej posuniętą ostrożność i skrupulatność, której nikt by nie podejrzewał u takiej trzpiotki, jak Vida Harjula. Ale w tym jednym względzie była pedantką. Ponieważ mąż nie zgodził się tego robić, co drugi tydzień przynosiła do domu małe pudełko, a wtedy on patrzył na nią przeciągle, z wyrzutem: Nie moglibyśmy już skończyć tej błazenady? *Nie! Nie. Nie. Nie.*

A jednak coś zawiodło, wkradł się jakiś niepojęty błąd: nie miała miesiączki.

To było straszne.

Z przerażeniem sobie uświadomiła, że jej szaleństwo chce się rozprzestrzenić, zwielokrotnić, rozmnożyć.

- Nie mogę go mieć - myślała. - Muszę mu od razu powiedzieć, że w żadnym razie nie wolno mi urodzić tego dziecka.

Tylko czy coś takiego można powiedzieć? W końcu to ona popełniła przestępstwo, wychodząc za męża. Nie miała prawa się wiązać, rodzić dzieci, być taką, jak inne. Powinna była zdeptać w sobie pożądanie, chodzić z dzwonkiem na szyi, jak trędowata. Lecz nie potrafiła sobie wszystkiego odmówić. To było silniejsze od niej. Chciała zapomnieć. Chciała kogoś mieć, przy sobie i w sobie. Pragnęła zasypiać w ramionach mężczyzny i rano się przy nim budzić. Będę twoją, powiedziała mu, jeśli potrafisz żyć bez dzieci. Potrafię, odpowiedział jej. Nie chcę mieć dzieci, tylko ciebie.

Ciebie, ciebie, ciebie. Tylko ciebie, całą ciebie, kochana.

I ona, Vida Harjula, uwierzyła mu. Wariatka.

Każdego dnia zbierała w sobie odwagę, by poprosić męża o pieniądze na wizytę u zaufanej znachorki. Podpytywała oględnie sąsiadki o miejscowe baby. Opowiadała o okropnym nieszczęściu, które spotkało pewną jej krewną, młodą dziewczynę, malowała wielką tragedię. Ale kobiety nie rozumiały, po co Harjula im to wszystko mówi. Patrzyły na nią przerażone i nie odzywały się słowem.

Wymyślała najróżniejsze powody, dla których musi jechać do miasta, będąc pewna, że znajdzie tam lekarza, który nie stroni od alkoholu i w końcu jej pomoże. Lecz Eero Harjula odpowiadał zawsze, że nie ma nigdzie jeździć. Skakała więc na sztywne nogi z trzepaka, w środku dnia zamykała się w gorącej saunie na wiele godzin. Gdy mąż wracał do domu, była czerwona jak rak, ale o nic nie pytał, marszczył tylko brwi.

Wreszcie nie pozostało jej nic innego, jak spróbować sztuczki z drutem.

Z obrzydzeniem i lękiem kobieta wyciągnęła go z kłęбка wełny i poszła do wygódki, choć nie miała bladego pojęcia, co ma z tym drutem zrobić. Po dwudziestu minutach kucania w

przenikliwym chłodzie, w fetorze gnoju i moczu, miała już serdecznie dość nieudolnych przymiarek do zabiegu. Zziębnięta i zrezygnowana czekała więc na jakikolwiek znak, z nieba lub z piekła. Modliła się i klęła.

Jeden z dwóch adresów okazał się aktualny, prawdopodobnie ten pierwszy: na podwórze zajechało obce auto. Aniołem stróżem okazał się niechlujny agent towarzystwa ubezpieczeniowego. Drut wylądował w szambie, mokra od krwawego potu Vida Harjula wyskoczyła z wygodki i pomknęła do kuchni przygotować dla zdumionego gryzpiórka kawę i ciastka. I podpisała dokumenty, dające wszechstronne gwarancje *zabezpieczenia potomstwa*.

I tak się ukorzeniło to ziarno zguby i zatury - w niej i w ich domu. Z każdym dniem kobieta coraz mniej była sobą, a coraz bardziej strażnikiem swojego nieszczęścia, ukrywając przed światem nienarodzone jeszcze, a już wyjęte spod prawa dziecko. Lecz oto z biegiem czasu zaczęła w niej kiełkować beztroska nieodpowiedzialność: Ostatecznie jestem niepoczytalna, więc po co się przejmować, przecież nic mi z tego nie przyjdzie. Z rozczeniem i zaciekawieniem zaczęła badać swój pęczniący brzuch - postanowiła uwierzyć w *cud*. Było nie było, cuda zdarzają się od zawsze i wszędzie na świecie: Dlaczego coś podobnego nie miałyby się przytrafić Vidzie Harjuli?

I tak urodziła zdrowe, żywe dziecko. Kruszynekę. Rusałczkę z kępką złotych jak moroszka<sup>3</sup> włosów. Nikt jej na ten świat nie zapraszał, miała tu zakaz wstępu, ale oto była, za dnia rozbiegana i roześmiana, wieczorami padająca ze zmęczenia. Kobieta była nią tak oczarowana, że zupełnie zapomniała o swoim postanowieniu, by pilnie obserwować dziecko, kiedy się pojawią pierwsze objawy odziedziczonego po niej szaleństwa. Lecz dziewczynka była w każdym calu doskonała. I skoro tak uparcie się pchała na ten świat, skoro nic nie mogło jej powstrzymać, to co zrobić: widocznie tak miało być...!

---

3 Moroszka - popularna w Skandynawii niskopienna roślina z rodzaju malin o jadalnych, pomarańczowożółtych owocach, rośnie dziko na terenach podmokłych (przyp. red.).

Oczywiście wyciągnęła z tej lekcji wnioski. Jeszcze teraz, kiedy Vida Harjula stoi na peronie, trzymając za rękę córeczkę, uśmiecha się smutno na myśl, że przez te parę lat stała się prawdziwą czarodziejką sztuki miłosnej, starając się rozpaczliwie wyczarować mężowi rozkosz bez stosunku. Była święcie przekonana, że jej występna śmiałość jest zaraźliwa, że prędzej czy później ogarnie także męża, że wejdzie mu w krew, a wtedy nie będzie mu już nigdy niczego brakować...

Lecz tak się nie stało.

Jej mąż cierpiał. Widziała to po wszystkim. Odkąd zrozumiał, że żyje z wariatką, i to w związku zakazanym przez prawo, zaczął marnieć w oczach. Lecz duma i honor nie pozwalały mu go zerwać. Cierpiał, bo pożądał kobiety niespełna rozumu.

Cierpiał i strzelał, bo musiał na czymś wyładować palącą mu wewnętrzną wściekłą żądzę.

Układało im się coraz gorzej. Eero Harjula przeistaczał się w tyrana. Czasem przygadywał żonie, lecz jego złość skrupiałała się głównie na dziecku. Dziewczynka nigdy nie siedziała przy stole tak jak trzeba, nie jadła tyle ile trzeba, nie kładła się spać kiedy trzeba.

Nawet gdy nie karcił dziecka, jego głos był coraz częściej twardy i beznamiętny. Dziewczynka miała może trzy latka, kiedy pewnego razu wyciągnął ze spodni pas i pomachał jej przed nosem tylko dlatego, że nie pozbiierała zabawek do skrzynki.

- Tylko spróbuj ją tknąć! - wrzasnęła Vida Harjula. - Wynie siemy się z tego domu i już nigdy nas nie zobaczysz!

To go ostudziło, lecz nie na długo.

Rano usłyszała dobiegający z kuchni, rozzierający płacz dziecka.

Dziewczynka przykucnęła za krzesłem, mężczyzna z dziwną miną siedział przy stole.

- Rozpieszczasz ją - odezwał się do niej oskarżycielskim tonem.

- Rozbabrała całą kaszę, wala się wszędzie po podłodze,

myślała, że nie zobaczą. I jeszcze bezczelnie kłamię, że to nie ona. Najpierw mówi, że to pies nabałaganił. Potem jakiś zajaczek. Kłamię cho lera w żywe oczy...

Kobieta wzięła zapłakaną dziewczynkę na rękę.

- Uderzyłeś ją, Eero?

Mężczyzna westchnął.

- Nie uderzyłem. Dostała klapsa, będzie miała nauczkę na przyszłość. A ty przestań, do diabła, robić z tego tragedię! Wielki czas, żeby się bachor nauczył porządku. Jak już w tym wieku zaczyna mataczyć, to co...

- Idź ty do diabła!

- Sama idź.

- Pójdę, żebyś wiedział.

A zatem klamka zapadła. Vida Harjula doskonale wiedziała, co się święci: przez jej chorobę Eero traci nerwy. Dziewczynka była dla niego dziedziczką jej szaleństwa i karał ją za to, jak gdyby chciał w ten sposób ukarać jej matkę.

Więc trzeba wyjechać. Ta głęboka, wzajemna niechęć trwała już zbyt długo, nie było sensu dalej tak żyć. Mężczyzna był miody i przystojny, mógł sobie jeszcze ułożyć życie z każdą kobietą. Nie musiał się poświęcać dla umysłowo chorej.

Dlatego właśnie Vida Harjula stoi teraz z córeczką na peronie w zapadającym mroku i, myśląc o przyszłych kobietach męża, czuje już w ustach piołun zazdrości. Jest jej coraz bardziej przykro, ale nie daje tego po sobie poznać, z podniesionym czołem czeka na pociąg do stolicy, której nie zna, w której ludzie kłócą się ze sobą w ulicznych kolejkach do garkuchni i chodzą w nędznych łachmanach z kramów Armii Zbawienia. Ale Helsinki magnety-zują również swą wielkomięską atmosferą, kuszą szansą bycia wreszcie sobą. Jak dobrze jej zrobi prawdziwe miasto po tej przeklętej, duszącej wsi, gdzie nic się przed nikim nie ukryje. Gdyby uśmiechnęło się do nich szczęście i dostała dobrą pracę w jakiejś renomowanej kancelarii, ależ by im się żyło: mogłyby sobie pozwolić na odrobinę rozrzutności, chodziłyby do zoologu, do muzeum, do

teatru. I do kina też, na każdy nowy film.

Jeździłyby tramwajem. W zimowe wieczory kupowałyby sobie w kiosku na dworcu pyszne, gorące parówki. Przechadzałyby się po szerokiej Bulevardi w modnych, dwurzędowych płaszczach i zachodziły do kawiarni Fazera na ptysie. I kto wie, gdyby się jej udało znaleźć dobrą opiekunkę dla Kruszyнки, może mogłaby nawet pójść czasem na dansing. Wypić z przyjemnością dwa kieliszki schłodzonego, białego wina albo zamówić sobie taki sam koktajl, jaki Marlena Dietrich piła w *Błękitnym aniele*, taki z wisienką na dnie kieliszka...

Kobieta uśmiecha się do swoich dawnych, głęboko skrywanych marzeń, nie patrzy na córkę. Malej Aino znudziło się stać obok mamy, wyrывa się, w ręce Vidy zostaje sama tylko rękawica. Nim kobieta ją łapie, dziewczynka dobiega niemal do krawędzi platformy. Na torach leży pusta butelka po lemoniadzie i dziecko wyciąga po nią swoją małą, gołą rączkę.

- Nie - mówi kobieta. - Nadjedzie pociąg i Aino wpadnie pod koła.

Dziewczynka mocuje się z matką, jej cienkie warkoczyki uderzają w twarz kobiety, lecz Vida podnosi ją i trzyma mocno przy sobie, choć dziewczynka wyrывa się ze wszystkich sił i bije ją piąstkami.

- Zaraz nadjedzie pociąg.

-Nie!

- Nadjedzie, mówię ci.

- Jedzie do Idenii?

- Nie, do Helsinek.

Z pilnowaniem dziewczynki jest wieczna robota, jak tu ją zostawić zupełnie obcej osobie? Dopiero co czytała w gazecie o kobiecie, która pracowała w fabryce kleju. Wychodząc rano z domu, przykazywała czteroletniemu synkowi, żeby pilnował swojego młodszego braciszka. Pewnego razu dzieci znalazły zapalki i zaczęły się nimi bawić. Cały dom doszczętnie spłonął. Minęło wiele, wiele dni, nim w końcu odnaleziono w zgliszczach małe, zwęglone ciała.

Ale Vida Harjula już się zdecydowała. I gdy pociąg wreszcie wjeżdża na stację, rozpierają radość. Po chwili kobieta z dzieckiem znikają w ciemnych objęciach dymu, który pachnie wielką przygodą.

- Vida! Aino!

Mężczyzna wyrasta przed nimi nagle, jak spod ziemi. W rozpiętym płaszczu, z gołą głową.

- Złotko, a ty co? - odzywa się, próbuje objąć żonę i córkę w ramionach.

- Wyjeżdżamy.

- Nie, tylko nie to!

Jego głos jest tak napięty od szalonej rozpacz, że kilku podróżnych spogląda na nich z okien pociągu.

- Eero, zjeżdż mi z drogi, musimy wsiadać.

Vida chciałaby teraz wskrzesić w sobie furie, która ją uskrzydliła tego ranka. Lecz na peronie, między grupkami roześmianych, czekających na swoich bliskich ludzi, w ciżbie podnieconych, podenerwowanych wsiadających, nie jest to już takie łatwe. Bez milczącego wsparcia kuchni, emaliowanych garnków, szmacianych dywaników i drewnianych krzeseł jej gniew nie może się równać z posapującym parowozem, z tą makabryczną masą tłustego żelastwa.

- Nie. Nie, nie, nie, dlaczego, co ja takiego zrobiłem? Że ją uderzyłem? Aino, przepraszam cię, tata nie chciał!

Mężczyzna chwytą dziewczynkę za rączkę, gładzi ją i całuje.

- Wybacz mi, dziecko. Przepraszam cię, słoneczko ty moje.

Kobieta jest rozdrażniona, odwraca głowę. Wszystko spaliło na panewce. Przecież była niemal pewna, że Eero przyjmie ich wyjazd z ulgą.

Dziewczynka zapina ojcu guziki płaszcza, nie odzywa się.

- Eero, musimy już iść, bądź więc uprzejmy się odsunąć. Ludzie chcą wejść do wagonu.

Za plecami mężczyzny zatrzymali się dwaj chłopcy, spoglądają po sobie znacząco.

- Vida, powiedz mi, coja mam zrobić? - głos mężczyzny jest cichy i zachrypnięty. - Zrobię, co tylko chcesz. Chcesz, żebym

cię błagał na kolanach? Chcesz, proszę bardzo.

Zdumiona kobieta spogląda na niego ze smutkiem, bierze dziecko na ręce, zasłania się nim jak tarczą. Odwraca się, chce wejść do pociągu.

Lecz nie może.

Na oczach całego peronu, przed obojętnym, szerokim obliczem pociągu i pod nieufnym spojrzeniem naczelnika stacji, mężczyzna osuwa się na kolana w brudny śnieg i zamyka kobietę w swoich ramionach.

- Nie zostawiaj mnie teraz, Vida. Błagam cię, nie zostawiaj mnie teraz.



## Olkikumpu, maj 1936

Dzieci.

Bardzo delikatne stworzenia, tak łatwo wyrządzić im krzywdę. Może to dobrze, że mi tego wszystkiego oszczędzono, myśli Natalia Viita, rozstawiając trójnóg. Wiecznie trzeba na nie uważać, ani na moment nie spuszczać z oka, wystarczy chwila nieuwagi i nieszczęście gotowe.

- Kiedy Aino przyjdzie zobaczyć swojego braciszka? - Vida Harjula pyta Natalię, która przygotowuje swój sprzęt fotograficzny. Kobieta poprawia sobie włosy, uśmiecha się. Nie pamięta już bólu, płaski nosk noworodka dotyka jej piersi, chłopczyk zasnął z sutkiem w rozchylonej buzi.

Vida jest blondynką i Natalia nie jest zachwycona tłem, wolałaby coś więcej niż samą tylko pościel. Lecz wyraz twarzy bratowej panuje niepodzielnie nad całą przestrzenią kadru. Okno rozprasza światło i rozmywa odcienie. Natalia postanawia nieznacznie rozmazać tło i ustawić parametry na cienistą cerę Vidy i delikatne paluszki noworodka.

Vida Harjula gada jak najęta, poród najwyraźniej nie nadwątlił jej sił.

- Piękny chłopiec, powiedz? Prawda?

Piękny? Z tymi opuchniętymi powiekami, które ledwo co może rozchylić? Wygląda bardziej jak żaba albo mały Kirgiz, mówi sobie w myślach Natalia.

- Jak Bóg da, to może się jeszcze toto do człowieka upodobni.

- Natalia!

- Buzia na kłódkę, nie ruszaj się.

Musiała tak warknąć? I to na kobietę w początku połogu, której sześćioletnia córeczka zbyt długo już nie wraca do domu? Ale Natalia bardzo chce zrobić to zdjęcie i dlatego musi być taka jak zawsze. Musi coś zrobić, aby się nie zalać rzewnymi łzami, aby nie zepsuć bratowej może i ostatniej szczęśliwej chwili w tym życiu. Nie, trzeba ją uwiecznić na Autochromie,

ato oznacza prawie dwie sekundy ekspozycji przy przysłonie ef osiem. I całkowity bezruch.

Utrzymaj to ciepłe wejrzenie, a drugą rękę załóż sobie pod głowę! Świetnie. Prawie doskonale. Żółte mleczne odbijają się w zielonych tęczęwkach, równoważąc biel pościeli, koszuli nocnej i poduszki. Biały kolor, wesele. I śmierć.

Natalii pęka głowa od tego nocnego czuwania, ale to nie ma teraz znaczenia. Kontrast między jasną koszulą kobiety i jej opaloną twarzą daje niezły efekt, faktura cery wychodzi nawet w cieniach.

Ciepłe zdjęcie. Piękne i bezpretensjonalne. Rysów twarzy nie szpeci jeszcze żal, nie ma na niej nawet śladów troski.

Szczęście. To właśnie fotografuje Natalia Viita, bezwstydnie szczęście, czyste i lśniące, w którym jej bratowa rozplywa się jak słoneczne lato w gładkiej tafli morza, w wolnej wreszcie od lodów połyskującej ciszy.

Obraz jest tak idylliczny, że Natalia czuje w sercu ukłucie ponurej zazdrości. Gdyby nie to, że zawisły już nad nim ciężkie chmury żałoby, Natalia nie zniosłaby dłużej jego promiennego ciepła.

Dlatego nie pozwoliła im jeszcze niczego Vidzie mówić, odbierać jej tej chwili. I nie pozwoli im zniszczyć tego zdjęcia, zbesz-cześcić go profanom, dla których nic nie jest święte, dla których piękno nie istnieje. Jak to dobrze, że lato w tym roku przyszło wcześniej, są już kwiaty i szemrzą strumienie.

- Idź po Kruszynekę. Musi zobaczyć braciszka. Obiecałam jej.

Ty obiecałaś? Co tak naprawdę znaczą ludzkie obietnice pod surowym spojrzeniem Pana Życia? *Weź dziecko swoje i złoż je w ofierze na górze, którą ci wskażę*, mówi okrutny, samotny Bóg, który nie może ścierpieć szczęścia śmiertelników.

Widę zrobią winną całą tragedii, myśli Natalia. Chociaż rodziła drugie dziecko, nie wiedząc, co się w tym czasie wydarzyło. Natalia doskonale wie, że nie ma troskliwszej matki od jej bratowej, tylko kto by jej wierzył. Ale jest w tym trochę winy samej bratowej: Po co zadzierałaś nosa, po co dawałaś

ludziom do zrozumienia, że jesteś lepsza od innych! Już kiedy chodziłaś z Kruszyńką w brzuchu, to kupowałaś jakieś gazety, uczyłaś się na pamięć wszystkich artykułów, w których choćby jednym słowem wspomniano o niebezpieczeństwach grożących małemu dziecku. Nie sądzisz, że to było trochę wielkopańskie? Jak na babę górniką? Sąsiadek było pytać, jak się chowa dzieciaki, żeby nie pomarły. Ale nie. Rady prostych ludzi były ci nie w smak, a kiedy we wsi wiedzy dla ciebie nie stało, musiałaś zamawiać poradniki aż z samej stolicy. I to nie tylko po fińsku.

Gdzie przyjdzie pycha, przyjdzie i hańba - czyżby w tym kanadyjskim rajach zapomnieli tego nauczyć Vidy Tichonow?

I nie było wcale dobre to, że Vida w ogóle nie chciała mieć dzieci. W jaką rozpacz wpadła, kiedy się połapała, że jest w ciąży! A co się działo, jak już urodziła - toż to wołało o pomstę do nieba!

Jak ona się obnosiła z tą swoją Kruszyńką! Jakby nikt w tej wsi przed nią dziecka nie zrobił. A jak się wściekła, gdy ktoś raz kiedyś palnął, że laboga, dyć to Haij ulowa z tym swoim sraluchem na rękę! Mały włos, a skoczyłaby do oczu! Żeby mi to był ostatni raz, ja ci dam tak się wyrażać o mojej córce Aino!

*Mojej córce!*

Z takim majestatem, jakby chodziło o następczynię tronu. Sąsiedzi nie wiedzieli, śmiać się czy płakać, zawsze się tutaj mówiło o sraluchach albo dziewuchach. Ale ta mała Harjulowej była ulepiona z lepszej gliny, to było cudo, jakiego ziemia jeszcze nie nosiła. Człowiek czuł się wybranym, gdy matka dała mu wziąć tę królową na ręce, bo normalnie to się bała, że jej baby z naszej wsi nie będą umiały na rękach dobrze trzymać!

Nawet Natalia czasami miała już serdecznie dosyć tego wiecznego paplania Vidy: Patrz, Natalia, jakie malutkie paluszki, widziałaś ty kiedy takie cudenka, jak płatki kwiatów! Przecież to najpiękniejsze dziecko na świecie!

Że też nie miała wstydu tak fanfaronować przed szwagierką, która nie pogardziłaby i brzydszym dzieciakiem - gdyby tylko mogła zająć w ciążę i urodzić. Potem jednak Natalia zaczęła przypuszczać, że podłożem tego zachłystywania się córką może być też to, że jej brat nie przepadał za dziećmi. A może był

zawiedziony, że nie urodził mu się syn.

Eero nie oponował, gdy Vida nie zgodziła się na chrzest. Za to sąsiedzi byli przerażeni: Jakże to, bez chrztu? Jak u jakichś dzikusów z Afryki!

Natalia wie, że nie układało im się wtedy najlepiej. Vida ciągle wypominała mężowi, że wstąpił do samoobrony<sup>4</sup>. Widziała w tym oczywistą deklarację polityczną, on mówił, że to tylko dla sportu. Bo samoobrona ma najlepsze strzelnice i sprzęt.

Natalia знаła brata dobrze, nie kłamał. I marzyły mu się sukcesy, kto wie, czy nie nawet olimpijskie złoto!

- Wymień choćby jednego fińskiego Strzelca o międzynarodowej renomie, który nie był w oddziałach samoobrony - żołądkował się przy kolacji w kuchni u siostry. Tego dnia Vida zamknęła się w domu i zanosilo się na to, że nie wpuści go na noc.

- Co, źle ci na dworze? Masz: *Licht, Luft, Leben!* Rozkoszuj się nimi! Przecież tego chciałeś! - dogryzała mu żona przez drzwi.

- Jestem mężczyzną, a nie psem! Nie będę spał na progu! - Eero Harjula darł się na całe gardło, ale Vida nie wpuściła go do środka.

Natalii było trochę żal brata, ale z drugiej strony odczuwała cichy podziw dla bratowej. Vida miała w sobie rzadko spotykaną u kobiet hardość. Odnosiło się wrażenie, że nic sobie nie robi z tego, co inni o niej myślą.

- Rewolta była ponad dziesięć lat temu, ale do mojej starej to jeszcze nie dociera - burknął gniewnie do Natalii, wpychając do ust resztki smażonego makaronu, całej kolacji siostry.

Eero Harjula wysłał do żony siostrę na rokowania pokojowe.

- Ja z rzeźnikiem<sup>5</sup> spać nie będę - ucięła krótko Vida.

---

4 Oddziały samoobrony (fin. *suojeluskunta*) zaczęły formować się samorzutnie jesienią 1917 roku w celu obrony fińskiej niepodległości. Uznane dekretem Senatu za oddziały rządowe, odegrały dużą rolę w wojnie domowej, walcząc po stronie „białych”; przez „czerwonych” uważane za zbrojne ramię burżuazji (przyp. tłum.).

5 Tak nazywano „białych” po wojnie domowej 1918 z powodu „białego terroru” - krwawej rozprawy z faktycznymi i domnie manymi uczestnikami

- Powiedz tej babie, do czorta ciężkiego, że to nie ja zabiłem jej brata! - warknął Eero, gdy siostra wróciła. Wepchnął do ust resztę pieczywa, które w jej gospodarstwie wystarczało na dwa dni, popijając głośno kawą.

Po paru dniach poszedł do domu. I został.

- Rychło w czas - zauważył cierpko mąż Natalii. - Całą spizar nie nam złupił.

Jak doszło do ugody, Natalia nie wiedziała i nie śmiała pytać.

Vida Harjula była już wówczas w ciąży, może to przeważyło.

Natalia już podejrzewała, że brat dał za wygraną, że oddał legitymację, ale nie.

Jeszcze nie wtedy.

Bo to strzelanie miał we krwi. Już od dzieciaka był zupełnie niemożliwy, miał fioła na tym punkcie. Raz nawet przyprawdzili go do domu stójkowi i obsztorcowali ojca, że pozwala gołowasowi włóczyć się ze strzelbą po lesie. Ale Natalia wiedziała, że brat nie strzela do zwierząt, chyba że ktoś go poprosi, by coś upolował. Nie, zabijanie nie miało dla niego żadnego sensu. On strzelał tylko do celu, on musiał trafić dokładnie tam, gdzie chciał. Zawsze być we wszystkim najlepszy.

I był najlepszy. Nikt mu w strzelaniu nawet do pięt nie dorastał.

Wątpię, czy sam to do końca rozumiał, a cóż dopiero wytłumaczyć to żonie.

Ale Natalia dostrzegła, że po tym wszystkim coś zaczęło się między nimi psuć. Eero Harjula nie wracał z pracy do domu, jak kiedyś, lecz prosto z kopalni szedł na strzelnicę pomagać w remontach. Podnoszenie dna okopu było ważniejsze od pierwszego uśmiechu Kruszyнки. W następnej kolejności trzeba było odnowić mechanizmy tarcz, potem wybetonować ściany okopu. Później poszerzać teren. Szkolić narybek. Biegali po lesie w stroju Adama, jak wtedy ta niemiecka młodzież. Światło, powietrze, życie. Piękna idea, bez dwóch zdań, ale kto to widział, przecież oni byli zupełnie nagusieńcy!

---

nieudanej fińskiej „rewolucji bolszewic kiej”, rozstrzeliwanymi często bez sądu (przyp. tłum).

Tak się złożyło, że do strzelnicy przylegało niewielkie, porośnięte sośniną bagno, którego właścicielem był weterynarz gminny Lagerqvist. W związku z tym wybrano na ochotnika najlepszych zawodników klubu, aby go przekonali do sprzedaży. Po kilku suto zakrapianych kolacjach Lagerqvist podpisał dokumenty, oddając działkę za symboliczną cenę. Zdaje się, że na tak szybką i korzystną decyzję duży wpływ miał jego nieudany udział w zawodach strzeleckich, które urządził raz u siebie. Tarczę umieszczono w sali, na drzwiach prowadzących do holu. Drzwi wzmocniono z drugiej strony blachą i deską. Akurat strzelał gospodarz, gdy do sali weszła z tacą pokojówka, która o niczym nie wiedziała. Kula trafiła ją w bark, lecz będący na miejscu lekarz gminny natychmiast udzielił jej pierwszej pomocy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w zawodach brał udział także komendant miejscowej policji, który orzekł, że postrzał nastąpił w wyniku nieszczęśliwego wypadku, a rana jest niegroźna. Taki był koniec strzeleckiej pasji gminnego weterynarza Lagerqvista, który w szlachetnym geście przekazał swoją ziemię na rzecz rozbudowy strzelnicy samoobrony.

Jak by na sprawę nie spojrzeć, Eero Harjula miał bzika na punkcie broni. Czyścił ją i polerował prawie co dzień. Karabinami mógł się bawić bezustannie, lecz dziecka na ręce nie wziął ani razu. I nie lubił, kiedy inni je głaskali. Narzekał, że dziecko przeszkadza mu spać, że nie ma potem siły w pracy, bo już i wyspać się spokojnie nie może. I mimo sprzeciwów żony zaczął zamykać niemowlę na noc w izbie.

Ten krzyk! Natalia nigdy nie zapomni, jak to dziecko krzyczało. Wszystko słyszała, mieszkali przecież obok. Krzyczało dziecko i krzyczała Vida. I Natalia myślała, że to też nie jest do końca tak, jak się należy. Zaczęła się już bać, że jeszcze chwila, a zarzuci na grzbiet palto i pójdzie zabrać stamtąd tę biedulę. Ale jej mężowi Jannemu też by się to specjalnie nie podobało. Był przecież rozżalony, że żona przez osiem lat małżeństwa nie dała mu dziecka. Choć sprawa nie była chyba jeszcze przesądzona, w końcu Natalia nie miała nawet trzydziestu lat, nie można się przecież poddawać, co to, to nie.

Tym razem Vida przyszła na noc do Natalii. Ile one wtedy kawy wypily! Ile gorących łez wylały!

- Kładzie się na mnie, żebym nie mogła do niej pójść. Zostawię go, zostawię twojego brata, zabiorę Kruszynekę i wyjadę! - chlapała Vida. - Wyjedziemy stąd, ja i Kruszyńka... Jeszcze ją tam jakiś szczur pogryzie, w tej izbie, a ja nie będę mogła jej pomóc... Wyjedziemy stąd. Precz, byle dalej!

Natalia wiedziała, że bratowa nie należy do ludzi, którzy gadają po próżnicy, że Vida Harjula w końcu zrobi tak, jak groziła. Powtarzała mężowi: Ona niedługo wyjedzie, wyjedzie Vida, zobaczysz! I dobrze mu tak, będzie miał ten mój brat nauczkę, będzie miał za swoje, biedne dziecko dręczyć!

A niech jedzie, odpowiadał mąż, krzyżyk na drogę! Wreszcie będę mógł czasem po ciężkim dniu pracy zjeść w spokoju kolację!

Ale nie wyjechała.

Takie jest życie. Gdzie by też zresztą człowiek mógł pojechać, z własnego domu...

W końcu mała Aino zaczęła przesypiać całe noce, spała jak aniołek, nie pisnęła nawet. Co tu dużo gadać, tak było lepiej dla wszystkich, ale Natalia nie mogła odpędzić natrętnej myśli, że jak dziewczynka tak sama leżała przez całe noce w izbie, coś w niej musiało pęknąć. Gdy pomyśleć, jakim strasznym Aino była uparciuchem, jak potrafiła się zamknąć we własnym świecie, bawić się zupełnie sama... I jak bardzo to lubiła, być sama. Aż za bardzo.

Natalia zawsze jej powtarzała, że kamienisko na wzgórzu nie jest do zabawy. Przed nastaniem kopalni żadne dziecko nie odważyło się tam chodzić. Przyjdzie zły i cię zabierze, straszli starsi. Zgubisz się w lesie i już nigdy nie trafisz do domu. Żeby potem znaleźć takie zagubione dziecko, które zczarował duch ziemi, trzeba założyć ubranie na lewą stronę. Bo zły więzi swoje ofiary wewnątrz góry, a tam wszystko jest na opak, odwrotnie niż w naszym świecie.

Nie jeden śmieje się z Natalii, że plecie androny o zaklętej górze. Lecz ona nic sobie z tego nie robi, bo ona swoje wie: Śmieście się, śmieście, ale ja wam mówię, że po naszym

kamienisku krążą złe moce! Możecie nie wierzyć, ale to prawda, są takie miejsca na świecie, zawsze były! Strumienie, gdzie woda się przemienia w najgorszą truciznę. Starzy wiedzą, co mówią, bo słyszeli od jeszcze starszych. Na kamienisku mieszkają duchy zmarłych i góry nie powinno się było nigdy ruszać. Ludzie znajdowali tam prastare człowiecze kości, odrąbane czaszki. Dawno, dawno temu składano tam w ofierze ludzi, kobiety, małe dzieci, a to nie wróży nic dobrego, możecie mi wierzyć. Kości można wykopać i zabrać, ale dusze tych ludzi ciągle tam pokutują, chowają się pod kamieniami i w jasne, rozgwieżdżone noce można zobaczyć, jak wstają z ziemi. I jęczą.

A gdy przyszedł rok czarnych aut, wywozili tam komunistów, to Natalia także pamięta, straszili ich, że nie pozwolą im sprzedać ojczyzny Sowiecom. I mścili się na nich za występki ich ojców i braci.

To było straszne, te krzyki, które się stamtąd niosły. Z drugiej strony można to jakoś zrozumieć, podobnie jak inne okropieństwa, w końcu chodziło o dobro ojczyzny. I o naszą wolność. Natalia czytała przerażające opowieści o tym, co może się zdarzyć, jeśli dać zdrajcom i sprzedawczykom choć trochę swobody. Czytała „Horsta Wessela”, śmiała się i płakała. Cudowna książka, ale z drugiej strony przerażająca: tylko pomyśleć, co by się działo w Niemczech bez Hitlera!

W imię szlachetnej sprawy trzeba być czasem twardym, choćby nie wiadomo, jak człowiekowi było z tym źle. Natalia to wie, ale gdy zabili jednego z nich, Emmanuela Aarnio, najstarszego kopacza kopalni i związkowego przedstawiciela załogi, przeżyła wstrząs.

Właśnie tam go znaleźli, na stoku wzgórza Olkikumpu, obok mrowiska, do połowy zakopanego w ziemi. Był cały poraniony i nim wreszcie padł strzał, który położył kres jego cierpieniom, odcięto mu wszystkie palce obu dłoni...

A oni nie mieli gdzie Kruszynki puszczać, tylko właśnie tam, na to wzgórze. Strasznie coś to dziecko ciągnęło w niebezpieczne miejsca. Od maleńkości. Mówiła mało, ale to było żywe srebro. Niesforne dziecko, z którym matka miała



pełne ręce roboty. Cały czas trzeba jej było pilnować, co by nie weszła na dach, nie pobiegła na tory, nie spadła z peronu. Ale anioł stróż nad nią czuwał, kiedy była w niebezpieczeństwie. Zawsze.

Z wyjątkiem tego jednego, jedyne go razu. Tak straszliwe nieszczęście w taki uroczysty dzień...

Nie ma wątpliwości, że Vida Harjula chciała dobrze, ale koniec końców bardzo źle się to skończyło. Przeczytała kiedyś w jakiejś gazecie o niemowlęciu, które prawie zagryzł szczur. Dostał się do wózka i byłby je zjadł, gdyby ktoś go w porę nie zauważył. Ta historia nie dawała Vidzie spać. Dwie noce nie zmrużyła oka, nasłuchując po kątach złowróżbnych skrobnięć, aż wreszcie postanowiła kupić trutkę. Wykladała ją wszędzie i w końcu sama już nie pamiętała, gdzie i kiedy ją zostawiła.

Przypadki chodzą po ludziach. Na dnie szafy w spiżarni była dziura i mysz, nim zdechła, zdążyła się przegryźć do schowka z trutką. Tak to jest, jak się po szafach nie sprząta, przygadywali potem niezyczliwi, całą winę za to straszliwe nieszczęście zwalając na Harjulową, która nie miała, jak oni, hopla na punkcie czystości.

Ale to nie takie proste, myślała Natalia, życie to nie makata, gdzie jak na dłoni widać, skąd i dokąd biegnie każda nić. W życiu wątki przeplatają się jak popadnie, znikają gdzieś na długo, dają o sobie zapomnieć i dopiero potem znów się pokazują. Jeżeli w życiu człowieka odbija się zamysł jego Stwórcy, to przyznać trzeba, że bardzo lubi niespodzianki, ten nasz Pan Bóg, a już najbardziej te przykre. Niech będzie, że to tylko Jego żarty, ale maluczki człowiek się na nich nie wyznaje i jego zającze serce wytrzymać ich nie może.

Natalia podejrzewa, że Jego Wysokość w tym swoim wiecznym niebie bardzo się nudzi bez żony i przyjaciół, więc musi czymś ten czas zabić: *Jestem, który jestem, i nudzę się! Muszę się czymś rozerwać...!* Ale Natalia przestała się już ludzić, że któregoś dnia Najwyższy ją zadziwi, jak przed wiekami Sarę, i pozwoli jej powić dziecko. Czasem myśli, że wystarczyłoby jej tylko zająć w ciążę i ponosić w swoim brzuchu dziecko, choćby tylko przez kilka miesięcy, a poczułaby się

bardziej kobietą. Niechby i urodziła martwe, byle tylko jej Janne miał potwierdzenie swojej męskości. Żeby koledzy przy wódce przestali mu wreszcie dokuczać, że pomogą, skoro sam nie daje rady.

Żeby nie wziął sobie innej.

Żeby jej nie zostawił!

Lecz przecież wiele jest oszczędzone człowiekowi, co nie ma dzieci.

To wieczne pilnowanie!

Kto mógł przypuszczać, że Kruszyńska w swoje trzecie urodziny ucieknie przed gośćmi do kuchni i schowa się w spizarni, że jej niespokojne rączki natrafią na coś w dziurze w podłodze. Oczywiście, musiała zaraz to coś wyciągnąć, oj, jakie piękne, niebieskie pudełko! I potrząsnąć. Powąchać, ale ładnie pachnie!

I spróbować.

Jezu Chryste i Panie Boże, który jesteś w niebie! Toż to prawdziwe święto, bo i sam Eero Harjula włożył krawat i choć raz zasiadł z gośćmi do stołu! A i Harjulowa grzeczna dla sąsiadek, jak nie wiem co. Proszę jeszcze ciasta, proszę kawy, zaraz naleję, tak, i koniecznie ze śmietanką, tak lepiej smakuje...

I właśnie wtedy słyhać mrozący krew w żyłach krzyk, robi się hałas i rwetes. Straszna chwila, zbielełe wargi kobiet, zawisłe nad stołem srebrne łyżeczki, w oczach Vidy paniczny, zwierzęcy strach matki.

Jej bólu nie można sobie nawet wyobrazić. Człowiek może tylko siedzieć sztywno na kanapie i przyglądać się z boku rozgrywającej się na jego oczach tragedii.

Oszalała z rozpaczyny matka i konające w mękach dziecko. To po to tutaj przyszli, wyelegantowani jak do kościoła? Natalia nigdy nie zapomni tych krzywych spojrzeń kobiet: Tak to się kończy, jak się żyje w pogaństwie bez Bożej Opatrzności! Biedne dziecko, matka nie chciała jej chrzczyć i teraz nie pójdzie do Nieba!

Ale musi oddać bratu, że sprawił się bez zarzutu, zachował przytomność umysłu, gdy wszyscy kompletnie zbaranieli. Sprowadził zaraz z samoobrony auto, od razu powiedział siostrze,

gdzie jest torebka i płaszcz Vidy, i pomyślał, żeby zabrać ją ze sobą, by wspierała żonę, jak...

*Nie jak, a kiedy. To dziecko umrze, umrze, nic się nie poradzi.*

To przeczucie nie opuszczało Natalii przez całą drogę do szpitala. Za oknem migały drzewa i domy, nad horyzontem zawisło krwistoczerwone słońce i krakało: umrze, umrze, umrze!

*Tak będzie, tak było jej pisane, już nic nie można zrobić.*

*Dlaczego nie umarła zaraz na miejscu, dlaczego ciągle nie umiera, niechby już przestała tak krzyczeć, tak się więc i skręcać z bólu, rzygać czarną mazią, niechby już umarła i przestała się męczyć, skoro i tak musi umrzeć.*

*Bądźże już cicho, umieraj, zmiłuj się nad nami, dziecko!*

Lecz Vida Harjula nie poddawała się. Łała dziecku do buzi mleka z węglem, łała i łała czarny płyn, słyszała kiedyś, że to pomaga, że na zatruciu trzeba podać czarnego mleka, które się rozlało, zmoczyło im głowy, zmoczyło kanapy eleganckiego chevroleta, pływali wszyscy w tym czarnym mleku, ale to nic, to nic, mleko z węglem pomaga na żrące trucizny, tak pisali w gazecie. W szpitalu, gdy pielęgniarki wyrwały jej już dziecko, Vida Harjula biegła jeszcze za nimi z tą czarną butelką w rękę, że gdyby jednak, na wszelki wypadek, ja przeczytałam w jednej gazecie...

Natalia nie wie, co zrobili lekarze, lecz gdy następnym razem zobaczyła Kruszynekę, dziewczynkę przeniesiono już do izolatki na tyłach szpitala. Oczy miała zamknięte. Leżała bez ruchu pośrodku wielkiego łóżka i wydawała się taka drobna, taka nieżywa, że już nawet nie przypominała człowieka.

Smutne pielęgniarki kiwały głowami, co za tragedia, takie śliczne dziecko. I pastora sprowadzili, Natalia widziała go w dyżurce, pił kawę.

- Chodź, już nic nie możesz zrobić - powtarzała Natalia bratowej. Vida Harjula jednak, jak samica do końca broniąca

swojego potomstwa, nie reagowała na jej słowa. Wyobrażała sobie pewnie, że teraz z kolei ona zaskoczy Boga, tak jak Jemu przed chwilą udało się zaskoczyć ją. Może postanowiła zagrać z nim w tę samą grę i śmiałym blefem odegrać swoje dziecko. Bez wahania pochyliła się nad Aino, przycisnęła szerokie wargi do jej spierzchniętych, pokrytych bąblami ust, odgarnęła jej z oczu sklejoną kosmyk włosów. Torebka upadła na ziemię, nic nie szkodzi, niech leży. Wszystko nic, teraz liczy się tylko to, aby z powrotem tchnąć w Kruszynek życie, więc dmuchała niezamordowanie, aż Natalia zaczęła się bać, że bratowa zemdleje.

Ale nie, Vida Harjula klęczała przy łóżku i napępiała dziecko swym mocnym oddechem, całowała je w usta, choć cuchnęły wymiocinami i węglem, zwracała się do niej wszystkimi pieścizłowymi imionami, które nadała kiedyś swojej Kruszyńce w chwilach rozrzewniającej, matczynej miłości. Gładziła ją po policzkach i dmuchała, roztrącając kolanami wypadłe z torebki przedmioty, dmuchała, masowała, potrząsała dziewczynką, raz za razem przywołując do przytomności, pomogła jej zwinąć się w kłębek i unieść drobny kciuk do spierzchniętej, poczerniałej od węgla buzi.

Natalia stała z boku i patrzyła na ten dramat, patrzyła i kiwała głową, możliwe, że płakała, na pewno płakała, modląc się, by te męczarnie wreszcie się skończyły, lecz Vida Harjula nie zamierzała się poddawać, choć wynik tej walki był już przesadzony.

Natalia wiedziała: Jeśli Bóg postanowił ją zabrać, tak będzie. *Jestem, który jestem, i zabiorę ją, bo tak mi się podoba.* Próżno wyglądać miłosierdzia u tego, który poświęcił własne dziecko, jedyne syna, wydając go na męki i śmierć!

Długo to trwało. Godziny, długie godziny. Vida uczepliła się swego dziecka i nie chciała go puścić, mocowała się z Bogiem jak pies, który złapał w zęby lalkę, ciągniętą z drugiej strony przez rozbawionego pana.

I wtedy rączka Kruszyńki zaczęła się poruszać inaczej, dziewczynka przestała jęczeć i tylko mamrotała, szukając paluszkami kosmyka włosów mamy, jak w domu przed

zaśnięciem.

Więc Vida Harjula rozpuściła włosy, były bardzo długie, sięgały jej wtedy jeszcze do pasa albo i niżej. Położyła się przy córeczce na żelaznym, szpitalnym łóżku, zwinęła się w kłębek, otulając dziecko swoim ciałem.

- No też coś, kto to widział - mruknęły pod nosem pielęgniarki, gdy weszły do izolatki. Spojrzały po sobie, lecz nie śmiały powiedzieć matce umierającego dziecka, że tak nie wolno.

Czyżby ta dramatyczna walka matki wzruszyła tym razem Najwyższego? Być może. Lecz Natalia już wtedy się domyślała, że prędzej czy później nadejdzie taki dzień, gdy Bóg powie: *Jestem, który jestem, i znudziło mi się to! Dosyć tej zabawy, zabieram ją...!*

Po dwóch tygodniach Kruszyńska wróciła do domu i wszystko było tak jak dawniej. Tylko Eero Harjula się zmienił. Zaczął poświęcać córce bardzo wiele czasu. To przyniósł jej szczeniaka, to szmacianego zajączka, to znów układankę. Bywał i u Natalii, ale tylko po to, żeby się pochwalić, jak dobrze ostatnio Kruszyńska je:

- Ugotuj no, Natalia, tej naszej dziewczusze kaszki, a zobaczysz, jak będzie wsuwać! Tak, tak, jak chcesz wyrosnąć na dużą dziewczynkę, musisz frygać dużo kaszki, i to z maselkiem! No dalej, jedz maselko, mała.

I puszcza do niej oko.

Ależ Natalia się cieszyła. Pomyślała, że to straszne nieszczęście koniec końców wyszło im na dobre. I tak rzeczywiście było. Do wtedy.

W zeszłym roku to się zaczęło? Czy rok wcześniej?

Osobliwe słowa, dziwne zachowania.

Nie można było nic z tego zrozumieć, Natalia nie wiedziała, z czego się to wszystko wzięło.

- To mówisz, że chciałaś otruć moją córkę - Eero Harjula odezwał się do żony przy kawie. - Co też ci wtedy chodziło po

głowie, to mnie tylko zastanawia.

Po długiej chwili milczenia wybuch beztronskiego śmiechu, no, no, chyba nie myślałaś, że ja tak na poważnie...

- Nie, nie myślałam.

- Aha. No, ale co byś odpowiedziała, gdybym pytał na poważnie?

- Nic. Na szczęście nie pytałeś.

- Taa. Tego by nam tylko brakowało, żebym traktował cię poważnie, co? Przecież ty też nie traktujesz mnie poważnie.

- Przestań, Eero. Nie rozumiem, do czego te aluzje. Daj spokój.

- Nie rozumiesz? Naprawdę nie? Ty nie rozumiesz, choć zachowujesz się tak, jakbyś wszystkie rozumy pojadła? W jakim języku trzeba do ciebie mówić, żebyś zrozumiała? Mój fiński jest już za słaby dla wielkiej pani, co, Natalia?

- Głupie gadanie. Dlaczego rozmawiasz z Vidą w ten sposób?

- Do pioruna, czy człowiek nie może już rozmawiać z własną żoną tak, jak chce? Bez głupich, babskich komentarzy? To jest właśnie u was najgorsze, że nie można w żartach nawet słowa powiedzieć. Kiedyś zabawne było wszystko, co powiedziałem, ale teraz już nic was nie śmieszy...

Dziwne to było. I zbyt często się powtarzało.

Dla Natalii najgorsze w tym było to, że Vida nie odpowiadała już ostro mężowi, jak kiedyś, nie pyskowała, lecz pozwalała mu snuć te swoje monologi. Patrzyła w milczeniu, jak chodzi po kuchni i bredzi o ukrytych niebezpieczeństwach, które wiszą nad nim i dzieckiem, o dołkach, w które prędzej czy później się wpada, jak się bierze za żonę obcą kobietę.

Vida też się zmieniła. Natalia to dostrzegła.

To chyba przez tego drugiego. Przyjeżdżał wiosną i wyjeżdżał jesienią. Latem Vida rozkwitała, za to na jesień, jak ziemia, zaczynała marznąć i kostnieć. Stawała się chłodna i twarda, z każdym dniem jej ciało stygło coraz bardziej.

Ubiegła jesień była najgorsza. Bratowa przeistoczyła się w bryłę twardego, przezroczystego lodu. Gładkiego jak szkło,

zimnego jak stal.

- Moja żona to dopiero dziwadło - powtarzał siostrze Eero Harjula.

I Natalia wiedziała, co miał na myśli:

Vide ogarnęła zima. Była jak lód, którego nie można dotknąć, który pali i zdiera skórę do krwi.

Natalia odwiedziła ich w Boże Narodzenie, widziała, jak Eero podał żonie prezent. Aniołki i piękne, czerwone różyczki z jedwabiu. Wesółych Świąt! życzy wszystkim Eero. Vida siedzi z otwartym pudełkiem na rękach, nie patrzy na męża. Kruszynka rozpakowuje swoje prezenty, chichocząc z radości.

- Co dostałaś? - pyta Natalia.

- Trutkę na szczury - odpowiada bratowa.

Oczywiście Eero Harjula się zarzekał, że to pomyłka, że to temu cholernemu idiocie, nowemu sprzedawcy w sklepie, musiały się pomylić dwa różne zamówienia.

- No to się chłopaki zdziwią, że im kazali tępić szczury wodą kolońską - podkpiwał z cygarem w zębach.

To była pomyłka.

Naprawdę.

Śmieszna, głupia pomyłka.

Trzeba było sprawdzić, do stu diabłów!

Natalia uwierzyła bratu, rzeczywiście uwierzyła: przypadki chodzą po ludziach. Pomyłki. Komu się nie zdarzają?

Ale żeby trutkę na szczury?

Vida nie zareagowała na te tłumaczenia ani słowem. Natalia próbowała coś powiedzieć, ale milczenie bratowej było wymowniejsze. Kobieta siedziała z pakunkiem na rękach, patrząc w okno. Gwiazdka, na dworze dwadzieścia pięć stopni mrozu. A ona jest w ciąży.

Natalia boi się myśleć, co powie teraz jej brat. Co zrobi, gdy się obudzi. Póki co leży w domu nieprzytomny, wypił tyle, że i koń by od tego padł, ale jeszcze dziś wstanie i cuchnący od wymiocin wejdzie do tego pokoju, gdzie leży jego żona. I Natalia nie będzie mogła temu w żaden sposób zapobiec.

Natalia nie ma już władzy nad bratem, te jego obsesje są ponad jej siły, nie potrafi pojąć, o co mu chodzi. Gdy Eero przyjdzie, Natalia wywróci ubranie na lewą stronę i pójdzie poszukać Kruszyнки, która zagubiła się gdzieś w tym świecie, w którym nie powinna się była nigdy pojawiać. A wtedy Vida będzie musiała być mocna jak skała, bo przyjdzie jej stawić czoła całemu złu, którym obarczą ją to przeklęte wzgórze i jej własny mąż.

Ale najpierw Natalia zrobi to zdjęcie, choćby się paliło i waliło. Żółta poświata mleczy dobrze współgra z tematem, uwy-pukla postać kobiety, wzmacnia bijący z jej oczu blask głębokiej mądrości.

Bez fałszywej skromności, to będzie dobre zdjęcie.

Kto wie, czy nie najlepsze, jakie w życiu zrobiła.



Fotografie ciotki Natalii. Portrety i autoportrety. Ma ich tyle, że regały na ścianach pękają w szwach. Zdjęcia sprzed wojny. Nie mogę pojąć, dlaczego nikt mi nigdy o nich nie powiedział, przecież to prawdziwe perełki. Ani ojciec, ani Vida.

Poważni, wąsaci mężczyźni przed kopalnią, jedni w kaszkietach, inni z karbidówkami na czole. Żebracy z czasów Wielkiego Kryzysu. Nawiedzeni kaznodzieje przed białym namiotem. Pierwszy w zakładzie fryzjerskim w Olkikumpu aparat do trwałej ondulacji. Krzywicze trojaczki. Górnik o żelaznych zębach: *Fiński rębacz z kopalni miedzi Olkikumpu, Tępe Tirkkonen, potrafi utrzymać w zębach czternaście karabinów i przy tym jeszcze przejść sto metrów*. Młode pary, noworodki, wykopane na wzgórzu Olkikumpu białe kości. Nagie dzieci z miasta nabierające krzepy na letnich koloniach...

O mały włos nigdy bym się nie dowiedziała o istnieniu tych zdjęć. O ciotce Natalii. O romansie Vidy. O zgodnie zapomnianej hańbie rodziny.

Wystarczyłoby, że nie wysłaliby mnie na początku grudnia w podróż służbową do Olkikumpu. Ten artykuł miał być moją wielką szansą. Żadna filozofia, gotowy materiał czekał na mnie na miejscu, wystarczyło pojechać i mieć oczy i uszy otwarte. A sprawa nie była jaka, bo przecież temat interesujący nie tylko Finlandię, lecz cały świat. A ja już od dawna nie mogłam się pochwalić sukcesem na żadnym polu.

Od początku wszystko szło jak po grudzie. Jeszcze trochę, a bym się spóźniła.

Zresztą, nazywajmy rzeczy po imieniu: spóźniłam się.

Jestem na bramie zaledwie piętnaście minut przed spuszczeniem do skalnej krypty ośmiotysięcznego pojemnika średnioaktywnych odpadów promieniotwórczych. Inni dziennikarze zdążyli już zniknąć. Nieliczni aktywiści i demonstranci składają już swoje transparenty do zdezelowanej furgonetki i nie zwracają na mnie żadnej uwagi. Szkoda im

czasu.

Przy bramie stoi już tylko jeden człowiek: leciwa, przygarbiona staruszka w zielonej kufajce i czarnej spódnicy, gapiąca się na furgonetkę z jakąś chorą czujnością. Babina stoi w tak doskonałym bezruchu, że zaczynam już myśleć, iż zamarzła. Ale gdy mocno zdenerwowana klaruję podejrziwemu strażnikowi, kim jestem i po co przyjechałam, wreszcie wyciągam legitymację związku dziennikarzy prasowych i krzyczę: Do pioruna, tylko niech mi pan teraz nie mówi, że przejechałam pięćset kilometrów na próżno! - Posąg postępuje kilka kroków w moją stronę i wciska mi w dłoń jakiś świstek.

Ulotka, przepowiednia wielkiej katastrofy.

Dołączam ją do akt, archiwizuję w kieszeni, bo teraz cała moja nadzieja w tym nieufnym cerberze, który właśnie rozmawia przez telefon. Ale cuda ciągle się zdarzają: Iris Lehto, taa, jest tutaj, na bramie. W biegu przerabiamy procedury bezpieczeństwa i już mnie wiozą przez dziedziniec, potem windą do góry, korytarzem w lewo, w prawo, znowu windą w dół.

W razie gdybym nie była przygotowana dziś do zajęć - nie jestem - wręczają mi granitowoszarą teczkę ze srebrnym nadrukiem *hehetiką*: Olkikumpu SA. Esencjonalne fakty podane czytelnie w cieniowanej *genevie*:

*Budowa składowiska odpadów radioaktywnych w obecnej formie rozpoczęła się w 1988 roku i do tej pory kosztowała 85 milionów marek. Wydrążono w sumie 90 tysięcy metrów sześciennych skały, nie licząc starych szybów kopalnianych. Oprócz głębokiego na sześćdziesiąt metrów szybu windy trzeba było wyrąbać 685-metrowy tunel jezdnym. I długi na 400 metrów korytarz...*

Mała grupka, najwyraźniej czekają na mnie; wieści szybko się rozchodzą. Wszyscy mężczyźni. Rzecznik prasowy również. Typ kosmopolity, dobrze skrojony garnitur, sypie terminami fachowymi jak z rękawa, obeznany z tematem, rozluźniony i pewny siebie. Poddaję się jego przyjemnemu głosowi, pozwalam mu się kołysać. Otrzymuję pokrzepiające zapewnienie, że

absolutnie nic nam nie grozi, podczas transportu do silosu radioaktywne odpady znajdują się w specjalnym, stalowym pojemniku na specjalnym pojeździe. Stal zatrzymuje promieniowanie w stu procentach. Ładunek jest skrupulatnie sprawdzany. Koła pojazdu dokładnie myte. Potem odpady zjeżdżają długim na siedemset metrów, spiralnym korytarzem w głąb ziemi. Nachylenie powierzchni 1:10. W hali ładunek przejmuje suwnica. I ta faza nie wiąże się z żadnym ryzykiem, podczas rozładunku w hali nie ma nikogo. Suwnica jest sterowana zdalnie z powierzchni ziemi.

I tak też się dzieje.

Główny operator, Heikki Kivela - No, Heikki, przywitaj się z naszymi gośćmi! Dzień dobry państwu, witam serdecznie na pokładzie! - pewnie chwyta za joysticki i pogwizdując wesoło, przy pomocy komputera i pięciu monitorów, w szesnście minut ustawia pojemnik w wyznaczonym miejscu. Stoimy i patrzymy na to wszystko z rozdziawionymi buziami. Powalająca precyzja.

Jak przystało na szanujących się dziennikarzy śledczych, mierzymy czas operacji. To znaczy reszta mierzy, ponieważ mój zegarek to prezent od męża z podróży do Rosji, piękne cacko z czerwonymi księżycami i gwiazdami, które nigdy dobrze nie chodzi. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że rzecznik dobrze wie, co mówi; ścienny zegar potwierdza, że dokładnie po szesnastu minutach od sygnału rozpoczęcia rozładunku pojemnik z wypalonym paliwem jądrowym spoczął na dnie głębokiego na trzydzieści sześć metrów silosu.

Imponujący profesjonalizm.

Rzecznik zgaduje, że nurtuje nas pytanie, jak zapobiec procesowi powolnego zgniatania najniżej stojących pojemników. Wszyscy kiwają zgodnie głowami, lecz mnie bardziej nurtuje pytanie, gdzie posiałam swój długopis.

- Troska jest zrozumiała - mówi rzecznik. - Tym bardziej, gdy wziąć pod uwagę, że pojemniki w silosach składa się bezpośrednio nio warstwa na warstwie, bez żadnych przegród.

Robi teatralną pauzę.

My też milczymy, trawimy tę zaskakującą informację.

Bez przegród? *Naprawdę?*

- Tak. Odpady są zabetonowane, a zatem pojemniki same w sobie stanowią elementy nośne. Proste, ale genialne. W jednym silosie mieści się ponad trzysta takich pojemników wypalonego paliwa jądrowego. W ciągu tygodnia przyjmujemy średnio dwa transporty, tak że o zamknięciu składowiska będzie można zacząć myśleć gdzieś tak około roku 2050...

Ja ciągle rozpaczliwie szukam długopisu, ale w torebce go nie ma. Ani w kieszeni mojej skóry. Znajduję zużyte papierowe chusteczki do wycierania zapłakanej gęby, ulotkę, próbkę *Shalimar*, jakieś mistyczne numery telefonów, nabazgrane skostniałymi na mrozie rękoma, i dwie żute już gumy, ale długopisu ani śladu. Rzecznik prasowy, który już od dłuższego czasu kątem oka śledzi moje poczynania, w swojej nieskończonej przenikliwości wyciąga słuszny wniosek. Nierzucającym się w oczy gestem wskazuje na moją teczkę, nawet na chwilę nie przerywając prezentacji. Zawodowiec.

No jasne, przecież do teczek informacyjnych zazwyczaj dołącza się długopis, dlaczego sama na to nie wpadłam? Zażenowana zerkam na notatki stojącego obok mężczyzny, wypunktowane, zgrabne hasła.

O czym to mówiliśmy?

O tym, że twój mąż cię nie kocha. No nie, bez przesady, oczywiście, że kocha, cokolwiek to słowo znaczy, ale mimo to cię zdradził. Przy pierwszej nadarzającej się okazji. No, może niezupełnie. Po trzynastu latach małżeństwa. Po trzynastu zawrotnie szybkich latach udanego, owocnego, godnego małżeńskiego pożycia.

Nie, nie o tym mówiliśmy, tylko o składowaniu odpadów promieniotwórczych. O tym, że to w gruncie rzeczy genialnie proste. Proste jak drut, szybkie i skuteczne. Czyż to nie cudowne, że są jeszcze rzeczy na tym świecie, o których można tak powiedzieć? Rzecznik prasowy firmy Olkikumpu SA mówi tak o składowaniu zużytego paliwa jądrowego. Wiele razy, na wiele sposobów.

A ja wszystko zapisuję:

*Srednioaktywne odpady promieniotwórcze suszy się i*

*miesza z asfaltem. Odpady o niskiej aktywności nie potrzebują nawet tego. Ładuje się zwyczajnie świństwo do beczek, zamyka i tyle. Ryzyko ograniczone niemal do zera. Praktyka dowiodła, że system jest absolutnie niezawodny. Więcej problemów nastręczają odpady wysoko-aktywne. Trzeba je składować głębiej, według obliczeń nawet do pół kilometra pod ziemią. Prawdopodobnie tego rodzaju odpady również trafią do Olkikumpu, choć należy przeanalizować także inne możliwości...*

Zdradził cię. Tak po prostu, jak gdyby nigdy nic. Pewnego razu we wtorek, w letni wieczór. W poniedziałek, środę, czwartek, piątek, sobotę i niedzielę był w pracy, w domu oglądał w telewizji piłkę, jak inni mężowie. Albo grał w parku z dziećmi - Zaraz zobaczymy, jak Zorro sobie poradzi z tym podaniem! - ale we wtorek cię zdradził. I nawet nie potrafi powiedzieć, dlaczego. Bo przecież tak wam było dobrze ze sobą w łóżku. Hulanki i swawole co noc. W te noce, gdy dzieci nie widziały. A ostatnio, czyli tak od pięciu lat, nieszczególnie często, bo młodszy boi się spać sam.

No, ale wtedy, kiedy można, dobry, zdrowy, urozmaicony seks małżeński.

Po prostu ideał.

Ideał dla ciebie. Ale może nie dla niego?

Czegóż więcej mógłby jeszcze chcieć? Tego, czego ty nie mogłaś mu dać?

Skryte marzenia, perwersyjne pragnienia. Czyżby to właśnie ukrywał przez cały ten czas, przez te trzynaście długich lat, które zleciały nie wiadomo kiedy? Swoją nieznaną, mroczną stronę? Boże Święty: byłaś żoną zbrodnicą! Na zewnątrz nigdy nic nie widać. Niedawno znaleźli zwłoki brytyjskiego konserwatysty o nieskazitelnej reputacji, mężnego przywódcy kampanii pod nazwą *Powrót do podstawowych wartości*. Na głowie miał foliową torbę, poza tym ubrany był w bieliznę damską. Pończochy i podwiązki. Niedobór tlenu miał spotęgować doznania, ale coś poszło nie tak, ktoś trochę przesadził. Zabił. A może to śmierć miała spotęgować doznania? Taką cenę mężczyzna był gotów zapłacić za

maksymalną rozkosz. I potem matka się głowi, gdzie popełniła błąd. No właśnie, gdy się tak zastanowić nad męską seksualnością, nad jej mrocznym, przerażającym dnem... Co ty możesz o tym wiedzieć...?

Stojący obok dziennikarz chce się dowiedzieć, co się stanie ze składowiskiem, gdy już się zapełni.

Pytanie nie zbija rzecznika z tropu. To stary ówik, co z niejednego reaktora chleb jadł, taki ma zawsze gotową odpowiedź:

- Po okresie użytkowania prowadzący do składowiska tunel i szyb wypełnia się tłuczniem i uszczelnia, a składowisko wypełnia wodą dla wyrównania ciśnień. To wszystko.

- Czy krypta będzie wtedy ciągle monitorowana?

- Nie. Na szczęście tarcza bałtycka jest bardzo trwała.

- No, a wody gruntowe?

- Co ma pan na myśli?

Rzecznik patrzy pytająco na jajogłowego dziennikarza, ale ten jest dobrze przygotowany do dzisiejszych zajęć:

- Czy pojemniki można całkowicie odizolować od wód gruntowych? Przecież w kopalniach nie ma suchego miejsca, wszędzie przecieka woda. W Stanach Zjednoczonych najważniejszym wyzwaniem geologicznego składowania odpadów promieniotwórczych jest kwestia ich odizolowania od wód gruntowych...

Pewny siebie uśmiech:

- Nasze kapsuły są bardzo szczelne i całkowicie wodoodporne. Jeśli państwo chcecie, pokażę wam później dokładne obliczenia.

- No tak, ale...

Jajogłowemu ciężko przełknąć porażkę. Co chwilę głośno się dziwi, po co gdzie indziej tyle się mówi o wodoszczelności składowisk, skoro woda nie stanowi żadnego problemu.

- Powiedzmy, że wychodzimy z założenia, iż kapsuły mają wytrzymać tysiąc lat, a reszta to naturalne procesy zachodzące w skałach. Za tysiąc lat, jak wszyscy dobrze wiecie, radioaktywność odpadów spadnie do poziomu właściwego naturalnym, bogatszym złożom uranu.

Ja nie wiedziałam. Ale robię taką minę, jakbym znała czas

połowicznego rozpadu pierwiastków promieniotwórczych nie gorzej od czasu nadawania moich ulubionych seriali.

Ale jajogłowy się nie daje.

- W Stanach Zjednoczonych mówi się o konieczności zagwarantowania całkowitej szczelności składowisk nawet przez dziesięć tysięcy lat, a doktor David Lowry napisał ostatnio w „The Guardian”, że zużyte paliwo jądrowe może być szkodliwe nawet przez dwieście czterdzieści tysięcy lat...!

- Ja również nie zalecałbym nikomu kopać studni w okolicy pola kopalni przez najbliższe dwadzieścia lat - odpowiada rzecznik prasowy nieco poważniejszym tonem. - Przebadaliśmy jednak tę kwestię tak gruntownie, że nie może być mowy o żadnych niespodziankach.

Jasne. Dla mnie bomba. Na pewno jest tak, jak mówisz. Tak powinno być.

Lecz w grupie zawsze się znajdzie jakiś niedowiarek, któremu niezbite fakty nie wystarczą.

- A trzęsienia ziemi?

O, to ja. Ja i mój nieuleczalny pęd do pchania się na afisz. Na spotkaniach rodzinnych siostry zawsze mi powtarzają, że przez tę chorą potrzebę popisywania się w gronie mądrzejszych od siebie ciągle robię z siebie idiotkę.

Tym razem pytanie zbija rzecznika z tropu, mężczyzna patrzy na mnie ze zdumieniem. Jajogłowy nawet nie próbuje ukryć swojej opinii o profesjonalizmie mojego pytania.

- W Finlandii nie ma trzęsień ziemi. I o ile mi wiadomo, przed kolejną epoką lodowcową raczej nie należy się ich spodziewać.

- No dobrze, ale czy nie jest tak, że poważne trzęsienie ziemi może wystąpić zawsze, mimo teoretycznie niewielkiego ryzyka?

- Nie, no oczywiście - przyznaje rzecznik, mrugając żartobliwie do otaczających go kręgiem dziennikarzy. - Teoretycznie tak.

W odpowiedzi silę się na mężny uśmiech. Jeszcze do mnie nie dociera, że lepiej trzymać gębę na kłódkę. Jak trafnie określają to moje siostry: najpierw palniesz coś głupiego, a potem próbujesz zatrzeć pierwsze wrażenie czymś jeszcze

głupszym.

- No dobrze, ale... ale jeśli dobrze zrozumiałam, braliście pod uwagę wyłącznie pionowe ruchy skorupy skalnej ?

- Dokładnie. Podnoszenie się powierzchni ziemi.

- A więc poziomych już nie?

Rzecznik prasowy wybucha śmiechem:

- Tego się nie da wziąć pod uwagę. Nie istnieją żadne po miary.

Dziennikarze spoglądają na mnie z politowaniem.

- Rzeczywiście, nie istnieją. - przyznaję. Jestem wściekła na siebie i na nich. Przecież ja nie mam nic przeciwko energetyce atomowej. I absolutnie nic o niej nie wiem. Przyjechałam do Olkikumpu, bo tutaj się urodził mój ojciec, bo chciałam uciec z domu, bo się bałam, że na oczach Bogu ducha winnych dzieci rzucę się z kuchennym nożem na mojego niewiernego męża.

- Skądinąd wiem jednak, że za dwa tygodnie na wydziale geodezyjnym jednego z uniwersytetów zostanie upubliczniona rozprawa doktorska, w której po raz pierwszy przedstawia się wyniki pomiarów aktualnych, poziomych ruchów litosfery. Nie byłoby dobrze, gdybyście się z nimi zapoznali, zanim podejmiecie ostateczne decyzje w kwestii wysokoaktywnej energii jądrowej?

Rzecznik unosi brwi, lecz zaraz sobie przypomina, że jest dżentelmenem i rozmawia z jedyną w całej grupie kobietą.

- Dlaczego nie, możemy się zapoznać - mówi ugodowo. - Lecz z pewnością nie będzie to miało wpływu na naszą decyzję.

- Może nie - odpowiadam niewymownie wdzięczna za to, że pozwolił mi zachować twarz. - Pomyślałam po prostu, że skoro tarcza bałtycka w ciągu dwustu milionów lat dotarła jednak z równika aż tutaj, to chyba się jeszcze nie zatrzymała.

- Oczywiście, że nie - uśmiecha się rzecznik. - Lecz i pani przyzna, że nie jest to prędkość zawrotna.

Grupa nagradza żart śmiechem. Policzki mam gorące. I gdzie są teraz moje strażniczki, moje starsze siostry? Znów mnie nie upilnowały, znowu cała rodzina naje się wstydu!

- No tak, ale płyty kontynentalne nie tylko się przesuwają, lecz również obracają, a to wywołuje naprężenia - mówię,



cicho. - Na prężenia, które mogą prowadzić, czy też zawsze prowadzą, do powstawania pęknięć.

Wieloznaczna cisza.

- Jeśli tak pani uważa - odzywa się rzecznik po długiej chwili namysłu - powinniśmy zacząć się obawiać uderzenia meteorytu w składowisko. Prawdopodobieństwo jest z grubsza porównywalne. Tak sędzę. Choć przyznaję, że nie czytałem żadnych opracowań na ten temat...

W tym momencie wreszcie do mnie dociera, że najwyższy czas odpuścić. Wycofuję się na obrzeża grupy i najlepiej jak umiem, staram się wtopić w tło. Tym razem mi się udaje. Nikt się do mnie nie odzywa. I tak by pewnie zostało, gdyby nie to, że po konferencji prasowej na lunchu przysiadam się nieświadomie do stolika burmistrza.

Burmistrz uważa, że musi mi się zwierzyć. Mówi, że jest, delikatnie mówiąc, rozdrażniony otwarcie niechętnym nastawieniem rady miejskiej do możliwości składowania w Olkikumpu wysoko-aktywnych odpadów promieniotwórczych. Chwali się, że zaczął już dość agresywną kampanię promocyjną. Dla dobra sprawy. Wierzy stuprocentowo w bezpieczeństwo składowiska. W mieście wielkości Olkikumpu sto pewnych miejsc pracy przez dwa pokolenia to duża rzecz.

- Poza tym dzięki takiemu unikalnemu obiektowi zarobilibyśmy na turystach - dodaje całkiem poważnie.

Oczywiście irytują go zieloni. A już najbardziej te nawiedzone ulotki, wieszczące entuzjastycznie straszliwy koniec świata, w których wypisują, że tak zwana epoka lodowcowa w rzeczywistości była poatomową zimą, bo nagłej śmierci i zlodowacenia setek wykopanych na Syberii mamutów, które miały w żołądkach nie-strawione jeszcze mleczne, nie da się wyjaśnić powolnymi zmianami klimatu, tylko nagłą katastrofą ekologiczną. I budowa w Olkikumpu składowiska wysokoaktywnych odpadów promieniotwórczych jest krokiem ku przepaści.

Gęsto zadrukowane kartki formatu A4, tekst biegnie

poziomo i pionowo.

- Dobrze wiem, kto to wszystko wypisuje. Taki jeden świr 'z Turku. Jego stary pracował tu w kopalni przed wojną. Harjula.

Zdaje się, że był sztygarem. Zamieszany w bardzo nieprzyjemną historię, oskarżyli go o szpiegostwo. A żona puszczała się z agentem obcego wywiadu. Szkotem czy Irlandczykiem. Potem to wyciszyli. A ten agent ulotnił się do Sowieców. Generalnie bardzo śmierdząca sprawa. Tak że wcale się nie dziwię, że goście odbiło, ale czy z tego powodu całe miasto ma zostać bez środków do życia? Co?

Nie podejmuję tematu. Prawdopodobnie dlatego, że autorem tych nawiedzonych ulotek jest mój ojciec.

Burmistrz o tym nie wie. I jest zachwycony, że tak dobrze się rozumiemy. Ze dostrzegam wyzwania współczesności, a jednocześnie potrafię docenić wartość tytanicznej pracy minionych pokoleń. Chociaż z początku, co burmistrz w swej nagłej potrzebie zwierzenia mi się przyznaje bez bicia, był trochę zdziwiony, kiedy mnie spotkał.

Ale skądże znowu, burmistrz nie podważa wcale moich kompetencji, uchowaj Boże, co tam on, zwykły obywatel, może wiedzieć o geofizyce i tym podobnych specjalnościach, ale gdy w grę wchodzi jednak wiodące czasopismo naukowe w kraju, a do tego jeszcze kobiety mają tę niefortunną obsesję uczuciowego podchodzenia do decyzji, które powinny się opierać całkowicie na zdrowym rozsądku... Ale teraz, kiedy mnie poznał, miał przyjemność porozmawiać, wymienić poglądy, kamień spadł mu z serca...

Jeszcze większą ulgę odczuł burmistrz, gdy uprzejmie, lecz zdecydowanie odrzuciłam zaproszenie do sauny. Kwintesencją miejscowej gościnności i niezbędnym punktem programu jest swobodny wieczór w saunie nad kanałem Kaarmekoski, połączony z kąpielą w przerębli, pić piwa i smażyć kielbasek, lecz włączenie kobiety do męskiego grona zawsze nastreca problemów i usztywnia atmosferę, ponieważ wieczór w saunie jest z założenia imprezą ściśle męską.

Informuję go, że wieczór wykorzystam na fotografowanie krajobrazów, kościoła i innych atrakcji (co zresztą odpowiada

prawdzie) oraz przepisywanie na czysto notatek (wierutne kłamstwo, bo nowiutkiego laptopa zostawiłam na biurku w pracy, co każdemu, kto choć trochę się orientuje w mojej sytuacji, wystarczy za dowód tragicznego stanu mojej psychiki).

Aparatu, o dziwo, nie zapomniałam.

A cmentarz łatwo znaleźć, wystarczy przy McDonalddie skrócić w lewo i kierować się na krytą gontem wieżę kościoła.

Byłam już kiedyś w kościele w Olkikumpu. Z ojcem, jednego lata. Miałam wtedy może trzynaście lat. Z nagrobka dziadka zapamiętałam tyle, że były na nim również imię babki i jej rok urodzenia. Na pomniku widniało imię Davida, które dostała na chrzcie i którego nikt już potem nie używał.

A dlaczego tu jest też imię babci? Przecież babcia jeszcze żyje?

Ojciec nie raczył się wypowiedzieć na ten temat. Siostry zaraz zaczęły spekulować, że dziadek na pewno wytargował dwa imiona w cenie jednego. Nie byłoby to dla nas wcale niczym dziwnym: wystarczyłoby, że Eero Harjula był choć w połowie taką kutwą, jak nasz tata, z którego chorobliwym sknerstwem walczyłyśmy przez całe lata bezczelną, lecz bezowocną pyskówką. Ojciec, jak zawsze, nie dostrzegł w naszych bezwstydnym żartach niczego zabawnego.

- Eero Harjula to był wspaniały człowiek. Wspaniały mężczyzna. Takich ludzi dzisiaj już nie ma, ale tego takie baranie głowy, jak wy, nigdy nie zrozumiecie - warknął i kazał nam maszerować do Żółwia, w którym nas zamknął za karę za nieprzyzwoite zachowanie. Przesiedziałyśmy wtedy w samochodzie półtorej godziny. Dopiero, gdy byłyśmy całe mokre od potu, zgodził się łaskawie jechać dalej.

Lecz im dłużej zastanawiałyśmy się z siostrami nad tą Davidą Harjulą na pomniku, tym większego nabierałyśmy przekonania, że to jednak babcia kazała go zrobić. Chciała niejako dać tym samym do zrozumienia, że już nigdy nie weźmie sobie innego mężczyzny.

Tak to musiało być.

Wielka miłość. Ech.

Oczywiście zagadałyśmy złośliwie Vidę o napis na nagrobku, kiedy następnym razem byliśmy u niej w domu starców, ale nie odpowiedziała. Jakby w ogóle nie usłyszała pytania.

Rzadko się zdarza tak słoneczne popołudnie. Wzgórza pokryła warstwa świeżego śniegu. Grób rodzinny mniej więcej w środku cmentarza. Duży, czerwony granit. Imiona wyryte *groteskiem*. Moim zdaniem Vidzie bardziej pasowałby dioryt. Albo gabra. I imię *antykwa*. Lecz starszy górnik Eero Harjula, mój dziadek, którego nigdy nie znałam, był z pewnością człowiekiem z granitu. Czerwonego.

*Zamieszany w bardzo nieprzyjemną historię, oskarżyli go o szpiegostwo. A żona puszczała się z agentem obcego wywiadu. Szkotem czy Irlandczykiem... Generalnie bardzo śmierdząca sprawa...*

Wyjmuję z futerału aparat, jego aparat. Mężczyzny, z którym już nigdy więcej nie wybiorę się w podróż i odczytawszy źle mapę, nie dojadę przypadkiem do niewyobrażalnie pięknego wodospadu, z którym nie będę krzyczeć na chłopców, żeby przestali tłuc się po głowach gumową kaczką przy każdym kiosku ze słodyczami i nie będę słuchać Chrisa de Burgha. Już nigdy nie poczuję jego dłoni na moim gołym kolanie w jasną, letnią noc, gdy dzieci zasną już na tylnym siedzeniu, a na łące, pośród mgły, będzie stał biały koń. Parujący, upojony galopem i odurzającą wonią nocy.

Aparat jest ciężki i zimny jak lód. Trzymam go w zgrabiących dłoniach tuż przy twarzy i czuję, że zaraz się rozplącę. Widzę mgłę. Więc trzeba wyostrzyć. Zaraz, który to był pierścień, chyba ten najszerszy...?

Teraz na nagrobku widnieje także rok śmierci Vidy. Nie byłam na jej pogrzebie, żadna z nas nie była. Od dzieciństwa miałyśmy po dziurki w nosie konduktów żałobnych i cmentarzy. Unikałyśmy ich jak diabeł święconej wody, a już najbardziej wszelkich styp w rodzinnym gronie, bo jedno

nieopatrzne spojrzenie mogło zapoczątkować niekończącą się serię parsknięć i napadów histerycznego śmiechu. Pamięć zbiorowa potrafi być piekielnie uciążliwa: miałyśmy zbyt wiele komicznych skojarzeń z tą śmiertelnie poważną ceremonią.

Na próbę wciskam spust migawki. Nic się nie dzieje. No oczywiście, nie przewiniłam filmu. Pajęcza koronka śniegu na brzożach za grobami lśni eterycznym pięknem. Będzie świetne zdjęcie!

- Wzięłaś pod uwagę refleks śniegu? Przy parametrach wskazanych przez fotometr zdjęcie będzie niedoświetlone. Najlepszy byłby punktowy pomiar światła...

Prawie upuszczam aparat, zląkłam się jak włamywacz, który był przekonany, że w domu nikogo nie ma.

Obok mnie stoi i przygląda mi się badawczo leciwa staruszka w zielonej kufajce, którą widziałam rano przy bramie. Jestem tak zdezorientowana tą nagle objawioną mi umiejętnością mowy i nie mniej zdumiewającą sprawnością ruchową, że nie potrafię wyartykułować nawet najprostszego powitania. Przyciągam wariatów jak magnes. To fakt empiryczny.

- Aaa - odzywa się babinka po dokładnych oględzinach aparatu. W jej głosie pobrzmiwa nutka zawodu. - Przydałby się filtr na ultrafiolet, likwiduje niebieski odcień śniegu... Dobrze ustawić czas naświetlania dwukrotnie dłuższy, niż wskazuje fotometr. Zrób kilka zdjęć na różnych przesłonach, wtedy przynajmniej jedno na pewno ci wyjdzie. Szarej karty oczywiście nie wzięłaś?

Macam kieszenie. Nie, tym razem nie mam przy sobie żadnych kart.

- Jaki czas pokazuje?

- Przepraszam, co?

Bierze w ręce aparat, ogląda go chwilę i oddaje mi z powrotem.

- Odczytujesz go tutaj, patrz, w tym okienku masz wskaźnik... Nie носи rękawiczek. Palce ma pokrzywione od gościa, czerwona skóra się łuszczy.

- Dziękuję.

- Na moje oko w tych warunkach i przy tej metodzie pomiaru

światła błąd może wynieść jakieś dwie wartości przysłony - mówi i wydmuchuje nos w haftowaną chusteczkę.

- Aha. Dobrze wiedzieć.

To mogę już wreszcie nacisnąć spust?

Stoimy w milczeniu obok siebie przy grobie moich dziadków. Oglądam go przez wizjer aparatu. Wyostrzam. Czuję na policzku kwaśny oddech staruszki.

- Zastanawiasz się pewnie nad ogniskową, czy nie trzeba by zmienić obiektywu - mówi. - Przy szerokokątnym głębia ostrości jest całkiem spora, ale tu akurat nie będziesz miała z niego wielkiej pociechy.

Ogniskowa? Brzmi jak stopień harcerski. Nie, ogniskowa zupełnie mnie nie zajmuje. Zaczynam się zastanawiać, jak możliwie najszybciej uwolnić się od babci.

- Chcesz, ustawię ci przysłonę.

- Proszę bardzo.

Trwa to strasznie długo. Te jej powykręcane stawy.

- Przy tej czułości filmu pięć sześć będzie akurat.

- Dziękuję.

Naciskam na spust. I modłę się, bym chociaż to zrobiła dobrze.

Udało się.

- Grób Kruszyнки też chcesz zrobić?

Opuszczam powoli aparat, zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Patrzy na mnie spokojnymi, starymi oczami.

- Aino Heleny. Pierwszego dziecka Vidy. Leży tam, w rogu, pod murem. Nie była ochrzczona.

Świat nieruchomieje, spojrzenie gęstnieje, znów nie mogę z siebie wydobyć żadnego sensownego słowa.

- Kruszyńska ma bardzo ładny pomnik - mówi. - Marmur. Co prawda mocno już pożółkł, ale tak to już jest z marmurami. Nie na ten klimat. Ale Kruszyńce pasuje. Ona już taka była. Nie z tego świata.

Z niepojętą dla mnie zwawością staruszka rusza w stronę dużej brzozy. Idę za nią jak na smyczy.

- Pani ją znała?

- Oczywiście, że tak - babcia się uśmiecha. - Jestem w końcu

jej ciotką. Więc ty mnie naprawdę nie pamiętasz. A ja myślałam, że jesteś po prostu taka nieśmiała.

Wyciąga dłoń. Zdumiewająco mocny uścisk.

- Jestem Natalia. Eero, twój dziadek, był moim bratem. A ty byłaś tu za dzieciaka, ty i twoje siostry zebrałyście w ogrodzie dużą miskę truskawek, a ja dodałam do nich bitej śmietany. Na prawdę nie pamiętasz...?

Rzeczywiście, te truskawki sobie przypominam. Ale śmietany już nie. Ani kobiety, u której siedzieliśmy na słonecznym tarasie.

- To twój ojciec ci o mnie nie opowiadał? Nie pokazywał zdjęć?

- Pokazywał - kłamię. - Wiele razy. Przepraszam, że od razu nie poznałam...

- To normalne. Ludzie się zmieniają - mówi ze smutkiem. - Tylko człowiek nie zawsze chce o tym pamiętać. Patrzy w lustro i przerażony myśli sobie, Jezu, to ja już tak staro wyglądam! A w środku czuje się, jakby miał jeszcze dwadzieścia kilka lat, nie więcej... Ciało tak się wyrывa do starości, że dusza zostaje w tyle...

Stajemy przy skrajnym rzędzie mogił. Patrzy na nas z nieśmiałym uśmiechem bladej twarzyczka aniołka, Aino Helena Harjula.

- Trzeba by dać do przeszlifowania, ale nie mam serca - odzywa się staruszka, muskając zimny, marmurowy policzek.

*Promienną i delikatną  
Byłaś jak gwiazda złota.  
Tak szybko zgasło twe światło,  
Została wieczna tęsknota.*

Gotyckie litery. Srebrzone.

Z zaspas wystają plastikowe chryzantemy i chabry. Wyciąga je pojedynczo, strząsa śnieg, poprawia płatki.

- Zamówiłam z katalogu - mówi. - Na zdjęciach wyglądały jak żywe. A przecież kto jak kto, ale ja powinnam wiedzieć, że fotografia to tylko złuda, nic więcej. Ale Kruszynka tak je lubiła.

Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha... Znasz tę wyliczankę?

Kiwam potakująco głową. Wygląda na zaskoczoną.

- Tak, wy też ją znacie?

- Pewnie, że tak.

- Oławi was nauczył?

Ojciec? Nie rozśmieszaj mnie. Ojciec i zabawy? I do tego kwiatami! Możesz sobie być jego ciotką, możesz rozdawać ludziom te jego szalone, apokaliptyczne wizje, ale tyle ci powiem, że nie znasz go ani trochę.

- Możliwe. Już nie pamiętam.

- To na pewno twój ojciec - mówi radośnie. - I coś tak mi się zdaje, że to ja mu pierwszy raz tę zabawę pokazałam. Tak, tak. W końcu byłam mu prawie matką, jak sama dobrze wiesz...

Znów kiwam wieloznacznie głową. I chcąc pokryć swoje zmieszanie, które zaczyna mnie już irytować, jeszcze raz wyciągam aparat.

- Z kwiatów można zrobić ładną, kolorową plamę - mówi. - Zrób pod światło, teraz masz idealne warunki - radzi mi. - Pomnik nie jest taki duży i ciemny, jak u Eero i Vidy.

To jej besserwischerstwo zaczyna mi już grać na nerwach. Czy ona się musi tak chwalić?

- Nie pierwszy raz widzi pani aparat, co?

Rzuca mi zdumione spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. Ponad pół wieku w branży. Nawet największy matoł czegoś się w tym czasie nauczy. Gdybym miała lepsze ręce, ciągle bym fotografowała.

Podaję jej Pentaxa. Palce strasznie jej drżą, ale w końcu nastawia właściwą przysłonę. Dziękuję! Celuję i naciskam spust.

- Sześć lat - liczę. - Zmarła? Zginęła? Jak?

Staruszka gładzi kamienny policzek.

- Zginęła. Jak, tego nikt nie wie - odpowiada mi. - Zdarzyło się coś strasznego, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co.

Nie, nie chciałam jej słuchać. To nie jest to pytanie, na które szukam odpowiedzi. Opowiedz mi o mężczyznach, babciu Natalio, w końcu i ty jesteś kobietą, opowiedz mi o mężczyznach, tak jak potrafisz mówić o aparatach. Dlaczego im



na to pozwalamy? Dlaczego przyjmujemy z taką samą pokorą ich czułość, bezwstydność i chimeryczną zmienność, dlaczego nadajemy ich czynom patetyczny sens, o którym oni sami nie chcą wiedzieć nic, dlaczego pozwalamy im się spychać w tę pustą, koszmarną, wyniszczającą samotność, którą przeklęta miłość zawsze z sobą przynosi...?!

- I nikt z nas nie wiedział, dlaczego to się stało - dodaje i po prawia kwiaty w wazonie, pewnie jej się nie podobał ich nienaturalny układ.

- O Boże.

- Cały czas wiedziałam, że przyjedziesz - mówi babcia Natalia.

Kiwam głową, uśmiechając się sztywno. Niczego nie rozumiejąc.

- Wiedziałam i czułam w kościach, że któraś z was przyjedzie tu jeszcze wyjaśnić, kto mógł zrobić coś takiego sześciolletniemu dziecku, które nic jeszcze nie wie o ciemnej stronie świata - mówi, po czym odwraca się znacząco do mnie i rozwiera gołą dłoń, w której trzyma połamane płatki chabru.

## Olkikumpu, maj 1936

Na schodach stoi drobne, jasnowłose dziecko.

Stoi w milczeniu, lecz jej oczy mówią. Ich spojrzenie jest gęste jak żywica, lepi się. Zastyga. Obok niej, równie nieporuszony, stoi brązowy pies podwórzowy, duży jak dziewczynka.

- Czego chcesz, Aino?

Czego chcą dzieci? Czego chcą psy? Dlaczego ich niewysłowio-ne przymierze ma zawsze w sobie coś z zakazanej zabawy?

Na cienkim jak patyk ramieniu widać długie zadrapanie. Zawsze jest podrapana i posiniaczona, i nigdy nie wie, od czego. Nigdy się nie skarży, że coś ją boli.

- Tata, gdzie idziesz?

Mężczyzna ściąga marynarkę i luzuje krawat. Wieczór jest ciepły, duszny.

- Nigdzie. Przejdę się tylko - odpowiada.

- Mogę pójść z tobą?

- Nie, teraz nie. Innym razem.

Coś w spojrzeniu dziewczynki kurczy się jak skrzydło, kurczy, lecz nie znika. Przyczają się tylko.

- Długo cię nie będzie?

-Nie.

Nie zabawię długo, myśli mężczyzna. Ot, piwo wypić. Wypiję zimne piwo i popiję pięćdziesiątką, wystarczy. Nie mam ochoty na zabawę, chcę się po prostu wyspać, nie chcę żadnych snów. To chyba niezbyt wygórowane wymagania jak na mężczyznę, który od świtu do zmierzchu tyra pod ziemią i jeszcze odpowiada za ludzi.

- Nie będę ci przeszkadzać. Mogłabym ci pomóc.

Pomóc? Mężczyzna się śmieje, kręci głową: Nie, dzieci nie mogą pomóc przy picciu. Twoje małe rączki nie zatrzymają czarnych aut, nie uciszą ich szatańskiego warkotu ani

obłądnego jęku hamulców, który przychodzi nagle jak zgrzyt zębów, gdy mężczyzna kończy przed czasem. Jak ryk bestii. Gdy się kogoś bardzo kocha. Albo kiedy się umiera.

- Idź, pomóż mamie, kurczaczku. Mamie trzeba zawsze pomagać. Tata przyniesie ci potem landrynek.

Dziewczynka kiwa głową, kładzie rączkę na głowie psa, drapie go paluszkami za uszami.

- Misia ma w brzuchu małe pieski.

- Tak, wiem.

- Zatrzymamy je?

- Chyba nie, Kruszyńko.

- To kto je dostanie?

- Nie wiem. Trzeba o tym pomyśleć.

Droga prowadząca do kopalni jest w przebudowie, robotnicy kładą asfalt. Gorące opary smoły wypalają w powietrzu drżące miraż. Gdy się patrzy z daleka, ma się wrażenie, że mężczyźni nie chodzą, lecz płyną, falują.

- A czemu wczoraj rano leżałeś w kuchni na podłodze?

Czemu i czemu! Eero Harjule drażni ta wieczna ciekawość córki. Jak mężczyzna jest styran, to się kładzie, gdzie mu się podoba, i leży. Byłem pewnie głodny, gdy przyszedłem do domu, więc zrobiłem sobie dwie kanapki. A potem zachciało mi się położyć.

- W łóżku jest czasem trochę ciasno, mama ma już teraz bardzo duży brzuch.

A duży mężczyzna potrzebuje dużo miejsca, więc kładzie się na podłodze. Czy trzeba robić z tego powodu dochodzenie? Miejsce dobre, jak każde inne.

- Ciebie też trzęsło?

- Co to ma znaczyć? Co ty za brednie wygadujesz?

Mężczyzna nie ma pojęcia, co smarkuła ma na myśli. Może być, że kiedyś wypił kieliszek czy dwa za dużo, ale nie jest jakimś ostatnim moczymordą. Choćby po dłoniach widać, nawet nie drgną. Bez trudu trafia z trzystu metrów w sam środek tarczy. Czy ta mała naprawdę myśli, że by mu powierzyli życie kilkudziesięciu ludzi, gdyby nie miał pewnej ręki? Oj, mógłby jej opowiedzieć takie historie o trzęsieniach,

że włosy by się jej zjeżyły na głowie ze strachu. Jak człowiek umiera, to cały się trzęsie. Wtedy dusza odrywa się od ciała. I zwierzęta się trzęsą. Może i one mają duszę.

Dziewczynka się przestraszyła surowego głosu ojca, oczy zasnuły się mgłą, ramiona drżą. Pies wyczuwa napięcie, podnosi się i staje przed dziewczynką.

Ależ to wrażliwe dziecko, ta jego córka. Eero Harjula podchodzi do niej, dotyka włosów.

- Przyniosę ci potem landrynek.

Dziewczynka kiwa głową.

Wtedy to się dzieje. Dokładnie tak, jak we śnie.

Warkot zbliżającego się auta, ostry pisk hamulców.

*Za drzewem., przy drodze stoi mężczyzna, stoi i czeka. Czeka, lecz niczego nie przeczuwa. Nie wie. Nie wie, na co czeka. Gdzieś za nim rozchylają się firanki, zaniepokojona twarz, prośba, której nie słyszą. Nagle nadjeżdża auto, wyrasta tam, jak spod ziemi, jęk hamulców, owierają się drzwi: Masz, obiecałeś wziąć...?*

Pies zaczyna wściekle ujadać, jeży sierść na karku, dziewczynka wyciąga do niego rączkę, uspokaja.

Otwierają się drzwi.

- Co słyszą? A dokąd to? Naczelnik biura kopalni, Isidor Haarla.

- Donikąd.

- No to chodź, przejedziesz się z nami.

To komendant policji, Purola. Za kierownicą jakiś obcy.

- Coś mi się widzi, że macie już komplet.

Kierowca gasi silnik. Purola wychodzi z auta, zapala papierosa.

- A wy dokąd? - zapytuje mężczyzna.

- Łapać Cyganów.

- Akurat.

- Poważnie. Gubernator wydał rozporządzenie, mamy wyłapać śmierzeli i dowieźć do odwyszalni. Wielki czas wytepić to plugastwo, no nie?

Eero Harjula nie odpowiada.

- Pasożyty przenoszą tyfus i czarną śmierć - mówi obcy przez

otwarte okno.

Purola obchodzi auto, nie zważając na ostrzegawcze warczenie psa, wchodzi przez furtkę na podwórze.

- Ładna srajda. Twoja?

- Moja.

- Uważaj, bo ci ją jeszcze jaki czarnuch porwie.

- Spokojna głowa.

- Strzelać już potrafi?

- Jeszcze nie.

- Ale jak się wdała w ojca, to się nauczy.

- Nauczy, nauczy.

- A tak przy okazji, czemu nie szkolisz młodzieży? Właśnie tak się nad tym zastanawialiśmy z chłopakami - pyta Haarla, stawia nogę na progu daimlera, zsuwa kapelusz na tył głowy.

- Odniosłem wrażenie, że Niebiesko-Czarni<sup>6</sup> zostali zdelegalizowani.

- Niby tak, ale jakoś nie odebrało to nikomu zapалу do strzelania. Poza tobą, jak widać. Co ci jest?

- Guzik was moje strzelanie obchodzi.

- Masz rację. Chociaż moglibyśmy się czuć zawiedzeni. Zmieniłeś się. I cholernie nas to męczy - unosi się naczelnik.

Purola chrząka, wskazuje znacząco głową na dziewczynkę.

- Przepraszam panienkę - mówi Haarla, dotykając brzegu kapelusza.

- Co, *Horsta Wessela* wam może zagwizdać, żebyście czasem nie osiwiali przeze mnie?

- Czemu nie. Na pewno by nie zaszkodziło.

*Co myślicie, chłopaki, zaśpiewa nam teraz nasz Emmanuel Marsz jegrów?*<sup>7</sup>

---

6 Niebiesko-Czarni (fin. *Sinimustat*) - skrajnie prawicowa organizacja młodzieżowa, powstała w 1930 i zdelegalizowana w styczniu 1936 roku za próby mieszania się do rozgrywek politycznych w Estonii. Wzory czerpała z faszystów i narodowego socjalizmu. Kandydaci byli zobowiązani do wstąpienia do oddziałów samo obrony (przyp. tłum.).

7 *Marsz jegrów* - patriotyczna pieśń, która powstała wśród fińskich oddziałów ochotniczych (jegrów) przeszkolonych przez Niemców i walczących przeciwko carskiej Rosji w czasie pierwszej wojny światowej. Muzykę do słów napisał fiński kompozytor Jean Sibelius. Nieoficjalny hymn

*Na pewno by zaśpiewał, ale biedaczysko przygryzł sobie język. Wytrzyjcie mu usta, chłopaki, zobaczymy, może już sobie przypomniał, jak śpiewa prawdziwy mężczyzna...!*

- Aino, idź do domu. Zmarzniesz na dworze - mówi jej ojciec.

- Nie - odpowiada dziecko, wlepiając w niego te swoje niesamowite, połyskujące żywicą oczy. - Wcale mi nie jest zimno.

- Idźże, dziecko, jak ci ojciec każe, i zabierz ze sobą psa - irytuje się naczelnik.

Ale dziewczynka, drobne, jasnowłose dziecko, stoi bez ruchu, jakby nic nie słyszała.

- Jak ty ją wychowałeś? - pyta Purola, siląc się na żartobliwy ton.

- To bardziej ona wychowała mnie.

- Na to wygląda.

- Idź do domu, Aino, idź, pomóż mamie.

Dziecko się odwraca, rusza powoli ku drzwiom. Ale przy krzaku bzu zatrzymuje się, nie idzie dalej.

- Czy ona jest na pewno normalna? - dopytuje się Haarla.

- A ty jesteś?

*No cholera, nie chce śpiewać. Nie wiem, czy to brak patriotyzmu czy tylko brak słuchu. Bądź tu mądry, nie połapiesz się w tym bełkocie. Nooo, nie musi być zaraz idealnie, byle tylko jakoś szło... W końcu nie jesteśmy na koncercie, co, chłopaki...? Chyba czas skończyć tę zabawę. No dalej, Harjula, strzelaj, chcemy już wracać do domów.*

*Strzelaj, mówię! Co jest, przecież umiesz strzelać. Nie widzisz, przecież sam cię o to prosi. Za wiele nie mówi, ale gdyby mógł...*

- No to jak, przejedzie się pan sztygar z nami, czy nie? Mówiliśmy zupełnie poważnie o tych pasożytach. W Rzeszy Hitler pozamykał ich w obozach. Żeby porządni ludzie mogli spokojnie chodzić po ulicach. To się nazywa nacjonalizm.

- Nie jesteśmy w Rzeszy.

Komendant Purola dostaje ataku brzydkiego kaszlu. Idzie gdzieś z głębi, aż z płuc.

- Ani w Hiszpanii. Gdzie kopalnie stoją, bo górniczy strajkują.

---

„białej” Finlandii (przyp. tłum.).

Ale faszyści jeszcze zrobią z nimi porządek, nauczą ich dyscypliny - głos naczelnika jest pewny.

- Tak myślisz?

- Dalej, jedź z nami. Masz przecież pozwolenie na broń. Cyganie mają teraz takiego pietra, że każdy ma za pazuchą nóż, mówię ci...

Trochę ich nastraszymy! Wtedy też tak mówili. Nastraszymy ich. Kiedy sobie trochę popili i postrzelali, Isidor Haarla nabrał kurażu: już chyba wielki czas trochę ich pogonić, zaszranym zdrajców ojczyzny.

*Weźmiemy ich za mordę. Niech powiedzą, że komunizm to syfi malaria, to razem wypijemy. A jak nie powiedzą? Powiedzą, już ty się nie bój, powiedzą, będziemy prosić do skutku. No, a jak to nie pomoże? No, to wtedy zostanie nam już chyba tylko wykopać ich za granicę, tak to się z nimi robi. Niech sobie idą do Sowietów, do tej swojej ziemi obiecanej, skoro tak im się tam podoba. W końcu coś trzeba zrobić, bo nam kopalnię całą znacjonalizują. Co ty myślisz, że będą cię potem jeszcze słuchać, starego oficera samoobrony...! Nie jadę. Dalej, jedź z nami, zabawimy się, znam parę niezłych melin przy granicy...*

- Nie jadę. Z wami nigdzie nie jadę.

Purola znów się rozkaszał, po chwili odchrząka.

- Cóż za nieuprzejme słowa - dziwi się obcy.

- Daj chłopakowi spokój. Jak go nie interesują męskie zajęcia, to nie - mówi komendant i wraca do drzwi auta.

- Udają biednych, ale u jednego wygłodniałego, starego czarnucha znaleźli w kieszeni dziewięć patoli. Smieciarze z nich, ale na pewno nie biedni, mataczą tylko i kradną, Bóg wie, że to prawda - tłumaczy obcy.

*Dlaczego nie strzelasz, Harjula? Chyba umiesz strzelać? Nie widzisz, przecież sam cię o to prosi...? Gówniany był z ciebie pomocnik, na nic nam się dziś nie przydałeś... No, strzelaj! Strzelaj. Strzelaj, już, do diabła, zastrzel go...!*

- Powinienem był was wydać - mówi mężczyzna. - Zrobiłem błąd, że was wtedy nie wydałem.

Uśmiech znika.

- Wydać? Co ty bredzisz, Harjula?

Otwierają się drzwi domu, na schodach staje kobieta, żona mężczyzny. Jest na ostatnich nogach, wełniany sweter nie może objąć wielkiego brzucha. Rzuca mężczyznom przelotne spojrzenie, nie wita się.

- Zaparzyłam kawy, Eero - mówi. - Przyjdziesz? Mężczyźni zdjęli kapelusze, spoglądają ukradkiem po sobie.

- Za chwilę. Zabierz Aino do środka! Robi się zimno.

Kobieta schodzi z werandy, bierze dziecko za rękę. Pies ciągle siedzi na środku podwórza, nie przestaje warczeć.

Mężczyźni uśmiechają się.

- Piękna kobieta - stwierdza Purola, nakładając z powrotem kapelusz.

Piękna kobieta. A w Kanadzie należała do dwóch socjalistycznych organizacji kobiecych. Ale to już oczywiście sami dobrze wiecie, myśli Eero Harjula. Uznaliście po prostu, że nie warto o tym wspominać, bo chłop potrafi chyba dojść do ładu z własną kobietą. I bez waszej pomocy dobrze wiem, że dawno już by była u Sowietów, gdyby nie była ze mną.

- Emmanuel Aarnio to był cholernie dobry górnik. Dobry kopacz. Raz, pod koniec szychty, chciałem jeszcze posłać ludzi na przodek po urobek, szkoda mi było go zostawiać drugiej zmianie, piękne kamienie. Nie bój się, starczy ich jeszcze do końca świata albo dłużej, powiedział mi wtedy. Minutę później zawaliło trzydzieści metrów przodka. Wszyscy by tam zostali, każdyjeden.

- Jawna niesubordynacja wobec przełożonego.

- On czuł skałę. Instykt mu mówił, kiedy górotwór budzi się do życia.

- Co czuł, to czuł. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

- Prawda.

Prawda. Prawda. Tu akurat Haarla ma zupełną rację, przyznaje w myślach Eero Harjula. Łzy już mu nie pomogą. I mężczyzna wie i to, że naczelnik biura pracuje dla tajnej policji. Może Purola też. Skąd inaczej by mieli te wszystkie informacje, kto by im powiedział, kogo i dlaczego trzeba zabrać, gdzie go szukać. Od nich na pewno mieli tak szczegółowy rachunek



sumienia Emma-nuela Aarnio. Już wtedy się domyślił. Że jego przyjaciele mają bardzo dobre plecy. Że nikt im nic nie zrobi.

Mężczyźni wsiadają do auta, są nieco poirytowani, lecz nie tracą pewności siebie. Eero Harjula patrzy na nich. Uśmiecha się. Złośliwość jest zaraźliwa jak śmiech.

- Cyganie, co? A kto następny?

Byłem w błędzie, myśli mężczyzna. Wy byliście w błędzie. To było gorsze od zbrodni.

- To była straszna pomyłka.

- Na przesłuchaniach każdy zeznał, że dobrze się bawił, sam wiesz - odzywa się komendant policji i spluwa na ziemię gęstą śliną. - Chłop i na koniec świata pójdzie, byle tylko się wyrwać spod kurateli starej.

- Mówili, co im na osobności kazałeś powiedzieć.

- Sam musisz przyznać, że to były miłe wycieczki za miasto. Grzeczni byli traktowani grzecznie. Komunista, nie komunista, jak chłop przyrzekł poprawę, nie było tematu. Nie jestem niesprawiedliwy. Nikt z nas nie jest. Ale ktoś musi myśleć o ojczyźnie. Wziąć na siebie odpowiedzialność. I jeśli zajdzie potrzeba, poświęcić się.

- Emmanuel nie był komunistą.

Tylko największym w kopalni szulerem. Wołali na niego Król Pik. Bo był do tego bardzo ciemny. Nowi myśleli, że zna jakieś triki. Nic takiego. Miał tylko niesamowicie szybkie palce. I od nich też zaczęli. Od palców.

- Komunista, socjaldemokrata, jeden pies... Wystarczyło mu powiedzieć jedno słowo. Jedno, jedyne słowo, i byłoby po wszystkim kim - mówi Purola.

*Może bym i powiedział, coby wam zrobić przyjemność, ale jak tu plunąć na to, za co stary oddał życie. Święty nie jestem, ale to czwarte przykazanie człowiek zawsze się starał mieć w pamięci...*

- Dlaczego nie wywieźliśmy go za granicę? Jak innych?

- Żeby wyśpiewał Sowietom wszystkie tajemnice kopalni?! Tego byś chciał?! - ryknął komendant. Ten Harjula wystawia jego cierpliwość na ciężką próbę.

- Krzyczcie trochę głośniej - odzywa się kierowca. - Jeszcze

was wszyscy robotnicy nie słyszeli.

- Myślałem, że masz teraz inne zmartwienia na głowie - rzuca z okna Isidor Haarla.

Eero Harjula nie pyta, co naczelnik biura miał na myśli. Już go to nie interesuje.

- W końcu wszyscy w kopalni wiedzą, że...

Obcy zapuszcza silnik. Ostatnie słowa Haarli zagłusza warkot motoru. Daleko w tle falujące sylwetki unoszą się nad czarnym dywanem.

Mężczyzna wraca do domu.

- Nie pojechałeś z nimi? - dziwi się kobieta, opuszczając gazetę.

- Nie, w końcu obiecałaś kawę. Dostanę?

- Dostaniesz. Simpsonom dali w końcu rozwód.

- Jakim znów, kurwa, Simpsonom?

- Wallis i jej mężowi. Możliwe, że teraz Edward ją poślubi.

- Nikt nie rezygnuje z korony dla jakiejś szmaty.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo tak myślę. Gdzie Aino?

- U Natalii. O czym rozmawialiście?

Mężczyzna sięga do szafki po butelkę wódki, nalewa do połowy filiżanki i wychyla jednym duszkiem.

- O pogodzie. I o Królu Pik. Nie mówiłem ci, ale...

Vida podnosi się nagle z krzesła. Mężczyzna myśli, że idzie nalać mu kawy. Ale to nie to. Kobieta pochyla się nad mężem, zbliża twarz do jego policzka, szepcze mu coś pospiesznie na ucho i szybko się prostuje, zrzucając przy tym filiżankę na ziemię.

-Co?

Nic nie zrozumiał. Schyla się po stłuczone szkło. Ta niezdarność nie ma nic wspólnego z jej stanem. Ona zawsze taka była. Gdy odsuwa zasłony, karnisze spadają jej na głowę. Kiedy zmywa, tłucze szklanki. Przypala garnki.

- Co powiedziałaś?

Kobieta wzdycha, kręci głową, dłonią zakrywa usta.

Oczywiście, wiedział o tym cały czas. Ale zapomniał, że wie: Jak nie będę o tym myślał, to tak, jakby to się nigdy nie

wydarzyło. Cała ta sprawa to był jeden wielki błąd, ale błędy można naprawić. Trzeba naprawić.

- Wyjeżdżam stąd. My wyjeżdżamy - mówi kobieta.

Mężczyzna się uśmiecha. Ale jedna noga zaczyna mu się trząść.

Kładzie dłoń na udo, dociska. Drzenie nie ustaje.

*Strzelaj już. Strzelaj, miej litość nad biedakiem, zastrzel go już, zastrzel...*

- Wtedy niczego nie rozumiałem. Byłem zalany w trupa. Tylko patrzyłem. Nawet nie patrzyłem, rzygałem. Strasznie cierpiał. Dlaczego nie strzeliłem? - zastanawia się mężczyzna.

- Bo nie jesteś złym człowiekiem - odpowiada kobieta tak cicho, że z trudem słyszy jej słowa.

- Nie wpuszczałaś mnie do łóżka. Przez nich. A potem ja...

To nie Eero Harjula ich wybrał. To oni wybrali jego, on tylko z nimi jeździł. Myślał, zobaczymy, jak to wygląda. Potrafił strzelać. Lubił strzelać. A oni byli zawsze tacy z niego dumni. Sympatyczni goście. Nie mógł o nich powiedzieć złego słowa.

Mężczyzna przeciągnął dłońią po włosach. Chyba czas coś wybrać. Ale jakie są możliwości? Król zrezygnuje z korony albo nie zrezygnuje. Są dwie drogi, to jasne. Przeprosiny są jeszcze możliwe. Po obu stronach. Najważniejsze teraz to nie stracić do cna godności. Tarcia nie służą nikomu. Dwie ścieżki, w dobrą i niedobłą stronę. Czy może są trzy? Trzy, dwie, ani jednej?

Eero Harjula składa głowę na białym obrusie. Nie płacze, składa po prostu głowę na chłodnym materiale, nic nie mówi.

- Ja wyjeżdżam - mówi Vida. - Zabieram Aino i wyjeżdżam.

I już nigdy nie wrócę.

## Olkikumpu, maj 1936

Wyjechać, wyjechać, wyjechać, już postanowiła, już to powiedziała! Vida Harjula stoi przed lustrem, ogląda swój wielki brzuch z każdej strony, okręca sobie na palcu grzywkę. Zmartwiona przygląda się dokładnie swoim włosom, nie lśnią już takim złotem, jak wtedy, kiedy była młoda, zastanawia się więc, czy nie powinna zacząć ich rozjaśniać wodą utlenioną; nie może się pogodzić z myślą o tym, że jej dawna piękność bezpowrotnie minęła.

Tylko pomyśleć - niedługo będzie wolna!

Zima przeszła i żal minął - jak mija czas, jak taje ziemia, jak otwiera się i osypuje kwiat jabłoni. Co żyje, musi odejść! I ona również musi odejść.

Lecz póki co, nie odchodzi, jeszcze trwa, pełna bólu i tęsknoty, bo w smutku jest jak pokrzywa: im bardziej ją deptają, tym staje się mocniejsza.

I parzy innych i siebie! Au, au, nic nie pomoże, musi boleć! Tylko przez cierpienie można się stać człowiekiem, wyrosnąć z dziecka, które domaga się bezustannie nowych podniet i zabaw.

Wszystko poszło inaczej, niż kobieta sobie wyobrażała. Bała się krzyków, bicia i wściekłości. Lecz Eero Harjula poprzestał na kilku zaledwie nieśmiałych pytaniach. Słuchał jej spokojnie, nieomal beznamietnie, jak pogodzony ze swym losem pacjent słucha lekarza, który przekazuje mu przykrą wiadomość o konieczności operacji.

- Wyjedziesz?

- Ja, Aino i dziecko, które się wkrótce urodzi.

- Wyjedziecie?

-Tak.

- Dokąd?

- Do Turku. Dostanę tam pracę tłumaczki.

- Wszystko już zorganizowałaś?

-Tak.

- Po co?

- Bo nie potrafię być już dłużej z tobą. Nie chcę.

- Co zrobiłem nie tak?

- Nic. To ze mną jest coś nie tak.

- Myślałem sobie, żeby oddać legitymację samoobrony.

- To nie pomoże. Niczego nie zmieni.

- I tak odeślę.

- Ale nie z mojego powodu. Kiedyś prosiłam, żebyś to zrobił. Kazałam ci wybierać, ja albo oni, a jak oni, to ja wyjeżdżam. Nie wybrałeś mnie.

- Ani ty nie wyjechałaś. Wtedy.

- Teraz wyjeżdżam.

- Mimo że urodzi się dziecko.

- Mimo to.

- W takim razie to chyba nie moje.

- Twoje.

- Ale i tak wyjedziesz.

- Wyjadę.

- Kiedy?

- Choćby zaraz. Jeżeli tak będzie łatwiej.

- Czemu zaraz tak nagle? Człowiek chyba ma prawo zobaczyć własne dziecko... niech się już tutaj urodzi, skoro tu się poczęło...

Objawienie się tej nieznannej, ludzkiej twarzy męża niemal odbiera kobiecie mowę. Skąd nagle wybiło to źródło zrozumienia, którego brak wysuszał ją już tyle lat? Wybiło i wypełniło go po brzegi w takiej chwili, gdy ona najmniej na to zasługuje?

Vida jest zdezorientowana. Nie rozumie męża. Czy to aby nie jakiś podstęp?

Każdego ranka liczy się z najgorszym: oto nadszedł dzień, w którym się złamie i wściekłość weźmie w nim górę. Dziś się upije i pokaże, co o tym wszystkim naprawdę myśli.

Ale nie.

Kobieta wie, że dzieje się coś dziwnego, choć wszystko jest tak, jak zawsze. A nawet lepiej. Ta cisza jest przygniatająca, choć tchnie jednocześnie pięknem i spokojem. Eero nawet nie bierze alkoholu do ust. I trwa to już dość długo, drugi tydzień.

Więc wszystko jest między nimi dobrze. I nie jest.

Zło nie odeszło, tylko podstępnie zmieniło maskę.

Niekiedy kobiecie się zdaje, że powinna zobaczyć lub usłyszeć coś, co wreszcie nada realny kształt jej lękom. Bo inaczej się udusi, bo ją zabije ta wieczna czujność. Ta nieświadomość czegoś.

- Wszystko dobrze? - pyta męża. - Dasz radę?

- No co ty? - dziwi się. - Dlaczego nie miałbym dać rady, ciężka to będzie robota, ale od czego są wciągi, liny i mocarze z kopalni do pomocy?

Może to jego sposób znoszenia cierpienia. Albo najzwyczajniej w świecie nic go to nie obchodzi. Odkąd się zajął tym pomnikiem Emmanuela Aarnio, nie ma czasu myśleć o takiej błahostce, jak rozwód. Patrzy teraz na żonę wyłącznie jak na kobietę z wydatnym brzuchem, z której nie ma żadnej radości. A raczej patrzyłby, bo nie patrzy już na nią w ogóle, unika jej jak może. Chodzi do tego swojego głazu codziennie, prosto z kopalni, jest teraz przecież jasno do późna. A w niedziele idzie tam skoro świt.

Musi kreślić, obliczać, planować.

Ponieważ Emmanuel Aarnio, bestialsko zamordowany górnik z Olkikumpu, musi mieć pomnik godny najlepszego kopacza kopalni.

Eero Harjula ani przez chwilę nie wątpi w powodzenie przedsięwzięcia. Postarał się już o nieoficjalne błogosławieństwo dyrekcji spółki. Aby je otrzymać, musiał przedstawić cały pomysł ogólnikowo: będzie to zatem pomnik ku czci fińskiego górnika. Harjula nawet nie wątpi, że w ten akt dziejowej sprawiedliwości zaangażuje się z istic konspiratorskim zapalem cała jego brygada.

Dla kobiety, nieobeznanej z górniczą robotą, ten tytaniczny wysiłek, nadanie gigantycznemu kamieniowi odpowiedniego kształtu i przetaszczenie go znad brzegu strumienia kilometr

pod górę, na stok wzgórza Olkikumpu, graniczy z megalomanią, lecz nie ma odwagi ani prawa powiedzieć tego mężowi prosto w oczy.

Tylko Natalia wspomina czasem z przekąsem o dziadku Antonie, któremu pomieszało się w głowie od prób wytopienia czerwonego złota. Ale Eero Harjula nie wierzy siostrze. Co prawda, gdy dziadek umierał, był jeszcze dzieckiem, lecz ciągle doskonale pamięta ściągnięte twarze żałobników, a najlepiej wzruszające przemówienia ubranych w czarne garnitury panów z izby handlowej.

- To tobie się pomieszało - mruczy, nieco urażony tą profanacją pamięci dziadka. - Nikt nigdy nie twierdził, jakoby dziadek Anton miał coś nie tak z głową.

- Anton miał pieniądze. Jeszcze wtedy, gdy rodzina zubożała i stała na krawędzi bankructwa, rozповідаł na lewo i prawo, że ma gdzieś ulokowane spore depozyty. Bogatego nikt nigdy nie nazwie wariatem. W każdym razie nie w jego obecności - odparła Natalia.

Lecz Eero Harjula, odurzony sposobnością godnego zadośćuczynienia krzywdzie, jest głuchy na słowa przestrogi. Poza tym w ogóle nie rozumie, co dziadek Anton ma wspólnego z pomnikiem Emmanuela Aarnio.

- Twój dziadek był niespełna rozumu i jego stryj tak samo, kompletny wariat. Ciebie też to czeka, jak nie będziesz na siebie uważać - mówi Natalia bratu.

Ale on się tylko śmieje.

Widzi i słyszy tylko to, co chce.

Nie wie nawet, że idzie lato. Że wieczory rozgrzewają się do czerwoności, że noce stają się coraz jaśniejsze. I że jego żona musi gryźć poduszkę, by nie zacząć krzyczeć z niewysłowionej tęsknoty do drugiego mężczyzny.

Ale wie, że ma dziecko. Po raz pierwszy dociera do niego, że ma córkę. Miedziana iskierka, skacząca dokoła niego po śliskich kamieniach potoku, gdy on mierzy wystający z wody na osiem metrów blok. Nigdy wcześniej nie zabierał córki na te wyprawy, lecz teraz ma w sobie tyle energii i dobrej woli, że starczy ich nawet dla Kruszynki.

- Zapracował sobie Król Pik na tego bydlaka!

Albo:

- Oj, ten by mu się spodobał! Jak się w takim boruje, to człowiek tak się trzęsie, że ma za darmo masaż nóg...

Vida potrafi to sobie wyobrazić.

Jak mężczyzna opowiada Aino bez przerwy, że to bardzo ważna praca, chociaż Kruszynekę bardziej zajmują bzyzące nad kanapką muchy albo refleksy słońca w płytkiej wodzie. Lecz on tego nie widzi, jak natchniony kaznodzieja prawi o kolejnych etapach pracy, podnieca się ogromem szczegółów, o których nie wolno zapomnieć, skoro się umyśliło zrobić wszystko tak, jak należy.

- Po skończeniu borowania podbije się kliny. Przez noc patana położymy i śladu nawet nie będzie, masz na to moje słowo honoru.

Eero Harjula czuje, że znów jest panem własnego losu, wierzy niezachwianie, że może wziąć życie z powrotem w swoje ręce.

I po raz pierwszy naprawdę widzi Aino, bacznie się przygląda córeczce i nie może się nadziwić jej niespożytej energii. Właśnie teraz dziewczynka, umoczywszy dłoń w strumieniu, piszczy z radości i nie pytając nawet ojca o pozwolenie, rozbiera się i już po chwili pluszcze w wodzie, która na pewno nie ma jeszcze dziesięciu stopni ciepła.

Mała poganka. Dziecko, które nawet w ubraniu wygląda tak, jakby chciało się w każdej chwili rozebrać do naga.

Kolanówki nie chcą się trzymać na jej łydkach, wiecznie zsuwają się na kostki. Kto wie, może i on był takim dzieckiem?

Na tych ich wspólnych wycieczkach Aino to zupełnie inne dziecko, nie marudzi, nie wierci mu w brzuchu o jedno i to samo: spogląda tylko na niego w dobrodusznym oczekiwaniu.

Zaczynają się odnajdywać, ojciec i córka. Eero Harjula widzi w niej teraz sprzymierzeńca, może jednak mężczyzna nie jest wcale tak obojętny, jak z pozoru sądziła Vida. Ale mogło być i tak, że gorycz zrodziła w tym prostolinijnym człowieku przebiegłość, której Vida wcześniej w nim nie dostrzegła.



- Przypominasz mi mojego wuja, chociaż jesteś dziewczynką  
- Eero Harjula mówi córce pewnego wieczoru w domu. -  
Chcesz zobaczyć?

Dziewczynka kiwa głową, siada obok ojca na kanapie.

Mężczyzna wyciąga z witryny album i pokazuje niewyraźną fotografię, na której widać stojącego obok konia chłopca. Buty z cholewami. Kapelusz z szerokim rondem. Nad głową nakreślony ołówkiem krzyżyk.

- Podobni jak dwie krople wody, co? - pyta mężczyzna.

Zainteresowana dziewczynka pochyła się nad fotografią.

- Co powiesz, Vida?

- Może i jest jakieś podobieństwo - kobieta przyznaje niechętnie.

- To był dopiero dorodny mężczyzna... piękny jak archanioł Gabriel. Wszystkie dziewczyny za nim biegały, zabijały się o niego! Brunetki i blondynki. Wszystkie. Ale zastrzelili go żandarmi. Opowiadałem wam o tym?

- Opowiadałeś - mówi żona.

- No dobrze, ale nasza smarkula nie zna tej historii - szepcze mężczyzna i pochyła się poufale nad córką.

- To był brat mojej mamy. A żandarmi go zastrzelili, bo sikał na ulicy. Nie była to taka straszna zbrodnia, ale tym szatanom nie spodobało się to, że wyciągnął fujarę ze spodni w biały dzień. Zastrzelili. Z zawiści pewnie. Bo to był mężczyzna, który przyciągał ludzkie spojrzenia, w spodniach czy w Adamowym stroju. A te psy nie mogły tego ścierpieć. Ale on miał ich w nosie. Mężczyzna robi swoje, choćby mu karabinem grozili. Ty też taka jesteś, Kruszyńko? Chyba tak, co? Wdałaś się w Harjulów, bez dwóch zdań...

Skąd się biorą lęki? Z mrocznych, wzburzonych snów, które wywołują bogowie zemsty. Próbują zachwiać jej pewnością. Vida Harjula zaczyna się bać spowitych nieprzeniknionym milczeniem, nieodgadzionych zamierzeń męża, wzdragać na myśl o dniu, którego na próżno czekała przez długie lata. O

chwili, w której córka podejdzie do ojca nie jak pies z podkulonym ogonem, z pokorną chęcią zrobienia mu przyjemności, lecz ot tak, po prostu, jak się podchodzi do człowieka, który daje oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Na którego nie zwraca się większej uwagi, gdy jest blisko, lecz bez którego nie można się już obejść.

A więc tak ma się to skończyć? Czyżby miała się poddać z powodu pierwszej, nieśmiałej miłości córki do ojca?

Nie. Nie ma mowy.

Wszystko ma swoje granice. W imię małżeństwa i macierzyństwa kobieta nie może znosić wszystkiego. Czyż i tego już nie dość, że nie spotyka się z tamtym mężczyzną, choć wie, że znów jest w Olkikumpu? Że nie zakrada się do niego w nocy, by zedrzeć z niego ubranie, że nie biega do niego za dnia, by poskarżyć mu się na cały głos, jak bardzo za nim tęskni? Że nie krzyczy tak głośno, by wszyscy ją słyszeli i by serca tych, co z litości odtrącili kiedyś słodkie szczęście, które niepojęty los podsuwał im pod nos, zalała paląca gorycz?

Lecz Vida się nie łamie. Teraz jej największą miłością jest rozwód. Jemu pozostaje wierna, jego niepomierny ból jest dla niej święty, to on daje jej siły, by rano znowu podnieść się z łóżka i dalej oddychać.

Pozostaje jej wyobraźnia. Lecz nawet w jej fantazjach nie spotyka się z nim, zasmucony mężczyzna wędruje samotnie przez wzgórza lub uskrzydłony serdeczną tęsknotą idzie do klubu dżentelmenów, żeby coś przekąsić, wychylić kieliszek albo dwa czego mocniejszego.

Na pewno ma ze sobą płaszcz, tak na wszelki wypadek. Przewieszony przez ramię jasny, znoszony kaftan, zielony na plecach i pachnący tytoniem, moczarem, bagiennym ptactwem. Powietrze przenika już jasność lata, lecz noc może czasem jeszcze ściąć mróz, w tym przeklętym kraju to jest zawsze możliwe.

W myślach Vida Harjula widzi go przy stole. Nie wiedzieć czemu, odczuwa przyjemność, wyobrażając sobie, jak mężczyzna kroi na talerzu duże, mączyste ziemniaki, żuje kotlet, zieloną fasolkę, buraka, ogórka. Popija piwem. W tych

jej fantazjach melancholijny mężczyzna zawsze wypija więcej, niż zamierzał, a potem próbuje nawiązać rozmowę z gośćmi z sąsiednich stolików, lecz nikt nie jest zainteresowany, nikt nie ma takiej jak ona cierpliwości do rozwlekłych opowieści o kamieniach. Kobieta wyobraża sobie, że zdesperowany mężczyzna zaczyna mówić o sprawach, o których nie ma większego pojęcia, i zaczyna się płatać, by w końcu wszcząć kłótnię z jakimś starym wilkiem morskim o to, gdzie się rozmnażają węgorze z Morza Północnego. Zakłada się więc o dwie kolejki, że w Morzu Sargassowym, by już po chwili storpedować własną teorię twierdzeniem, że w rzeczywistości węgorz europejski, który ginie w drodze z powodu atro-fii narządów trawiennych, nie rozmnaża się w ogóle, a co za tym idzie, nasze węgorze są potomkami węgorzy amerykańskich, tak, tak, choć jest rzeczą ogólnie znaną, że oba gatunki różnią się liczbą kręgów, ale to wynika tylko i wyłącznie z różnicy temperatury wód. I mężczyzna będzie się pewnie dalej rozwodził na temat wpływu warunków hydrologicznych na żywe organizmy, jeszcze po wyjściu zdenerwowanego kapitana, który nade wszystko lubi wypić w spokoju, kiedy jego jedynym słuchaczem będzie już tylko nieznający angielskiego komiwojażer, ani trochę niezainteresowany bezkształtnymi rybami, które ten namiętnie będzie mu rysować na serwetce.

Przychodzi zatem pora, by wysłać go z powrotem na wyobrażoną kwatere, gdzie mężczyzna napisze do najbliższego przyjaciela długi list, w którym po raz kolejny wyrazi swoje bezbrzeżne zdumienie osobliwymi normami towarzyskimi, które obowiązują w tym zamkniętym społeczeństwie, poczyni nawet aluzje do szybkiego wyjazdu. Napisze o nieudolnych próbach nauczania się fińskiego, które od samego początku wydają się skazane na niepowodzenie. *Wyobraź sobie, że oni tu mają najmniej trzynaście przypadków rzeczownika... Trzynaście!!! A do tego przymiotniki odmieniają się jak rzeczowniki! Co za czort to wszystko wymyślił? Jakim sposobem narodowi tak prostemu, który zapija się bimbrem zagryzanymi śniegiem, mógł się dostać język o takim stopniu złożoności? Chyba ludzie, którzy pół życia spędzają w tych*

*swoich saunach, nie muszą być tacy diabelnie skomplikowani. Tacy skryci. Dziwacznicy. Nieprzystępni...*

I na koniec - i to jest najlepsza część jej fantazji - kobieta każe wreszcie mężczyźnie rzucić się na łóżko, nazwać swoją tęsknotę i raz za razem szeptać jej imię z łomoczącym sercem, dopóki nie zmoże go chłodna, wiosenna noc i nie zacznie śnić o połyskliwych kamieniach.

Obrazy samotności, smutne i pocieszające zarazem. Rozświetlają mrok jak kagańce w szarzącym, cichym domu.

Mężczyzna i kobieta nie tulą się w nich, nie całują, nawet dłoń nie muska dłoni.

Vida Harjula chce uszanować honor swojego męża: Nie - dopóki mieszkam pod twoim dachem.

W nocy jest inaczej. Powracający sen: ona w czerwonym, nieznanym pokoju, jest tam też mężczyzna. Lecz wtedy jest inny niż w jej fantazjach, poważny i groźny, mówi coś w zupełnie niezrozumiałym języku, który brzmi jak mowa Indian albo jaskiniowców. Zamyka z hukiem wszystkie drzwi pokoju, jedne po drugich, kobieta nie ma już którejś stamtąd wyjść. Wtedy do niej dociera, że jest więźniem, lecz strach nie powstrzymuje jej przed oddaniem się mężczyźnie, klęka przed nim, rozpina mu spodnie, bierze łapczywie w usta gwałtownie pęczniejącą, jedwabistą żołądz. Lecz gdy unosi spojrzenie na twarz ukochanego, ta zaczyna dziwnie przypominać twarz jej męża. Kobieta ujmuje jego biodra, one również należą do Eero Harjuli, jego są też ramiona, klatka piersiowa, plecy, twarde pośladki, pulsująca szyja. Pod palcami kobiety przeskakują iskry, jest cała mokra i prawie nieprzytomna z pożądania, lecz mężczyzna odpycha ją od siebie, patrzy na nią ze wstrętem, jakby była dziwką, niewartą nawet zapłaconej ceny, zostawia ją na łóżku, uśmiechając się wyniośle i złowieszczo.

Gdy Vida Harjula się budzi, oczy ma pełne łez, a serce wali jej młotem ze strachu. Coś jej mówi, że wszystko to źle się skończy, ma wrażenie, że i ta miłość okaże się widziadłem, katastrofą, obrzydliwym kłamstwem. Kobieta się boi, że zdradziła siebie jak jeszcze nigdy dotąd: nigdy się nie uwolni od Eero Harjuli, taki pisany jej los.

Po chwili jednak jakoś poskramia paniczny strach, uświadamia sobie, że to jej rozszczępione ciało próbuje skruszyć jej wolę i jeśli nie będzie czujna, jeśli nie będzie go pilnować, może się jeszcze obrócić przeciwko niej.

Przecież już się zdecydowała. Już nic nie może jej złamać. Już nikt się nie będzie na jej widok znacząco stukał w czoło, bo Vida Harjula wreszcie wie, kim jest i czego chce.

Urodzi dziecko, tak jak sobie życzył mąż, a potem pożegna się z nim na zawsze. Żelazo jest twardsze od miedzi. Czym trwalsza skała, tym cenniejsza.

Wsiądzie z dziećmi do pociągu, rozpocznie nowe życie.

I nikt się o niczym nie dowie, nigdy. Gdy ludzie będą o niej mówić, nikt nie wspomni imienia mężczyzny. Wieś, w której mieszkała przez tyle lat, osądzi ją surowo: Ta latawica, która nigdy nigdzie miejsca nie zagrzała, od razu było po niej widać, że nie będzie z niej żony dla porządnego mężczyzny. No i przepadła, Bóg jeden wie, gdzie poszła, nie potrafiła żyć tu tak, jak wszyscy, nie chciała się przystosować. Nie, panie, spakowała walizki, zabrała dzieciaki i zniknęła tak nagle, jak nagle się tu kiedyś pojawiła. Niepojęte.

## DRUGI POZIOM

Składanie ofiar z ludzi miało zapewnić nieśmiertelność, lecz był to również sposób zapewnienia społeczności trwania. Gdy ktoś złamał obowiązujące w niej reguły, na przykład wykonując pieśń lub taniec, do czego nie był upoważniony, składano go w ofierze, aby życie społeczności wróciło do normy.

Wśród licznych ludów megalitycznych rozpowszechniony był egzokanibalizm, czyli rytualne zjedanie przedstawicieli obcych plemion. Ceremonie te odbywały się dla uczczenia zwycięstwa, lecz bywały również aktem zemsty za śmierć poległych w bitwie współplemieńców.

Goran Burenhult, „Nauka” 2000, nr 4/94

Kruszynka nie zmarła śmiercią naturalną. Czy taka właśnie była niewypowiedziana opinia ciotki Natalii? Czy po to zaciągnęła mnie do swojego domu? Żebym i ja zaczęła tak myśleć? Zdarzyło się coś bardzo złego, coś nienaturalnego i ja miałam wyjaśnić, co to było. Po sześćdziesięciu niemal latach. Moim zdaniem było już trochę za późno na zgłoszenie podejrzenia popełnienia przestępstwa, lecz ciotka opowiadała o całej sprawie tak, jakby wszystko to zdarzyło się całkiem niedawno. Uważała zresztą, że sprawę należało dokładnie zbadać za świeżego prawa, lecz wtedy nie było ani czasu, ani możliwości. Bo prawie jednocześnie wydarzyło się wiele innych, ważnych i wstrząsających rzeczy.

Ciało znaleziono na stoku wzgórza Olkikumpu, w wodzie przy brzegu strumienia. Lekarz zapisał, że przyczyną zgonu było utonięcie, ale to się kupy nie trzymało. Potok w najgłębszym miejscu nie miał nawet dwudziestu centymetrów, a tam, gdzie znaleziono Kruszynkę, było znacznie płycej.

Lecz komendant policji stwierdził, że sprawa jest oczywista i nawet nie wszczął dochodzenia.

Dziwne. Bardzo dziwne. Sześciolatnie dziecko ginie w niejasnych okolicznościach i nikt w tej sprawie niczego nie robi.

- Wiesz - mówię ciotce Natalii (która potrafi być czasem irytująca, ale ma naprawdę cudowne zdjęcia, i jak na osiemdziesięciosześcioletkę, niewiarygodnie dobrze zaopatrzony barek) - wiesz, atmosfera w Olkikumpu od samego początku była dla nas jakaś taka przytłaczająca, wyczuwało się w tu powietrzu jakąś tajemnicę, śmierdziało zgnilizną. Jak w całej naszej rodzinie. Sama słyszałam bezsensowne plotki. Przeróżne. Nie dawałam im wiary, ale mówiły mi co nieco o ludziach stąd. O tym, jaka tu ciemnota i zabobon. Pewnie dlatego ojciec wyrósł na takiego dzikusa. W

końcu spędził tu biedak całe swoje dzieciństwo.

Przepraszam, nie miałam na myśli nic złego, chciałam tylko powiedzieć, że mój ojciec wcale nie jest taki, jak sobie wyobrazasz... Tak szczerze, to odkąd umarła mama, ojcu jakoś tak ostatecznie padło na mózg. Wszystko było zatrute. Ziemia, powietrze, woda. I teraz jeszcze ta wasza prywatna wojna podjazdowa z energią atomową! Powiem wprost - argumenty ojca nie mają nic wspólnego z nauką, przecież to kompletny świr, mamuty z nie-strawionymi mleczkami w żołądkach, Boże zlituj się nad tym człowiekiem! Na twoim miejscu lepiej bym czytała, co rozdają ludziom na lewo i prawo. Bo koniec końców wyglądasz na zupełnie rozsądną kobietę, i jeszcze te twoje zdjęcia, niesamowite, wspaniałe, po prostu dzieła sztuki...

Nie, nie chcę oglądać fotografii z pogrzebu Kruszyнки. Nie cierpię pogrzebów, nie znoszę. I za kawę też już dziękuję, nie, wszystko w porządku, bardzo dobra i mocna, ale naprawdę muszę już iść spać.

(Ciotka Natalia siedzi na zielonej, secesyjnej kanapie, otoczona swoimi zdjęciami: na stole przed nią piętrzy się jakieś trzysta albumów, wszystkie pełne ważnych dla śledztwa tropów, a ja zaczynam powoli rozumieć, dlaczego najlepszym sposobem komunikowania się z dalekimi krewnymi jest wysyłanie kartek na święta).

Nie zrozum mnie źle. Jestem ci ogromnie wdzięczna za to, że zaprosiłaś mnie do siebie i opowiedziałaś mi te wszystkie stare historie, ale ja nie jestem żadnym tajnym detektywem w spódnicy, więc doprawdy nie wiem, jak mogłabym pomóc w rozwiązaniu sprawy Aino Heleny.

To zdjęcie Vidy i ojca kilka godzin po porodzie było naprawdę rewelacyjne, przyznaję, aż mi mowę odebrało. I do tego kolorowe, w tamtych czasach! Byłam pewna, że w latach trzydziestych jeszcze nie było kolorowej fotografii.

Bracia Lumiere? Oczywiście, coś mi się tam obilo o uszy, ale te wszystkie szczegóły, raster i ziarna skrobi, czy co to tam było, to była dla mnie czarna magia. Po prostu w głowie mi się nie mieści, że ktoś mógł wpaść na pomysł, że z sadzy, ziemniaka i szelaku można uzyskać kolorowy obraz, czyste szaleństwo, ale



w końcu sama próbowałam za dzieciaka skrzyżować kamień z kwiatem, choć nic szczególnego się z tego połączenia nie urodziło...

Whisky? No, niech będzie, ale jeszcze tylko szklaneczkę, bo szczerze mówiąc, zaczynam być już trochę pijana...

I strasznie nieszczęśliwa. A do tego w ciąży, ale akurat tą kwestią nie warto się przejmować, skrobanka jest tylko kwestią czasu. Oczywiście, on by go chciał. Mój mąż to facet, któremu się marzy drużyna hokejowa nosząca jego nazwisko. *Finlandia rozgromiła Szwecję cztery do jednego dzięki rewelacyjnej grze braci Lehto*. Ale dziewczynką też by nie pogardził. W NHL gra kilka kobiet, jakbyś nie wiedziała.

Ale to już postanowione. Tak jak z rozwodem. Już posłałam papiery.

Nie, zdecydowanie nie chcę o tym mówić. Ta sprawa jest już zamknięta. Wielki czas przejść od słów do czynów.

Mogę wziąć te listy babci, jak na nic ci się nie zdadzą, ale jesteś pewna, że ona by chciała, żebym je czytała? Zapomniała powiedzieć? Raczej wątpię. Ten gość wysyłał je na twój adres, a Vida przychodziła tu potajemnie je czytać? Sprytnie. Historia z dreszczykiem. A potem o wszystkim zapomniała. Nawet nie zabrała listów do siebie po śmierci dziadka. Moim zdaniem to dziwne, podejrzanе jakieś.

Ale ty ich nie czytałaś?

Nie? Przepraszam, że spytałam. Oczywiście, że nie czytałaś. Bo nie umiesz po angielsku. No tak. To rzeczywiście dobry powód.

Puszczala się z agentem obcego wywiadu, tak mi ktoś powiedział. Roześmiałam się oczywiście w głos, nasza kochana babcia Vida, też coś...

Nie, nie nazwałam babci puszczałską, powtórzyłam tylko, co mi powiedziano. Oczywiście, że wierzę w wielką miłość. Czy bo ja wiem. Wierzę i nie wierzę. Szczerze mówiąc: nie. Ale oczywiście wierzę w to, że ona mogła wierzyć w swoją miłość. Wierzę w autosugestię, w boga ziemskiego nieba...

Bo ja wiem. W zasadzie to czemu nie, mogłabym zostać na noc, sprawę można w sumie rozważyć, aż tak strasznie mnie

nie ciągnie do tego pustego pokoju w hotelu, jeśli mam być zupełnie szczerą.

Ale te listy nie.

Nie.

Tak nie wolno. A poza tym, nie chcę.

Nie chcę być wścibska, i w ogóle.

A do tego jestem w takim stanie psychicznym, że nie nadaję się do czytania czyichś płomiennych listów. Należ mi jeszcze trochę tego Johna Powera, jeśli wolno. Tylko kropelkę, dziękuję.

Co jest ze mną nie tak, że już mu nie wystarczam? Nie przytyłam nawet kilograma od tamtego dnia, w którym pociliśmy się przed astmatycznym kierownikiem urzędu stanu cywilnego, bo nie wiedzieliśmy, czy zdąży udzielić nam ślubu, nim padnie trupem na naszych oczach. Ojciec oczywiście nie przyszedł. Teraz dopiero wdepnęłaś w gówno, głupia, powiedział mi i trzy lata się do mnie nie odzywał. Miał oczywiście rację, jak zawsze, ale czy przy odpowiednim oświetleniu nie można by nawet uznać, że ciągle jestem pociągająca? No nie, do Vidy chyba nie... Sama nie wiem. Jak widywałam babcię, była już stara, no, ale rzeczywiście, na tym zdjęciu z noworodkiem...

Czasem sobie myślę, czy teraz już do końca życia będę musiała płacić za ten pierwszy raz? Choć koniec końców wszystko wzięło się z tej mojej dziecinności. Nieświadomości. Nikt mi wcześniej nie powiedział, że mężczyźni są tak nieobliczalni.

Mama powinna mi była to powiedzieć, kiedy umierała w tym cholernym szpitalu, ale może sama nie wiedziała.

Ale wierzyłam w nas. W nasze królestwo bałaganu, do którego porwał mnie mój rycerz w białym, pokiereszowanym datsunie. Do Turku na Tragarzy. Z rynku autobusem, jedyneką albo czwórką. Zamkową prosto w stronę portu. Albo Ogrodową. Ładny, drewniany domek, rzut beretem od więzienia. Jedna z ostatnich ulic w Turku, gdzie ciągle jeszcze są kocie łby. Kiedyś mieszkała tam biedota, dzisiaj yuppie. Ale mój mąż, który spędził tam dzieciństwo, pamięta Pirkko Pluskiewkę i łysego Pirrego, który wachał klej i obscenicznymi

gestami straszyl małe dziewczynki, póki się nie powiesił na strychu u swojej ciotki, starej kurwy.

Tak, wierzyłam, że tam znalazłam swój raj.

Wierzyłam w to nasze turkusowe morze miłości. Jak dzieci, które dopiero co nauczyły się pływać, pławiliśmy się w tej masie rękawiczek, pogryzionych przez psa książek, fantastycznych smoczków, miniaturowych kijów hokejowych, płyt Benjamino Gigliego, kaset Jethro Tuli i niezapłaconych rachunków, zapominając o Bożym świecie. Wierzyłam w uzdrawiające, bezkresne morze, na którego falach nasz wodoodporny małżeński materac tak dziarsko się unosił i na którym obejmowałam go nogami, na którym pił ze mnie i mówił, że mam tak nieznośnie cudowny smak, i choć krzywiłam się, gdy próbował mnie potem pocałować - fuj, umyj najpierw twarz! - on tylko się śmiał i mówił, że nie zrobi tego nigdy w życiu, bo chce tak pachnieć zawsze, chce *cuchnąć* kobietą, której pożąda i którą ubóstwia do śmieszności...

Wierzyłam w małżeństwo, ale małżeństwo nie uwierzyło we mnie.

Miłość nie uwierzyła.

Nie, nie chcę wiedzieć, co Vida myślała o małżeństwie. I naprawdę nie mam już dzisiaj siły, by zajrzeć do tych jej radykalnych artykułów z „Towarzystki”<sup>8</sup>, ale oczywiście wierzę, że broniła w nich w wielkim stylu prawa kobiety do wolnej miłości.

Tak na marginesie, nigdy o tej „Towarzystce” nawet nie słyszałam. Brzmi mocno czerwono. A dziadka widziałam na jakiejś fotografii w mundurze oficera samoobrony. Czyli co, były chyba między nimi drobne rozbieżności ideologiczne, żeby nie powiedzieć - przepaść...? I do tego zamieszani w historię szpiegowską: Rosenbergowie z Olkikumpu, którzy wydali Sowiетom wasze pilnie strzeżone tajemnice uranu...! Nie, żartuję sobie, przecież wiem, że to były brednie. Wiem też, że Vida wyemigrowała do Kanady, ale niewiele o tamtych czasach mówiła. O swojej karierze sufrażystki.

---

8 „Towarzystka” (fin. *Toveritar*) - założony w 1922 tygodnik Socjaldemokratycznego Związku Robotnic (przyp. tłum.).

Ale proszę proszę, pisała artykuły. I to do „Towarzyski”, no no!

Oczywiście, możemy porozmawiać o mnie. Jeszcze szklaneczka tego czegoś i mogę rozmawiać na każdy temat.

Co uzdrowić?

*Uzdrowiające morze.* Ja tak powiedziałam?

To tylko takie wyrażenie.

No, bo te moje historie z mężczyznami są takie pogmatwane. Zawsze coś się musiało pokiełbasić. Od pierwszego poczynając, który od razu źle mnie jakoś nastawił na przyszłość. Nie wiem, ale mówią, że ten pierwszy raz ma decydujące znaczenie.

I kiedy jeszcze to się stało tak wcześnie. W okresie dojrzewania, kiedy psychika dziecka jest bardzo wrażliwa. Pozbawienie cnoty. Utrata niewinności. Koniec dzieciństwa. I co tam jeszcze. Niechętnie o tym mówię. Bo wszystko było tak źle, że już gorzej być nie mogło.

Ostatecznie to nie tego rodzaju dotyk zostaje człowiekowi w pamięci. Nie erotyczny.

Czucie to najważniejszy zmysł. Dowodów naukowych masz na to, ile chcesz. Na jakimś amerykańskim uniwersytecie oddzielono młode małpy od matek i choć dawano im normalnie jeść, od razu zaczęto u nich obserwować zmiany psychofizyczne. Dopiero, gdy matka wróciła i trzymała młode na rękach przez wiele dni, organizm dziecka powracał do stanu równowagi. Potem młode przegrodzono od matek szklaną ścianą, tak że mogły się widzieć. Młode bezustannie wrzeszczały. Stały się apatyczne. Sekcja wykazała potem, że mózgi małpiątek, które całkowicie oddzielono od matek, uległy uszkodzeniu. Podobnie było z tymi, które nie mogły dotykać matek.

Smutne to, ale pewnie i za to ktoś dostał Nobla. A już na pewno jego artykuł opublikowało jakieś czasopismo naukowe.

Sama pamiętam...

No, pamiętam na przykład, ciągle czuję na dłoni język i gardło półtoratygodniowego cielęcia, które ssalo moją pięść. Je też oddzielili od matki zaraz po urodzeniu, biedne zwierzę. Tak

na marginesie, to było tutaj, w Olkikumpu, pamiętasz, miałam wtedy jakieś trzynaście lat... Kopalnia była już wtedy zamknięta, bo przestała się opłacać, a nie wymyślili jeszcze tego wspaniałego składowiska atomowego. Wieś cofała się powoli z powrotem w rolnictwo. Widziałam tego cielaczka w jednym gospodarstwie, gdzie ojciec nas zaciągnął. Były tam krowy, świnki, no i to cielę, trzęsące się na tych swoich patykowatych nogach. Ach, jak ono mnie kochało, myślało pewnie, że z moich palców tryśnie mleko! Szorstki język, ciepła ślina, i ssało niewiarygodnie mocno. Potem jeszcze przez wiele dni czułam w ubraniu ostry zapach gnoju. Było takie słodkie. Aż za bardzo.

Nigdy nie wyrosło na krowę. Zarznęli je. Widziałam, jak to robili. Stąd się bierze biała cielęcina. Jeśli zdarzyło ci się kiedyś zamówić w restauracji.

Nie powiedziałam, że to byłaś ty. Ale skoro twierdzisz, że ty, to ty. Daleko mi do tego, żeby się z tobą kłócić. Człowiek musi żyć, ktoś musi zabić, aby inni mogli jeść, co tu dużo mówić, tak to już jest.

Potem robili jeszcze inne doświadczenia z tymi małpkami. Robot owinięty skórą matki kłuł małe igłą za każdym razem, gdy próbowało wejść matce na rękę. Zadawał mu ból. Dotkliwy ból. Nietrudno zgadnąć: i te małpiątka nie były normalne. Robiły się strachliwe i agresywne zarazem. Sekcja wykazała uszkodzenie mózgu. Ale te, których nie zabito... Nie, już nie pamiętam, co się z nimi stało. Wyrosły pewnie na takich małpich morderców, którzy napadają na słabszych i bezbronnych...

Ano, co zrobić, taka praca, muszę czytać podobne historie. Raz miałam napisać artykuł o tych doświadczeniach... Tekst był ściśle naukowy, ale nie mogłam się powstrzymać i zaprawiłam go odrobiną ironii. Dostało mi się za to porządnie po uszach. Może rzeczywiście nie nadają się na dziennikarkę, brak mi wyczucia powagi. No i profesjonalizmu.

O czym chcesz porozmawiać? O siostrach czy ojcu? Czy o tym, jak dobrze mi było u mamy, kiedy jeszcze żyła. Wychodząc

na dwór, zawsze perfumowała się wanilią i zakładała białe rękawiczki, nawet jeśli szła tylko do ogrodu. Żeby chronić swoje piękne dłonie. Dwa lata temu znalazłam na strychu w rzeczach z Wyspy pół buteleczki Guerlaina, tak z niej pachniało, że się rozplakałam. Ojciec jej ją kupił? On, chorobliwy skąpiec? Przecież to potwornie drogie perfumy.

O tym pierwszym razie?

Czemu nie, możemy i o tym pogadać. Ale tylko ogólnie. Nie wiem, czy sama sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam.

Wyobraziłam. Dla rozrywki można sobie wyobrazić bardzo niespokojną i niesforną dziewczynkę. Nieobliczalną. Niewychowaną. Czytaj - której nie wychowano w ogóle. Bardzo ostre słowa, gdy pomyśleć, ile godzin musiała przesiedzieć w szkółce niedzielnej. Lecz biblijne mądrości spływają po jej duszy jak woda po kaczce. Dziewczynka przestaje ze zmarłymi, z kamieniami i książkami, uczy się życia w niewłaściwej kolejności, że tak powiem, od drugiej strony. Wszystko robi na opak. I niewykluczone, że już w wieku czternastu lat uwodzi dwudziestotrzyletniego zastępcę kantora. Tylko dlatego, że młody organista gra Bacha jak anioł. Tak, tak, właśnie tak, nie inaczej: to dziewczynka jest uwodzicielką, choć w końcu to ona traci tu cnotę, nie on. O jedenastej w nocy na podłodze cmentarnej kapliczki, gdzie młody organista ćwiczy przed zbliżającym się pogrzebem.

Dziewczynka mówi mu, że ma siedemnaście lat. Nietrudno w to uwierzyć, jest całkiem wyrosnięta jak na swój wiek, a oczy ma czarne od tuszu. Siada bardzo blisko mężczyzny, który skrupulatnie układa nuty w stos. Jest lato i dziewczynka ma strasznie krótkie mini z szerokim, błyszczącym pasem. Wróciła właśnie z basenu, więc jej włosy i skóra pachną chlorem. Mówi, że słyszała, jak organista tak bombowo grał, i że jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Jak Chrystus Michała Anioła. Że się zakochała. I że wieczorami w łóżku nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o tym.

Organista mówi, że dał już słowo innej.

Dziewczynka mówi, że organista nie powinien się kręcić tak późno po cmentarzu. Ale z drugiej strony nie ma lepszego miej-

sca, jeśli chce się zrobić coś bardzo szalonego, bo nikt się nie odważy tu o tej porze chodzić.

Szalonego? Co też jej chodzi po głowie?

No, na przykład, żeby się kochać.

Organista na to, że on ma chrześcijański światopogląd, a do tego narzeczoną. I że nie będzie z nią spać, dopóki nie będą małżeństwem.

Dziewczynka rozwiera w uśmiechu szerokie usta, ukazuje białe, mocne zęby. Ogarnia ją uczucie, że wstępuje w nią jakaś obca kobieta, która może powiedzieć organiście, co tylko chce.

Mówi, że śniło się jej, jak organista ją całuje i, grając trzecią suitę orkiestrową Bacha, wsuwa jej dłoń pod spódniczkę.

Organista odpowiada, że dla niego najważniejsze są studia. I że chce poświęcić życie służbie Bożej i muzyce. Co mówiąc, dotyka dziewczynki, bardzo delikatnie, zupełnie, jakby chciał ją pocieszyć, że nic z tego nie będzie.

Lecz ona chwyta go za dłoń, nie pozwala mu jej cofnąć. Przypomina sobie również, że w kolumnie porad medycznych w jakimś czasopiśmie młodzieżowym przeczytała, że mężczyźni najbardziej boją się wypadki i przede wszystkim dlatego unikają kontaktów z płcią przeciwną. Więc trzyma go za rękę i mówi, że bierze pigułki.

Młody kantor już nie próbuje cofnąć dłoni.

Lecz gdy po kilku takich wieczorach bierze dziewczynkę na podłódze chóru cmentarnej kapliczki, ma okropne wyrzuty sumienia. Przysięga, że już nigdy więcej.

W końcu jednak dzwoni do dziewczyny. Z budki, przez chusteczkę, w razie, gdyby odebrał jej ojciec.

- Dlaczego masz taki dziwny głos? - dziwi się dziewczynka. -Przeziębilesz się?

- Kaplica jest zbyt niebezpieczna - odpowiada zachrypnięty organista, wrzucając do automatu kolejne monety. - Zaczekasz na mnie w samochodzie. Drzwi od kierowcy będą otwarte.

Więc dziewczynka czeka na niego w ciemnym volkswagenie przy cmentarzu. Zastępca kantora wraca z kaplicy, nie mówiąc ani słowa wsiada do samochodu i jedzie szybko na nieuczęszczany parking. Tam robi się nieprzyjemny.

- Ściągaj spodnie - rozkazuje.

- Ale po co? - dziewczynka jest szczerze zdziwiona. Mężczyzna był zawsze taki powściągliwy.

Lecz on zmienił się nie do poznania. Chce wszystkiego spróbować. Dziewczynka czeka teraz na niego w samochodzie każdego wieczora i robi to, co on rozkaże. Mówi, żeby na nim usiadła, chce, by się położyła z gołą pupą na tylnym siedzeniu, każe jej schylać się przed nim, chwyta ją za szyję i wciska sobie jej głowę między nogi.

- To ci się spodoba - mówi.

Ale tu się myli.

Poza tym organista za dużo nie mówi. Dziewczynka próbuje się czasem zapytać, o czym myśli, gdy gra *Adagio* Albiniego albo Handla. Chce wiedzieć, jakiego koloru jest dla niego *Sonata Księżycowa* Beethovena. Lecz młody kantor nie rozmawia o muzyce z laikami. Po pytaniach, jakie mu zadaje, widzi, że dziewczyna ma zupełnie zbanalizowane pojęcie o muzyce kościelnej, że nie ma jej co tłumaczyć, bo i tak niczego by nie zrozumiała. Czasami zapala papierosa - tego też wcześniej nie robił - i mówi, że wieczorem idzie jeszcze do swojej narzeczonej, która jest porządną dziewczyną i chce z tymi sprawami poczekać do za-mążpójścia.

- I nie przeszkadza jej, że robisz to ze mną? - pyta dziewczynka.

Organista wybucha śmiechem i wydmuchuje jej dym w twarz.

Omalże z czułością.

- To wy nie robicie tego ze sobą? - pyta dziewczynka.

- Nie. Tylko się całujemy. Dwa razy pozwoliła mi się chwycić za piersi.

- Mnie nie pocałowałeś ani razu - stwierdza dziewczynka rzeczowym tonem.

Kantor nic nie mówi.

- Dlaczego nie?

- Prawdę mówiąc, nieszczególnie lubię się całować - odpowiada z pewnym ociąganiem.

- Ale ją całujesz - mówi dziewczynka, naciągając na nogi



majtki.

- Tak. Ją niestety trzeba całować - odpowiada jej.

Lecz wszystko ma swoją cenę. Przez te wieczorne spotkania organista nie ćwiczy już tyle, ile powinien. Żalobnicy zaczynają się na niego skarżyć. Myli się. Poza tym, rachunki za telefon w kaplicy są wysokie i wychodzi na jaw, że dzwoniło stamtąd niejednokrotnie o dziwnych porach. Do zagranicznych sklepów muzycznych. Do samego Londynu. Słuchano muzyki. Wiadomo, że tak późno w kaplicy bywa jedynie zastępca kantora. Ojciec dziewczynki, stróż cmentarny, zadaje mu niegrzeczne pytanie. Organista pierwszy raz słyszy o jakichś telefonach. Stróż na to, że sprawa zaczyna mocno śmierdzieć i trzeba będzie skontaktować się z policją.

Tego samego wieczora kantor pyta dziewczynkę, czy wie coś o tych telefonach. Dziewczynka uśmiecha się szeroko, lecz kręci przecząco głową. Organista wsuwa jej dłoń w spodnie, każe je ściągnąć.

- Nie - odpowiada dziewczynka.

- Rób, co mówię, albo powiem twojemu ojcu, że i ty bywałaś tu w tym czasie.

Dziewczynka kręci głową. Zapina guziki kurtki.

- Jak chcesz - mówi jej. - Powiem mu.

- Nie powiesz.

- Bo co? - pyta organista i śmieje się złośliwie.

Dziewczynka otwiera drzwi samochodu, w ciemności błyskającej wilcze, białe zęby.

- Bo mam czternaście lat - mówi. - I nie biorę pigułek - do daje, po czym zdecydowanym krokiem wchodzi między połyskującą ce w świetle księżyca nagrobki, które stoją w równych szeregach, jak żołnierze.

I tyle.

Tyle?

Tak. Prawdopodobnie niczego takiego nie było. Ale zachciało mi się opowiedzieć jakąś straszną historię.

I na tym się skończyło.

Na tym. A co, nie powinno?

Tak sobie tylko pomyślałam.

Że co?

Że mogłoby mieć jakiś ciąg dalszy.

No, ale nie miało. Młody organista już więcej nie zadzwonił. Ani razu. Koniec, kropka.

Czyli że...?

Wyjechał.

Gdzie?

Skąd mam wiedzieć. Gdzieś.

Myślał może, że dziewczynka jest w ciąży?

Co myślał, to myślał. Nie powiedziałam, że miesięczka mi się spóźnia. Mógł zapytać.

Ale może tak to zrozumiał.

Może. I co z tego. Pojechał pewnie całować tę swoją zasraną narzeczoną. Przecież ona była taka niezwykła.

Myślał, że dziewczynka jest w ciąży, że urodzi dziecko albo zrobi skrobankę.

Tak to się rzeczywiście mogło skończyć. Choć raz w życiu dziewczynka miała trochę szczęścia.

I już nigdy tego mężczyzny nie widziała?

Nie. Pewnie stary kantor wrócił z urlopu. Nie pamiętam. Ale tak to na pewno się skończyło. Gdyby cała ta historia nie była z palca wyszana. A była. Zapytaj moich siostr, już one wiedzą.

Co, zapadł się jak pod ziemię? Nazwiska nigdzie nie było?

Niby jak?

No, na przykład na cmentarzu.

Na cmentarzu? A co on miałby robić na cmentarzu?

No, a co się na cmentarzu robi.

Boże święty! Jak ktoś jest taki słaby, że odbiera sobie życie, to co można na to poradzić.

Nic. Człowiek musi mieć wolny wybór.

No dobra, złapałaś mnie. Może był tam jego grób. Może siostry go widziały, powiedziały mi. A ja sobie przypomniałam, że kiedyś się przelotnie znaliśmy. Spotkaliśmy się, raz czy dwa. Spodobał mi się, ładnym był mężczyzną. No i musiałam dorobić do tego jakąś historię. To w moim stylu. Uwielbiam

bawić się wyobraźnią. Kocham fantazje. To w *nich* się kocham. Nie w ludziach z krwi i kości. Zatrzymałam się w rozwoju, będę dzieckiem do śmierci. Opowiadałam tyle bzdur, że już sama nie wiem, co z tego jest prawdą, a co nie. Zapytaj moich sióstr. Taka nieśmiała, a takie niestworzone historie opowiada. Pasuje do mnie. Ale ja nigdy nie byłam w nowej części cmentarza. To nie był mój rewir. Nie lubiłam tam chodzić. Pomniki nie miały za grosz charakteru. Same granity i spektrolity. Nie mówiąc o tych posepnych, trupich ceremoniach. Tylko w Gwiazdkę było ładnie, cała nowa część tonęła w świetle lampek. A potem mają jeszcze czelność naśmiewać się z pogan, z tych ich śmiesznych rytuałów, którymi próbowali niby przebłagać zmarłych.

To mówisz, że to pogaństwo? Chrześcijański pochówek, znaczy się?

Tak. Po to przecież na mogiłę kładą ciężki kamień. Żeby truposz czasem nie wstał i nie zaczął straszyć.

A żal?

Żal?

Ból rozstania, ból i pustka po utracie bliskiej osoby, bezbrzeżna tęsknota? No wiesz.

Niel Nie.

Nie mówmy o tym, jak nie chcesz.

Nie o to chodzi. Tylko że... ja już prawie nie pamiętam matki, chociaż nie byłam już przecież wcale taka mała. *Z głębi do Ciebie wołam Panię, człowiek cię prosi znikomy. Uszu twych nakłoń na moje wołanie, głos ci ten dobrze znajomy.* Naszym zdaniem to była okropność, epitafium jak na jakimś muzealnym grobie, ale ojciec postawił na swoim. Mamie na pewno bardziej by się podobała jakaś piosenka Paula Anki. Albo Mario Lanzy. Miała adapter. Często nastawiała płyty. Ale po jej śmierci ojciec wyniósł wszystkie na śmietnik. I nie pozwolił nam kupować nowych. Ze skąpstwa. Nie miałyśmy zabawek ani żadnych koleżanek poza własnymi siostrami. Tak że i to trzeba było sobie wyobrażać.

Tęsknota małego małpiątka?

Tak. Coś w ten deseń.

A matka? Jej mózg też przebadano? Jakie uszkodzenia wywołała w nim utrata dziecka?

Nie. Po co? Życie psychiczne matek z punktu widzenia nauki jest zupełnie irrelevantne. I z punktu widzenia tej historii. Nieistotny szczegół, rozumiesz? Co mnie to obchodzi? Nic, i dlatego nie chcę o tym mówić, rozumiesz?

Ale...

Nie! Cholera, ty w kółko jedno i to samo. Przecież już mówiłam, że nie. *Nie, nie, nie*. Ty chyba naprawdę nie wiesz *nic* o nauce, zero wiedzy. Kurwa, przecież to były tylko mały! One nie miały bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, one tylko urodziły, bo to, poza jedzeniem i spaniem, jedyna rzecz, do której się nadają...!

Dziękuję, ale już nie wypiję ani kropli. Daj mi te listy Vidy, zajrzę do nich, jak już poczytam co nieco o tym waszym przeklętym silosie atomowym. Nie, dziękuję, żadnej zielonej propagandy, żadnych nagłych złodowaceń i atomowej zimy, mam ich już potąd, za dzieciaka sama musiałam roznosić ulotki z tymi chorymi przepowiedniami apokalipsy, jak ty teraz, napraszając się u okolicznej smarkaterii o porządne lanie. Ale ta współczesna historia z kopalnią to sprawa czysto racjonalna, sprawdzona naukowo, i chociaż jestem ci cholernie wdzięczna za to, że pozwoliłaś mi się wyzalić i wypłakać, po raz kolejny robiąc z siebie idiotkę, nie znaczy to jeszcze, że...

I nie mogę już nic zrobić dla Kruszyнки. Kobieto, miejże litość, od tamtego czasu minęło już przecież prawie sześćdziesiąt lat! Jeśli jej ojciec i matka nie chcieli dochodzenia, to czemu ja miałabym robić dziś hałas? Na Boga, niechże to dziecko spoczywa w spokoju. Vida i dziadek już nie żyją. Dla kogo ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Tak. Ojciec na pewno cierpiał z tego powodu, że jego siostra zginęła w dniu jego narodzin, w to potrafię jeszcze uwierzyć, ale nigdy z nami na ten temat nie rozmawiał. Wspominał tylko lśniące zakola Kaarmekoski, miejsca, gdzie chodził na ryby i zbierał muszelki, a które dziś wchłonęła już elektrocieplownia.

Porywa się na energię atomową na mamucie, z mleczem w rękę. Żałosne. I takie banalne.

Oczywiście, że kocham ojca. W końcu ojciec, na dobre i na złe. W zdrowiu i chorobie, psychicznej też. Kocham go. Z mamutami i z całą resztą inwentarza. Nie tak, jak kochałam mamę, mama była święta, ale na swój sposób. Serce mi pęka, kiedy pomyślę, jakie miał paskudne dzieciństwo, ale co ja na to poradzę. Nieszczęśliwe dzieciństwo, nieszczęśliwa dorosłość, nieszczęśliwa starość. Trzeba mieć tylko nadzieję, że chociaż z młodości ma jakieś wspomnienia. Nam w każdym razie nic o tym nie wiadomo. Faktycznie nie można powiedzieć, by kiedykolwiek był dla nas jakiś bardzo niedobry, po prostu tęsknił za mamą. Żył we własnym, bezsensownym świecie. Potrafiłyśmy to zrozumieć. My w końcu zawsze miałyśmy siebie, siostry. Nie katował nas i nie zamykał w ciemnej komorze. Tego nam jednak oszczędził.

Tak, tego nie robił, zdecydowanie nie.

Sami sobie rozkopujcie groby na waszym cmentarzu. Co ja mu jestem winna? I jak by mu to pomogło?

Prawda, to prawda, że ojciec jest chyba na coś chory. Chudy, by nie powiedzieć skóra i kości, blady i skurczony. Ale gdzież by tam do lekarza, nie ma mowy! Bo nie ma czasu, słuchaj. Bo trzeba ratować świat, nim się pograży w gównie. Nim się rozpieprzy w drobny mak. Te sprawy. Jak długo da jeszcze radę wymachiwać mleczem na te swoje niewidzialne wiatraki? Język już mu się stępił, jak sama pewnie zauważyłaś. Od lat niczego nowego nie wymyślił. Ale nic to, trzeba przecież to ciągnąć do samego końca...

I ten rozwód, to będzie ostatni gwóźdź do trumny. Po tym, jak nas wreszcie odnalazł. Nie mnie, tylko chłopców. Kiedy przyszedł do nas pierwszy raz, tuż po narodzinach naszego drugiego syna, i pokazywałam mu także naszą sypialnię, spytał mnie, gdzie jest łóżko mojego męża. Oszczędziłam mu wyjaśnień, że małżonkowie zazwyczaj śpiąją razem. Chyba by zwariował, gdyby to usłyszał. Tylko pomyśleć, że ojciec tych małych chłopców, jego wnuków, które zdążył już całkiem polubić, ciągle jeszcze dopuszcza się sprośności z jego córką.

Ale nie ma rady, rozwieść się trzeba. Już dłużej nie mogę.

Tak, tak. Tak, oczywiście, wiem, że na świecie zdarzają się dużo gorsze rzeczy niż skok w bok. Że się zdarzyły także w tamten dzień. Dwanaście kul dosięgło Andresa Escobara w tym samym czasie, kiedy mój mąż obłapiał tę szmatę. Dwanaście kul w ciele Kolumbijczyka, który strzelił samobójczego gola. Dlatego wcale nie byłam zdziwiona postępkim mojego męża. Byłam pewna, że wpłynął nań smutny los Andresa Escobara. I to, że Diego Mara-donę złapali na dopingu. Pięć różnych efedryn w próbce, pomyśl tylko: pięć efedryn! Futbol wykracza daleko poza boisko. Jak daleko, tego nikt nie wie dokładnie. Nikt nie potrafi powiedzieć, co ludzie są zdolni zrobić dla futbolu. Poza tym, że wiele. Gra, która nigdy się nie kończy. Jak małżeństwo. Reguły obowiązują także poza domem.

Dlatego się nie martwiłam. Niczego nie podejrzewałam. Nie podejrzewałam mężczyzny, który niczego nie kocha bardziej od dobrego gola w meczu piłkarskim. Albo w hokeju. Którego trzeba siłą wypychać z domu. Poszedłbyś gdzieś! Nigdy nie pije. Jedno, góra dwa piwa; nie miałam żadnych podstaw do podejrzeń, że mógłby zejść na złą drogę. I tym razem to nie przez alkohol, a przez to, że to była znajoma. I to jest w tym wszystkim najgorsze. Niewybaczalne.

Sama widzisz, że mam dosyć zmartwień i bez zamordowanych wieki temu dzieci...!

Nie, nie powiedziałaś, że to było morderstwo, nie, to ja powiedziałam. Na podstawie tego wszystkiego, co mi opowiedziałaś. Sześciolatki nie popełniają samobójstw. Więc co nam zostaje: mroczna zbrodnia, popełnione z zimną krwią morderstwo dziecka, które nigdy nie zostało wyjaśnione. Tak to jest. I tak być musi, nic innego nie wchodzi tu w grę. A tak na marginesie, to kto znalazł dziecko? Już będziemy mieć pierwszego prawdopodobnego podejrzanego.

Ty?

No, najwyżej kropelkę, nie więcej. Chyba nie próbujesz mnie upić do nieprzytomności, ciociu, co? A skoro o tym mowa, skąd wzięłaś taki dobry towar? A więc to ty znalazłaś wtedy Aino Helenę, no, no...

W porządku: jeszcze jeden łyk i jeden list, ale zaraz potem uderzam w pościele! Umowa stoi? Jeśli zaspokoi to twoją ciekawość. Ależ cię musiały łąpska świerzbic z tymi listami, przez te wszystkie lata, co? Byłaś, byłaś jej przyjaciółką, i to najlepszą, skoro tak mówisz, żartowałam przecież... Jezus, popatrz tylko na ten znaczek, co myślisz, pewnie ma sporą wartość? Gdybyś pokazała te listy mojej najstarszej siostrze, podarłaby listy, a koperty wystawiła od razu na sprzedaż. Zawsze trzymała u nas kasę, nic dziwnego, że została dyrektorką banku.

*Londyn, 20.10.1934... Wielce szanowna Pani Harjula...*

Wystarczyło j jedno lato i było już po V idzie ? Tak to się robi!

Nie? Przecież widzę, że adresowany do niej, do domu, ale skoro przyniosła go tobie... No tak, zgoda, po co denerwować męża najróżniejszymi listami z podziękowaniami, niektórzy mężczyźni wpadają w szal zupełnie bez powodu, przychodzą im do głowy głupie podejrzenia...

*Wielce szanowna Pani Harjula,*

*pragnę raz jeszcze, tym razem listownie, podziękować Pani za to, że tak mężnie dotrzymywała mi Pani towarzystwa podczas mych prac minionego lata. Wycierając znów mokre londyńskie bruki z mapami północnej skorupy ziemskiej pod pachą, z dużym rozrzewnieniem wspominałem niespotykaną sprawność Pani w posługiwaniu się angielszczyzną i Jej pogodę ducha, która nie zawiodła nas nawet w trakcie wyczerpujących i frustrujących wypraw geologicznych. Żywię gorącą nadzieję, że spółka uzna za stosowne wysłać mnie do Olkikumpu również w przyszłym roku, ponieważ skały Fennoskandii są nadzwyczaj interesującym i bogatym przedmiotem badawczym, Finlandia zaś pięknym krajem.*

*Zechce Pani łaskawie przekazać moje serdeczne pozdrowienia zarówno Jej rodzinie, jak i wszystkim naszym towarzyszom pracy w kopalni.*

*Z wyrazami szacunku*

*Sean O'Brien*

Formalny. Rzeczowy. Uprzejmy.

Ale mnie oczu nie zamydli. Coś tu się szykuje, to pewne. I to nie od wczoraj. Zaczęło się już dawno. Może nie od pierwszego spojrzenia, ale od drugiego. Zaczęło się i rozkręciło na dobre. Proste jak drut. Coś go opanowało, prawie niepostrzeżenie. Skąd się bierze pożądanie? Z czego się rodzą choroby? Katar, kaszel, guzy wielkości główki od szpilki. Po prostu któregoś dnia budzisz się z lekkim niepokojem. Już wiesz. Jest w nim coś dziwnego. Co to jest? Zastanawiasz się nad tym, albo i nie. A potem znowu to czujesz. I mówisz sobie w duchu: a więc to jednak nie wytwór twojej bujnej wyobraźni.

Zaczynasz się martwić. Tak dłużej być nie może. Postanawiasz coś zrobić.

Postanawiasz, ale już w tym momencie wiesz, że najgorsze zdążyło się już wydarzyć.



## Dublin, grudzień 1934

Mężczyzna spędza jesień w Londynie, sporządzając szczegółowe mapy stropu złoża. Spółka chce znać możliwie najdokładniej model jakościowy. Ile skały płonnej, ile wysokoprocentowej rudy w serpentynicie. Ile w piroksenicie. Siarczaków w fyllitach. Podziałka jeden do tysiąca. Odwierty wykazały, że główne złożo zawiera niklu od dwa przecinek pięć do cztery przecinek zero, miedzi od zero przecinek pięć do jeden przecinek dziewięć, srebra od piętnastu do pięćdziesięciu gramów w tonie oraz żalosne drobiny platyny, złota, palladu i uranu, ponieważ jednak nie uruchomiono jeszcze czwartego poziomu, nie dotarto jeszcze do najlepszych pokładów...

Coraz bardziej go kusi, żeby nieco upiększyć kiepskie wyniki, boi się, że spółka już więcej go nie wyśle, że przestanie pompować pieniądze w przedsięwzięcie, które z całą pewnością nigdy się nie zwróci. Wszystkie nadzieje wiąże z uranem. Jakiś włoski profesor odkrył, że za pomocą uranu można zapoczątkować reakcję łańcuchową, która rozszczepia jądro atomu. Teraz uran to magiczne słowo, pierwiastek przyszłości, istny kamień filozoficzny. Jeżeli on ich nie wzruszy, to już nic...

Sean się zmienił, mówią znajomi, gdy przed Bożym Narodzeniem wraca do Dublina. Jest przekonany, że tak mówią. Zdumieni i urażeni tym, że wcale się nie pali, by uchylić rąbka tajemnicy. Coś się z nim stało w tym rajcu białych niedźwiedzi. Coś dziwnego. Wcześniej taki nie był. Przesiaduje teraz ciągle sam w tym swoim małym, ponurym gabinecie, chyba nawet tam śpi, na półkach i pod łóżkiem walają się sterty połyskujących kamieni. Żyje już tylko obietnicą przyszłego bogactwa, szkoda go.

Ale to nie to. Pieniądze nigdy go nie interesowały.

Musi to być więc coś innego.

Jakże to, promieniujące kamienie, kobieta też go spytała z nutą lekkiej niecierpliwości w głosie, drapiąc się po swych pięknych, pogryzionych przez komary kostkach. Pijąc tę swoją wieczną kawę na tarasie przed biurem. Ale uśmiechała się. Przecież mieliśmy szukać niklu. I miedzi. I nie widzę żadnych promieni. Co w nich takiego? Chyba nie są szlachetne?

- Nie. Nie są.

- I nie jest to złoto?

- Nie, to nie złoto.

- Wobec tego, co w nich takiego cennego?

-Nic.

- Nic? Przyjemnie się z panem rozmawia, panie o'Brien, pan udziela zawsze takich wyczerpujących odpowiedzi.

- One zawierają pierwiastek, który emituje niewidzialne promieniowanie i rozpada się.

- Pierwiastek? Taki jak miedź albo nikiel?

- Ale cięższy, najcięższy ze wszystkich. Uran.

- Uran. Nowe słowo. Podoba mi się. Ale dlaczego on tak bardzo pana interesuje?

- Nie wiem. Po prostu ma w sobie coś fascynującego.

Mężczyzna nie wiedział. Nie wiedział wtedy, i nadal nie wie. Można wiedzieć bardzo wiele, nie mając najmniejszego pojęcia.

Najłżejsze pierwiastki zaczęły powstawać, gdy wszechświat miał zaledwie kilka minut. Dużo, dużo później, gdy uformowały się już pierwsze gwiazdy, w ich gorących jądrach zaczęły się tworzyć najcięższe pierwiastki. Więc gdy w głuchej, nieskończonej przestrzeni ze zgęstniałego, gwiazdnego pyłu powstała nasza planeta, miała już w sobie wszystko. I wszystkie te skarby tkwią miliardy lat pod ziemią, po której przetaczają się lawiny i stada mamutów. Lecz oto pojawia się człowiek, zwierzę bezgranicznie ciekawe, przekonane, że wszystko, co widzi, istnieje wyłącznie dla niego. I chce wiedzieć, do czego może to wykorzystać. Pasjonują go zagadki. Wszędzie węszy, wszystkiego próbuje, naciska, wygina, podgrzewa, rozszczepia. Podnosi pierwszy kamień. Od tego się zaczyna. Musi wpaść na

pomysł, jak wykorzystać kamień, miedź, żelazo, złoto, nikiel, uran. W każdym ogniwie nieskończonego łańcucha pokoleń znajdzie się ktoś, kto nie spocznie, póki nie wymyśli czegoś nowego. Śmieją się z niego, podejrzewają go, lecz pewnego dnia drwiny cichną. I od tego dnia już nic nie jest takie, jakim było jeszcze wczoraj. Słysząc skrzypienie zastawionych stawów: to ludzkość postąpiła kolejny krok naprzód, przekroczyła próg nowego, niewyobrażalnego świata, z którego nie ma już powrotu, chyba że w nostalgicznym śnie...

Nie, mężczyzna nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co nie daje mu spokoju. Nie potrafi wyjaśnić tego pędu do wyszukiwania kolejnych kamieni. Oczywiście, przeczuwa niebezpieczeństwa, lecz nawet o nich nie myśli, człowiek musi być odważny. I tak w jego głowie wszystko to się zbiło w jedną, nierozdzieloną całość: jego ciekawość i pasja, jądra tych kamieni, ten kraj, kobieta i dziecko.

- Po co pan w ogóle tu przyjechał, panie O'Brien?

Po co przyjechał? Jeszcze trudniejsze pytanie.

Przyjechał, bo musiał. Poproszono go. Już od dawna, jak to się mówi, siedział na walizkach. Był przygotowany.

Niezbędne wyposażenie badacza:

Dyplom geologa i prawie gotowa praca magisterska z geofizyki. Szkoło powiększające. Młotek. Kompas. Mapa geologiczna Griffitha. Brak pieniędzy. Racjonalno-naukowe podejście. Siatka na komary i śniegowce. Tytoń. Whisky. Trzy swetry i kalosze.

Maszyna do pisania z zieloną taśmą, ze względów patriotycznych. Mnóstwo rodzeństwa i zbyt krótkie dzieciństwo. Matka w sanatorium przeciwgruźliczym. Piekło, czyli szkoła z internatem prowadzona przez katolickich księży. W połowie wyuczony na pamięć Wergiliusz i pokryte bliznami po trzcinie kłykcie - za drugą, nieopanowaną połowę.

Słowem, traumatyczna młodość, która zdawała się ciągnąć przez całe wieki. Mycie twarzy w wiadrze w toalecie przy fachowej pomocy starszoklasistów. Docinki dziewcząt zza muru

żeńskie szkoły. Niestrudzony onanizm. Spowiedzi. Pokuty.

Potem trochę światła: socjalizm Connolly'ego. Yeates. Zakazana cielesność Joyce'a. Uniwersytet i diametralnie inna rzeczywistość: pięć lat w kamieniach. Piwo, muzyka, nowi przyjaciele. Zaręczyny z dziewczyną z dobrego domu. Przeraziła samotność w terenie, wśród wzgórz północy, gdzie wypadki są nie tyle możliwe, ile bardzo prawdopodobne. Gdzie geolog nosi w kieszeni płaszczka naładowany rewolwer, żeby nie zginąć marną śmiercią rządowego szpiega. Patriotyczna odmowa przyjęcia asystentury na uniwersytecie w Cambridge. Jednostronnie zerwane zaręczyny, bez wyjaśnienia. Zwrócone, nieotwarte nawet listy. Wiadomość o przekształceniu galerii geologicznej Muzeum Narodowego w biuro misji katolickiej i zamknięciu dla publiczności narodo wych zbiorów geologicznych. Seria nieudanych związków. Impoten cja. Sucha informacja o nieprzyznaniu subwencji na stworzenie mapy występowania radu w podłożu skalnym Irlandii. Kolega ze studiów, który po przeniesieniu się do Cambridge jako pierwszy w historii ludzkości rozszczepił jądro atomu. Szok. Ponura zazdrość.

I mimo mieszanych uczuć, podziw: Kto by się tego po nim spo dziewał, po Erneście...?! Duma, jednak razem pili. I grali w szachy.

I wygrywał z nim: Wygrałem z Waltonem w szachy, poważnie!

Ale i wstrząs: rozszczepienie atomu zupełnie blednie w obliczu wizyty wysłannika papieskiego, który przybywa na Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny i rzuca całą Irlandię na kolana. Dojście do władzy pokonanych w wojnie domowej żołnierzy przeznaczenia. Seksualnie udany, lecz niezbyt uczuciowy związek z wyzwoloną aktorką Abbey Theatre. Trwające do świtu biesiady i wspólne snucie naukowych marzeń z najlepszymi przyjaciółmi. Noc spędzona ze starszą o dziewięć lat nauczycielką z Neapolu. Przerazające sceny zazdrości z aktorką w roli głównej. Pogarszająca się sytuacja finansowa.

I właśnie wtedy: szara koperta w skrzynce. „The Mond Nickel

*Company, Anglia": Według uzyskanych przez nas informacji pisze Pan dysertację o stosowanych w przemyśle wydobywczym... oferujemy Panu możliwość... pełne utrzymanie oraz miesięczna pensja...*

Prosta i szybka decyzja. Jak zawsze, gdy nie dostrzega się niebezpieczeństw, tylko widzi możliwości. Z lodowatego cienia białych drzew, pomiędzy mrukliwych autochtonów, wyłania się ostatni wielki badacz niezmiernych śniegów i tundry Północy, gardzący niebezpieczeństwami naukowiec: Doktor o'Brien, jak sądzę?

Oczywiście rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Bardziej powszednia. Osiągnięcia były skromne, a przeciwności losu znośne. Ale tam znalazł kobietę. I te kamienie.

Oczywiście, ostrzegano go, lecz nie rozumiał aluzji. Przecież przysięgał wierność nauce i śmiał się z przesądów. A już szczególnie głośno z prymitywnych opowieści o duchach i upiorach. Jakby nie było lepszych sposobów zabijania czasu podczas nocy polarnej.

Może rzeczywiście trzeba się było bać? Ich czarów? W sagach Wikingów zapisano przecież: Strzeżcie się tego kraju i tego wybrzeża, strzeżcie się ich czarowników i potężnych bogów, zabójcze są bowiem ich zaklęcia, najgorsze pod słońcem...! W każdej baśni jest ukryte ziarnko prawdy. Lepiej więc spytać, skąd się wzięły. I uszanować mądrość instynktownego lęku.

Ale nie, on się tylko śmiał.

On, którym owładnęło pożądanie kamieni i żony drugiego mężczyzny.

Z nadejściem jesieni i ciemności zaczął myśleć o wyjeździe. Tęsknić do domu. Za nic nie zostałby w tamtym kraju.

Kiedy więc wyjechał, poczuł wielką ulgę. Mówił sobie w duchu: Zima. Wolność. Wybawienie.

Ale nie. Nie to czeka go w Londynie, lecz niekończące się sny o śniegu. o świecie skutym lodem, białym i twardym jak

marmur, o zmarzlinie pochłaniającej ziemię, jeziora, ocean. O bezlitosnym zimnie, o surowej ciemności.

Ki diabeł? - nie może się nadziwić. - Co to takiego?

Ten śnieg?

Z początku, gdy chodził do szkoły, istniał dla niego wyłącznie na kartkach pocztowych, miękki, cudowny śnieg, kraina smętnej bieli. „Frostiana. Historia rzeki Tamizy, lodem skutej”. Dobry tytuł dla zabawnej książki z początku ubiegłego stulecia. Opowieść o wszystkich słabościach i szaleństwach ludzi, którzy nie zaznali w życiu radości zabawy w prawdziwym śniegu i na prawdziwym lodzie.

Lecz nadchodzi zima i śnieg staje się dla niego czymś więcej.

Obsesją.

Zaczyna zbierać opowieści o śniegu. Z zapartym tchem czyta wstrząsające relacje cudzoziemców z podróży po Północy, przerażające opisy tamtejszej zimy, która przeczy ludzkiej wyobraźni. Z uporem maniaka chodzi po bukinistach, pogrąża się w świecie zamrożonych na stojąco koni i utraconych z nierozważnie oderwanymi soplami lodu kawałków ciała. Ze szklaneczką whisky w rękę, przy ciepłym świetle kominka, w pensjonacie.

To już nie nostalgia, lecz cierpienie.

Rozłąka, która z miesiąca na miesiąc ciąży coraz bardziej.

Jakaś bezrozumna siła ciągnie go przez morza i lądy do świata, z którego wyjechał z takim pośpiechem. W panice niemal. Lecz tamten świat zdążył już zapuścić korzenie w jego duszy.

Nie, to nie było tak. Nic się nie wydarzyło.

Nie warto o tym wspominać, było, minęło, więc nie ma już o czym mówić.

Mężczyzna patrzy w okno, w myślach wylicza prace, którymi musi się teraz zająć. Będzie piękny dzień, co prawda trochę pada, lecz wkrótce się przejaśni, widać po kształcie chmur, to tylko kwestia czasu. Pomyśl o czymś przyjemnym, o tej dziewczynie, którą spotkałeś zaraz po przyjeździe do Londynu. W ubiegłym miesiącu. Czy dwa miesiące temu? Jak ten czas leci.

Leci, nie leci, pomyśl o tej cudnej dziewczynie i o tych dużych, czerwonych rybach na podwórzu pałacu, pod mostkiem. Właśnie, ten mostek, to było najlepsze. Niezapomniane przeżycie. Zapalasz papierosa, rozsiadasz się wygodnie w fotelu i przypominasz sobie, jak zachodzące słońce kładzie się na powierzchni stawu i rozświetla drżące jak weneckie zasłony płetwy karpi. Znowu czujesz na plecach barierkę, gdy ona przywiera do ciebie, czujesz jej gorący oddech i jej język w twoich ustach. Zapach mięty. Dłonie pod płaszczem. Odkryte, ciepłe ciało między majtkami a pończochami. Cudowne.

Przez głowę mężczyzny przebiega inny obraz, dziwny krajobraz, zimny i lekko zaśniewony, scena, której nigdy nie widział. Odsuwa ją od siebie.

I znowu, dłoni na krawędzi pończochy i skóra dziewczyny, tak ciepła, ależ ona ciepła i miękka, mięciutka, chyba drugiej takiej na świecie nie ma. Przypomnij sobie ją, związanych z nią wspomnień nie powinno ci zabraknąć, z tą dziewczyną. I jak przez cały czas się uśmiechała, nie tylko ustami, lecz również oczami. Już Duchenne odkrył, że tylko ów sięgający oczu uśmiech budzi w duszy słodkie uczucia. Kiedy to było? W 1862? Czy 1882?

Cholera, jakie to ma znaczenie, co się kiedy wydarzyło, nie chodzisz już do szkoły, nie zastanawiaj się nad tym teraz, kiedy w twoich ustach drży język tej cudnej dziewczyny, a twój palec spoczywa na małych kwiatach jej majtek, na pewno są na nich kwiatki, małe, niebieskie kwiatki, a teraz ich płatki pokrywają się rosą, ho, ho, czy to ty sprawiłeś tymi swoimi niezgrabnymi paluchami, pąsowe ryby podpływają pod powierzchnię, obracają się, patrzcie na to czarujące dziewczę, twój palec płonie w niej, a ona nie mówi nie, nie ta dziewczyna...

A może i mówi, gdy chowa język i opiera się czołem o twoją szyję, bardzo cicho mówi nie, ale tylko dla pozorów, uśmiecha się, teraz już lekko odchyła głowę w tył, oczy ma zamknięte, lecz cała jest uśmiechnięta, brwi ma właśnie tak ściągnięte, jak trzeba...

Myśl o niej, pal papierosa i myśl o moście i o tym dzikim aniele, tak różnym od tych północnych królowych lodu,

budzącym w duszy najprawdziwszą słodycz, tak ciepłym i miękkim, dyszącym namiętnie i miętowo... Tej kruszyncy tam też kupowałaś cukierki, miały eukaliptusowy smak, ale mogły też być i miętowe, kto by te wszystkie smaki spamiętał, nie próbuj sobie nawet przypominać, dzieciom kupuje się słodycze, jej matka bardzo się z tego cieszyła, ale co to ma do rzeczy, wracaj na most, tam ci dobrze, wracaj na most, nie myśl o tej kobiecie i jej dziecku, nic cię z tymi ludźmi nie łączy.

Nie, nic z tego nie będzie! Geolog postanawia wracać do pracy. Jego stół ugina się od interesujących, zagranicznych rozpraw.

Dlaczego miałby jeszcze myśleć o tym kraju? Trzeba zapomnieć o zimnie, o lodzie i o niebieskich cieniach ośnieżonych drzew. Most jest lepszy. Albo ostroga. Kiedy był mały: wojskowa muzyka, lody, pewnie stawia kroki w zdrowym, morskim powietrzu. Słodki zapach fajki i ciepłych kasztanów. Dłoń ojca, z której wylatuje moneta: *Patrzcie na chłopaka, złapie i z zamkniętymi oczami, nie mam z nim żadnych szans! Sami spróbujcie, ile byście nie rzucali, zakładam się o piwo, że złapie, szatan mały!*

Mężczyzna uświadamia sobie, że tęskni za domem. Za rodziną i przyjaciółmi. No przecież, to jasne jak słońce, mówi sobie w duchu. I odczuwa ulgę, bo wreszcie zrozumiał powód swego dziwnego niepokoju.

Rzuca się w wir pracy i kończy dzieło w ciągu dwóch tygodni. Wreszcie jest wolny.

Lecz powrót do Dublina niczego nie zmienia. Wesołe spotkania z przyjaciółmi stają się coraz rzadsze. Mężczyzna przestał być miłym kompanem, jego duszę zasnuł ponury mrok polarnej nocy.

- Musiał się biedaczysko w coś wplątać. To jakaś poważniejsza historia. Inaczej taki by nie był - żałą się nad nim przyjaciele w „Brazen Head” albo w „Pałace Bar”.

- Właśnie, nie chowałby się po kątach - mówią. Zdumieni i nieco na niego obrażeni, że nie zwierza się im już tak, jak



kiedys. W zamyśleniu zapalają papierosy: Nic, tylko siedzi i roi jakieś posępne myśli nad tymi swoimi dziwacznymi kamieniami...! I później, po drugim czy trzecim piwie: A może znalazł tam sobie jakąś kobietę wśród tych Eskimosów?

Oczywiście, że próbuje. Stara się możliwie najdokładniej opisać im życie na Północy - im, mieszkańcom zielonej wyspy. Ale o zimie potrafi tylko milczeć.

O śniegu i lodzie, który zawładnął nim od środka, który się stał jego przekleństwem. Żyje w nim teraz zima innego kraju, choć dzieli go od niej tysiące mil. Przez nią jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie.

Mężczyzna szlifuje bruk znajomych ulic, próbuje wypełnić sobie dni, wsłuchując się w wycie wichru i odgłosy miasta, lecz coś go usztywnia, coś mu nie pozwala wtopić się w ten ludzki gwar, dać mu się ponieść. Ludzie i przedmioty dokoła zmieniają się w niewyraźne cienie. Rozumie, że tak dłużej być nie może, lecz nie wie, co z tym zrobić. Szuka pomocy w nauce. Dociera do wszelkich dostępnych opracowań o północnych szerokościach geograficznych, pragnie zrozumieć zimę i objaśnić ją innym. Jej przenikającą do szpiku kości rzeczywistość w tym jedynym kraju na kuli ziemskiej, który otaczają zamrożone morza i w którym słońce w środku zimy jest tak cholernie nisko, że człowiek rzuca na śnieg dziesięciometrowy cień.

Z rosnącym przerażeniem pochłania informacje o głębokości przemarzania ziemi i grubości pokrywy lodowej, zaczyna się bać, że wiosny i lata nie starczy, by to wszystko stopić. I coraz bardziej się boi, że już go nie wyślą więcej do Olkikumpu. Że coś stanie na przeszkodzie. Chwiejne rynki światowe, rozruchy, śmierć króla, pesymizm prezesa spółki, remont odlewni...

Już nic nie cieszy Seana O'Briena. Wieczorami ślęczy nad rozpostartymi mapami i przekrojami geologicznymi albo kontempluje obtoczone przez lodowiec bryły granitu. Nie potrafi się już bronić przed swoim szaleństwem. Zmusza się do spojrzenia na siebie oczami innych ludzi, czyni bezstronne

obserwacje na swój temat. I rzeczywiście, cóż to za żalony widok: odludek, który bez przerwy pisze sentymentalne listy do żony drugiego mężczyzny. I nie wysyła ich.

Lecz przecież nie można mówić na głos o związku, którego nawet nie ma. Który istnieje tylko w jego głowie. Przecież kobieta wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie jest w najmniejszym stopniu nim zainteresowana. Dlaczego miałyby być? W końcu ma już rodzinę, ma przystojnego, sympatycznego mężczyznę i śliczną córeczkę. Ułożone, wygodne życie, w którym obcy nie mają nic do szukania. Absolutnie nic.

Ale potem przychodzi list.

A raczej - zwykła karta pocztowa. Zdjęcie kopalni, na odwrocie kilka linijek. Dwa miesiące po jego liście z podziękowaniami. Ton pozwalający mieć nadzieję. To coś więcej niż czysta grzeczność. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Może nie przy pierwszym czytaniu. Lecz im częściej mężczyzna się nad nim zastanawia, tym wyraźniej wyczuwa w nim tęsknotę: *Wszyscy bardzo się ucieszymy, jeśli zobaczymy Pana tutaj znów latem, Panie O'Brien.*

Ale jednak: dwa miesiące! I ta oficjalność: Panie O'Brien.

Mężczyzna po raz pierwszy od długiego czasu idzie z przyjaciółmi do baru, sporo wypija. Później w nocnym klubie poznaje prawdziwą piękność, długonogą dziewczynę z kawiarni Bewleya. Zaczynają się regularnie spotykać. Tak się szczęśliwie składa, że Eilis jest przesympatyczna i doskonale się rozumieją. Mężczyzna myśli, że powoli zapomina o zimie na Północy, choć zdarza mu się jeszcze zaniemówić w połowie zdania, a co jakiś czas śni mu się ten sam sen, w którym gubi się w śnieżycy i upada w zaspę obok wielkiego, białego ptaka.

Ptaka rozpościera skrzydła. Przeszyte metaliczną żółcią słońca wyglądają jak firany w oknie płonącego domu.

## Olkikumpu, czerwiec 1935

Początek lata, ale ranek jest szary i zimny jak ołów.

Kobieta siedzi przed biurem kopalni na trawniku, na jednym ze skandynawskich złożów zieleńca. To nie byle co, ten zieleniec, stwierdzono bowiem, że w ultramaficznych skałach wulkanicznych, powstałych z pradawnej lawy i popiołu, występują takie ilości siarczku niklu, że można je uznać za rudy niklowe. Kobieta siedzi na trawniku, drżąc z zimna, a do tego jest niewyspana. Dla zabicia czasu bawi się patykiem martwą ryjówką.

Siedzi i czeka, kłuje bezwładny kłębek sierści, który jeszcze niedawno był żywym zwierzęciem. Ryjówka. Nie rozczuła się nad nią, w tej chwili potrafi i może tylko czekać.

Mogłaby co nieco o ryjówkach opowiedzieć, jest kobietą czytana i wie sporo o rzeczach, o których tutejsi mieszkańcy nawet nie słyszeli, lecz teraz wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia.

Czeka.

Nic innego już się nie liczy.

Czeka na mężczyznę, który posiadał wszystkie tajemnice ziemi. Nie byle jaka to wiedza, ponieważ ma wielką wartość praktyczną: rudy można wykorzystać, przetopić na pieniądze i miejsca pracy, na postęp. I zniszczenie. Wiedza o życiu i śmierci. Władza.

Lecz kobieta widzi w niej poezję.

Poezją są zdania, które jej powierza, niuanse, w których nie wolno się pomylić. Nazwy, których nie można zastąpić żadną inną.

Jest wiele rodzajów wulkanizmu. Gdy skorupa ziemską była cieńsza, płynne produkty wulkaniczne wybijały na powierzchnię ziemi. Z głębi ziemi były tysiące kilometrów sześciennych komatytowej lawy, która zastygła w ciemną, ciężką skałę. Minęło kilkaset milionów lat i miejsca rozdarcia

się skorupy ziemskiej wypełniły morza i ciśnienie wody sprasowało przybrzeżny piasek w kwarcyt.

Wulkanizm. Skorupa ziemi. Erupcje lawy.

Jakie piękne słowa. Zupełnie inne, mocne, namiętne.

Vida Harjula powtarzała je w kółko od jesieni, wciąż od nowa. Powtarzała przez całą długą zimę, jak zakłęcia. Przeczytała o kamieniach wszystko, co wpadło jej w ręce. Przekopła się przez złoża geologicznej leksyki, przetopila ją w twardą wiedzę.

W końcu to moja praca, przekonywała samą siebie, widząc zdziwione spojrzenie bibliotekarki, gdy poprosiła ją o pozwolenie pójścia do magazynu po stare, nieaktualne już podręczniki geologii.

To moja praca! Wiedzieć. Diabazyt można poznać po włóknach feldspatu, które łączą się ze sobą, jak splecione w modlitwie palce... Gdy promień światła pada na powierzchnię nieprzezroczystego kamienia, do oczu trafiają jedynie te barwy, te długości fal, których kamień nie zatrzymał w sobie...

Za to będą mi latem płacić! Że wiem wszystko o temperaturze panującej głęboko pod skorupą ziemską i o ciśnieniu, które zmienia skałę. I o erozji pod wpływem lodu i wody. Wiatru i gwałtownej burzy. O potędze czasu i sił natury, z którymi nikt nie może się mierzyć.

Ludzkiego pragnienia przekształcania środowiska nie nazywa się erozją. To ewolucja, postęp. Nie ma w sobie już nic poetycznego, lecz kobieta przyznaje, że ma wobec postępu dług wdzięczności.

Bez niego nie byłoby jej teraz tutaj. I bez kanału Kaarmesalmi, którego przekopanie w 1908 roku wymagało zakrojonych na szeroką skalę prac ziemnych. Natrafiono wówczas nad strumieniem na olbrzymi głaz narzutowy, który robotnicy uznali za odłamek meteorytu. Lecz w końcu sprawa oparła się o Komisję Geologiczną i uczeni rozpoznali w próbce dobrą rudę miedzi. Na poszukiwania skały macierzystej, od której oderwał się rzeczony meteoryt, wybrał się inżynier Otto Craig. Znalazł ją w słynących z kwarcytów i skał ultramaficznych wzgórzach Olkikumpu, nie miał co do tego

żadnych wątpliwości.

Zaczęły się programy badawcze, pomiary magnetyzmu, wiercenia w podłożu skalnym. Pod zachodnim stokiem najwyższego wzgórza figa z makiem. A ten pas kwarcytów między blokiem skalnym na północy a żyłą łyszczyku? Tak, jak chcemy posunąć się do przodu, trzeba go będzie przewiercić. To miało ich sporo kosztować. Do tego część urzędzeń nie nadawała się do użytku. Trudności i przeciwności losu zdawały się nie mieć końca. Zwątpienie. I nie wiadomo skąd, nowe siły i nieszablonowe, niespotykane dotąd rozwiązania: nie bacząc na przebieg moreny, zdecydowano się przenieść badania na formację rudonośną Kaarmekoski. Pomysł był szaleńczy, a ryzyko ogromne, ale się opłaciło: w maju 1921 roku nawiercono złożę. Tam, gdzie spodziewano się znaleźć gnejsy, natrafiono na wachlarzowatą formację skał wulkanicznych, przecinającą całe wzgórze Olkikumpu. Miedź i nikiel. Zdaniem największych optymistów wystarczająco dużo, by założyć kopalnię.

Najstarsi mieszkańcy okolicy robili, co mogli, żeby do tego nie dopuścić. Kamieniste wzgórze zawsze było miejscem przeklętym, zamieszkałym przez złe duchy, które karały każdego, kto się zapuścił w ich rewir. Przypominali, co się wydarzyło na początku stulecia nieszczęsnym wieśniakom, którym zachłanny dziedzic kazał przekopać i wykarczować swoją część wzgórza na pole. Łopaty natrafiły na kości ludzkie. Nie trwało długo, jak chłopci, jeden po drugim, zaczęli ginąć nagłą śmiercią lub najzwyczajniej w świecie przepadać bez wieści. Na ludzi padł tak wielki strach, że dziedzic dał za wygraną i zarzucił przedsięwzięcie.

Na niedoszłym polu pojawił się nauczyciel biologii z Helsinek, który w czasie letnich wakacji parął się archeologią. Zabral ze sobą dziewięć czaszek, kilka kości i parę ozdób. Za zgodą dziedzica zawiózł je do Helsinek w celu dokładniejszego zbadania. Lecz i on zginął, nim zdążył przygotować raport, i o znaleziskach na długie lata zapomniano. Dopiero po śmierci dziedzica spadkobiercy znaleźli w jego domu skrzynię z kośćmi i odesłali ją do instytutu archeologicznego. Tam ustalono, że ozdoby pochodzą z pierwszego tysiąclecia po Chrystusie. Kości

były szczątkami bardzo drobnych ludzi o niespotykane wydłużonych czaszkach. Zaraz też i archeolodzy zażądali dostępu do Olkikumpu, lecz projekt budowy kopalni był już wtedy w bardzo zaawansowanej fazie.

Państwo jako właściciel złoża weszło do spółki z połową udziałów. Lecz prace posuwały się naprzód leniwie. W kraju brakło wiary i pieniędzy.

Próbki złoża były tak mizerne, że wielkie przedsiębiorstwa zagraniczne nie przejawiały nim większego zainteresowania. Przyjechał się z nimi zapoznać także przedstawiciel niemieckiego koncernu stalowego Kruppa, lecz nie był zachwycony. Wydobycie w kopalniach ówczesnego lidera światowego rynku niklu, kanadyjskiej spółki Inco, było wystarczające, a poza tym Kanadyjczycy chcieli utrzymać ceny na korzystnym poziomie.

Po roku namysłu siostrzana spółka Inco, firma Mond z Anglii, przysłała do Olkikumpu swojego geologa. Po jego wizycie zarząd spółki zaczął przychylniej patrzeć na przedsięwzięcie. Po sześciu miesiącach negocjacji podpisano umowę. Okres dzierżawy ustalono na czterdzieści lat.

Do Olkikumpu zawitał postęp. Wieś się przebudziła, zaczął się okres żywiołowej rozbudowy. Wszystko się zmieniało, nie tylko na ziemi, ale i pod nią. Trzeba było postawić biura, fabrykę, więcej mieszkań. Robotnikom musiały wystarczyć drewniane baraki, ale dla wielkich panów zza morza trzeba było stawiać domy z tynkowanej cegły. Do wsi dotarły takie cuda, jak centralne ogrzewanie, bieżąca woda i kanalizacja. Zbudowano restaurację, klub dla dżentelmenów i kino. I sklepy, gdzie można było kupić czerwoną lemoniadę i skórzane lakierki na potańcówki. Do wsi zjechały wszystkie automobile świata, więc trzeba było przebudować drogi. Zatrudniono nauczycieli i tłumaczy. Powstały publiczne sauny, o których zaczęły krążyć niezliczone plotki.

Ale o tej porze dnia wszystko jest sensowne i stateczne. Nikomu nigdzie się nie spieszy. Mężczyzna wreszcie się zjawia, podaje

jej rękę, pyta oficjalnie o samopoczucie, po czym pochyła się zainteresowany nad jej znaleziskiem: ma czas nawet na taką błahostkę, jak martwy przedstawiciel miliardowej armii owadożerców.

- Martwa?

Vida Harjula czerwieni się i kiwa potakująco głową.

- Biedactwo.

- Tak pan sądzi? - kobieta śmieje się krótko, nerwowo. - Ma pan pojęcie, jakim mordercą jest to stworzenie? Gdyby człowiek miał taki apetyt, jak ta maleńka ryjówka, nie miałby nawet czasu na chwilę snu. Musiałby bez przerwy jeść, każdego dnia przynajmniej dwieście kilogramów, żeby choć trochę się nasycić. Tak nienasycony głód uczyniłby z człowieka przerażającą bestię.

Mężczyzna zdejmuje okulary, wyciera szkła w róg koszuli. Od kącika oka do ucha widać cienką kreskę, odcisnięty ślad oprawki.

- Nie wiedziałem. Naprawdę.

Unosi okulary pod światło, jeszcze raz przeciera, zakłada z powrotem na nos.

- Bez okularów niczego nie widzę - mówi i pochyła się nad martwym zwierzątkiem. - W tym względzie przypominam tę pani ryjówkę. Jestem prawie ślepy.

I zaskoczony nagłym spostrzeżeniem, że osobnik tak żywo zainteresowany najdrobniejszymi szczegółami, jak on, może być obciążony podobną wadą, dodaje:

- Parę wieków temu zapewne już bym nie żył.

Sean o'Brien nie jest szczególnie wysoki. I choć nie ma jeszcze trzydziestu lat, jego ciemne włosy są już tu i ówdzie przyprószone siwizną.

Vida Harjula dziękuje dobremu losowi za tę martwą ryjówkę: Pomyśleć tylko, że mogła mu powiedzieć coś, o czym ten jeszcze nie wiedział.

- Człowiek wyposażony w instynkt ryjówki napadałby każdego napotkanego na swojej drodze człowieka i pożerał go na miejscu żywcem: atakował od tyłu, wydierał oczy, mózg i płaty żywego jeszcze mięsa, wgryzałby się w zdobycz całym

ciałem. Nieważne, czy byłaby to żona, dzieci, matka czy krewny...

Mężczyzna rzuca kobiecie przelotne spojrzenie, uśmiecha się już z lekkim niedowierzaniem:

- Skąd pani to wszystkie wie?

- Gdzieś przeczytałam. Morduje z zimną krwią, choć sprawia wrażenie maleńkiego, strasznie miłego zwierzątka. Morderca nie musi być wcale duży. Ryjówka potrafi upolować kilkakrotnie większą od siebie mysz albo żabę.

- Mysi Kuba Rozpruwacz. A ja myślałem, że ryjówki są owa-  
dożerne...

Kobieta strzepuje grudki ziemi z dłoni i nagle sobie uświadamia, że mężczyzna śmieje się z jej nauczycielskiej pasji.

- Pan mi nie wierzy. Sądzi pan, że sama to sobie wszystko wymyśliłam.

Mężczyzna spogląda na nią ponownie, uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Co się z panem dzieje, panie o'Brien?

- Nic. Po prostu miło panią znów widzieć po długiej przerwie. Nic się pani nie zmieniła.

Kobieta jest jednak trochę rozczarowana. Nie jego wyglądem, lecz sposobem mówienia. Całą tą sytuacją.

Czego się wobec tego spodziewałam?

Czego?

- Pan mi nie wierzy - mówi.

Nie odwraca oczu.

- Wręcz przeciwnie, nie zwątpiłem w pani słowa ani przez chwilę - zapewnia mężczyzna i przysiadła na trawie obok kobiety.

- Nie mogę się po prostu nadziwić rozległości pani wiedzy. Kiedy pani zdążyła to wszystko wyczytać? Prowadzenie domu, dziecko i w ogóle...

- Oszczędzam na sprzątaniu. W naszym domu panuje najczęściej okropny nieporządek. Nie jestem chodzącym ideałem gospodyni.

- I pani mąż się o to nie gniewa?

- Nie skarży się.



- Musi być zatem szczęśliwy. Choć domyśliłem się tego sam, dużo wcześniej.

Kobieta obciąża sweter. Ranek jest mglisty i szary, za chwilę pewnie zaczną padać.

- I pani również jest szczęśliwa, prawda?

- Tak, jestem.

- Tak myślałem. Widać to po pani. Ma pani w sobie niespożytą radość życia. To mi się podoba. Wywarła tym pani na mnie wielkie wrażenie ubiegłego lata.

Kobieta wsuwa dłonie głęboko w kieszenie swetra. Wstała zbyt gwałtownie i trochę zakreśliło się jej w głowie.

- Chyba nie ma co czekać. Możliwe, że praktykanci jeszcze nie przyjechali.

Mężczyzna nie spuszcza wzroku z kobiety:

- Widziałem już panią wczoraj z okna swojej kwatery. Była pani na spacerze z córeczką. Piękne dziecko. Podobne do pani. Może zabierze ją pani kiedyś ze sobą?

- Nie wytrzyma takiej długiej drogi.

- Wtedy ją poniosę. Zrobię to z największą przyjemnością.

- Dzisiaj nie przyjdą. Nie przekazali im, więc poszli gdzie indziej - mówi VIDA HARJULA.

- W porządku.

Sceptyczne milczenie.

- Pójdę sobie - odzywa się kobieta. - Co tu po mnie, kiedy nikt nie przyjdzie.

- Przyjdą na pewno. Po prostu się spóźniają.

- My *w tym kraju* mamy zwyczaj przychodzić o umówionej porze.

Poprzedniego lata mężczyzna wzbudzał powszechne oburzenie swymi ciągłymi spóźnieniami, których nie potrafił niczym wytłumaczyć: pół godziny w tę czy w tamtą, cóż to za różnica.

- Czy to naprawdę taka straszna zbrodnia? Co za nią grozi? Utrata praw wyborczych?

- Zaufania całego społeczeństwa - odpowiada kobieta. - Jak ktoś taki ma dzieci, zabierają je do domu sierot, a do kartoteki policyjnej idzie wpis.

- Godna podziwu luterańska cnota.
- Nie stać nas na celtycką swobodę.
- Punktualność nie pozostawia miejsca na niespodzianki.

A czego normalny człowiek nie oddałby za ślepy traf? Życie bez niepewności nie jest nic warte.

- Nic?

-Nic.

Mężczyzna spogląda na zegarek, zatrząskuje wieczko. Na grzbiecie kościstej dłoni widać siatkę niebieskich żył i kilka czarnych włosów. I malutenką bliznę.

- Nie zawsze się spóźniam. W rzeczy samej, oboje przyszliśmy dzisiaj przed czasem. I ja, i pani.

- Może pan poczekać w biurze, wziąć pod lupę te swoje kamienie - mówi VIDA HARJULA. - Nie będzie się panu czas dłużył.

- Nie dłuży mi się - odpowiada geolog i wyciąga z kieszeni papierośnicę. - Jakże mógłby mi się czas dłużyć, kiedy pani opowiada mi fascynujące historie o szalenie niebezpiecznych dra pieźnikach. Pożerających żywcem swoje ofiary. Wielokrotnie większe od siebie. Zanurzających zęby w żywym mięsie... Pani to potrafi opowiadać, aż boję się siedzieć obok pani. A cóż dopiero kontynuować tę nieudolną próbę uwiedzenia pani.

Uśmiecha się. I częstuje papierosem. Kobieta nie pali. I nie rozumie, dlaczego Irlandczyk mówi tak dziwnie. Ubiegłego lata był milczący, niemal nieuprzejmy. Flirt do niego nie pasuje.

- Dowcipny pan dziś, panie O'Brien.

- Bynajmniej. Z bólem serca uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie konkurować z dowcipem pani męża. Nie rozumiem fińskiego, lecz przecież słyszę, jak potrafi rozbawić swoich ludzi. Mówiąc szczerze, straciłem wszelką nadzieję i zaczynam się bać, że moje kamienie tylko panią nudzą. I że znudziła się pani tłumaczeniem, bo nie mówię o niczym innym poza kamieniami. Mogę się założyć, że co wieczór żali się pani swojemu wspaniałemu mężowi, iż ma po dziurki w nosie gabro, diorytów, łyszczyków, gnejsów, skał wulkanicznych...

- Za to mi płacą.

- Zgadza się, lecz nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Czy ja panią nudzę?

W bramie pojawiają się inżynier kopalni i dwóch praktykantów. Chłopcy sprawiają wrażenie zaspanych i nieszczęśliwych z powodu rozpoczynającej się praktyki.

- A co za różnica? - odpowiada pytaniem kobieta, jest nieco zakłopotana.

- Zasadnicza - mówi mężczyzna. - Inaczej bym przecież nie pytał.

Ciągnie ją ukradkiem za rękaw swetra. Inżynier kiwa głową na powitanie. Geolog odpowiada po fińsku. Nauczył się zdumiewająco wielu słów i zwrotów po fińsku i wypowiada je niemal bez zająknięcia.

Kobieta czuje na grzbiecie dłoni szorstki dotyk tweedu. Jej krocze przeszywa ostry ból. A więc to było tylko pożądanie? - myśli Vida Harjula nieco rozczarowana. Powinna już umieć je rozpoznawać. Znać krótszą i dłuższą drogę do tej pułapki.

- Lubię kamienie, nie mam nic przeciwko nim, panie o'Brien - mówi.

- Wystarczy Sean, jeśli można prosić. Ostatecznie przepracowaliśmy razem całe ubiegłe lato. Jesteśmy już dobrymi znajomymi.

Praktykanci gapią się na nich z nieskrywaną podejrzliwością.

- Przepraszamy za spóźnienie - bąkają.

Kobieta nie zadaje sobie nawet trudu, by przetłumaczyć.

Milczy. Śmiać się czy płakać?

- Zgadza się pani? Proszę mi mówić Sean. A pani ma na imię Davida, prawda?

- Skąd to panu przyszło do głowy? Wszyscy tu nazywają mnie Vidą.

- Spytałem buchaltera.

- W takim razie niech będzie.

- No więc, szykuje się poszerzanie sztolni - mówi nieco za głośno inżynier.

Kobieta spogląda na niego ze złością: nie ucz księdza pacierza, zawsze robiłam to, co do mnie należało, choćby się ziemia waliła, i teraz też nie będzie inaczej, ustawiaj sobie tych smarkaczy, jak chcesz być taki ważny, ale ode mnie się odczep.

Niespiesznie tłumaczy zdanie.

- No i moglibyśmy obejrzeć sobie te rudy - ciągnie inżynier, siląc się na pojednawczy ton.

Lecz widać wyraźnie, że jest rozdrażniony. Tak to jest, gdy mężczyźni muszą omawiać robotę za pośrednictwem kobiety.

Człowiek może się nie wiadomo jak starać, a zawsze coś wyjdzie na opak.

- Tak że gdyby pan o'Brien znalazł chwilkę czasu...?

Oczywiście, nie ma problemu - zgadza się mężczyzna - to też możemy zrobić, oczywiście pod warunkiem, że Davida nie pogńiewa się za tę drobną zwłokę?

Davida?

Aha. Takie buty.

Kobietę ogarnia znajomy ból. Myśli o sobie. O tym, co w sobie nosi.

O szaleństwie, o demonie, który ją opętał i nie opuści jej aż do śmierci.

O tym, że przez całą zimę myślała tylko o Irlandczyku. O tym, w jaki sposób mówił jej o kamieniach. O ich wilgotnym połysku i chropowatej powierzchni, o tym, że mimo pęknięć zachowują twardość. Że są w stanie wszystko znieść.

Oczywiście, to tylko gra wyobraźni. Pozory i halucynacje, pod którymi kryje się wieczny głód wszystkiego, co nowe i niespotykane.

Mężczyźni się oddalają. Vida zostaje, kobietom do kopalni wchodzić nie wolno. Przynoszą pecha.

Przez otwarte okno przygląda się kobiecie Isidor Haarla, naczelnik biura. Przywołuje ją machnięciem ręki.

- Obliczam właśnie, jakie jest prawdopodobieństwo, że w Ziemię uderzy meteoryt - mówi. - Od pięciu miliardów lat nie wydarzyło się na tym polu nic godnego uwagi, tak że można powiedzieć, iż napięcie rośnie.

- Na pewno.

Kobieta nie chce z nim rozmawiać.

- Trafi. Nie trafi. Trafi. Matematyka jest niesłuchanie precyzyjna, może mi pani wierzyć. Najmniejszy błąd i... bum!... Potrafi sobie pani wyobrazić, co się dzieje, gdy meteoryt zderza

się z ziemią?

Nie, kobieta nie potrafi i nie chce sobie tego wyobrazić.

- Przebija powierzchnię ziemi i znika pod powierzchnią. Zo staje po nim tylko mała dziura. Potem nic. Przez pewien czas może się wydawać, że nic się nie stało.

Naczelnik biura wychyla się przez okno z rękoma uniesionymi jak kaznodzieja.

- Zalega ciężka, złowróźbna cisza... Aż nagle rozpętuje się piekło! Wszystko zależy oczywiście od wielkości meteorytu, lecz w najlepszym razie powierzchnia ziemi wybrzusza się jak gliniana bańka o średnicy dziesiątków kilometrów, po czym zaczyna pękać i rozstępować się, a ze szczelin tryskają olbrzymie ilości pyłu i skał. Piekło, mówię pani. Czy potrafi sobie pani to wyobrazić?

- Nie wiem.

- Pani mąż by potrafił. Podobny efekt wywołuje ścięta kula. Eero Harjula to wyborny strzelec. Nie robi mu różnicy, czy strzela z karabinu, czy z pistoletu. To nadzwyczaj rzadka umiejętność.

- To prawda.

- Trzykrotny mistrz okręgu. Niebywałe osiągnięcie.

- Być może.

- Pani to nie imponuje?

- Jak najbardziej.

- Wiem, co pani myśli, pani Harjula. Doskonale wiem.

Wie?

Naprawdę wie?

Że trawi ją tak wielkie pożądanie do irlandzkiego geologa, iż w fantazjach widzi już siebie z nim na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi kamienisku ze spódnicą pod szyją. I tylko dlatego, że mężczyzna jak nikt umie opowiadać o fazach topienia się lodowca i o sedymentacyjnych złożach złota w skorupie ziemskiej Finlandii.

Że uniesienie, w którym kobieta przez całą zimę tańczyła między biblioteką a domem, okazało się zwykłą, ordynarną chucią, niczym więcej.

- Myśli pani, zupełnie jak ja: Dlaczego w Olkikumpu nie ma

już brązowego żołnierza? Witryna w naszym oddziale samoobrony świeci bez niego smutną pustką. Trochę się martwimy o pani męża.

- Przepraszam, co?

- Brązowy żołnierz, statuetka niemieckiego strzelca. Nagroda przechodnia, z której byliśmy tacy dumni. Zdobył ją z marszu trzy razy pod rząd. A teraz nie bierze nawet udziału w zawodach. Potrafi pani powiedzieć, co mu się stało?

- Mój mąż stracił zainteresowanie reprezentowaniem oddziału samoobrony z Olkikumpu, odkąd ważniejsza stała się dla was rywalizacja o rekord świata w obsadzaniu mrowisk.

- A to ciekawe.

- Nie dla mnie.

- Bo odniosłem wrażenie, że akurat tą dyscypliną pani mąż nie gardził.

- Co pan próbuje mi powiedzieć?

Isidor Haarla uśmiecha się, nie odpowiada.

Boże Świąty, że też go tu trzymają! - dziwi się w duchu Vida Harjula. Tego faszystę. Zdumiewające, jak daleko może zajść na tym świecie nikczemny maniak z dobrą pamięcią do cyfr.

Pójdę, myśli kobieta. Nie będę na nich czekać. Powiem, że musiałam iść do domu, sprawy rodzinne. Cokolwiek. Nie pozwolę się już ranić. Za duży ból. Rozczarowanie. Nie chcę pożądać. To takie poniżające, tak nie można.

Rusza do wyjścia, nie żartuje; chyba tak właśnie trzeba zrobić, o to właśnie chodzi.

Idzie energicznym krokiem, jest dumna z siebie, potrafi być zdecydowana, do niczego nie doszło, dzięki Bogu wszystko jest tak, jak zawsze.

Znów jest wszystko dobrze.

*Zatrzymaj się i przygotuj na najgorsze. Nic nie rób, tylko się zatrzymaj i czekaj.*

*Nie.*

*Zatrzymaj się.*

*Nie. Nie chcę, ja się nie zgadzam!*

Lecz nie ma wyjścia, trzeba się zatrzymać. Szary ranek spowiła osobliwa cisza. Umilkły ptaki, kot, który przed chwilą jeszcze mył się na schodach biura, znieruchomiał i wpatruje się przed siebie.

Zwierzęta przeczuwają śmierć. Vida Harjula to wie.

Odwraca się.

Szary kot przywarł do ziemi i zamarł, wygląda jak posąg z marmuru. Cisza jest zbyt gęsta, nie z tego świata.

*Nie! Nie, nie, nie.*

*Jeszcze nie. Nie teraz. Nie on.*

W tej samej chwili, w której Vida Harjula rzuca się biegiem w stronę szybu, czuje pod stopami fale eksplozji, czuje je w nogach, w podolku, wstrząsają szydlerczo jej ciałem, jej prądami i wulkanizmem, jej cienką skorupą i komatytową lawą.

- Nie! - krzyczy.

*Jeszcze nie. Nie w ten sposób.*

Przebieg wydarzeń był potem dokładnie analizowany, wiele razy. Relacje w zasadzie niczym się od siebie nie różnią, poważnie naruszono prawie wszystkie przepisy bezpieczeństwa: osoby nieupoważnione na wyrobisku, beztroska, bezmyślność.

Grupa przybyła do sztolni tuż po górnikach z dziennej zmiany, którzy przynieśli pobrany z prochowni sprzęt i szykowali się właśnie do uzbrojenia patronów.

Inżynier podpytywał o otwory strzałowe i usłyszał gdzieś, że nocna szychta zdażyła je przygotować: *Tak, zgadza się, dziesięć otworów jest już załadowanych, nie ma obawy, za chwilę pieprznie, że aż krcy i karcze polecą!* Wesoły strzałowy otworzył nową paczkę lontów i gwizdząc *Międzynarodówkę*, sięgnął po kostkę dynamitu.

Widząc to, Irlandczyk zaczął się denerwować i dopytywać, dlaczego górnik umieścił zapalnik na spodzie, lecz nikt z obecnych nie znał dobrze angielskiego i nie potrafił wyjaśnić,

że zdaniem strzałowego otwór jest bardzo duży, że jak się chce odstrzelić taki kawał skały, dwudziestopięciometrową ławę za jednym zamachem, nie można żałować dynamitu.

Geolog krzyknął: Nie! po angielsku i fińsku, cofnął się dwa kroki, dając rękoma znaki niebezpieczeństwa, lecz górnik albo go nie zrozumiał, albo mu nie uwierzył i bezstrosko pogwizdując, zaczął wpychać ładunek laską w otwór. Nie zdążył wepchnąć więcej niż dwa metry, gdy patron eksplodował.

Najciężej ranny był strzałowy. Wybuch zdarł mu skórę głowy do gołej czaszki, zmasakrował twarz i uszkodził płuca. Mężczyzna zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Jeden praktykant stracił ucho, a spory odłamek skały uszkodził mu ramię. Inżynierowi, który w ostatnim momencie próbował złapać górnika za dłoń, wyrwało kość śródrezcza i tryskająca z rany krew pobrudziła Irlandczyka, który ciągnął zszokowanego mężczyznę z powrotem na poziom.

Mija wieczność, nim pierwsza winda wyjeżdża na powierzchnię. Wszyscy znajdujący się w niej ludzie są skąpani we krwi. Jeden z praktykantów jest w szoku, płacze rozdierająco, powtarza w kółko: Jezus, Jezus. Drugi jest poważniej ranny, stracił przytomność. Lecz Irlandczyk stoi o własnych siłach, ma obie ręce i całą twarz. Szkła jego okularów są upstrzone maleńkimi kropkami krwi, lecz i one jakimś cudem są całe.



Koniecznien chce odwieść mnie na lotnisko. Chłopcy też się z nami zabierają, siadają z tyłu, kłócą się o komiks i układają listę prezentów, o których nie wolno mi za nic w świecie zapomnieć. Baseballówki z napisem NHL. Los Angeles Kings i Pittsburgh Penguins. W najgorszym razie New York Rangers.

- Skoro musisz jechać do tej Irlandii, to jedź - powiedział mi mąż, gdy mu opowiedziałam, co mi strzeliło do głowy. - Pozwól nam jednak odwieść cię na lotnisko. Zrób nam tę przyjemność.

Zrobiłam.

Wyszykował się jak na wesele. Wyprasował koszulę i wysmarował policzki wodą po goleniu, którą mu kupiłam. *Heritage* Guerlaina, kiedyś była za słodka, jak na mój gust. Sprzątnął z samochodu opakowania po hamburgerach i puste butelki po coli, czego wcześniej nigdy dobrowolnie nie robił.

Będzie mi ciebie brakować, powtarza w tej starannie wyprasowanej koszuli wiele razy podczas drogi.

- Bardzo brakować, Iris.

- Dla mnie Pittsburgh Penguins, mamó, ale dla niego nic - mówi młodszy. - To głupek.

- Dobrze wiedzieć, kochanie - odpowiadam, lecz obracam się do dzieci, uśmiecham się.

Mąż rzuca mi przelotne spojrzenie. Kocham cię, kocham, kocham, mówią jego smutne oczy.

Z ukłuciem bólu w sercu dostrzegam w jego gęstej, ciemnej czuprynie siwe włosy.

- Siwiejesz.

- Wiem. Od trzech lat.

- Nie zauważyłam.

- To też wiem.

Jestem wstrząśnięta, nie mam pojęcia, co powiedzieć. Czy to może być prawda? Że już od lat mu się nie przyglądam? Co on mi próbuje powiedzieć?

Trzy lata. W pracy od świtu do nocy. Ledwie wchodził do domu, ale wszyscy dokoła mówili, jaki wesoły i sympatyczny z niego gość. Facet, który umie cieszyć się życiem. Zakochany w dzieciakach, tak jak one w nim. A mimo to już siwieje, w wieku trzydziestu sześciu lat. Jak gdyby chciał tą swoją siwizną się poskarżyć, że stała mu się krzywda, że on też coś stracił. Właśnie: zatracił się, gdzieś się strasznie zagubił.

- Powiedziałeś od trzech lat?

- Tak powiedziałem.

- Celowo mi to robisz? Czy jesteś po prostu głupim gnojkiem?

- Nie wiem. Przepraszam.

Chłopcy szarpią się ze sobą jak dwa szczeniaki. Starszy ma dziesięć lat, skóra zdjęta z ojca: z natury sympatyczny, lubią go wszyscy bez wyjątku, choć nawet o to nie zabiega. Gdziekolwiek pójdzie, zawsze znajduje kolegów, a starsze panie wciskają mu garściami cukierki. Do przesady troszczy się o innych, o mnie, tatę, braciszka, nawet o dziadka. Za to młodszy jest jego zupełnym przeciwieństwem: tak bezczelny i wojowniczy, że aż strach. Wiecznie posiniaczony. Albo brwi popalone od zakazanych zabaw z zapalkami. Chłopiec, który jest jak ogień. I który w trakcie największych wygłupów potrafi szybko wdrapać mi się na rękę, ścisnąć twarz swoimi małymi, brudnymi rączkami, obdarować ognistym, rozkochanym spojrzeniem. Teraz też co chwilę wyciąga do mnie rączki i ściska mnie tak, że aż mi tchu w piersiach braknie.

- Jak wy, biedaki, dacie sobie radę beze mnie? - pytam szczerze zaniepokojona.

- Nie damy rady - odpowiada młodszy. - Będę płakał cały czas.

- Akurat! Nie wierz mu, mamó!

- Nic nam nie będzie - odzywa się ich ojciec. - Będziemy grać w domu w hokeja, kłać i opychać się parówkami z nogami na stole, jak prawdziwi faceci.

- Hurra! - zapala się młodszy.

- Niedoczekanie wasze!

Mój ojciec nie przepuszcza żadnej okazji, by przypomnieć mi

o tym, jakie niesłychane spotkało mnie szczęście, że urodziłam synów, a nie córki. Jest święcie przekonany, że o wiele łatwiej wychować chłopców. Przy dziewczynkach trzeba się tyle *nawryy-wać*, jak mówi, lecz nie chce sprecyzować, co to ma oznaczać. Bardzo się boję, powiedziała kiedyś Vanamo, że ojciec próbował oderwać nas od naszej najgłębszej natury, czyli od czegoś, do czego sam nie miał nigdy dostępu.

Może to prawda: ojciec nigdy nie pogodził się z tym, że jego dzieci wyrosły na kobiety. Niewykluczone, że wszyscy ojcowie są w tym do siebie podobni. I że zadaniem matek jest im objawić drugą stronę prawdy.

Siedzę w milczeniu, oglądam brunatnoszare pola, które niczym nie zapisują się w pamięci. Przejeżdżamy obok sklepu spożywczego; na schodach stoi dwoje ludzi z siatkami, na smyczy pies. Kobieta poprawia mężczyźnie szal. Dlaczego inne pary zawsze wyglądają tak, jak zakochane, beztroskie podlotki?

- Nie martw się o nas - mówi mąż. - I nie haruj jak wół. Po traktuj ten wyjazd jak przygodę.

W tonie jego głosu wychwytyuję jakieś ożywienie. Jak gdyby w skrytości ducha cieszył się, że wyjeżdżam.

- Jak przygodę?

- Wiesz, o co mi chodzi.

Rodzicielstwo zobowiązuje, o pewnych ukrytych sprawach nie wolno mówić przy dzieciach. Odczuwam nagle, bezsensowne pragnienie dotknięcia jego dłoni na kierownicy, chcę mu powiedzieć, by nie brał poważnie wszystkich słów, którymi ostatnio zatrulałam mu życie.

Lecz powstrzymuję się i mówię co innego:

- Chłopcy nie powinni już jeździć na rowerach. Robi się ślisko.

- Nie będą - odpowiada mi. - Nie martw się. Podczas twojej nieobecności będę ich strzegł jak oka w głowie.

W międzynarodowym terminalu helsińskiego lotniska, w kolejce do wejścia B2 dostrzegam mężczyznę, który do złudzenia przypomina mojego ojca. Chudy i prosty jak tyka, po pięćdzie-

siątce. Kręcone, siwe włosy, pociągła twarz, dołek w podbródku. Rogowe okulary. Patrzy na mnie i się uśmiecha. Nawet w tym uśmiechu jest coś znajomego, choć nie potrafiłabym sobie wyobrazić ojca uśmiechającego się do kogoś zupełnie obcego.

W ogóle uśmiech nie należy do mimicznych zasobów mojego ojca.

Nigdy nie żył zbyt dobrze z ludźmi. A już najgorzej z nami, własnymi córkami. Ile musiałyśmy się napocić, by go zadowolić, a i tak często wszystko się kończyło całkowitym nieporozumieniem. Do najgorszego starcia, do prawdziwej nocy długich noży, doszło z Vuokko na cmentarzu.

Vuokko w dzieciństwie była kompletną wariatką, w co teraz, patrząc na stateczną dyrektorę banku, bardzo trudno uwierzyć. W wieku dwunastu lat całowała się już z czterema chłopcami. Jeden był ze szkółki niedzielnej, a reszta to były flejtuchy z naszej okolicy. I wcale się tego nie wstydziła. Wręcz przeciwnie, chwaliła się, jaka to z niej rozpustnica. Pewnego razu Vanamo znalazła na śmietniku przy blokach parę magazynów dla kobiet i gdy za głębiłyśmy się w artykuły o zdrowiu, uświadomiłyśmy sobie smutną prawdę: nasza siostra jest nimfomanką. Ma chorobliwie niezaspokojone potrzeby.

Wzięłyśmy Vuokko na rozmowę.

Poskutkowało: przestała nawet rozmawiać z chłopcami. Bo po co w ogóle otwierać jadaczkę, skoro i tak nie można robić tego, co się chce.

Ale z ojcem poszło jej dużo gorzej. Vuokko pyskowała o najmniej drobiazg. Najczęściej o pieniądze. Bo nie mogła chodzić na konie. Bo nie dostała psa. I nie pozwolił jej obciąć sobie włosów tak, jak inne dziewczyny z klasy.

Gdy Vuokko miała piętnaście lat, zaczęła pracować w jakiejś podejrzananej firemce. Za dnia obsługiwała bufet na budowie osiedla, wieczorami sprzątała po robotnikach w domkach letniskowych. Na czarno. Każdej z nas odpalała z tego małą dołą.

Jednej nocy, wracając ze sprzątania, wpadła w drzwiach mieszkania na ojca. Był już w piżamie w tygrysie paski, którą

mu kiedyś podarowałyśmy.

- Gdzie się znowu włóczyłaś?! - ryknął na nią, po czym porwał trzepaczkę i bezceremonialnie zdzielił ją po głowie.

- Do pioruna, nie po to cię wychowywałem, żebyś się teraz szwedała po nocy z jakimiś nicponiami!

- Ty się lepiej tym swoim wychowaniem tak bardzo nie chwal! Jeśli ktoś nas wychowywał, to mama!

- Mamy teraz tu nie ma!

- Nie ma, wiem. Umarła, gdybyś nie wiedział.

*Umierała w cierpieniach, ale ty nawet nie chodziłeś do niej do szpitala. Bo nie możesz znieść tego smrodu. Ty nigdy nie musisz robić tego, czego nie lubisz.*

- Zmuszasz nas do tej swojej obrzydliwej roboty, ale nigdy nie płacisz nam za nic ani grosza! *Nigdy!* I nigdy nie powiesz: dziewczyny, dobrze żeście się spisały! Nigdy nie jesteś z niczego zadowolony, nigdy nie usłyszałyśmy od ciebie jednego dobrego słowa...!

Ojciec chwycił Vuokko za włosy, próbując wciągnąć ją do domu.

- Nie będziesz mi się już więcej kurwić, koniec z tym...!

Vuokko wyszarpnęła z torebki nóż kuchenny, który Vanamo kazała jej nosić przy sobie.

*Zabij, kurwa!*

*Kurwa, zabiję!*

Krzyki zmroziły nam wszystkim krew w żyłach, wyrwały z łóżek: rzuciliśmy się do drzwi.

Cmentarz był spowity w gęsty, sierpniowy jedwab. Cykały świerszcze. Ulicą od czasu do czasu przejeżdżał pojedynczy samochód, za murem błyskały wówczas na chwilę światła. A ojciec pędził za Vuokko, byli już za kapliczką, między grobami. Albo ona gonila ojca. Wszystko było możliwe.

- Wariat, sknera, cham, morderca! - pokrzykiwała gdzieś w mroku zasapana Vuokko. - Mama miała szczęście, że umarła! Wreszcie się od ciebie uwolniła!

*Wariat, wariat, wariat...*

Mężczyzna odziedziczył po żonie pięć córek, które *syczały*.

I właśnie to niemożliwe syczenie doprowadzało go do

szewskiej pasji, trzeba było z tym skończyć, raz na zawsze.

Czymże innym była ta straszna chwila, jeśli nie buntem kaptana na statku rodzicielstwa, skazaną na niepowodzenie próbą wypowiedzenia dożywotniego angażu: ja takiej umowy nie podpisywałem, ja takiej załogi nie chciałem.

Kulminacją tamtej nocy była wizyta na komisariacie. Vuokko wbiegła tam jak obraz nędzy i rozpaczy, bosa, spocona i krzycząca, że jej szalony ojciec próbuje ją zabić. Pod bramę cmentarza zajechał patrol, przesłuchali nas wszystkich.

Ojciec na długie tygodnie pograżył się w grobowej ciszy, lecz o nocnej bitwie na cmentarzu nigdy nie wspomniął słowem. Aż pewnego ranka na ceracie w kuchni pojawiły się darmowe bilety na rejs statkiem! Do Szwecji!

Nigdy nie udało się nam dojść do tego, jak ojciec zdobył te bilety. Ale wycieczka była bardzo udana. Co prawda przez całą dobę burczało nam w brzuchach z głodu, bo wszystkie pieniądze na parówki z tłuczonymi ziemniakami przeznaczyłyśmy na czekolady Marabou i lemoniadę. I oczywiście nie miałyśmy kajuty, lecz siedzenia na pokładzie były całkiem wygodne.

A teraz nie kto inny, jak Vuokko najbardziej opiekuje się ojcem.

- Och, mówię ci, chwilami ojciec jest po prostu bombowy - zapewnia mnie siostra, gdy dzwonię do niej z lotniska, żeby się pozbyć brzęczących mi po kieszeniach drobnych. Nawet nie pyta, dlaczego dzwonię w sobotę o tak wczesnej porze. Siostrzana miłość nie ma ustalonych godzin urzędowania.

- Wprost dowcipny - jej zaspany chichot skrzypi jak nienasma-rowany rower.

Dowcipny? Czy my na pewno mówimy o tym samym człowieku?

- Pamiętasz, jak goniłaś ojca po cmentarzu z nożem? - zaga duję.

Nie, tego moja siostra nie pamięta.

Nie pamięta, choć miała wtedy piętnaście lat.

- Nigdy nie walczyłam z ojcem *w taki sposób* - zapewnia mnie.

Nie kłóć się. Zaczynamy za to jedna przez drugą wspominać letnie kolonie naszej parafii, na których byliśmy jako małe dziewczynki. Wszystko było tam dla nas takie dziwne! Nadopiekuńcze, przesłodzone opiekunki. Leżenie z termometrem w pupie, gdy inne dzieciaki podglądały przez uchylone drzwi. Niekończące się szczotkowanie zębów za karę za nasz niestosowny język. Cóż to były za męki! Jakże myśmy tęskniły do domu!

- A ojciec ma jeszcze tę kartkę, którą Orvokki wysłała mu potajemnie z kolonii. Tę, na której napisała: *Tata i misiu dom turku tu jest gupio pszyjeć po nas jusz teras zaras proszę Oruokki.*

Dziwna historia. W głowie się nie mieści, że ta kartka jednak doszła! Bez imienia i nazwiska, bez pełnej opłaty. Świat roi się od wielkich, nierozwikłanych tajemnic, a tu nagle jakiś bezimienny geniusz zadaje sobie trud ustalenia adresata kartki wysłanej przez małą dziewczynkę.

- Wiele bym dała za detektywistyczny talent tego urzędnika - mówię.

- Bądź ostrożna w tym Dublinie. I zadzwoń do nas. Nie rozmawiaj z nieznanymi. I nie chodź do pubów, co rusz podkładają tam jakieś bomby.

- Dobrze, mamu. Nie będę wyściubiać nosa z hotelu.

- Zadzwoń! Pamiętaj, że masz zadzwonić, inaczej będziesz świnią.

- Zadzwonię.

- I jeszcze coś...

-No?

- Jak tam się wam układa z Ilarim?

- Szkoda gadać. Czego byś się spodziewała po ludziach, którzy właśnie się rozwodzą?

Vuokko przez chwilę nie mówi nic.

- Jesteś zbyt surowa.

- Nie jestem.

- Zupełnie jak ojciec.

- Wariatka?

- Za dużo od ludzi wymagasz... Mam nadzieję, że zmądrzejesz na wyjeździe, nabierzesz trochę dystansu.

- Marzenie ściętej głowy.

Westchnienie. Bezkompromisowość młodszej siostry jest dla Vuokko niepojęta, mimo że jest przecież bardzo bystrą babką.

- Baw się dobrze. Ostrożnie, ale dobrze.

- Będę.

Odkładałam słuchawkę i zastanawiam się przez chwilę, czy nie zadzwonić do ojca. Nasz ojciec to ranny ptaszek, zdążył już na pewno wstać, wypić kawę i zrobić poranny spacer, i pewnie siedzi właśnie przy maszynie i coś pisze. Spojrzałam na mężczyznę, który tak bardzo mi go przypomina, znów się do mnie uśmiechnął.

- Uściskaj ojca ode mnie - powiedziała ciotka Natalia w nowo czesnej hali dworca autobusowego Olkikumpu. - I nie zapomnij mu powiedzieć, że wszyscy tu jesteśmy z niego strasznie dumni.

Gdy przekazałam ojcu pozdrowienia, dziwnie zmienił się na twarzy i bezceremonialnie ulotnił się z pokoju. Po chwili wrócił, ordynarnie - jak zawsze - bluźniąc na tego idiotę administratora, który próbuje mu zabronić pisania na maszynie w nocy, bo nie potrafi zrozumieć, że czasem jest to konieczne.

Czy to nie wtedy nagle zdałam sobie sprawę, jak mało wiem o swoim ojcu? O jego dzieciństwie, o jego życiu przed nami i przed Cmentarzem?

Bałyśmy się jego cholerycznego charakteru. Człowiek nigdy nie wiedział, w jakim jest nastroju. Najzwyklejszy chichot w nieodpowiednim momencie mógł nam przysporzyć trzech godzin karnej pracy.

Ale nie zawsze.

- Siódemka to liczba doskonałości - wyjaśniała ojcu bez zająknięcia Orvokki, gdy zapytał o ocenę z pilności w jej dzienniczku pierwszoklasisty.



Spodziewaliśmy się wybuchu straszliwego gniewu, ale nic się nie wydarzyło. Ojciec tylko westchnął i pokiwał głową, podpisał się pod spodem i cisnął dzienniczek do najwyższej szuflady w kuchni, gdzie spoczywały już w wiecznym pohańbieniu nasze bezlitośnie wyszydzone świadectwa. Zamiast dziesiątek śmieszne dziewiątki i zupełnie niezrozumiałe ósemki.

Tak. Nasz ojciec nie rozdawał uśmiechów. Zamykał się w świętym milczeniu, pochłonięty dziełem zbawienia ludzkości z niezachwianym przekonaniem, że to właśnie on jest ostatnią nadzieją stojącego na skraju przepaści świata.

Ale było, minęło. Co ja próbuję sobie udowodnić? Że ojciec zrujnował mi życie, że to jego trzeba winić za wszystkie moje niepowodzenia? Że moje małżeństwo się rozpada, bo przeżyłam dzieciństwo w strachu przed cieniem ojca, żebrząc o głupie słowo podziękowania, którego nigdy nie uznał za stosowne wypowiedzieć?

*To mówisz, że siódemka to liczba doskonałości... ?*

Dlaczego zawsze szukam wokół siebie niedociągnięć, zaglądam w brudne kąty, zamiast się zachwycać, jak jest pięknie, jak wszystko się udaje? Trzeba pamiętać o zaletach ojca, o nieprzewidywanych przyływach ciepła i radości, o tym, jak na świątecznych imprezach w szkole wyróżniał się w gronie nijakich, łysiejących i tłustych ojców swoją wyprostowaną, smukłą sylwetką... Na własne oczy widziałam, że gdy składał z moimi chłopcami model samolotu, twarz miał czystą i spokojną, promieniującą czułością i zrozumieniem. Mogę też zaświadczyć, że gdy chce, potrafi być także taktowny i uczynny, potrafi okazać zainteresowanie. Może wobec tego wina leżała po naszej stronie, mojej i sióstr? Czy myśmy ostatecznie kiedykolwiek coś dla niego zrobiły? Ojciec kocha muzykę, umie grać na gitarze, harmonii i flecie, marzył mu się kiedyś dziewczęcy kwintet, no, niechby i tercet - a tu żadnej z nas nie chciało się nigdy nauczyć nawet czytania nut. Nic dziwnego, że się rozczarował. Pięć opornych, nieposłusznych córek to surowa kara i ciężkie brzemie dla mężczyzny, tym bardziej, gdy musi je wychowywać bez pomocy żony. W końcu zapewnił nam dach nad głową. Miałyśmy co jeść i w co się ubrać. I na

koloniach strasznie tęskniłyśmy do domu.

Telefon nie odpowiada. Prawdopodobnie wyciągnął wtyczkę z gniazdka, żeby nikt nie przeszkadzał mu w pracy niepotrzebnymi rozmowami.

Nagle robi mi się przykro, że będąc ostatnio u ojca, nie uści-  
skałam go, tak jak prosiła ciotka Natalia. Że w ogóle nie  
pamiętam, bym go kiedykolwiek objęła i przytuliła.

Wzdycham i wrzucam drobne do kieszeni. Przez chwilę stoję  
bezzadnie, patrzę przez szybę na zaśnieżone, brudne  
samochody i kołujący samolot. Najsmutniejsza pora roku:  
zasy rosną z dnia na dzień, robi się coraz zimniej i ciemniej.  
Lecz zaledwie cztery godziny stąd czekają na mnie zielone  
pastwiska i pasące się spokojnie zwierzęta.

Siadam i czekam, kiedy wreszcie złączą nas wpuszczając do  
samolotu.

## **Olkikumpu, sierpień 1935**

W ciemni, do pleców Natalii, może to wreszcie powiedzieć:

- Chyba jestem zakochana.

- A to heca.

- Czy to straszne?

- Zależy, jak leży - odpowiada z mrocznej bezcielesności ciemni Natalia, nie przerywając pracy.

- Tak czy nie?

- Tak. Nie. Straszne.

Może powinna była powiedzieć: Nie, nie jestem zakochana. Jestem deszczem. Jestem wiatrem. Jestem burzą, co wyrывa drzewa z korzeniami. Woda z mojego topniejącego serca, która tak długo we mnie wzbierała, wreszcie zerwała tamy. A woda musi płynąć. Musi zalać wszystko.

Jednak nie mówi tego, lecz cichym, bezradnym szeptem pyta:

- I co ja teraz zrobię?

- No właśnie.

Głos Natalii jest ciepły i spokojny, nie ma w nim przygany. Możliwe również, że całą jej uwagę pochłania wywoływanie naświetlonych kliszy srebrnych. W końcu to bardzo precyzyjna robota. Vida Harjula podziwia sprawność szwagierki, z zachwytem śledzi pewne ruchy jej dłoni. Natalia uwija się szybko, lecz nigdy nie robi niczego na łapu capu, niczego nie upuszcza, nie rozlewa. Jest całkowitym przeciwieństwem Vidy, lecz nigdy bratowej nie strofuje, nie robi przytyków do jej roztrzepania, nie mówi, że za swoje kłopoty, na które co rusz się uskarża, może winić wyłącznie samą siebie.

- Myślałaś kiedykolwiek o innym mężczyźnie niż Janne?

- W jakim sensie?

- No wiesz.

- Niech się zastanowię... No, myślę czasem o stryju Paulu,

który umarł w jezusowe lata na dyfterię.

- Byłaś w nim zakochana?

- W jakimś stopniu pewnie tak. Miałam dziewięć lat, gdy przyszedł jego czas.

- I ciągle za nim tęsknisz?

- Ja wiem, czy to można nazwać tęsknotą? Czasem, jak się kładę spać, przychodzi mi do głowy taka myśl, że siedzę u niego na kolanach, kiedy on gra w szachy. Siedzę sobie jak gdyby nigdy nic, opieram się o niego, pachnie od niego fajkowym tytoniem, aż wtem, bijąc królową, drugą dłoń jak gdyby nigdy nic wsuwa mi pod spódniczkę.

- Jezus, Natalia! Zrobił ci tak kiedyś?

- Nie. Ale przecież wolno sobie wyobrazać.

Oczywiście, że wolno. Pewnie, czemu nie.

- Ale ta twoja historia, to chyba coś poważniejszego? - pyta.

- Chyba tak. Tak.

- Chcesz zostawić Eero?

Natalia stoi w ciemnej poświacie skrzyconej lampy gazowej, lecz twarz pozostaje w ciemności, niewidoczna i zamknięta.

- Nie wiem.

- Harjule to paskudny ród - odzywa się Natalia. - Wpadają w szal, jak ich ugodzić w to miejsce, to ich czuły punkt...

Tak. Vida dobrze o tym wie. Chyba Natalia nie sądzi, że Vida ma jakieś złudzenia? Że Eero podpisze papiery rozwodowe z fajką w zębach, że pomoże jej spakować walizkę i przyjdzie pomachać im na dworzec, życzyć szczęśliwej podróży i zadba o to, by jego córka dostała miejsce przy oknie obok swojego nowego taty...?

Nie, nie byłyby to koniec ich małżeństwa, lecz początek długiej wojny.

- Czy on, ten człowiek, znaczy się, poprosił cię, żebyś z nim wyjechała?

Vida wzrusza ramionami.

Szczerze? Nie.

Nie poprosił. Tak daleko sprawy nie zaszły. Do tej pory rozmawiali tylko o kamieniach.

O turmalinowych żyłach w granicie. O pasmach serpenty-

nitów. O kruchym łuszczyku. O dolomitach.

O południowo-wschodniej ścianie głównego szybu, gdzie dolna część złoza osiadła na serpentynicie i odgięła się ku górze, tak że serpentyny wyglądają w tym miejscu jak błyszczący, nieco porysowany pancerz...

O wybuchach prehistorycznych wulkanów, o tym, jak gorące jest jądro Ziemi.

O kamiennym kręgu w Stonehenge, który wygląda tak, jakby giganci bawili się klockami, a potem zapomnieli je ze sobą zabrać. O budowli wzniesionej przez jaskiniowców z ważących dziesiątki ton bloków, gdzie słońce pada pod dokładnie obliczonym kątem w dniu przesilenia letniego i zimowego.

O piramidach.

O murze chińskim.

O Hernandezie Principem, katolickim księdzu, pogromcy bałwochwalstwa, który całe życie poświęcił walce z pogaństwem na stokach Andów i któremu po długich poszukiwaniach udało się odnaleźć ciało bogini Tanty Carhuy. Zakopanej żywcem przed wiekami królewskiej córki, która wmarznięta w skałę zachowała nienaruszone, delikatne ciało i piękną, spokojną twarz:

*Teraz możesz mnie uśmiercić, ojcze, nie wyobrażam sobie większej chwały, niż zostać złożoną dla Ciebie w ofierze...!*

- Eero nigdy Cię nie puści - mówi Natalia.

Nie puści, nie. Choć wie, że tak byłoby lepiej, przyznaje Vida Harjula.

- Ma swoją godność. Będzie na mnie wisiał, choćby nie wiem jak się mną brzydził.

- Przecież on się Ciebie nie brzydzi.

- Traktuje mnie dobrze, to prawda. Nie mogę się uskarżać. Nie jestem żoną chama, który znęca się nade mną od rana do wieczora. To wszystko nie przez Eero, tylko przeze mnie. To ze mną jest coś nie w porządku. Od zawsze.

To ta *tęsknota*, która musi być jednym z objawów mojego szaleństwa.

To nieznośne pragnienie odejścia, które przeradza się już w przymus.

Musi odejść. Musi zobaczyć nowy świat, nowe domy, ulice, musi wciągnąć w nozdrza nowe zapachy. Spotkać ludzi zupełnie sobie obcych, otworzyć drzwi, nie wiedząc, co za nimi znajdzie.

A inne zamknąć. Uciec. Szukać. Nieważne, czego, ważne, by szukać, by cały czas czegoś szukać.

- Harjule się nie rozwodzą - odzywa się Natalia, bardziej zamysłona niż urażona.

- Nie. Wiem o tym.

Wyraźniej niż kiedykolwiek Vida Harjula widzi otwierającą się przed sobą długą, ciernistą drogę i z żalu nad sobą wybucha łzami. I dziwi się, że tak długo kazały na siebie czekać.

- Co ja zrobię, Natalio, powiedz, co?

Szwagierka rozjaśnia lampę, wyciera dłonie we wsunięty za pas ręcznik.

- Potrzymaj to zdjęcie. Za krawędzie. Za chwilę przyjdę.

Vida zlizuje czubkiem języka z górnej wargi słoną łzę. Co by zrobiła bez Natalii, przyjaciółki, która nigdy nie traci głowy, której drzwi są dla niej otwarte o każdej porze dnia i nocy? Bezustannie czymś pochłonięta i energiczna, policzki zawsze czerwone, jakby dopiero co skądś przybiegła do domu, a pojęcie niespodziewanej wizyty dla niej nie istnieje, zawsze ma na kuchni świeżo upieczone bułeczki.

Natalia wraca z ogromnym albumem. Kładzie go na stole, odbiera fotografię z rąk bratowej i dramatycznym gestem, niczym dyrektor cyrku, odsuwa zasłonę.

*Voild, madame!*

Wzory tapet. Kwiaty i paski. Angielskie krajobrazy w barwie świeżej ostrygi. Rozgwieżdżone niebo.

Szwagierka schyla się, wyciąga z szafki dwie kryształowe szklaneczki, nalewa po brzegi śliwkowego wina.

Próbują w ciszy, Natalia przewraca karty.

- Co byś powiedziała na mały remont?

- Bo ja wiem...

- Ostatni krzyk mody, przyszły z Helsinek w ubiegłym tygodniu!

Niebieskie i różowe, eteryczne lamperie. Dziewczynki w fal-

bankowych spódniczkach z obręczami. Winogrona w zielonej wazie.

- Taką bym chciała u nas w saloniku. A ta pasuje do pokoiku dziecięcego - mówi Natalia. - Janne mógłby wytapetować i u was.

- Piękne...

- Ale nie?

-Nie.

Szwagierka zamyka album.

- W takim razie to poważna sprawa - mówi. Wyciąga papiery, które czasem popala w tajemnicy przed mężem. - Mamy tu chyba prawdziwy kłopot.

Szklaneczki są puste. Natalia nalewa kolejną porcję.

- Zawsze mogę zostać pijaczką - mówi posepnie Vida Harjula.

- To już coś - przyznaje Natalia.

Ściąga buty i kładzie stopy na krześle.

- Mogłabyś mieć dzieci, a nie chcesz - mówi. - Ja bym chciała, a nie mogę.

Tak to jest. Los nie dla wszystkich jest jednakowo łaskawy. Powiedzmy sobie szczerze, życie nie jest bajką.

- Może to dlatego, że Janne ma tak nieprzyzwoicie wielką pychę - ciągnie szwagierka. - Przede mną był z jedną taką biuralistką, mieli się pobrać, ale kobiecie pewnego razu tak się paskudnie wygięła macica, że nie pozwoliła się już Jannemu dotknąć. Nie chciał jej wierzyć. Powiedział, że nie zgodzi się na unieważnienie zaręczyn z tego powodu, ale ona przedstawiła zaświadczenie od lekarza, że ma zgiętą macicę, i się skończyło. Ja nie poszłam do lekarza. Co by to dało?

- Mój Boże!

Otwierają się drzwi, do środka wślizguje się Kruszyńka i patrzy ciekawie na kobiety.

- Co wy tu robicie?

- Zalewamy robaka - odpowiada córce Vida.

- A ciocia pali papierosa - mówi Natalia, chcąc wypaść przed dziewczynką nie gorzej niż jej matka, która myśli o cudzołóstwie i rozbiciu rodziny.

Dziewczynka tuli się do matki.

Natalia uśmiecha się blado. Vida zbliża twarz do szyi dziewczynki i delikatnie dmucha, Aino wybucha perlistym śmiechem.

W albumie z tapetami kołują stada zielonych i brązowych ptaków, w tle płyną bawełniane obłoki wiecznego lata. Dziewczynka bezszelestnie zsuwa się na ziemię i znika bez słowa wyjaśnienia. Równie tajemniczo, jak się pojawiła.

- O czym myślisz? - pyta Natalia z chmury tytoniowego dymu.

- O Genii. O pierwszym mężczyźnie, którego miałam.

- Tęsknisz?

- Nie. Tylko myślę.

- Rozumiem.

- Czy to ja go zabiłam? Nigdy się nie dowiem.

Natalia parska śmiechem. To znak, że jest poruszona do głębi.

- To on nie spadł z jakiejś przeklętej wieży?

- Spadł. Ale dlaczego był tego dnia taki nieostrożny?

Szwagierka siedzi cicho, waży usłyszane słowa.

- Coś mi się wydaje, że próbujesz wziąć na siebie rolę Przeznaczenia.

- Możliwe. Ale nie wiem. I nie będzie mi to dawać spokoju po grób.

- Co takiego strasznego się wtedy wydarzyło?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

Oczy Vidy znów wypełniają się łzami. Kobieta zbiera jednak resztki godności; o takich rzeczach przystoi mówić spokojnie.

- Nie, bo tego ranka mnie nie było. To znaczy, widzisz... ciało było, ale mnie nie było. To mi się czasem zdarza. Zawsze wcześniej budziłam się pierwsza, parzyłam nam kawy, zanim... sama wiesz, byliśmy małżeństwem dopiero dwa miesiące... Ale tam tego dnia obudziłam się później. Genia zdążył już wyjść.

Natalia śmieje się krótko, w jej głosie pobrzmiwa jeszcze nieśmiała nadzieja:

- U nas coś takiego nazywa się zaspaniem. Byłaś zmęczona i



dłużej sobie pospałaś.

- Nie. To było coś innego. Byłam po prostu wyczerpana, nie miałam nawet siły podnieść się z łóżka. Znów błędziłam gdzieś daleko, poza tym przeklętym ciałem. Na poduszce była krew. Po tym zawsze poznaję.

*Oni w to wierzyli. Wierzyli niezłomnie, że bogowie gór za swoją przychylność żądają ludzkiej krwi. Tak im mówili szamani. Że góra domaga się ofiar, że obrzędu mogą dopełnić jedynie wiedzący - czarownicy, którym bogowie dali zdolność odrywania się od ciała, którzy drżąc na całym ciele i tocząc pianę, potrafią się przenieść do innej rzeczywistości, skąd przynoszą odpowiedzi dla zagubionych ludzi...* Natalia jest zbита z tropu, nie wie, co odpowiedzieć. Owszem, mówi coś, ale to nie ma większego sensu. Hipoteza, kontrhipoteza, cisza. Ona, która bierze wszystko na zdrowy, chłopski rozum i rzadko się myli, zbłądziła teraz na ścieżki, gdzie drogowskazy przestały być czytelne. Chyba powoli zaczyna rozumieć, jaka czeka ją przyszłość, życie z obłąkaną bratową, czające się na każdym kroku nieprzewidziane niebezpieczeństwa, na nią i na naj - bliższych Vidy, na dzieci i sąsiadów, którzy odtąd będą musieli nieustannie mieć się na baczności.

- Kiedy ty... kiedy cię nie ma - pyta Natalia - to gdzie j esteś?

- Nie wiem - odpowiada Vida. - Nigdy nie pamiętam.

- Nie pamiętasz? Nic?

- Absolutnie nic. Niczego potem nie pamiętam.

Na końcu jest krew. Zawsze. A na początku niejasne przeczucie, ale co jest między nimi, nie ma pojęcia.

*Gdy król zobaczył, jak piękną będzie miał córkę, postanowił złożyć ją w ofierze. Urządził wielką uroczystość na jej cześć, a potem dziecko zaprowadzono na wysoki szczyt, spuszczone do głębokiej groty i zasypano wejście, grzebiąc ją żywcem...*

- Nieszczęsny Genia - mówi kobieta. - Na pewno dostał udaru mózgu. Jak w końcu zobaczył na własne oczy i zrozumiał, jaki krzyż na siebie wziął, dla kogo tak się zaharowuje.

Natalia mamrocze coś o przesadzie, ale nalewa im jeszcze wina.

- A ja go ostrzegałam. Mówiłam mu, że któregoś dnia stanie

się ze mną coś dziwnego. On twierdził, że nic go to nie obchodzi. Ale kiedy wreszcie zobaczył na własne oczy...

- A Eero? Przecież nie spadł i się nie zabił.

- Ale zaczął strzelać.

- Zawsze strzelał.

- Zaczął strzelać z nimi. Choć dobrze wiedział, że ich nienawidzę.

*Niosąc kruche ciało dziecięcej bogini Tanty Carhuy w dół kamienistego zbocza, widząc jej cudownie zachowaną, słodką i, zdawałoby się, żywą twarz, Herndndez Principe zrozumiał, co mieli na myśli tubylcy, mówiąc, że składane wysoko w górach ofiary z dzieci pozwoliły na odbudowanie dobrych stosunków między członkami różnych klas społecznych i plemion. Gdy bowiem władcy poświęcali to, co było dla nich najcenniejsze, najpiękniejsze i najdroższe, dawali dowód szczerości swych intencji i tak zyskiwali posłuch.*

- Dlatego nie powinnam była nigdy urodzić dziecka. Bo ono może to odziedziczyć.

- Kruszynka?

- Bałam się oznak, ale nic nie było. Dlatego tak zaniemówiłam, kiedy w urodziny dostała tego ataku, pamiętasz? Zaraz sobie pomyślałam, że teraz mam to, na co sobie zasłużyłam, teraz Bóg mnie pokarze. A to była tylko trutka na szczury, dzięki Bogu! Pomyślałam wtedy, że taki drobiazg nie może mnie złamać...

Vida przestaje mówić. Wsłuchuje się w narastający w uszach cichuteńki szmer. Ma nadzieję, że to zmęczenie, nie wino.

- Ale drugiego dziecka nie będzie, już moja w tym głowa.

- Co zrobisz? Zamkniesz się w sypialni?

- Skądże znowu - Vida się uśmiecha. - Różne są sposoby. A ja wypróbowałam już chyba wszystkie...

Kobieta parska śmiechem, przez chwilę się zastanawia, lecz w końcu się zwierza.

- Nawet oliwiłam sobie tyłek.

Natalia bierze głęboki wdech, ścisza głos do zdumionego szeptu.

- To chyba okropne, co?

- Co ty, dlaczego? Wręcz odwrotnie.

Tym bardziej wówczas, dopowiada w myślach Vida, gdy zaraz potem wepchnął we mnie palce. Wystrzelił nagle i niespodziewanie, jak mocno naprężona skala. Ale co z tego, że było nam dobrze, kiedy jemu się *nie podobało*. Powiedział mi, że to nienaturalne. Jeszcze bardziej nienaturalne było to, że to ja wyszłam z taką propozycją, tak uważał.

- Też coś. Człowiek całe życie się uczy - mówi Natalia. - Ale skąd wytrzasnęłaś do tego oliwę?

- Ze sklepu.

- I o nic nie pytali?

- Pytali, a jakże! Która ma być, sprzedawca pyta, do czyszczenia strzelby czy do pieprzenia w tyłek? Do pieprzenia w tyłek, odpowiedziałam, no i dostałam, co chciałam.

Zdumiona Natalia unosi brwi. Vida parska śmiechem.

- No, co ty? Wzięłam zwykłej oliwki dziecięcej, głupolu.

Natalia odpowiada uśmiechem, który bije z głębi, jak czysty strumień. Jest tak zrównoważona, że potrafi przyjąć najgorsze nawet wady szwagierki, rozjaśnia je światłem swej nieskończonej cierpliwej przyjaźni. Teraz jednak jest szczerze zmartwiona. I to widać.

- A ten człowiek... czy on wie o tej twojej... chorobie? Ten, w którym...

- O niczym nie wie - odpowiada Vida. - I do niczego między nami nie doszło. Tylko rozmawialiśmy. Głównie o kamieniach. W zasadzie o niczym innym.

- O kamieniach?

-1 skałach. To są fascynujące sprawy... Wiedziałaś na przykład, że na niektórych wyspach Oceanii wodzowie ludożerczych plemion mieli w zwyczaju rzucać przed swój szałas kamienie, jeden kamień za każdego zjedzonego przez siebie człowieka... Przed chatą jednego takiego króla misjonarze naliczyli ponad pięćset kamieni...

No proszę. Bardzo interesujące. Kamienie można wykorzystywać do czego bądź i opowiadać o nich najróżniejsze historie. W to szwagierka nie wątpi, bynajmniej.

- A więc jeszcze *nic* temu człowiekowi nie powiedziałaś? -

chce się jeszcze upewnić.

- Jeszcze nie. Ale mu powiem, powiem na pewno - zapewnia bratowa. - Tylko jeszcze nie teraz.

Natalia stuka palcami w pustą szklaneczkę.

- Taaa... jesteś zakochana, jak nic - przyznaje w końcu z nie skrywaną zazdrością w głosie.

## Olkikumpu, wrzesień 1935

Kobieta boi się wody.

Jest przekonana, że strumień jest niebezpieczny. Więcej - przeklęty.

- Nie rób tego! - krzyczy. - Nie pij, bo cię zły porwie!

Stoi daleko od wody. Choć ma kalosze i ubrana jest w spódnicę w niebieskie kwiatki i gruby sweter, niesamowicie go pociąga.

Teraz? - myśli mężczyzna. Czy teraz nadszedł ten moment, czy teraz nadarza się okazja?

Ten moment.

Mężczyzna przybył z daleka, przepłynął morza, przebył kontynent. Dręczony niepewnością. Przybył i męczył się w tym kraju tyle tygodni, przez całe lato wiercił dziury w ziemi, czytał ze skał i czekał, czekał, czekał. Do wyjazdu już tak niewiele czasu, więc trzeba teraz, druga okazja już się nie trafi.

- Zły podsuwa spragnionemu człowiekowi wodę z wnętrza góry. Jeśli ją wypije, już po nim - poucza go kobieta.

- Specyficzna gościnność.

- Natalia, siostra mojego męża, mówi zupełnie poważnie, że wzgórze nie wolno było ruszać, bo kamienisko od zawsze należało do nich, do duchów ziemi, a nie do człowieka - dodaje kobieta, w jej policzkach pokazują się nęcące dolki.

- Co to za leśny czart?

Zupełnie, jakby go to interesowało. Kiedy indziej, w innych okolicznościach, lecz nie dzisiaj, nie tutaj, nie teraz.

- Duch gór. Mieszkańcy innego świata, mają siedziby w wysoko położonych kamieniskach. Nie wiem za dobrze. Pozostałości z czasów pogańskich. Ale Natalia mogłaby przysiąc, że ciągle porywają ludzi. Nie zabijają, lecz przenoszą ich do innej rzeczywistości. Do swojego świata, gdzie wszystko jest odwrotnie niż u nas.

- Ciekawe.

- Chodźmy stąd.

- Dlaczego?

Mężczyzna gorączkowo szuka ratunku. Czy ma opowiedzieć o zimie? Że ledwo ją przeżył? Że to cud, iż w ogóle starczyło mu sił, by tu wrócić i doczekać wreszcie tej chwili?

- Boję się.

- Nie ma się czego bać.

Geolog patrzy na nią zdumiony. Kobieta nie udaje. To nie gra. Strach rysuje się na jej twarzy tak wyraźnie, jak zorza polarna w spektrolocie, tylko on tego wcześniej nie zauważył.

- Jakiś profesor z Helsinek twierdzi, że to prastare miejsce kultu - kobieta poszerza zakres wykładu o archeologię.

- Orgie i uczty ofiarne?

Kobieta uśmiecha się nieco niepewnie.

- To przekłete miejsce. Ludzie tu znikają - mówi.

- Coś o tym słyszałem. Głównie zagorzali komuniści, jak się zdaje? Te wasze duchy podziemia przyłączyły się już pewnie do Kominternu.

Kobieta marszczy czoło. W jej postawie pojawia się coś odpychającego. Nagła cisza.

- Co ja takiego powiedziałem?

- Nic. Chodźmy już. Kobieta odwraca się plecami.

- Davida...?

Że też może być tak cicho. Kobieta w zaciętym milczeniu zbiera swoje rzeczy, termos i przybory do notowania, wpycha je do torby. Obraca się do niego:

- Jestem socjalistką.

Wysoko uniesione czoło, w wyrazie twarzy dostojność dramatycznego wyznania. Geolog powstrzymuje uśmiech.

- Takie buty. Dobrze wiedzieć.

Mężczyzna rozumie, że kobieta nie to chciała mu wyznać. To tylko atrapa, na której powinien się poznać, jeśli rzeczywiście jest taki bystry i wszytkowiedzący, jakiego udaje.

- Nie przeraża cię to?

- Nie. A powinno?

- Wszyscy tak mówią. Ale myślą co innego.

- Czyżby?

Takie buty. Wobec tego porozmawiajmy o polityce. Irlandczyk nie ma nic przeciwko. W sporach ideologicznych czuje się jak ryba w wodzie. Zresztą, wszystko zależy od punktu widzenia.

- Chodźmy już, zimno mi. Mężczyzna ujmuje kobietę za rękę:

- Nie wygłupiaj się. Czemu się złościysz? Czy to teraz?

Tło sceny tworzą wybudane skrzypy, gąszcz bajkowych, zielonych skrzatów. Setki milionów lat temu były drzewami, cudownie byłoby oprzeć się o ich pnie i kochać. Ale wtedy nie istniał jeszcze nienasycony człowiek i gigantyczne drzewa zdążyły obumrzeć, pogrążyć się w moczarze i skamienić. Dzisiejsze skrzypy są skarło-waciałą wersją swoich dalekich przodków, za to człowiek stał się potężny. Teraz wybiła jego godzina, myśli mężczyzna. Teraz. Jeśli zachowasz zimną krew, będzie twoja. Skruszysz jej opór. Nieustępliwy kochanek, który upracie dąży do celu. Teraz wiesz więcej, niż zeszłej jesieni. Wiesz, że nie przeżyjesz drugiej takiej zimy.

Kobieta zakrywa oczy dłońmi. Tym gestem małej dziewczynki wzrusza mężczyznę do łez.

- W wodzie jest klątwa. Szaleństwo, które we mnie wstępuje.

- Co takiego?

- Nie wiem. Woda powstaje przeciwko mnie, gdy za długo się w nią wpatruję.

Mężczyzna milknie. Teraz musi to powiedzieć: kocham, kocham, kocham, kocham, kocham naprawdę, kocham, kocham, kocham cię. Dlatego nie możesz mi tego zrobić, nie masz prawa stawać się nagle postronnym obserwatorem, nie wolno ci opowiadać niedorzecznych historii, spoglądać na zegarek i na pędzące po niebie, ciemne chmury, nie wolno ci pogardzać rozkoszami ciała, wzdragać się przed dotknięciem mnie, przed przywarciem do mnie z całych sił, wsunięciem mi języka w usta, poczuciem mej twardości i poddaniem się dzielnemu pożądaniu, które tylko ja potrafię w tobie wzbudzić!

- Coś się dzieje w mojej głowie - mówi kobieta. - Nadchodzi

burza i nie wiem, co robić.

Mężczyzna ciągle nie odpowiada. Pożądanie przeradza się w paniczny strach. Kielkująca pycha znika nagle jak kamień w wodzie. Irlandczyk patrzy na kobietę, już nie rozumie, o czym ona mówi: chyba chce, lecz nie ma odwagi. Nie, odwagi jej nie brak, ona nie chce. Nie chce, i dlatego cierpi. Cierpi, bo nie chce się całkowicie zapomnieć. Chciałaby chcieć bardziej. Lecz nie może. Bo on ma jakąś wadę. Za chudy jest. Za wolny. Ma okulary. Mówi nie o tym, co trzeba. Narzuca się. Albo ona ma jakąś wadę. Lubi się bawić w kotka i myszkę. Nie zakochała się w nim.

Mężczyzna pochyla się nad strumieniem, nabiera wody w dłoń, podsuwa jej.

- Wypij - mówi. - Przy mnie możesz śmiało pić.

Woda ścieka mu między palcami, kobieta spogląda na niego, jest zdziwiona i przestraszona.

- Nie bój się. Nie musisz się bać - uspokaja ją.

Kobieta nie spuszcza wzroku z jego mokrych dłoni, nie byłoby nawet czego się napić.

- Pij. Nic ci nie grozi - mówi mężczyzna ściśniętym głosem, zaczyna tracić nadzieję.

Kobieta się pochyla. Naprawdę się pochyla! I mężczyzna czuje na dłoni jej usta i koniuszek języka. I pierwsze krople.

- Szaleję za tobą, Davida - mówi do jej włosów.

Kobieta się prostuje, kiwa poważnie głową.

- Tak. Ale teraz czas iść.

- Dlaczego?

- Czuję, że we mnie wchodzi. Ta burza.

Mężczyzna jest zdezorientowany.

Czego ona od niego chce? Czego ludzie mogą od siebie chcieć? Od miłości? Oczyszczenia? Zmartwychwstania z gęstego bagna grzechu? Co cię dręczy, Davida? Jak się nazywa ta posepna, niewymownie smutna istota, która w tobie płacze...?

Geolog stoi tuż przy niej. Wtem Vida Harjula nie wygląda już tak promiennie jak wcześniej. W kącikach oczu pojawiły się drobne, drobniuteńkie zmarszczki: Wiesz, nie jesteś już małą



dziewczynką, o nie. I dlaczego zawsze nosisz tę samą spódnicę w niebieskie kwiaty, innych nie masz? Mąż ci nie pozwala kupić sobie nowej? Nie zależy mi na tobie tak bardzo, wiesz, wymyśliłem sobie to żalosne pożądanie. Zatraciłem w tym ponurym kraju zdolność jasnego rozumowania.

- Davida.

-Tak?

- Davida.

- Tu jestem.

Skąd mężczyzna ma tyle odwagi, że pochyła się nad nią i całuje, kobietę innego mężczyzny?

Całuje ją.

Naprawdę ją całuje.

Podczas pocałunku oczy można mieć otwarte albo zamknięte. Ona ma zamknięte, on otwarte. Kobieta przytula się do niego. Mężczyzna czyni spostrzeżenia. Teraz jest dobrze. Twoje usta są ciepłe, twoja szyja pod dłonią. Słyszysz zielony szept wiatru, słyszysz, jak strumień poleruje skałę, nasze ciała płyną w przestrzeni cięższej od wody, przestraszony ptak przesywa powietrze.

Kobieta kładzie mężczyźnie dłoń na szyję. Dotyka włosów, opuszki jej drżą; ma wrażenie, że on słucha płynącej gdzieś z dala muzyki, rytmicznie bezkształtnego, groźnie podniecającego wiersza, który pachnie krwią, mokradłem i piaskiem.

Mężczyzna jest spokojny. Chce, żeby wszystko było dobrze.

Położysz ją na ziemię. Tam będzie bezpieczna, w twoich ramionach. Nic wam teraz nie grozi. Nic, nic, nic. Będziesz ją teraz miał, odzyskasz spokój, teraz już nic nie może ci przeszkodzić. Teraz jesteś z nią, już nic się więcej nie liczy. Do diabła z odwiertami, i tak by nic nie dały, za mało niklu. Miedzi nawet na lekarstwo. Jeden przecinek dwa procent. Góra jeden przecinek trzy, za mało. Lecz ona jest taka słodka, ma takie piękne ciało, i tak bardzo chce cię mieć.

Ta chwila to pomost, który łączy ją z tobą, linia brzegowa, którą przeciął toczący się na dno ciężki kamień...

Nie, stój, przecież już wiesz, jak to się skończy. Pożądanie

kurczy się i znika, ustępuje miejsca czemuś innemu.

Srebrna nitka burzy.

Przenosisz spojrzenie na jej twarz, sprowadza cię na ziemię jej sztywniejące ciało: czujesz, jak drży, widzisz spojrzenie, którego nie ma?

Rytm odejścia.

Już jej tu nie ma, z tobą, ale nie bądź na nią zły, przecież cię ostrzegła. Bo czuła, rozpoznała oznaki. Wiedziała, co się wydarzy, lecz nadal cię chciała. Pragnęła tak bardzo, że nie dbała o to.

A ty możesz tylko patrzeć.

Gdy przychodzi burza i szarpie jej ciało, które ma jej twarz i ubranie. Oddech kobiety taje jak śnieg. Wsącza się w ziemię, w skalę, w refleksy na wodzie; jej ciało się wygina, wytrząsa z siebie. Już nie jest twoja, odeszła.

Nie gniewaj się, kobieta ma inne zobowiązanie: dawno temu wyznaczone spotkanie z pustką.

## TRZECI POZIOM

Człowiek uwolnił drzemiącą w ziemi siłę. Wydobyty z wnętrza skały uran uwalnia podczas kontrolowanej reakcji jądrowej w reaktorze niewiarygodną energię. Wszystkie działania wywołują skutki uboczne i rozszczepianie jąder atomowych nie może być wyjątkiem. Pierwiastki promieniotwórcze wymagają szczególnego traktowania i do naszych obowiązków należy troska o to, by znalazły się tam, gdzie pierwotnie były - w głębi skorupy ziemskiej.

Kalle Taipale, Jouko Parviainen,  
*Geologia naszego kraju, 1987*

*Miś jest duży, brązowy, włochaty.*

Piszą w gazecie, którą ktoś zostawił tuż obok nas na barze.

Ulubiony miś. Nieodłączny towarzysz. Taki, którego się nie zapomina, którego nie porzuca się na ulicy dla innej zabawy. Prawie taki duży, jak dziewczynka, która tuli go mocno do siebie. Idealne proporcje kadru, poważna i skupiona, niemal ściągnięta twarz. Wrażliwe, zamknięte w sobie dziecko. Zbyt nieśmiałe, by się uśmiechnąć do obcego pana z aparatem.

Misia znaleziono w Smithfield niedaleko gorzelni starego Jamesona. Policja prosi o zgłaszanie się świadków, którzy widzieli na ulicy małą dziewczynkę w czerwonej spódniczce, niosącą dużego misia.

*Teresko O'Connor, gdzie jesteś?*

- Najbardziej żał mi matki - odzywam się.

Mężczyzna rzuca okiem na *Irish Independent*, uśmiecha się smętnie.

- Czasami to bardzo mroczny kraj - mówi. - A przecież światła wiary nam nie brakuje, kościół stoi na każdym rogu.

Tak. Te kościoły.

Podczas święta ultranacjonalistycznych protestantów pięćdziesiąt osób przyglądało się z boku, jak pobito, a następnie zastrzelono młodą kobietę. Do tego wszystkiego jeszcze - epileptyczkę. Myśleli, że jest katoliczką. Ale się pomylili. Mam nadzieję, że morderca będzie cierpiał tak, jak cierpiała moja córka, powtarzała w kółko matka. Policja próbowała go odszukać, lecz sprawę załatwiono bez pomocy z zewnątrz. Pojechali po niego do domu.

Sąsiedzi widzieli, jak pod bramę podjechał ciemny samochód. Nie, rejestracji nikt nie zauważył. Nikt nie rozpoznał marki. Czarne auto, to wszystko. Mężczyzna wsiadł do środka. Próżno pytać, czy dobrowolnie czy pod przymusem. I tak nie miał wyjścia. Kazali mu się rozebrać, potem go

skatowali i zastrzelili. Strzał w kark. Jak tamta kobieta. W sprawach wiary nie wolno się mylić. Trzeba wiedzieć, kogo zabijać.

No tak, ale to było przecież w Irlandii Północnej. Tutaj wszystko jest inaczej. Inna scenografia, inna rzeczywistość. Tu, w Republice, ludzie są bezgranicznie przyjaźni, tu panuje tolerancja. Tutaj zło to sporadyczne, indywidualne akty szaleństwa, a nie opium dla mas.

- Tutaj wszystko jest inaczej - mówi mężczyzna, zdejmując okulary i przygląda się zdjęciu Teresy O'Connor. - Śliczna dziewczynka. Nic dziwnego, że poświęcili jej całą szpalnę. Masowy mord w Afryce zbyli paroma zdaniem.

- Jak można zrobić krzywdę dziecku? Dla takiego człowieka żadna kara nie będzie dość surowa - silę się na spokój. Wymawiam słowa najstaranniej, jak potrafię. Jestem zdenerwowana, ale nie chcę wyrzucić na nim wrażenia kobiety zbyt głośnej i roztrzęsionej.

- Bez wątplenia. Ale najpierw muszą go złapać. O takim człowieku można powiedzieć, że stanął twarzą w twarz ze ziemi, które w sobie nosi. I zobaczył jego konsekwencje.

- To nie zmniejsza potworności jego czynu.

- Nie, to prawda.

Potworności, nie potworności, oszalałam na punkcie tego miasta. Nie będę się wypierać. Już na lotnisku poczułam, że jestem w domu. To miasto kamieniarzy, w którym wprost się roi od pomników o niesamowicie wymownych rysach i nagrobków opatrzonych barwnymi sentencjami. W mrocznej krypcie katedry Chrystusa fałdy płaszcza żałobników wydają się tak prawdziwe, że muszę ich dotknąć, bo inaczej nie uwierzyłabym, że to marmur, a nie zwiewna materia.

Takie miasto to najlepszy lek na bolesne wspomnienia. Zielona trawa na cmentarzu Glasnevin wchłania gorycz jak gąbka. I żal. Nieokreślona chandra, którą podszyte są wszystkie małe radości. Znowu mogę oddychać. Cieszyć się życiem. Nie życiem matki czy żony, lecz po prostu - życiem. Cieszyć się dymem papierosa, który unosi się zza kamiennego muru, pobrękiwaniem filiżanek, cieszyć się z kota, który bawi się na

parapecie czerwoną pelargonią. Cieszyć się widokiem mężczyzny o lśniących włosach i odkrytym torsie, który staje przy parapecie z ręcznikiem przewieszonym przez bark, uśmiecha się i bierze kota na rękę.

Oszalałam na punkcie tego miasta, które nic o mnie nie wie, które się do mnie uśmiecha, ale nie śmieje ze mnie, ani w żywe oczy, ani za plecami. I nie uważa się nade mną.

W ciasnych uliczkach wszyscy mnie pozdrawiają, mimo że nie próbują mi niczego sprzedać. Zupełnie, jakby cieszyli się wyłącznie z tego, że postanowiłam przejść akurat ich ulicą. Czuję się ważną osobistością, znawcą architektury irlandzkich kamienic, który zechciał dać świadectwo gustownej oprawy ich sklepowych witryn.

Czasem zachodzę do środka. Pograżam się z przyjemnością w wonnej szarości piwnicy z przyprawami, w której pobłyskują złote kolczyki w nozdrzach sprzedawczyni, w antykwariacie słucham Enrico Caruso, grzejąc się przy kociołku, i choć w zasadzie nic nie kupuję, sprzedawcy nigdy nie sprawiają wrażenia zawiedzionych.

Gdy się okazało, że Sean O'Brien chętnie się ze mną spotka i że nie jest bynajmniej sklerotycznym starcem, czego w duchu się obawiałam, kamień spadł mi z serca. Nawet jeśli moje nagłe pojawienie się w Dublinie wyprowadziło go z równowagi, był tak uprzejmy, że mi tego nie okazał. Choć gdy mu powiedziałam przez telefon, że jestem z Finlandii i piszę artykuł o możliwościach składowania wysokoaktywnych odpadów promieniotwórczych w starej kopalni Olkikumpu, odniosłam dziwne wrażenie, że był autentycznie zainteresowany: Panie O'Brien, wiem, że zamieścił pan w 1936 roku w „Bullu” niezwykle interesujący artykuł o tym rejonie, a poza tym słyszałam od krewnych, że był pan kilkakrotnie w Olkikumpu i prowadził w kopalni badania geologiczne, pomyślałam więc, że może zechciałby pan znaleźć dla mnie chwilkę...?

Ależ oczywiście, bardzo się cieszę! Spotkamy się na pewno, od razu się umówmy.

Kamień spadł mi z serca: Więc chociaż pamięta. Dobry

początek. Energia jądrowa ma wiele zastosowań. Na przykład, można ją wykorzystać jako pretekst do poznania irlandzkiego kochanka babki.

Staruszek odkłada gazetę, zapala papierosa. Zezowaty kelner przynosi nam piwo. Nawet nie ma mowy o tym, żebym zapłaciła.

- Iris, masz zdjęcia swoich chłopców?

Moich chłopców? Nawet sobie nie przypominam, bym mu o nich wspominała. Cała ja, maskuję zdenerwowanie, mówiąc dużo i o wszystkim, ślizgam się po tematach i powtarzam, psując niezłe powiedzenia. Krótko mówiąc: za bardzo się staram.

Zaczerwieniona wyciągam portfel i pokazuję mu zdjęcia. Zdejmuje okulary, przeciera szkła, zakłada z powrotem.

- Poszcęściło ci się.

-Tak.

O czym tak naprawdę myśli? Szuka w twarzach moich dzieci swoich rysów czy chce po prostu zobaczyć rodzinny portret, bo takie mają tu zwyczaj?

Ośmielona jego inicjatywą, wyciągam inną fotografię, podaję mu.

Kobieta na poduszkach. Jedna ręka pod głową. Wyraźnie widoczna obrączka. Odkryta pierś. Nabrzmiała. Bardzo biała. I mlecze, *Taraxacum officinale*, a właściwie mniszki lekarskie, które nie były wyłącznie przysmakiem mamutów, znaleziono je również w Danii w żołądkach ofiar bagiennych. Śpiące dziecko. Kępka ciemnych włosów. Szeroki, płaski nos. Osobliwa buzia. Dopiero co się urodził, dosłownie przed chwilą. Ojciec. Ojciec nasz, który jest wariatem. Ale ta kobieta! I ten jej uśmiech. Plonie niczym pochodnia. Ma przy sobie wszystko, czego kobieta potrzebuje do szczęścia. Odwzajemniona miłość. Pokonany ból. Uroda. Zadowolenie. Przyszłość.

W dniu, w którym zginęła jej córka.

Jakie wspomnienia ta fotografia budzi w tym człowieku?

Czy w jego umyśle drgnęły cienie przeszłości, czy ożyły posta-

ci w niemym filmie pamięci? Górnik wychodzi do pracy, tylnymi drzwiami zakrada się kochanek, na podwórkowej huśtawce buja się dziecko, w przód i w tył, w przód i w tył, hałasuje wrębiarka, po niebie pędzą chmury, w trawie pełźnie żmija, mąż coś podejrzewa, upija się jak furman, pali go wściekłość i żądza zemsty, a dziecko... no właśnie, co robi dziecko, co robi kochanek, co robi kobieta, co robi jej szwagierka?

- Piękne zdjęcie - odzywa się.

Głos mu się nieco załamał, czy tylko mi się zdawało?

- Vida Harjula, moja babka.

- Tak, znałem ją.

- Znał pan również Eero Harjule?

Głupie pytanie. Prymitywne. Ale jak inaczej miałabym rozpocząć to przesłuchanie? Czy znał pan mojego dziadka, panie o'Brien? Czy był pan w dobrych stosunkach również z moim domniemanym dziadkiem, czy też skupił się pan wyłącznie na pieprzeniu mojej pięknej, świętej pamięci babki, kiedy jej mąż tyrał pod ziemią w kieracie zmianówki? Albo jeszcze lepiej: Czy mam zatem rozumieć, panie o'Brien, że jest pan moim dziadkiem, zaginionym pewnego dnia bez wieści? I kto przyczynił się do śmierci sześćioletniej dziewczynki tego samego dnia, w którym przyszedł na świat jej braciszek i niewykluczone, że pański syn? Tego samego dnia czy w nocy, kiedy uznał pan, że najlepiej zrobi, jak ucieknie z kraju? Wiem, w zasadzie nic mi do tego, jeśli nie brać pod uwagę tej drobnostki, że człowiek lubi wiedzieć, czyje geny w sobie nosi. Może się pan uśmiechać pod nosem, proszę bardzo, ale skoro już o tym mowa, to naprawdę nie ma się z czego śmiać, bo mówimy o trzech oszukanych pokoleniach.

- Niezbyt dobrze. Nie mieliśmy wspólnego języka.

Przepraszający uśmiech. Głowa lekko oparta o ścianę pokrytą kwiecistą tapetą. Czarujący staruszek. Czarujący mężczyzna. W szarym tweedzie i szalu o barwie burgunda. Elegancki do końca. Nie jak u nas w domach starców, ludzie w wytartych dresach. Ale nie czas na sentymenty. W tonie pańskiego głosu pobrzmiwa nieładne samozadowolenie,



pomruk zwycięskiego jelenia. Mnie pan oczu nie zamydli. Jestem teraz policjantką. Detektywem w spódnicy. Na tropie zbrodni, która się nigdy nie przedawni.

A więc mąż i kochanek nie mogli ze sobą rozmawiać, jeszcze lepiej. O czym zresztą? O podłożu skalnym. O kopalni. O spowodowanym przez przepuklinę bólu korzonków. O kobietach.

Nie, zdecydowanie lepiej, że nie rozmawiali. Dziadek Harjula nie sprawiał wrażenia człowieka, który by przystał na zadowolający obie strony podział stref użytkowania. Finowie nie mają w sobie tyle radości życia. Wręcz przeciwnie, zastawszy obcego mężczyznę w łóżku żony, popadają w melancholię tak głęboką, że dobywają noża i lądują w więzieniu, gdzie dalej jeszcze pogłębiają swoją melancholię, aż do osiągnięcia kosmicznej depresji. W tej konkurencji, w zabójstwach z miłości, jesteśmy niekwestionowanymi mistrzami Europy. Nie znaczy to bynajmniej, że nasi mężowie kochają swoje żony bardziej niż inni, albo że są źli. Nie, Fin oddałby bliźniemu swoją ostatnią koszulę i chodziłby nawet nago - byle tylko mógł zachować swój *honor*. Lecz Boże przenajświętszy, miej w opiece tego, kto choć zdraśnie jego męską dumę!

- Ależ, na Boga, mów mi po imieniu. Nie chcę się czuć jak le ciwy starzec.

I znów ten chłopięcy uśmiech. Niebezpieczne połączenie: dobrze skrojona marynarka i rozbijający błysk w oku. Trudno uwierzyć, że taki mężczyzna mógłby być winny czegokolwiek. Niewykluczone, że nie był. Może nikt nie był. Może wszyscy byli. Ostatecznie, minęło już tyle czasu. Zbyt wiele. Jakkolwiek było, człowiek powinien mieć prawo do spokojnej śmierci.

- Ale moją babkę, Vidę Harjulę, dobrze znałeś, co, Sean?

- Tak. My mieliśmy wspólny język.

Kiwa kilkakrotnie głową na potwierdzenie swoich słów.

Tak, tak. Mieliśmy wspólny język.

I nie chodzi mu wcale o angielski.

Chodzi o co innego. O język, którym ja nie mówię, którego gramatyka jest mi obca. Czuję nagły przypływ zazdrości. Sean O'Brien go zna. I ona go znała. Słowa zrodzone dzięki

pożądaniu. Albo na odwrót.

- Mam ze sobą twój list do niej.

-Aha.

I to ma być odpowiedź? A może byś się zdziwił? Przestraszył? Spanikował? Zawstydził? Skruszył?

- Te listy, tak...

Przeczytałam je czy nie? Dlaczego o to nie pyta? Może jednak jest za stary, żeby to pamiętać?

- W pewnym sensie należą teraz do ciebie, kiedy jej już nie ma - mówię i pociągam łyk ciemnego piwa. Boże, jakie dobre. Kelner obrzuca mnie swoim krzywym spojrzeniem. Zdaje się, że powinien niśmy się skupić na picciu i zapomnieć o głupotach.

- A co ja z nimi zrobię? Przecież jej już nie ma.

Głos mężczyzny, który chciałby się cofnąć głęboko w przeszłość. Przeszłość jest zawsze dobra i szczęśliwa, nigdy nudna, powszednia czy bezbarwna. Wszystkie przeciwności losu zmieniają się w niej w przygody, cierpienia w bohaterstwo. Szkoda tylko, że tę wielkość czasu dostrzega się zawsze dużo później, gdy przeszłość jest już historią.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, bardzo mnie ciekawi, co się wydarzyło w Olkikumpu, kiedy wy...

Unosi dłonie, macha nimi przed nosem, jakby odganiał natrętną muchę.

- Nie, dajmy temu spokój. Minęło już tyle czasu.

Nie ma mowy. Nawet nie chcę o tym słyszeć. Czy ten człowiek naprawdę nie pojmuję, że mam prawo wiedzieć, że i ja mam prawo do małego zbawienia? Przecież po to tu przyjechałam. Wcale nie mam zamiaru wypisywać peanów na cześć Olkikumpu, najgenialniejszego składowiska paliwa reaktorowego w Europie. Przed niczym nie uciekam, szczerze, przyjechałam tu zaspokoić swoją ciekawość. Kiedy się powiedziało a, trzeba powiedzieć i be. Tak jest ten świat zbudowany. I każda historia. Więc nieważne, czy to będzie zabawne czy nie, ktoś powinien mi wreszcie powiedzieć, dlaczego musiałam się męczyć w dzieciństwie z szalonym ojcem. Jestem gotowa podtrzymywać najlepsze tradycje rodu, w końcu krew zobowiązuje: dziadek zwariował, ojciec

zwariował, więc i ja chyba niedługo zwariuję, ale przedtem ten człowiek musi mi odpowiedzieć na moje pytanie: Dlaczego? Właśnie on, ten zakłamywany kochanek mojej babki, ten bazyli szek, który był tam wtedy, gdy to się stało. Człowiek, który przyjechał do mojego kraju, do miasta, w którym żyła moja rodzina. Przyjechał, zniszczył i wyjechał.

- Wiem, że nie wolno czytać cudzych listów - powiedziałam.

- Ale zrobiłam to, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Wszystko ma naturalne wyjaśnienie. Chcę je tylko usłyszeć. Nic więcej. Mam swoje teorie, mam wyobraźnię, ale teraz chcę dojść prawdy.

-No i?

- No i: co?

- Dobry byłem?

Co mam odpowiedzieć? Że oj, jakie to piękne, gdy mężczyzna pisze do uwielbianej przez siebie kobiety tak, jak on? Przecież cała ta poetyckość to zwykle mydlenie oczu, odwrócenie uwagi od chuci, pożądania, kurwienia się, wyuzdania, zdrady. Ale miłość cielesna trąci zawsze jednym, zwał jak zwał: ostatecznie ten romans okazał się ziem, bo w okrutny sposób zatracił wszelkie proporcje. Bo trzeba go było okupić ofiarą z dziecka. Jak można najpierw czynić tak niedwuznaczne wyznania, namawiać kobietę, by zostawiła męża, obiecywać jej złote góry, a potem postąpić tak, jak postąpił ten człowiek? Wszystko to cuchnęło fałszem, od samego początku. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Nie wiedziałam, że tak można. Nie myślałam.

- Interpunkcja była całkiem w porządku.

- Dobrze wiedzieć.

- A więc nic z nich nie pamiętasz?

Szybko kręci głową. Po raz pierwszy dostrzegam w nim oznaki starości. Siwy zarost. Ranki po zacięciach przy goleniu. Na pewno Davida Harjula była dla niego jedną z wielu. Być może jest z tych mężczyzn, którzy kochają kochać. A najbardziej rozprawiać o miłości, bawić się słowami, rozkoszować ich brzmieniem.

- A więc piszesz o energii jądrowej? - zagaduje. - W pewnym sensie czuję się współwinowajcą... Uran zawsze mnie

fascynował, lecz nie miałem pojęcia, co można z niego zrobić, do czego dopro wadzić. Taki byłem w tamtych czasach naiwny. Teraz jestem trochę mądrzejszy, ale w tym wieku człowiek nie ma już siły po rywać się z motyką na słońce. Co się stało, to się nie odstanie.

Wsluchuję się w jego głos. I przyglądam powolnym ruchom jego głowy. Na tapecie są fioletowe kwiatki na zielonym tle. Sean o'Brien mówi. Słowa płyną powoli, niespiesznie. Mają piękne brzmienie, jak wiolonczela. Słucham go. Czekam.

- Z człowiekiem jest tak, jak ze skorupą ziemską. Im więcej doświadcza wstrząsów, tym staje się słabszy - mówi. - Wszystko kruszeje. Środowisko. Skorupa między życiem i śmiercią wietrzeje. W końcu pozostaje z niej już tylko bardzo, bardzo cienka warstwa. Śmieszne uczucie, muszę przyznać.

- Na pewno.

- Człowiek z wiekiem wcale nie mądrzeje. Zwyczajnie mu się już nie chce. I niczego nie pamięta.

- Może nie chce pamiętać.

- Niewykluczone.

Co chciałabym od niego usłyszeć? Czego ja tutaj szukam?

Czy powoduje mną wyłącznie chęć poznania cierpienia kobiety, którą spotkała zbyt surowa kara za niewierność, zrozumienia absurdu rozdarcia między czułością a nienawiścią, nieokreślonych wyrzutów sumienia, jej palącej tęsknoty?

Sean zamyka oczy, jestem przekonana, że drzemie. Lecz trwa to tylko chwilę, przebudza się i patrzy na mnie zdumiony niczym zaspany szwajcar, który w środku nocy otwiera bramę przed nieznanym.

*Miś jest duży, brązowy, włochaty. Prawie taki duży, jak dziewczynka, która schodzi z huśtawki i staje przy wejściu.*

*Jak masz na imię?*

*Aino. Mam na imię Aino Helena Harjula, sześć lat.*

*Dlaczego płaczesz, Aino?*

*Bo się boję.*

*Czego się boisz, powiedz, czego? Powiedz mi, kogo się boisz...!*

## Olkikumpu, wrzesień 1935

Dzienna zmiana. Oj, jak dziewczynka na nią czeka! Gdy tata się nastuka, nachrząka, naszura i wreszcie zamknie za sobą drzwi i pójdzie do kopalni, ona szybciutko podrepcze do mającego w półmroku dużego łóżka rodziców, wślizgnie się pod kołdrę i przytuli mocno do mamy.

Tak mocno, mocno, mocno, jak nic, ale to nic na świecie.

Czuje zapach jej skóry, jej bezpieczne objęcia, dotyk jej twarzy i pocałunek na czole: Kto jest mamy złotkiem, kto?

Ja słoneczko, ja chmurka!

Którego ptaszka mama kocha najbardziej?

I mały śpioszek odpowiada:

Mnie, mnie, mnie!

I tuli się do mamy. Bezpieczna, zwinięta w kłębek, paluszki stóp dotykają jej gładkiej, błękitnej koszuli nocnej.

Pośpijmy jeszcze, aniołku, pośpijmy jeszcze chwilkę...

Ale czasami, nie za często, dzieje się inaczej.

Mama ma drgawki.

Nikt jej nie dotyka, nikt jej nie robi krzywdy, ale ona cała się trzęsie i nie słyszy, że jej ptaszek chciałby się do niej przytulić. Gdy dziewczynka widzi to pierwszy raz, jest tak przerażona, że biegnie do kuchni po wodę z szaflika, nabiera ją w szklanekę i szybko biegnie z powrotem do sypialni, rozlewając po drodze. Z zapartym tchem podaje mamie, ale ona nie reaguje.

Drgawki przenoszą się z ciała na powieki. Otwarte, mrugające szybko oczy są gdzieś wpatrzzone, jakby nie mogły uwierzyć w to, co widzą.

Mamo, szepcze i ostrożnie przytyka do jej policzka szklanekę z wodą.

Mamo, to ja!

Bez odpowiedzi.

Strach. Głęboka i szeroka, wzburzona rzeka: Pomocy, nie zostawiaj mnie, mamó, ratunku...!

Odstawia szklankę na stolik, klęka przy łóżku i zamyka w rączkach skrawek trzeźwiąco chłodnego materiału. Kładzie buzię na krawędzi łóżka, nie rusza się. Boi się już nawet otworzyć oczy i spojrzeć, co się teraz dzieje ze zjawą, która jeszcze przed chwilą była jej mamą.

Jak długo siedzi tak przycupnięta przy łóżku, wsłuchując się w świszczący oddech i dobiegające zza okna odgłosy budzącego się dnia, jęk kopalnianej syreny i równomierny pomruk przejeżdżającego od czasu do czasu auta? Czas gubi rytm, dziecko ogarnia paniczny strach: łóżko zije pustym macierzyństwem, które spowija ją w gęsty kokon i dusi tak, że nie może się nawet rozplakać.

Wtedy słyszy te *szepty*.

One są najgorsze.

Przenikają przez skórę do środka jak pijawki, które dziewczynka widziała w aptece. Wnikają w nią zewsząd, jakby skóry w ogóle nie było, a potem cisną się przez usta na zewnątrz, bo jej mama jest jakaś taka umarła.

Przyciska twarz do nieruchomej dłoni.

*Był sobie raz czarny, czarny człowiek, który szedł czarną, czarną ulicą...*

Nie, tych szeptów nie wolno słuchać, inaczej serce zmieni się w kamień. Stwardnieje tak, że nie będzie można oddychać, przyschnie do piersi.

*...i ten czarny, czarny człowiek wszedł do czarnej, czarnej piwnicy...*

Wtedy wpada na pomysł: Jeśli tylko zdąży wdrapać się na łóżko i przejść na drugą stronę i z powrotem, nim padnie ostatnie słowo, mama ożyje.

Już jest na łóżku, przeskakuje szybko gołe nogi mamy i skotłowaną pościel i ląduje z powrotem w punkcie startowym równo z ostatnią linijką.

Dziewczynka oddycha z ulgą. Teraz zaczyna się usilnie wpatrywać w leżącą tuż przed nią dłoń mamy. Dostrzega jakby nieznaczny ruch. I znów. Już wyraźniej. Odskakuje od łóżka: nie,

to nie złudzenie. Dłoń to się rozwiera, to kurczy. Mama przybiera z powrotem dawny kształt, wyraz twarzy, ruchy.

Dziecko skacze na równe nogi:

Mama - szepcze - mama, mama, mama!

Wymuszony uśmiech. Słaby głos, odległy i płaski.

- Co jest?

- Jak ja się strasznie okropnie o ciebie martwiłam.

Zatroskana

zagłąda uważnie w zapalające się znów życiem oczy

mamy, patrzy na szerokie wargi, które układają się już w słaby uśmiech.

- Biedactwo moje.

- Masz krew na buzi.

Zaciekawiona dziewczynka pochyła się i dotyka palcem czerwonej kropli: no, krew, najprawdziwsza krew.

- Nie bój się - mówi później kobieta dziewczynce, gdy odpoczywają razem z głowami na białej poduszce. - Nie musisz się ani trochę bać. Zawsze wracam.

- Ale gdzie ty wtedy jesteś? - Aino bardzo chce wiedzieć. -1 co tam widzisz?

Kobieta potrząsa głową.

- To tajemnica.

Oczy dziewczynki zaczynają błyszczeć. Jeju, jak ona uwielbia tajemnice! Schowane w dziuplach szyszki, lecące na liściach wróżki, połyskujące na dnie kałuży złote skarby.

- Opowiedz mi!

Kobieta spogląda na dziecko bezradnie.

- Najdziwniejsze w tym wszystkim, że to tajemnica także dla mnie.

To prawda. Ranek w osadzie przy kopalni jest spokojny i czysty. Niebo jest bezkresne, przez okna sączy się zapach jabłek. Lecz kobieta wymknęła się stamtąd gdzieś daleko, i sama nie wie, gdzie.

- Byłaś w Idenii? - pyta dziewczynka.

- Może - odpowiada kobieta zmęczonym głosem. - Niewyklu-

zione, że byłam właśnie tam.

- Widziałaś kota bogów?

- Co takiego?

- Ideńskiego kota bogów.

- Możliwe. Zależy od tego, jak wygląda.

- Nie wiem - odpowiada dziewczynka. - Ale potrafi zeskoczyć z parapetu na podłogę tak lekko, jak nic na świecie.

Kobieta wzdycha.

- Nie trzeba mi było brać tego tłumaczenia - mówi. - Została bym lepiej w domu. Za długo przebywasz sama.

Oczy kobiety zaczynają niebezpiecznie błyszczeć. Dziewczynka robi się niespokojna.

- Nie płacz.

- Wcale nie płaczę - jej matka się uśmiecha, podnosi na rękach i z trudem siada na brzegu łóżka. - Starczy na dziś tego lenia - mówi dziarsko, wspiera się na ramie.

- Nikomu nie wolno pisać o tym słowem - upomina kobieta córkę.

- Nawet cioci Natalii.

Dziewczynka szybko potakuje głową. Uwielbia tajemnice. Nie wolno mówić. Nikomu. Nigdy, przenigdy.

Ale tata się dowiaduje. Przez długie tygodnie dziewczynka zachowuje podróż mamy do Idenii w najgłębszej tajemnicy, aż pewnego razu...

Dziewczynka nie ma pojęcia, jak się mogło jej to wymyślić. To na pewno przez to, że tego dnia wszystko jest inaczej niż zawsze.

Zaczyna się od tego, że to tata przychodzi po nią do cioci Natalii, a nie mama, jak zawsze.

- Gdzie jest mama? - pyta Aino, wchodząc do cichej sieni.

- W łóżku. Odpoczywa - odpowiada ojciec dziwnie zmienionym głosem.

- Pójdę zobaczyć.

-Nie.

- Ale ja chcę iść do mamy.



- Nie teraz.

Zazwyczaj ojciec nie musi powtarzać, ale tym razem w jego głosie nie ma groźby.

- Dlaczego nie mogę? - krzywi się dziewczynka. - Co mamie jest?

Eero Harjula nie odpowiada, opada zamyślony na krzesło, zaczyna nerwowo obgryzać paznokcie kciuka.

Dziewczynka staje przed ojcem na jednej nodze, chwije się na boki.

- Pójdę do mamy, pójdę do mamy...

- Nie ma mowy.

Tata jest jakiś inny tego dnia. Mówi cichym, proszącym prawie głosem. Nie jest już wcale groźny, z oczu wyziera tylko przygnębienie i coś, czego dziewczynka nie umie nazwać.

- Ale ja chcę mamę tylko *zobaczyć*! - upiera się nieco już wystraszona dziewczynka.

Wszystko jest jakieś dziwne, niejasne. Muchy brzęczą głośniejsz niż zwykle. Ojciec siedzi przygarbiony, patrzy na nią nieobecny wzrokiem, wyduł dolną wargę i skubie wąsy.

Aino stoi tak przed ojcem dłuższą chwilę, ale ten nic, ale to nic nie mówi, więc dziewczynka odwraca się i zaczyna iść wolno w stronę sypialni, przekonana, że tata nawet nie zauważył, jak sobie poszła.

Klamka jest ciężka i trochę piszczy.

Drzwi ustępują. Dziewczynka od razu widzi, co się stało. Bo mama tak dziwnie trzyma głowę.

W tej samej chwili z izby dobiega krzyk, przerażona dziewczynka natychmiast obraca się na pięcie:

- Gdzie ty się tam, kurwa, zakradasz?! Czy nie powiedziałem jasno, że nie wolno?! Co się z tobą dzieje, że ty mnie nigdy nie słuchasz?! Czy mój głos nie ma już w tym domu żadnej wagi?!

Ojciec wstaje ciężko z krzesła. Ten nagły przypływ wściekłości paraliżuje dziewczynkę, nie może zrobić kroku, z oczu ciekną łzy.

- Nie wiedziałam - jąka przestraszona.

- Czego nie wiedziałas?! - Oczy ojca są teraz szeroko otwarte, jak rozbuchane palenisko.

- Nie wiedziałam, że mama jest w Idenii.

- Co ty za bzdury wygadujesz?! Żarty sobie ze mnie stroisz, czy co?! Byłaś tam przed chwilą czy nie?! Odpowiadaj!

Tajemnic nie wolno zdradzać, nigdy, przenigdy, bo za to jest kara. Zawsze.

Dziecko kręci szybko głową.

Ty mała, zakłamana suko!

Ojciec zbliża się do niej szybko z wyciągniętymi rękoma, dwoma dużymi, spracowanymi dłońmi o szerniałych, popękanych paznokciach. Dziewczynka kuli się pod ścianą, rękoma zasłania twarz. Nie może patrzeć, bo głowa taty płonie straszliwym gniewem, już jej w ogóle nie widać, tylko te ręce o połamanych, ziejących ogniem paznokciach. Wszystko jest tak, jak czasem we śnie, w którym Aino zapada się w gęstej mazi i nie może uciec.

- Już ja cię oduczę czajenia się po kątach!

-Nie...!

Postać ojca wciąż potężnieje, wypełnia już cały pokój i cały dom, język dziewczynki puchnie tak, że nie może mówić, a jedynie krzyczeć przeraźliwie jak ptak, nie, nie, tata, nie *mamo*, *wróc*, *pomóż mi*

szarpanie boli bardziej niż razy, boli tak strasznie, tak strasznie, dłoń znowu w górze, ciepło spływa po nogach, to mocz, posikała się w majtki, duża dziewczynka, lecz grad ciosów nie ustaje, ja cię oduczę kłamać, zamyka oczy, upada *ratuj*, *mamo*, *mamo*, *mamo*

Im więcej słyszę tych opowieści z dawnych lat, tym bardziej zaczynają mi przypominać zabawę, w którą bawiłyśmy się w dzieciństwie, gdy znudziło nam się kłócić o to, czyja kolej zmywać. Siostra kładzie dłoń na mojej dłoni. Ja kładę na niej swoją. Siostra robi to samo. Ja wyciągam dłoń ze spodu i kładę na jej dłoni. Siostra wyciąga swoją dłoń ze spodu i kładzie na mojej...

Niby odślaniam przed nim historię, lecz w gruncie rzeczy to ziejące w niej dziury wsysają mnie w bezdenną otchłań. *Jeśli ciało niebieskie zbyt się zbliży do czarnej dziury, ta wyrwie ją z orbity i polknie.*

Tak właśnie dzieje się ze mną.

Nie potrafię oderwać wzroku od poźółkłej w świetle stołowej lampki twarzy staruszka, jestem całkowicie oczarowana jego melodyjnym głosem.

W powietrzu snują się nowe, zdumiewające opowieści, których w żaden sposób nie mogę pojąć. O czym w zasadzie rozmawiamy? Co on mi powiedział?

Że po ulicach Dublina biegają w nocy lisy, takie same, jak te na galeryjce pod sufitem pubu, stojące w fartuchach i kucharskich czapkach. Że w lasach Olkikumpu można spotkać wilki. Nawet niedźwiedzie. Że fińscy myśliwi wysłali samemu Mussoliniemu w prezencie małego, osieroconego misia... Że Davida Harjula jeździła na łyżwach, ale na nartach nie umiała biegać. Że Tępe Tirkkonen przy pomocy baterii od latarki zrobił ze swojego roweru motocykl i że Eero Harjula był najsilniejszym mężczyzną w kopalni...

- Byłam w Olkikumpu w ubiegłym tygodniu - mówię, wycierając kawałkiem chleba resztki oliwkowego sosu z talerza.

- Tam wpadły mi w ręce te listy babki.

- Co tam słyhać?

- Szykują tam wielkie cementarzystko odpadów. Do kopalni

chęć wtłoczyć dziesięciokrotnie więcej zużytego paliwa reaktorowego niż było w Czernobylu. Gdy budowali tam elektrownię, była umowa, że wszystkie odpady promieniotwórcze będą składować w Czeljabińsku. Ale Rosja nie czuje się związana umowami zawartymi przez Związek Radziecki.

Sean kiwa głową.

- Czasem mam wrażenie, że z całym globem dzieje się to, co ze mną. Że jest już za stary. Że i on chciałby już przestać istnieć.

- Tak myślisz?

To bez sensu. Nie interesują mnie przygnębiające analizy współczesności, lecz prawda o przeszłości.

- Na wiosnę posadzili w Dun Laoghaire kwiaty pokoju. To była w wielka uroczystość. Na zakończenie mszy wystąpił słynny chór z Warrington. Jego sponsorem jest brytyjski przemysł atomowy... Pamiętam, jak chodziliśmy tam w niedzielę z ojcem. Dwa razy do końca ostrogi i z powrotem. W pawilonach rozbrzmiewała muzyka wojskowa. Jednego lata przemaalowali je na błękitny kolor. Pamiętam ciągle zapach świeżej farby. Nie mogło się obyć bez lodów. Dla mnie czekoladowe, dla sióstr waniliowe. Teraz kwitną tam atomowe róże. Piękne, nie można nic powiedzieć...

- Sean, dobrze znasz strukturę Fennoskandii. Jak sądzisz, czy w Olkikumpu jest możliwe trzęsienie ziemi?

Gdy idziemy wzdłuż wybrzeża, myślę o połyskującym piasku: Mam trzynaście lat, ojciec jest już stary, kontury się rozmywają, niewyraźnie go widać. *Tutaj nurkowałem po małże, piekłem je potem nad ogniem; to dopiero było życie, dziewczęta...!* Tutaj, w tym miejscu i w tej chwili, jest innym mężczyzną, innym ojcem. Uśmiecha się tak, że jeszcze żadna z nas go takim nie widziała. Ma w sobie światło, które nas przenika. Odkrywa przed nami tajemnice. O dziewczynie, w której się trochę zadurzył. O nożu w skrzynce, którą zagrzebał w wydrążonej pod drzewem jamie. Teraz jesteśmy jego dziećmi, jego częścią.

- To pewne.

- Jak to?

- Budowa geologiczna wskazuje, że trzęsienia ziemi już tam były. Pozostaje oczywiście kwestia czasu. Jak zawsze. Milion lat albo sekunda. Tego nie wie nikt.

- Co wtedy?

Wyteżam wszystkie siły, by go zrozumieć. Że też musiałam uganiać się za chłopakami, zamiast wykorzystać fakt, że mam w szkole anielsko cierpliwą nauczycielkę angielskiego, która zupełnie bezinteresownie wbiłaby mi do głowy wszystkie niuanse angielszczyzny.

- To zależy od siły wstrząsu. Na obszarze sejsmicznym pociętym licznymi uskokami nawet mały wstrząs może znacząco podnieść poziom wód gruntowych... Jeśli woda wejdzie w kontakt z gorą cymi, wysokoaktywnymi odpadami, para rozsadzi pojemniki

i dojdzie do skażenia środowiska. A jeżeli woda zaleje całe skała dowisko, Olkikumpu wyleci w powietrze.

Dłoźmi kreśli w powietrzu obraz sytuacji, dyryguje nuklearną katastrofą z pasją kompozytora, który wreszcie przechodzi do dramatycznej końcówki dzieła, do długo oczekiwanego *allegro*.

Kelner otworzy! okno, do środka wtacza się i osiada na nas ciężki zapach pyłu i potraw. Po szybko wypitym piwie jestem już lekko podchmielona, co nastraja mnie do śmiechu, choć w tym, co mówi Sean, nie ma absolutnie nic śmiesznego.

- Nie rozumiem. W takim razie dlaczego zarząd Olkikumpu SA twierdzi, że wie, co robi?

- Pewnie i wie. Wydrążyć dziurę w ziemi to żaden problem, trudniej już wziąć w rachubę nieprzewidziane okoliczności... Przypominasz ją, wiesz? Czasem, jak na ciebie patrzę, masz w so bie diabelnie dużo z Davidy.

Przygląda mi się długo i badawczo.

- Wszyscy mi to mówią.

Zezowaty przynosi nam nowe piwa - kiedy zdążyliśmy je zamówić? - i z ulgą chwytam za szkło. Nie rozumiem siebie. Jak gdyby nigdy nic ucinam sobie przyjacielską pogawędkę przy piwku z człowiekiem, któremu, wyjąc nad listami Vidy,

poprzysięgłam zemstę. Tak, wyjąć, bo nie mogłam znieść myśli, że najpierw zasiał w mojej rodzinie ziarno obłędu, a potem nagle, tak po prostu wyparował, zapadł się pod ziemię i zapomniał jak o kiepskiej rozrywce, do której człowiek się zniża za granicą z braku lepszego zajęcia.

- Nie wątpię.

Zmiana, która w nim zaszła, jest zdumiewająca; teraz jest nie tylko rześkim, kochającym życie mężczyzną: nie dostrzegam w nim też już żadnych oznak starości.

- Masz lusterko?

W nieładzie torebki jakimś cudem odnajduję małe puzderko i otwieram, lusterko jest żałośnie pomazane.

- Gdybyś tak zaczesła włosy do tyłu...

Mów, mów dalej: nikt nie jest bardziej spragniony dobrych rad niż zdradzona kobieta.

- Teraz widzisz?

Widzę. Piękna. Czy ja dobrze słyszałam, czy ktoś powiedział *piękna*? Zdawało mi się, że usłyszałam to słowo: czy była mowa o Vidzie, czy o mnie?

- Czy mogę sobie zachować to zdjęcie? - pyta mnie.

- Jak najbardziej. I mam nadzieję, że listy również weźmiesz

- odpowiadam. - Skoro przytargałam je ze sobą aż tutaj. Było nie było, to część twojego życia...

Choć, jak się okazało, nie znaczyły dla ciebie nawet połowy tego, co dla mojej babki, myślę rozgoryczona. A dziecko postanowiłeś całkowicie wymazać ze swojej pamięci. To blade dziecko, które ni stąd, ni z owad pojawia się przed nami i stoi, z bardzo poważną miną, tuląc do siebie swojego brązowego Misia.

Może i ja o nim nie myślę. Chyba jestem po prostu ciekawa, chcę zerknąć do sypialni kochanka Vidy. Próbuję znaleźć klucz do świata, w którym obowiązuje nieznaną mi etyka, w którym opętane przez nieznanego mi demona upadłe, bezrozumne, rozedrgane ciała, podążając za piekielnie egoistycznymi prawami przyrody, łączą się ze sobą w akcie ekstatycznego spełnienia.

- Pamiętam, że odwierty wyraźnie pokazały zgodne z nachyleniem terenu uskoki, wypełnione druzgotem. Mam nawet

jeszcze tamte notatki - mówi staruszek.

- Naprawdę?

Obraca się ku kelnerowi i podnosi swoją szklanę, uśmiecha się do niego tak samo przyjaźnie, jak do mnie.

- Znalazłem na terenie Olkikumpu sporo polodowcowych uskoków. Przesunięcie się skały zaledwie o pół metra może roztrzaskać kapsułę, którą dziś uważa się w branży składowania odpadów promieniotwórczych za cud techniki.

- Ale dziewczynka - mówię. - Nigdy o niej nie myślisz, co się z nią stało?

Cisza.

A więc i nim można potrząsnąć. Geomagika, który właśnie ot tak, od niechcienia, z odległości tysięcy kilometrów, kruszy tarczę bałtycką, której trwałości i spójności nikt u nas nie odważył się jeszcze i nigdy nie odważył podać w wątpliwość.

- Dziewczynka?

- Aino. Pierwsze dziecko Vidy. Nie pamiętasz jej?

Ze ściany spogląda na nas spod ciężkich powiek napuchnięty Brendan Behan. Żałosny los Fennoskandii mało go obchodzi, nieruchomym, smętnym wzrokiem wpatruje się w szklanki z piwem, sam nie mogąc już podnieść kufla do ust.

- Oczywiście, że pamiętam. Śliczne dziecko. A co?

No tak. Może masz rację. A co. A co cię ona obchodzi. Co cię obchodzi Tereska o'Connor. Co cię obchodzi ktokolwiek. A co tam, napijmy się jeszcze piwa, zalejmy porządnie pałę, przestańmy się już bez sensu rozczulać. W końcu jestem teraz w Irlandii, w kraju, w którym pogrzeby są weselsze niż nasze śluby, tutaj ciężka skandynawska świadomość kosmicznego grzechu nie ma prawa wstępu. Tutaj się chodzi do konfesjonału, spowiada z masturbacji i nieczystych myśli, warczenia na siostry, niechodzenia do kościoła, zabójstwa dziecka i plucia na chodnik, po czym odmawia się pokutę i dostaje rozgrzeszenie. I po wszystkim. Szybko i sprawnie. *Sldinte!* Na zdrowie!

- Nie żyje - mówię.

- Przykro mi to słyszeć. Współczuję.

- Dziękuję.

- Niedawno zmarła?

Kelner siedzi za barem, twarz pogrążona w mroku, na barku zapomniana ściereczka, rozmawia cicho przez telefon. Na pewno jakieś kłopoty rodzinne. Obok mnie siedzi siwy mężczyzna i wpatruje się we mnie wyczekująco. Serce mi się ściska. Chcę na dwór, na słońce, z dala od tego miejsca, od tego człowieka, od tego miasta.

- Nie - odpowiadam. - Wcale nie niedawno.

Kiwa głową, rośnie w oczach, prostuje się, pewnie chce iść do toalety.

*Pustka, mrok i śmierć. To, co nie istnieje.*

Przeczytałam dziś na jednym nagrobku. Pasowałoby do niego. Później, kiedy i na niego przyjdzie pora.

W drzwiach zawraca, podchodzi do mnie.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się przejść do Dun Laoghaire. Na ostrogę. Roztacza się stamtąd wspaniały widok na Morze Irlandzkie. Jak nam się poszczęści, zobaczymy nawet ka-tamarany... Rzecz jasna, nie wytrzymują porównania z waszymi lodołamaczami, lecz lepsze to niż nic. Co ty na to?

- Jeśli to nie problem...

- Absolutnie żaden.

Przypomina sobie, że gdzieś szedł. Nie ma daleko. Obraca się i po chwili znika za zielonymi drzwiami. Ucieczka? - przez głowę przebiega mi niespokojna myśl. Może się zagalopowałam z tymi pytaniami i już nigdy więcej nie zobaczę Seana O'Briena. Zdążyłam się jednak czegoś dowiedzieć. Nie tyle, ile bym chciała, ale zawsze.

Teraz już wiem, że w określonych warunkach skała eroduje. Że pojawiają się mikropełnięcia i po pewnym czasie ulega rozpadowi... Że są możliwe niezwykle gwałtowne przesunięcia skał, które mogą mieć katastrofalne skutki dla człowieka... Że w niektórych kulturach stosowano rytuał grzebania dzieci żywcem... W Woodhenge, odległym od Stonehenge o parę mil, znaleziono czaszkę trzyletniej dziewczynki, którą odrąbano od tułowia siekierą. Zabito ją cztery tysiące lat temu, w tym samym czasie, gdy wznoszono Stonehenge... Że ofiara stanowi wspólny mianownik wszystkich rytuałów religijnych.



Kelner kończy rozmowę, podchodzi przetrzeć nasz stolik. Nie wiem, co zrobić z oczami. Wypchany lis patrzy na mnie ze szklanym wyrzutem: ceramiczny kufel z napisem Guinness między jego cienkimi łapkami wygląda żałośnie. Sufit podpierają dwie prawie zupełnie czarne dębowe belki, ale z pewnością nie są takie stare, na jakie wyglądają. Mury obwieszane są zdjęciami. Pisarze i gwiazdy futbolu na jednej ścianie, w doskonałej komitywie.

Zakładam płaszcz i już chcę wychodzić, gdy staruszek wraca.

- Już teraz? - pyta.

- Aino Harjula zginęła wiosną 1936 roku. Tego samego dnia, w którym urodził się mój ojciec – mówię.

- Co, przepraszam?

- Tego samego dnia, w którym ty wyjechałeś z Olkikumpu.

- Nie - odpowiada. Uśmiecha się. Kręci głową. - Nie, nieee.

Wyciąga z kieszeni zapalniczkę, teraz już śmieje się otwarcie, drugą ręką szuka paczki papierosów.

- Nie - mówi. Ręka mu trochę drży, a kiedy spostrzega, że to zauważyłam, chowa zapalniczkę z powrotem do kieszeni. - Nie. Coś ci się musiało pomylić. Widziałem ją tego dnia...

Dopiero gdy wychodzę za staruszką z baru, po raz pierwszy zauważam, że mocno kuleje. Przy drzwiach zatrzymuje się, odwraca.

- Przestało padać. Lepszej pogody na przechadzkę nie można sobie wymarzyć, co?

Patrzy na mnie i uśmiecha się serdecznie, kładzie mi dłoń na ramieniu.

Patrzę na jego starczą twarz i wyteżam wszystkie siły, by zrozumieć sposób myślenia mieszkańców tej wyspy. Ludzi, którzy urządzają sobie w kółko krwawe noce kryształowe z powodu starszej od węgla różnicy doktrynalnej, produkując przy tym nieprzyzwoite ilości liryki.

- Dlaczego uciekłeś do Sowietów, Sean?

Śmieje się, słyszę, że jest zażenowany.

- Ja *nie* uciekłem. Zabłądziłem.

- Zabłądziłeś?

- Tak. Robiłem badania w pasie przygranicznym i zabłą

działem.

I co, nie miał niby przy sobie mapy? Kompas? A może zapomniał, jak się z nich korzysta?

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie. Ale tak właśnie było.

Naprawdę? Poważnie? Opętany przez tarczę bałtycką geolog bada sobie w najlepsze pasjonującą antyklinę fałdu, gdy wtem zdaje sobie sprawę, że stoi przed nim jakiś ponurak w dziwnej czapce. Rosyjski pogranicznik nie zdradza najmniejszego zainteresowania teorią geosynklin. I ja mam w to uwierzyć?

- A zatem nie przekazałeś Rosjanom informacji o zawartości niklu w złożach Olkikumpu ani tajemnicy tamtejszego uranu?

Sean O'Brien śmieje się cicho.

- Nie. Nie miałem przy sobie żadnych dokumentów dotyczących kopalni. Bo i po co?

Skąd mogę wiedzieć? Powiedziano mi tylko tyle, że zagraniczny geolog opuścił pośpiesznie mój kraj. Więc chyba od czegoś uciekał: od zazdrości męża, zabitego dziecka, miłości...?

- Ale tobie je przekażę. Może do czegoś ci się przydadzą. Choć mocno się obawiam, że nie puszczą ci tego artykułu. Ludzie nie chcą słyszeć prawdy. Zwłaszcza, gdy jest gorzka.

Pewnie, że nie. Sam dobrze to wiesz.

- Spójrzeć prawdzie w oczy - mówi. - Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. W głębi duszy każdy chce tylko usłyszeć potwierdzenie tego, w co już zdecydował się uwierzyć.

Nie brzmi to zbyt szlachetnie: szary zjadacz bliźniego swego. Z drugiej strony, jaka to ulga, gdy człowiek może zrzucić z barków brzemień odpowiedzialności: skoro i inni mogą...

- Spodoba ci się na ostrodze - mówi. - Jeżeli lubisz morze, ma się rozumieć.

- Lubię. Bardzo.

Takie to proste. Zaprzyjaźnić się z największym wrogiem rodziny. Ale cóż zrobić, skoro tak się składa, że oboje lubimy wyprawy nad morze, ten sam prowiant: pierśiówka dobrej, irlandzkiej whisky, puste pawilony, łuszczące się ławki w kolorze niezapominajki, mrożne, pachnące wodorostami

wiatry.

Idąc pod rękę, w pełnej harmonii, pozdrawiamy szarą, grudniową zatokę. Tę samą, z której prawie pół wieku temu ten sam mężczyzna wyruszył w długą podróż po czarnym labiryncie Fennoskandii.

## Olkikumpu, maj 1936

Trzecia wiosna Seana O'Briena w Finlandii. Jeszcze nigdy nie miał tyle pracy, co teraz. Do kopalni trzeba chodzić czasem i nocą, bo ciągle trwają poszukiwania nowych złóż. Przyjechali już studenci do prac terenowych. Mówiono mu, że będą mu pomagać, lecz tak naprawdę ma przez nich jeszcze więcej roboty: musi ich szkolić i nadzorować, uczyć wykonywania odwiertów i interpretacji wyników, a potem sporządzać szczegółowe, indywidualne raporty.

Pracują w terenie, czasem zapuszczają się nawet pod granicę z Rosją. Powstająca mapa geologiczna okolic Olkikumpu potwierdza jego wcześniejsze przypuszczenia o zanikaniu serpentynitów w kierunku wschodnim.

Dioryty i dioryty kwarcowe nie odbiegają od normy, lecz nie tworzą rozległych, jednorodnych złóż. Zaznacza je na mapie jako granity. Robi to z żalem, bo szare jak burzowe chmury, nieco ciemniejsze od granitów dioryty po obróbce nadawałyby się na nagrobki. A nawet na pomniki.

Jednak spółka ze zrozumiałych względów nie jest zainteresowana pobocznymi możliwościami wykorzystania złoża, zbyt szczegółowe analizy uznano by za marnotrawstwo czasu.

Tłumaczem geologa jest teraz Tępe Tirkkonen, stary wyga i jeden z tych, co byli w Ameryce. Jego angielski nie jest najlepszy, ale Sean O'Brien przy każdej nadarzającej się okazji próbuje się nauczyć trochę fińskiego. Wyprawy w teren dają ich całkiem sporo, zawsze się znajdzie trochę czasu na to, by gdzieś przysiąść i zamienić parę słów.

- Jak powiedziałbyś po fińsku, że mój dom się spalił? - pyta raz Tępe Tirkkonena, gdy ten rozpara ognisko. Duży błąd.

- Twój dom się spalił - odpowiada bez chwili zastanowienia Tępe, zsuwając czapkę na tył głowy.

Geolog zna już fiński na tyle, że rozumie odpowiedź i potrafi

uściślić swoje pytanie:

- Nie, nie mów: twój dom. Powiedz: Mój dom się spalił.

Tępe mierzy geologa morderczym spojrzeniem, wylewa resztę

kawy na ziemię.

- Jeśli biega ci o mój dom, ten, co go tymi rękami sam zbudowałem, od fundamentów po dach, to on się, do pioruna, nie spalił!

- Oczywiście, ale może się przecież zdarzyć, że się spali. Jak byś mi wtedy zakomunikował, że twój dom się spalił?

Tępe wyrywa nóż z pochwy, zrywa się groźnie na równe nogi.

- Jak wyjeżdżałem na te cholerne wiercenia, mój dom stał tam, gdzie go zbudowałem. A ty mi teraz, diable rogaty, gadasz, że się spalił? Ty żeś go podpalił, czy jak?

Geolog jest tak oszołomiony nieoczekiwanym obrotem lekcji gramatyki, że nie może wydobyć z siebie słowa. Spogląda to na nóż, to na długie wąsy mężczyzny.

Grobową ciszę przerywa nagły wybuch śmiechu Tirkkonena. Stary kopacz rzuca nożem w drzewo, klepie się po udach i śmieje, aż skały dźwięczą echem.

- Ale cię, chłopie, nabrałem...

Praktykanci patrzą na geologa i uśmiechają się z politowaniem, mężczyzna słyszy ich szept, ktoś nazwał go żalonym Angolem.

- Nie jestem żalonym Angolem - odzywa się geolog posepnie.

- Co najwyżej żalonym Irlandczykiem.

W głębi duszy jednak odczuwa radość. Ci ponurzy, surowi ludzie potrafią go całkowicie zaskoczyć, ciągle nie może się nadziwić ich gwałtownemu temperamentowi: jak to możliwe, że w tak zimnym kraju pala taki żar? Za każdym razem spada to na niego jak objawienie.

Mają twarde, nieprzeniknione skorupy, które ni stąd, ni zowąd eksplodują żywym ogniem! Oczywiście na zewnątrz nic nie widać, emocje wybuchają w najmniej spodziewanej chwili. Jak owe niebieskie płomienie na stoku Olkikumpu, które widywali w dawnych czasach poszukujący zbłąkanych owiec

pasterze.

Może właśnie dlatego Finowie czują się pod ziemią jak ryby w wodzie. Drążą te swoje skały, ryją chodniki z niespożytym zapalem, wesoło pogwizdując.

Sam geolog nie czuje się dobrze pod ziemią. Zwłaszcza po wypadku. Gdy musi zjechać na dół, zbadać nowe znalezisko, stara się wykonać zadanie jak naj szybciej. Tym razem jest na trzecim poziomie, na przesypie, i klasyfikuje nowy ukop. I znowu coś. Mała rzecz, z nieuwagi. Do karbidówki przedostała się kropla wody i zgasła płomień. A może on sam ją zgasił, kiedy zrozumiał, że to już?

Widział już z daleka, że wokół Eero Harjuli zgromadziła się grupka mężczyzn, klepią go po plecach, wykrzykują gratulacje.

A-cha. A zatem stało się.

Geolog spogląda niechętnie w promieniejącą dumą twarz sztygara, piękną nawet pod spłowiała, filcową czapą i czarnym, kamiennym pyłem, próbuje się nawet uśmiechać:

- Gratulacje! Chłopiec czy dziewczynka?

Eero Harjula prawie nie zwraca na niego uwagi. Jego umysł zaprzęta teraz co innego.

Wygląda tak, jakby otrząsał się z tych burzliwych emocji, które wzbudziła w nim wiadomość.

Podchodzi do szybu, lecz nie podczepia ładunku.

Nie. Jedną ręką chwytą hak. Górnicy zamierają z termosami w dłoniach, wpatrują się w swojego brygadzystę w absolutnym milczeniu, wstrzymują oddech.

Eero Harjula chwytą hak, daje znak.

Spadnie, myśli Sean O'Brien. Spadnie. Nie wytrzyma do samej góry. Nikt by nie wytrzymał. I wszyscy wiedzą, że on mógłby temu zapobiec, lecz nie zrobił nic. Jedno jego słowo i Eero Harjula musiałby puścić hak. Poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa. Czyn karalny. A prowadzący geolog nie zrobił nic.

Spadnie i roztrzaska się na miazgę, na oczach wszystkich, myśli. Zostanie z niego mokra plama na czarnym dnie szybu, a

on, Irlandczyk, nie zrobił nic, żeby temu zapobiec:

Nie chcę tego, tego akurat nie chcę, żeby Eero Harjula postradał życie.

A może jednak?

Wisi teraz w otchłani szybu, sztygar Eero Harjula, zwieszony na rękach w lodowato sonej pustce. Karbidówki na czołach górników penetrują głębie, sekundy wyciekają w próżnię, za chwilę zamieni się przed nimi w mokrą plamę, skała pulsuje niechybną śmiercią, tak musi być, nie ma od niej ucieczki, teraz, teraz, teraz.

Eero Harjula sam się o nią prosi. W jego duszę wsączył się cień skały.

Podczas nocnej zmiany. Na pewno był wyczerpany ponad siły, a wtedy pokutującej duszy udało się w niego wejść.

Tak to musiało być.

Gdy w kopalni ginie górnik, na powierzchnię wynoszą tylko ciało. Jego dusza zostaje na dole i szczególnie nocą psoci się żywym górnikom. Taka pokutująca dusza jest nieśmiertelna i na wieki spragniona życia, więc musi kogoś opętać, upodabniając do siebie.

Do żywego kamienia.

Czai się gdzieś w najciemniejszym kącie, ale gdy człowiek wie, gdzie przytknąć nos, może wyczuć jej smrodliwy oddech, bo śmierci obrzydliwie cuchnie z gęby. I taka pokutująca dusza zaśpiewała sztygarowi czarną kołysankę i załazła mu za skórę, gdy nie miał już sił się bronić, bo zadreślał się myślami, dlaczego jego żona już go nie chce, bo w pracy zasypiał na stojąco po zbyt wielu nieprzespanych nocach przy boku oziębłej żony...

Eero Harjula zaraz spadnie w głąb skały, na samo dno szybu. Roztrzaska się, czeka go pewna śmierć.

Wszystko podlega prawom fizyki: na swobodnie spadające ciało oddziałuje wyłącznie siła ciężenia, a zatem przyspieszenie jego ruchu równe jest przyspieszeniu ziemskiemu - innymi słowy, w ciągu każdej sekundy prędkość wzrasta o dziewięć przecinek osiemdziesiąt jeden metra na sekundę... co przy tej wysokości oznacza...

Lecz Eero Harjula nie spada.

Wyjeżdża na wierzch i na podszybie dociera jego triumfalny ryk.

- Chłopak, do diabła, chłopak! Teraz ma Harjula syna! Kopacze i ładowacze wypuszczają powietrze z płuc, kręcą głowami, ale już się śmieją. Pogwizdują. Rozumieją.

- Twardy jak piorun!

I pan O'Brien zapewne rozumie, że to jest taka wyjątkowa sytuacja, więc nie będzie nikomu wspominał o tym małym żarcie Eero Harjuli, zwłaszcza tym sztywniakom w biurze... do pioruna, mężczyzna musi jakoś uczcić narodziny pierwszego syna, jakżeby nie!

Pewnie tak to jest. Można i tak na to spojrzeć.

Właśnie, właśnie, tak to jest.

Może to ta arktyczna wiosna tak go oszalała, to jej niepojęte tempo. Tylko w lutym dzień wydłużył się o pięć godzin i nagle zaczynają się białe noce, nieustające święto światła i słońca, i oniemiały Irlandczyk nie może się nadziwić, że skamieniałe od zimna i mroku dusze tych ludzi nie zatracają się bez reszty w tym szaleństwie światła.

Wyczerpująca wiosna. Widzieć kobietę w tym stanie. Bezustannie sobie wyrzuca, że o niczym nie wiedział. Że nie został wtajemniczony. Że nie może pomóc, pocieszyć, być dla niej wsparciem.

Pozostało mu tylko czekać. Czekać, czekać, czekać.

Gdy po godzinie wraca na powierzchnię, Eero Harjula ciągle siedzi w szatni. Jest już nieźle wstawiony, podsuwa mu butelkę. Geolog pociąga łyka.

- Chłopak, do pioruna!

- Gratuluję!

To wszystko. Gdy zdejmuje zakurzoną odzież, nie odzywa się



ani słowem. Eero Harjula też siedzi cicho, kiwa tylko głową do swoich myśli, a od czasu do czasu uśmiecha się do geologa z rozbrajającą serdecznością i przykłada butelkę do ust.

Irlandzki geolog go nie interesuje. Nie mają wspólnego języka. Zresztą, cóż on, bezzenny chłopina, i do tego zza granicy, może wiedzieć o radościach ojcostwa?

Mężczyzna patrzy na pijanego sztygara, który z odsłoniętą, bezwłosą i szeroką piersią ni to siedzi, ni to leży na ławce, skąpany w zielonym świetle kwadratowego okienka.

Bezbronny, ufny, upojony szczęściem.

Żałować go czy nienawidzić? Obnosi się z tym swoim udawanym szczęściem, zupełnie jakby wszystko było w porządku, jakby rzeczywiście miał przed sobą świetlaną przyszłość w charakterze wspaniałego, odpowiedzialnego ojca wzorowej rodziny.

A jednak to udawane szczęście już zapuściło w nim korzenie i tężeje na oczach zdumionego Irlandczyka. Mężczyzna, któremu urodził się syn, tak się nazywa ten idylliczny obraz. To jeszcze po łyku za przyszłego towarzysza wypraw na ryby, no, zdrowko!

Geolog idzie pod prysznic. Przez uchylone okienko do łaźni wciska się ostry aromat świeżo zoranej ziemi, miesza się z parą i zapachem mydła.

A przecież ona mu obiecała.

Obiecała mu w liście, że wyjedzie, kiedy będzie po wszystkim.

Obiecała. Przysięgła. Wtedy będę twoja, kiedy już będzie po wszystkim.

Poprzez szum wody geolog słyszy, że Eero Harjula zaczął mówić. Mówi po fińsku, dobitnie, nie robiąc przerw.

I nie przerywa, gdy mężczyzna wraca spod prysznica i zaczyna się przebierać. Sztygar zdążył już włożyć czyste ubranie, jest w białej koszuli z krawatem, w mokrych włosach widać regularne bruzdy po grzebieniu.

Fłaszka jest już do połowy opróżniona. Na szybie brzęczą muchy, Harjula mówi bez przerwy, rytmicznie i uspokajająco, jak nauczyciel, który próbuje wytłumaczyć uczniowi trudniejsze zadanie.

Wychodzą na zewnątrz razem, duża dłoń opada na plecy geo-

loga niemalże z czułością.

Na rogu stoi czarne auto. Eero Harjula gestem zaprasza geologa do środka.

- Nie - mówi Irlandczyk. - Mam jeszcze coś do zrobienia.

Coś tu nie pasuje. Coś się zmieniło. W życie weszło nowe prawo, oddech sztygara nabrał nowego tempa.

A więc po to był mu potrzebny alkohol. Do tego.

Nienawiść jest jak jaskinia. Zimna i mroczna pieczara z zamurowanym wyjściem, więc trzeba pogrążyć się w niej coraz głębiej, schodzić coraz niżej. Taka jest nienawiść.

Eero Harjula otwiera drzwi pasażera, uśmiecha się zachęcająco, jak gościnny gospodarz, przed którym nie trzeba się krygować, który nie chce nawet słyszeć o odmowie.

Ale oczy. Pierwszy raz Sean O'Brien spogląda Eero Harjuli prosto w oczy.

I widzi, że ten wie.

## Olkikumpu, maj 1936

*Był sobie raz czarny, czarny człowiek, który szedł czarną, czarną ulicą...*

Więc tu się podziewa nasza dziewczeczka. Podśpiewuje i skacze. Jak mi się uda w trzech skokach stanąć na tamtym kamieniu, to nic złego się nie stanie.

Jeden... dwa... i trzyyy...

Tak, to rzeczywiście nasza bidulka. Widzę ją wyraźnie. Dwa jasne warkocze, które w takim słońcu pobłyskują rdzawym złotem. Na nogach za duże sandały, w jednym urywa się pasek.

Głupi but, mówi pod nosem dziewczynka, przez jeden głupi but wszystko przepadło...!

Chuda dziewczynka w wypłowiałej, bawełnianej sukience. Po piętach depcze jej czarnobrewy gnom, tuż za nim biegnie dyszący wilk, podnosi się kurz.

Tupiące nogi, mknący ponad polami wiatr, huu-huu, a kysz, a kysz, na lasy, na bory! Cóż ona za to może, ona, od wczesnego dzieciństwa pełna opowieści, maluteńki wątek starej jak świat tajemnicy, która poczęła się trzy lub cztery miliardy lat temu z błota i pary w wodorowo-metanowej pustce. Zna wiatr i kamienie, odczuwa niewyjaśniony pociąg do wszystkiego, co zakazane, potomkini żywotnego, niespokojnego rodu.

Coś w niej żyje zawsze w innym świecie, w innym miejscu.

Słucha, co mówią starsi ludzie, marzy o górze, o królestwie złych duchów i niewidzialnych gnomów.

Tak, to ona. Aino Helena Harjula, lat sześć. Kuca teraz przy rowie, na zakręcie ścieżki, gdzie rosną te tajemnicze, koralowoczerwone kwiatki, które wyciągają płatki do słońca.

Widzę ją wyraźnie. Coś chowa w piątce.

Biedronkę.

Dziewczynka nie posiada się z radości, co za szczęście:

Tylko pomyśleć! Siedziała tu tak sobie, po cichutku, z duszą na ramieniu, i tylko czekała, aż ktoś przyjdzie i zabierze ją w

bezpieczne miejsce. Wzruszy się i weźmie ją na dłoń, uniesie pod same oczy, bliźniętko, tak blisko, że na pewno już zobaczy jej umazany od płaczu, maluteńki pyszczyk: Nie bój się, zabiorę cię w bezpieczne miejsce...! Spojrzy na podrygujące, lśniące przezroczem światła skrzydełka, wyszepce pod nosem:

*Pod wielkim kamieniem,  
nad zimnym strumieniem  
mieszka biedronka,  
co nie lubi sionka.  
Biedroneczko, leć do nieba,  
przynieś mi kawałek chleba.*

Ale ona nie leci!

Nie potrafi, biedactwo.

Dziewczynka bardzo chciałaby jej pomóc, ale co z tego, skoro nijak nie może.

Wielki kamień jest daleko, tam nie wolno chodzić. Nie, nie. Ale wtedy ta mała, maleńka, maciupienka biedroneczka już nigdy nie zobaczy swojej mamy...!

Dziewczynce robi się bardzo żal malutkiego owada. Trzeba pomagać. Trzeba! Co na to poradzić, wiatr zawsze lubi sobie żartować, rzuca wszystko, gdzie popadnie, rozwiewa biedronkowe rodziny na cztery strony świata, ii-huu, a kysz, a kysz, na lasy, na bory! - tak to już jest z tym wiatrem. Trzeba zabrać biedronkę do domu, zrobić domek i poczekać, aż tata wróci.

Na skraju kamieniska bawi się hałaśliwie grupka starszych dzieci. Śmieją się. Bawią się w cesarza, udają, że jej nie widzą. *Cesarz maleńki, siedzi na pieńku, czarny jak smoła, biały jak śnieg, a kto ostatni, na tego śmierć!* Dziewczynka chłonie wzrokiem ich radość, odczuwa przemożną chęć dołączenia do nich. *Człowiek czy zwierzę? Jabłko czy jarzębina? Książę czy żebrak?* Zrobiłaby nie wiadomo co, przebiegła bez butów choćby pięć razy całe żmijo-wisko. Żeby tylko mogła się z nimi bawić.

- A ja coś mam...

Zabawa zamiera, wlepiają się w nią złośliwie twarde spoj-  
rzenia:

- Nie bawimy się ze smarkaczami.
- A wy nie wiecie, co mam w dłoni.
- Nic.

- Na pewno coś głupiego.
- Łże jak pies, jak zawsze.
- A właśnie, że nie.
- A właśnie, że tak.

- Sami łżecie.
- No to pokaż.
- Mam bożą krówkę.
- Gdybyś miała, to byś pokazała.
- Właśnie, że mam.

Grupka podchodzi bliżej. Ktoś pociąga ją za warkocz.

- Rudych nie biorą do nieba, tylko za darmo do cyrku.
- Nie mam rudych włosów.
- Właśnie, że masz. I szczasz w nocy w gacie.

Dzieci ustawiają się dookoła dziewczynki: znalazła się w pułapce, otoczona falującym murem złośliwości.

Chwytają ją za rękę, próbują na siłę rozewrzeć jej palce. Dziewczynka zaczyna krzyczeć.

- Plaksa, plaksa...

Dziewczynka się nie poddaje, gryzie palce, które czepiają się jej dłoni.

Ale w końcu ją dostają. Jedni trzymają, reszta rozwiera piąstkę.

Biedronka zmieniła się w żółtą, kleistą maź. Dzieci pochylają się nad nią, przyglądają się uważnie stojącemu na sztorc czerwonemu skrzydełku.

- No, to była biedronka.
- Widać jeszcze czarne kropki.
- Miałam ją wypuścić przy wielkim kamieniu! - odzywa się dziewczynka oskarżycielskim tonem, podnosi się.
- Tylko nie zacznij się mazać.
- Beksa, plaksa, córeczka mamusi... Twarz Aino wykrzywia grymas wściekłości. Jeszcze trochę i się rozplacze.

- Góra, kamień, skała, Aino się spierdziała...

Upokorzona dziewczynka zrywa się do biegu, całą drogę z powrotem biegnie, głośno płacząc. W domu szuka pudełka od zapalek i składa w nim to, co zostało z biedronki: A ja i tak ją tam zaniosę...!

Postanawia pokazać maleńkie zwłoki mamie, lecz po domu krząta się teraz jakaś obca pani o zaczerwienionej twarzy, która nie pozwala jej nawet zbliżyć się do mamy.

- Nie, teraz do mamy nie wolno.

- A czemu?

- Mama poszła po dzidziusia.

- Nieprawda. Mama jest w izbie. Słyszałam. Pójdę do niej.

- Nie pójdziesz.

- A czemu?

- Bo nie.

- A czemu?

- Dziecko, zachowujże się grzecznie.

Pewnie to jeden z tych dni, kiedy mama jest w Idenii i wszystkim nagle gdzieś się spieszy. Nikt nie ma czasu pocieszyć małej dziewczynki, wysłuchać jej i przyznać racji. Nawet pies gdzieś się schował. Na pewno będzie miał małe pieski, mówi ciocia Natalia, przygotowując naprędce dziewczynce coś do zjedzenia.

- Ja pójść do mamy. Pójdę i już.

- Teraz ładnie wszystko zjedz! Latam wte i wewte z wywalonym jęzorem i nie chce mi się słuchać marudzenia nieznośnych bachorów!

- Pójdę.

- Jak pójdziesz, to powiem ojcu, gdy wróci. Dostaniesz lanie.

- Ty sama dostaniesz.

- Jeszcze zobaczymy.

- Ja idę.

- Akurat.

I tak dziewczynka znów jest sama. Na próżno woła swojego psa. Woła, szuka małych piesków, zagląda w każdy kąt, nie znajduje, robi pięćdziesiąt podskoków na skakance, potem jeszcze sto, rysuje na ziemi pajaca, rzuca kamykiem i przeskakuje wszystkie pola dziesięć razy pod rząd bez skuchy. Chciałaby zajrzeć przez okno do izby, ale podmurówka jest za wysoka. Wraca do domu i tnie nożycami skakankę na drobne kawałki.

Zamyka się w szafie, dotyka rzeczy mamy.

Dzień wlecze się jak mucha w smole. Skwar. Zbiera się na burzę. Steżalą ciszę południa mącą jedynie dobiegające od czasu do czasu z placu budowy odgłosy detonacji i warkot wrębiarek.

Gdy robotnicy schodzą na przerwę, Aino idzie na skraj budowy szukać lontów. Można z nich zrobić ręce i nogi żółędnym dziadkom... Zbiera pozostawione butelki po cytrynowej lemoniadzie, zlewa resztki razem, wypija. Na spodzie paru butelek pełzały muchy, ale ciepły, kleisty smak napoju był silniejszy od obrzydzenia.

Doskonale wie, że nie wolno jej tu przychodzić, lecz właśnie to czyni jej wyprawę pasjonującą ekspedycją: A co by było, jakbym pociągnęła za niewłaściwy lont, taki, który ma na końcu dynamit...? Za każdym razem, gdy owija sobie wokół palca wystający z ziemi kawałek zielonego albo czerwonego drucika, serduszko zaczyna jej cudownie drżeć... *Był sobie raz czarny, czarny człowiek, który szedł czarną, czarną ulicą, i ten czarny człowiek wszedł do czarnego, czarnego auta, a w tym czarnym, czarnym aucie była czarna, czarna trumna...* Jest tak pochłonięta swoim zajęciem, tak chciwa na ten dreszcz emocji, że prawie wpada pod nogi wracających z przerwy robotników.

Brygadzista mierzy dziewczynkę wzrokiem, kręci głową.

- Srula, a zabieraj no stąd swój tyłek, i to migiem!

Dziewczynka się wycofuje, swój łup trzymając przezornie za plecami, i zatrzymuje się dopiero w bezpiecznych cieniach

olszyny, na piaszczystym nasypie, i stamtąd dalej się przygląda pobierającym narzędzia mężczyznom.

Jest gorąco, wysoko nad drzewami sunie czarna chmura, robotnicy posapują w niewygodnych strojach, zapominają o przyczajonej w cieniu drzew dziewczynce.

Robotnicy pogwizdują, ktoś śpiewa.

- ...*Tak niedawno był maj, byliśmy tak szczęśliwi...*

Dziewczynka siedzi przykucnięta, bez ruchu, z drucikami w zaciśniętej, spoconej rączce, patrzy, jak mężczyźni kopią i kują ziemię, jak wiercą dziury w skale, jak ściągają koszule i owijają je sobie wokół pasa.

- ... *Czy mnie kochasz, ja wiem, to jest żudą i snem...*

Czarne chmury wiszą nad robotnikami niczym peleryna olbrzymiego czarodzieja. Zakłęci mężczyźni, więźniowie potwora o kamiennym sercu, myśli sobie, spoglądając na ich powyginane ciała, spadające na czoła włosy, stwardniałe od pracy mięśnie. Robi się jej strasznie ich żal. Zauważa ją stojący obok majstra pan w okrągłym kapeluszu, idzie prosto na nią przez środek placu.

- Czy to nie czasem panna Harjula? - pyta melonik.

Dziewczynka kiwa głową. Odczuwa niezmierną ochotę powiedzenia Aino Helena Harjula, sześć lat, ale nie może wydobyć z siebie głosu.

- A wiesz ty, gdzie jest teraz twój tata?

Dziewczynka milczy. W pracy, odpowiada w myślach. Mój tata jest zawsze w pracy.

- Zabrał firmowe auto, kiedy jest najbardziej potrzebne, ale nie raczył powiedzieć, dokąd jedzie. Obił mi się o uszy jakiś wielki kamień, przy którym miał coś robić. Wiesz coś o tym, mała?

Dziewczynka kiwa potakująco głową, myśli o tacie i o wielkim kamieniu. O kamieniu, największym na świecie, który stoi nad zimnym strumieniem, i tacie, jedynym w całym świecie siłaczem, który wie, jak go ruszyć z miejsca. Który rzucił wyzwanie niewzruszonej, mocarnej skale.

*Kamienie znają wiele opowieści. Nikt na świecie ich tyle nie zna. Gdy słońce dotyka kamienia, ten zaczyna drżeć jak lustro*



wody. Gdy toczy się zбочem w dół, cały świat drży jak wielki bęben. Tak tańczą kamienie i będą tańczyć tak, jak ja im zagram.

Mężczyzna odwraca się, wzdycha.

- Niemowa albo cofnięta w rozwoju.

- Nie opowiadaj głupot. Przestraszyła się ciebie. Nie masz podejścia do dzieci - odzywa się robotnik z taczka, puszcza oko do dziewczynki. - Mała jest bystrzacha, no nie?

Melonik pochyla się nad nią, zagląda dziewczynce głęboko w oczy.

- No? Wiesz czy nie wiesz?

Skinięcie głową.

- Chyba nie wiesz.

- Właśnie, że wiem.

- W takim razie powiedz, co to za wielki kamień, skoro jesteś taka mądra.

Dziewczynka jest dumna, że mogła towarzyszyć ojcu, że wie dużo, dużo więcej od tego głupka:

- To kamień Króla Pik.

- Jakiego znowu Króla Pik?

Co za głupek. Nie wie nawet, kto to jest Król Pik. A na innych naskakuje.

- Emmanuela Aarnio.

Melonik wpatruje się w nią z niedowierzaniem, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Że jak?

Trudno wymówić jego imię, ale dziewczynka jest teraz całkiem pewna: }a wiem, ja wiem, ja, ja!

- Kamień Emmanuela Aarnio.

- A-cha!

Prostuje się, przeciągle gwizdże.

- Więc to takie buty... Niech to dunder świśnie. Rzeczywiście, mądra z ciebie dziewczynka.

Mężczyzna grzebie po kieszeniach, lecz nie znajduje niczego, co mógłby jej dać.

- Wiesz, gdzie jest ten kamień?

- Wiem.

- Pokażesz mi?

Dziewczynka się waha. Przypomina sobie pudełko od zapalek.

- Ale to daleko.

- Jak daleko?

- Daleko.

- A jak się tam z tatą dostałaś?

- Rowerem.

- W takim razie nie widzę żadnego problemu.

Mężczyzna chwyta poufale dziecko za rączkę, ciepła, nieco wilgotna dłoń, oddala się od placu. Do roweru mają jeszcze daleko, gdy dziewczynka staje. Melonik za mocno trzyma. Ręka jest uwięziona. Mokra od potu. Trzeba ją uwolnić.

Ani kroku dalej.

- No, co znowu?

Nie. Trzeba się wyrwać. Rękę wyrwać.

*...i w tej czarnej, czarnej trumnie była czarna, czarna łalka, która miała czarne, czarne serce, a w tym czarnym, czarnym sercu była czarna, czarna...*

- Do domu! Muszę iść do domu.

- Już ja cię potem do domu odwiozę, bez obawy.

Lecz dziewczynka już podjęła decyzję, wyrwa dłoń i bierze nogi za pas. I nie zatrzymuje się ani nie ogląda, choć mężczyzna głośno za nią krzyczy.

## Olkikumpu, maj 1936

Po drodze Eero Harjula opowiada Seanowi o'Brienowi, jak zamierza przetransportować monument z Kaarmekoski na stok Olkikumpu. Mężczyzna jest przekonany, że choć Irlandczyk nie mówi po fińsku, rozumie wszystko, co ten do niego mówi.

Opowiada o swoich obliczeniach, z których wynika, że z pomocą wciągów i lin gład można będzie przesunąć jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów na dzień, może więcej. Prawdopodobnie uda mu się również załatwić ciężarówkę do ciągnięcia. Podsumowując, nawet przy dobrym tempie pracy całe przedsięwzięcie zajmie lekko licząc rok, półtora - o ile nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Harjula nie wie, czy żona opowiadała swojemu gachowi o gładzie, ale wygląda na to, że sprawa zrobiła na nim głębokie wrażenie.

- Co mówisz, oderwał się od Olkikumpu?

Cudzoziemiec gładzi dłonią szorstką powierzchnię granitu, kiwa potakująco głową. Może w myślach widzi to samo, co górnik: sunący niczym gęsta stearyna jezor topniejącego lodowca, który bez trudu porywa i toczy łomy skalne wielkości domu. Ta gigantyczna biała rzeka musiała tędy spływać w dół. Oczywistym tego dowodem jest gład chalkopiryty, któremu kopalnia zawdzięcza istnienie...

Eero Harjula jest zadowolony, że geolog potwierdził jego opinię, że udzielił jego planom błogosławieństwa. Ostatecznie cudzoziemiec to wielki ekspert, zna kamienie lepiej niż on własną kieszeń, nikt na kopalni nie wie o nich połowy tego, co on.

- Od groma będzie z tym jeszcze roboty, odłupanie tego grzmo- ta od calizny i nadanie mu pożądanego kształtu będzie wymagać dokładnych obliczeń i planów. Zajeżdżimy na śmierć niejednego świder i połamiemy masę klinów, nim się z tym uporamy. Wymy śliłem sobie, że mógłby mieć formę

ośmiometrowej wysokości prostokątnej bryły, grubej na jakieś osiemdziesiąt centymetrów. Wolałbym go nie ścinać, niech będzie widoczny z daleka. Miałby wtedy w przybliżeniu proporcje talii kart, bo Emmanuel Aarnio lubił grać...

Zapalają papierosy, Irlandczyk przysiadł na skale, zsuwa kaszkiet na tył głowy, obraca twarz do słońca. Wokół głowy wiruje mu chmara komarów, lecz geolog jakby nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Mężczyźni wsłuchują się w szmer strumienia, w leniwe poskrzypywanie drzwi starej szopy nad brzegiem. Zbiera się na burzę, liście na drzewach kleją się do powietrza, to podrygują, to nieruchomieją, na coś czekając. Cudzoziemiec również czeka, z tą swoją benedyktyńską cierpliwością, do której przywykł, obcując z kamieniami, czeka na spełnienie się przeznaczenia. Gdy odwraca głowę do sztygara, po ramkach okularów przebiega promień światła; po raz pierwszy Eero Harjula zaczyna rozumieć, co jego żona mogła widzieć w tym mężczyźnie. Oczywiście, nie można wykluczyć, że na tę ocenę w jakiejś mierze wpłynął alkohol: cóż za siła jest zaklęta w tej brudnej cieczy, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dziwak przemienia się w kolegę, ba - kamrata, towarzysza broni w odwiecznej walce z dominacją kobiet.

Geolog wypowiada kilka słów. Jedno zdanie z tych kilku, które nauczył się wymawiać po fińsku.

- Coś nie tak?

Eero Harjula nie odpowiada.

- To co, pojedziemy dalej - stwierdza raczej niż pyta, gdy obaj zgasili już papierosy, i kiwa głową w stronę auta.

Irlandczyk podąża za nim, siada obok kierowcy. Uśmiecha się. Sztygarowi przebiega przez myśl, że zupełnie nie ma powodu.

- Teraz na pewno rozumiesz, boś zobaczył, co zamierzam. Mężczyzna ma swój honor. W każdym razie u nas, w tym kraju. Jak jest u was, tego nie wiem. Jakie tam macie zwyczaje. Zapewniam cię jednak, że nie ma tu nic do śmiechu. Tu, jak zabijesz człowieka, możesz jeszcze uniknąć kary, ale jak go pohańbisz, nie ujdzie ci to na sucho. Tutaj popełniłeś błąd.

Takie coś trzeba odpokutować. W tym kraju mężczyzna musi odzyskać swój honor, za wszelką cenę. Rozumiesz?

Cudzoziemiec znów kiwa potakująco głową. Eero Harjula nawet na chwilę nie może oderwać oczu od krętej, wąskiej drogi, bo inaczej gotowi wylądować w jakimś diabelskim rowie, nim ich wyprawa zdąży się na dobre rozkręcić.

Dlaczego na jego ustach ciągle igra ten cholerny półuśmieszek? Niepojęte. Oskarżenia są ciężkie, bardzo ciężkie, mimo że ich na wołowej skórze nie spisali. A że to Eero Harjula jest w tej sprawie powodem, jego przykrym obowiązkiem jest dostarczyć oskarżonego przed oblicze sądu i dopilnować, by został skazany.

Trochę długo to trwało, trzeba to sobie powiedzieć otwarcie.

Przecież dobrze wiedział, już od zeszłej jesieni. Od tamtego dnia, gdy geolog przysłał z wyprawy chłopaka do kopalni z wiadomością, że pani Harjula nie czuje się dobrze i że lepiej, jakby ktoś pojechał po nią autem i odwiózł do lekarza. Wtedy Eero Harjula zwąchał pismo nosem.

Gacha nie trzeba przyłapać w łóżku z żoną, by mu dowieść winę. Domyślił się wszystkiego, widząc, jak geolog podkłada swój złożony sweter Vidzie pod głowę, jak otula ją płaszczem. Ta jego troskliwość lepiej świadczyła o tym, co się święci, niż wykrzyczane wszem i wobec wyznanie miłości. Oto żona innego mężczyzny leżała przed nim jak królowa na ołtarzu, włosy odgarnięte z twarzy, buty ustawione równo obok siebie, szal starannie złożony.

Eero Harjula widział wcześniej niezemiński bałagan na biurku geologa, więc dobrze wiedział, że porządek nie leży w jego naturze. Ale wtedy, w tamten jesienny dzień, był zupełnie innym mężczyzną, przestraszonym, odchodzącym od zmysłów kochankiem, który z bijącym sercem przelewał swoje uczucie na *wszystko*, co należało do pożądanej przez niego kobiety.

Eero Harjula poczuł nieprzewartą chęć, żeby go uderzyć.

Nie, nie, nie: gdy zrozumiał, że cudzoziemiec, zdejmując jej buty, uchwycił ją za nogi, że dotykał jej skóry, gładził włosy, że trzymał w objęciach jej wpierw drżące, a potem bezwładne ciało - chciał go zabić. Zmasakrować tę znieprawioną twarz,

na której zastygł zachłanny, zatroskany grymas, strzaskać mu okulary i wgnieść w oczy, które widziały już zbyt wiele, skrócić mu ten brązowy od słońca kark, gdy tak się pochylał nad jego żoną, połamać mu żebra, kopać go, dopóki by się nie udusił własną krwią.

*Kto ci dał prawo dotykać mojej kobiety?*

Oczywiście, Eero Harjula niczego takiego nie zrobił. Gardło miał ściśnięte od tłumionej żądz mordy, lecz udało mu się spokojnie zajrzeć pod powieki żony i stwierdzić chłodno, że rzeczywiście ciągle jest w stanie omdlenia. Kropelki krwi w kącikach ust zostały już starte, geolog przebiegle ukrył chusteczkę w kieszeni, lecz wystarczyło zajrzeć Vidzie w usta, by stwierdzić, że znów przygryzła język.

- Czasem tak ma - skwitował Eero Harjula. - To nic poważnego.

*Doctor, doctor* - jęczał geolog, lecz sztygar zapewniał, że nie ma potrzeby wołać do żony doktora, absolutnie żadnej. Zabierze ją do domu, po drodze na pewno dojdzie do siebie, to się zdarza, lecz jak się rzekło, nie ma najmniejszego powodu do troski.

Za nimi stał pryszczaty praktykant, który gapił się nierozumnymi oczami na leżącą na ziemi kobietę, i sztygara świerzbila ręka, żeby i jemu przyłożyć: Jak mogłeś, bałwanie, zostawić tego mężczyznę sam na sam z moją żoną!

- Widzieliście, jak się przewracała? Czy jak to było?

Irlandczyk nie zrozumiał pytania, a chłopak nie wiedział; nie było go wtedy w pobliżu.

Eero Harjula dał za wygraną. Nie chciał dłużej ciągnąć tego przesłuchania, wszystko było jasne: do tej pory Vida miała ataki tylko w łóżku, gdy zasypiała lub gdy się budziła.

W aucie wściekłość Eero Harjuli jeszcze tężała. Jak długo to trwało, jak daleko sprawy zaszyły, czy mógł jeszcze coś zrobić?

Przez całą drogę powtarzał imię żony, Vida, Vida, Vida, o co tu chodzi, powiedz mi, oszczędź mi tych najgorszych podejrzeń. Nie mów mi, że to się zaczęło już w zeszłym roku...

Lecz kobieta nie odpowiadała. Leżała bezwładnie, z zamkniętymi oczami na tylnym siedzeniu, z ust wyrывały się jej

czasami przygłuszone jęki.

Gdy niósł ją do łóżka, nadal była w letargu. Zdjął jej spódnicę, badał jej zamkniętą twarz. Nad górną wargą perlił się drobniutki pot, włosy na czole miała posklejane. Dotknął jej skóry, powiódł palcem po smukłych kończynach, wzdrygając się na myśl, że inny mężczyzna mógł robić to samo. W zgięciu ramienia, w miejscu, gdzie skóra jest najbielsza, zobaczył zadrapanie. Zraniła się, upadając, czy może to ślad ludzkiego paznokcia?

Eero Harjula rozebrał żonę do naga. Nogi miała białe i gładkie, jeśli nie liczyć małego siniaka nad kolanem. Pod pępkiem miała jasny puszek i nie pamiętał, by kiedykolwiek zwrócił na niego uwagę.

Taka piękna kobieta. Moja żona.

Żoneczka.

*Nie zostawiaj mnie, Vida. Nie przestawaj mnie chcieć tak, jak ja chcę ciebie. Otwórz oczy, spójrz na mnie. Na mnie. Na swojego męża. Spójrz na mnie, kochaj mnie...*

Z ust kobiety wydobyło się ledwie słyszalne westchnięcie, Vida Harjula delikatnie podkurczyła nogi, poruszyła palcami.

*Wołasz mnie, Vida? Chcesz mnie? Będę dla ciebie czuły i łagodny, ukołyszę cię w ramionach jak dziecko, tylko mnie kochaj, tylko mnie...*

Ale Vida Harjula się nie przebudziła.

Jeszcze nie wtedy.

Godzinę później, gdy Eero Harjula naparzył kawy i przyprowadził dziewczynkę od Natalii, kobieta już się ubierała. Uczesała włosy, rzuciła mężowi przelotne spojrzenie i odwróciła głowę, o nic nie pytając. Po prostu się ubrała, przysiadła do stołu w kuchni i wzięła w ramiona swoją Kruszynekę, jakby chciała się na niej wesprzeć, i zaczęła jej szeptać do ucha dziecięce pieszczoty.

Nie zapytała, co się wydarzyło. To go przerażyło, zmroziło mu krew w żyłach. Od tamtej pory Eero Harjula wiedział.

Wiedział, a mimo to pozwolił, by człowiek, który go pohańbił,

wyjechał z kraju. Pozwolił mu spokojnie wrócić do domu, nie kiwnął nawet palcem: Co za czort mnie zatrzymał?

Czyżby zrobiło mu się żal cudzoziemca, tak jak czasem robiło mu się żal zająca albo lisa, który podszedł mu zbyt blisko pod łufę? Tak blisko, że można mu było wąsy policzyć? Ustrzelić dziesięć siedzących na drzewie ptaków to nie to samo, co ustrzelić jednego w locie.

*Lecie, ptaku, biegnij, szaraku, pędź, aż się będzie za tobą śnieg kurzyć, walcz o życie, pokaż, że jesteś szybszy niż moja ręka...*

Tak na pewno musiał myśleć: wynoś się stąd i żebym cię więcej na moim terenie łowieckim nie widział...!

Ale nie, nie zrobił tego - przyszła wiosna i geolog znów się pojawił, jak gdyby nigdy nic, znów zaczął się obnosić z tymi swoimi kamieniami. Nie docenił bezgranicznej wyrozumiałości Eero Harjuli. Nie dał mu wyboru.

Co było robić? Skoro wrócił, skoro nie zatrzymały go ani przyzwoitość, ani zapomnienie, musiał mieć poważniejsze powody. Szytgar widział, jak zapłonęły agrestowe oczy jego żony, gdy się dowiedziała o powrocie Irlandczyka.

Nie było najmniejszych wątpliwości.

A potem kobieta podchodzi do niego i mówi, że odejdzie. Mówi tak, ale zostaje. Dziwna rozbieżność słów i czynów. Niedająca się pogodzić sprzeczność. Niezbadane są drogi kobiecych myśli. Znaczy się, że czeka. *Zatrzymaj mnie! Walcz o mnie!* Czy o to jej chodzi?

No to wypijmy za to! Nie masz ochoty?

Eero Harjula wzrusza ramionami, pociąga spory łyk.

A może coś sobie zaśpiewamy, droga szybciej nam zleci? Można fałszować.

Nie. Rozumiem.

Milczkowatość cudzoziemca zaczyna być nieznośna: Jak długo mu się zdaje, że będą ciągnął ten cholerny monolog, nie jestem w końcu kaznodzieją, do diabła, jeszcze się nikt pod ziemią w klechę nie zamienił...!



- *Tak niedawno żeśmy się poznali, a już dziś rozstania nadszedł czas...*

Geolog się uśmiecha, nie odwracając głowy, Eero Harjula ma piękny baryton, chętnie posłucha jego piosenki.

Do auta wleciał bąk, tłucze się po przedniej szybie, brzęczy między mężczyznami.

- *...I choć w życiu przyjdą smutne chwile, i choć przyjdą w życiu chwile złe...*

Eero Harjula odpowiada uśmiechem: Wydajesz się takim sympatycznym gościem, przyjaźnie nastawionym. Ale mnie nie nabierzesz; gdy żona się budzi i widzi, że z niej wycieka, ale nie skacze mężowi do oczu, nie krzyczy, że co ty sobie wyobrażasz, świnió jedna - czy trzeba jeszcze lepszego dowodu winy?

O nic nie spytała. Bo nie miała odwagi. Nie była pewna.

- *...Trzeba wykorzystać każdą chwilę, i zapomnieć, że istnieją Izy.*

Szytgar Harjula jest gotów część winy wziąć na siebie. Sumienie

mu ciąży. Żonie trzeba było poświęcać więcej uwagi. Nowe fatalaszki, tak, tutaj nie ma co oszczędzać. Futro mogłoby być miłą niespodzianką z nadejściem jesiennych chłódów.

- Nie chce ci się pić? Sikać?

Ale nie, towarzysz podróży tylko wzdycha, nie odpowiada, wspiera głowę na dłoni, przygląda się w milczeniu zmiennemu krajobrazowi.

No to posiedzimy w milczeniu, myśli sobie Eero Harjula, możemy i tak, mnie to odpowiada.

- *Tak niedawno żeśmy się poznali, a już dziś rozstania nadszedł czas...*

Ciekawe tylko, że za każdym razem, gdy Harjula chce już zatrzymać auto, czuje znajome dreszcze. Całego go trzęsie, najbardziej w kolanach, a w ustach zbiera się kwaśna ślina: Dlaczego nie zostałeś w swoim kraju, szatanie jeden, dlaczego mnie do tego zmuszasz?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego.

Głupie pytanie. Jakby sam dobrze nie znał odpowiedzi. Kobieta. Pożądanie. Instykt posiadania. Kobiety i nieszczęścia

to nierozłączna para, wie to każdy głupi, że za kobietą ścielą się zgliszcza i trupy, jak liście po jesiennym deszczu. Nic się nie rozpala i nie gaśnie gwałtowniej od miłości kobiety. Męczyzna pogrąża się w bagnie własnej chuci, coraz głębiej i głębiej, a kobieta tylko się otrzepie i dalej rusza w tan...

Zatrzymuje auto. Cudzoziemiec siedzi cicho, już poznaje, gdzie są. Zdążył być i tutaj, kopał te swoje rudy i obmyślał, jak odbić sztygarowi żonę.

Obaj wysiadają. Irlandczyk prostuje zeszywniałe ramiona. Gdy wyciąga papierosa, Eero Harjula przypomina sobie, że o czymś zapomniał. Wraca do auta i wyciąga z teczki pistolet.

Żałuje, że nie zna angielskiego. Chciałby powiedzieć geologowi coś pojednawczego, parę słów, coby ten zrozumiał, że robi to niechętnie, ale został do tego zmuszony. Chciałby usłyszeć odpowiedź oskarżonego. Że jako męczyzna, w głębi duszy, uznaje zasadność czynu.

A tak tylko palą papierosy, Eero Harjula spluwa nabiegającą do ust, metaliczną śliną, bierze kolejny łyk, wydmuchuje nos. Nie takie to łatwe z pistoletem w dłoni, ale jakoś mu się udaje. Liście drzew wzdychają niespokojnie, daleko w lesie słychać ciągnące się w nieskończoność kukanie kukulki.

- Naprawdę myślałeś, że ją dostaniesz? Naprawdę się huczyleś, że pozwoliłbym Vidzie wyjechać z tobą? - Eero Harjula potrząsa bronią przed nosem geologa, szuka w jego twarzy niemego, osta tecznoego wyznania.

*Coś nie tak?*

Co, ty jeszcze pytasz, czy coś jest nie tak?

Ma jeszcze czelność o to pytać.

Sztygar wydmuchuje nos, wyciera palce w spodnie, patrzy na geologa.

- Już ci mówię: Ty. Ty jesteś nie tak. Tylko i wyłącznie ty.

Miewaliśmy problemy i przed tobą, mówi w myślach Eero Harjula, lecz nic takiego, z czym nie można by sobie poradzić. Głównie z dzieckiem. Trzeba jej było dać zupełną swobodę, pozwalać robić, co i jak się podoba. Żadnej dyscypliny. Ja, który od małego słyszałem na dobranoc świst końskiego bata, wiedziałem, że dzieciakom potrzeba żelaznej ręki, bo inaczej

nie wyjdą na ludzi. Matka mi umarła, gdy miałem pięć lat, i pamiętam to aż za dobrze. Nie przywołała nas do łoża śmierci, tylko ojca. Będzie mi ciebie brak, płakała, oj brak, mój ty jedyny, najdroższy. Ale stary wziął sobie drugą, nim matka zdążyła ostygnąć. I gonił nas batem do spania, żeby mógł w spokoju jeździć na tej swojej młódce, bo nie jej tak nie brzydziło, jak małe dzieci. I nim ojciec na białym rumaku pojechał na wojnę, wyzwalać ten kraj od czerwonej zarazy, posadził mnie na krześle, nalał do szklanki bimbrowu i powiedział, że teraz ty, Eero, jesteś tutaj panem, teraz ty rządysz całą tą zasraną ochronką. Miały mnie słuchać siostra, dwóch braci i chuda jak szczapa przyrodnia siostra, którą zmajstrował z tą swoją drugą żoną. W pierwszej kolejności chciałem tę kurwę zastrzelić, bo znęcała się nad naszą Natalią. Ale nie trafiłem. Nie poszła po policję, przyprowadziła braci. Dwie dwumetrowe kłody, mieli kielbkie we łbie, ale pięści jak bochny. Miałem wtedy czternaście lat. Drugi raz nie przestrzelię, to ci mogę obiecać, to masz jak amen w pacierzu.

Skwarny dzień. Kto wie, może najpiękniejszy tego roku. Najgorsza pogoda do zabijania. W taki dzień już lepiej obwiązać sobie głowę chustką i iść na ryby.

- Dobrze wiem, że moja żona prosiła się o to - odzywa się.

Widać było po wszystkim. Po tym, jak się stroiła. Po tej jej skłonności do lekkomyślności, od samego początku. Podziwiała tę Wallis Simpson za publiczne cudzołóstwo. Ta to wiedziała, jaką władzę kobieta ma między nogami. Mężczyzna dla niej wyrzekł się korony, takiej władzy. Porażające. Niesamowite. Trudno sobie wyobrazić wspanialszą pochwałę pizdy.

- Czego się spodziewałeś, kiedy chłopak się urodził - zaproszenia? Żebyś mógł zobaczyć, w kogo się wdał? Trzeba go wydać, to jasne. Kiedy Vida trochę dojdzie do siebie. Sama dobrze wie, że tak będzie najlepiej...

Dlaczego Irlandczyk nic nie robi? Nie próbuje wyrwać pistoletu, nie rzuca się do ucieczki, nie błaga go o litość? Nie odwołuje się do jego szlachetności?

Nie wymiotuje?

Nie próbuje czegoś zrobić?

*Czegokolwiek?*

*Strzelaj już, dlaczego nie strzelasz, do kurwy nędzy! Nie widzisz, że sam cię o to prosi? Za wiele nie mówi, ale gdyby mógł...!*

Granica między powagą a śmiesznością jest cieńsza od włosa. Przebiega gdzieś w okolicy drugiego papierosa. Kurwa mać, kurwa j ebana mać!

- Wskakuj do auta! - rozkazuje Eero Harjula, wyraźnie widać, jak trzęsie mu się dłoń.

Droga jest nierówna, źle się jedzie. W ręce trzyma broń, ciężki i gruby pistolet, z którego nie można nie trafić, ale on jedzie dalej po wyboistej, krętej drodze, nie zatrzymuje się.

Trzy kilometry dalej znów stają. Powód jest prosty: koniec drogi. Tym razem przed wyjściem z auta Eero Harjula odbezpiecza broń i wbija lufę Irlandczykowi w plecy. Żwawym krokiem wchodzi w olszynę, gałęzie najbardziej drapią idącego przodem geologa, ale i jego konwojentowi liście czasem chłuszczą twarz.

Przy skale Harjula się zatrzymuje.

- Idź prosto przed siebie!

Geolog posłusznie idzie dalej.

Fin patrzy, jak Irlandczyk wchodzi w rzadką brzezinę. Cudzoziemiec przywykł chodzić w trudnym terenie, pewnym krokiem schodzi po kamienistym zboczu, potem znów zaczyna się wspinać.

Mężczyzna unosi pistolet. Eero Harjula, który nie umie spuścić. Który musiałby walczyć z własną ręką, by nie trafić.

Teraz ma go na muszce.

Wyobraża sobie, że Sean o'Brien nie jest człowiekiem, lecz zwierzęciem, od których się roją tutejsze lasy. Zwierzęcą łowną. Zwyczajnym szkodnikiem. Myśli o tym, jak ten pasożyt pokalał jego żonę, jak ją obwąchiwał i dotykał, jak blisko był jej skóry.

- Moja żona, do diabła, moja! - krzyczy na całe gardło.

Moja żona. Moja. Tylko moja!

Niech się tylko obróci, mówi sobie w myślach. Niech się tylko

obróci, a zastrzelę go jak psa. To będzie znak: Wtedy strzelam, bez zastanowienia.

Jeszcze jest cicho, lecz po niebie płyną groźne, sine chmury, rosna w oczach, są coraz niżej. Eero Harjula wpatruje się w malejącą postać. Wie i czuje, że nie tylko jego oczy śledzą jej ruch.

Irlandczyk się nie odwraca.

Eero Harjula wyciera spoconą twarz, opuszcza pistolet.

Nie odwrócił się. Nie szukał zasłony, nie zaczął biec. Kto by chciał takie trofeum? Zupełnie jakby chciał, żeby go zastrzelił. Jakby błagał o śmierć, jak Emmanuel Aarnio, tyle że z innego powodu.

Nie strzelił. Jest myśliwym, nie katem.

Nie, nie strzelił, bo przez głowę jak błyskawica przebiegła mu myśl, że zachowaniem cudzoziemca kieruje ukryty motyw: żądza ostatecznego zwycięstwa.

Teraz dostrzega to wyraźnie, widzi to jasno jak na dłoni: był w tym palec Opatrzności, że w porę to zrozumiał, w ostatniej chwili.

Zabicie konkurenta byłoby czystą głupotą. Z nieżyjącym kochankiem nie miałby żadnych szans, już widzi jej jaspisowe, rozplomienione oczy, gdy myśli o mężczyźnie, który oddał za nią życie. Próżno by potem zabiegał o jej miłość. Martwy Irlandczyk biłby go na głowę w każdej rozgrywce.

Patrzy na niknące w oddali plecy i mimowolnie unosi z podziwem dłoń.

Tak spokojnie idzie.

Ale to już przeszłość.

Mężczyzna musi umieć zachować godność także w obliczu porażki. Nie może się łamać, musi odejść z uniesioną głową. Bez tego nie zasługiwałby nawet na zemstę.

W środę dwie krótkie rozmowy z Finlandią. Jestem w oszczędnym nastroju. Z pięćdziesięciu jednostek na karcie zostaje mi jeszcze dziesięć i tym razem nie zbiera mi się na płacz, choć słyszę w słuchawce wyraźnie głosy moich dzieci i przyjmuję ważne uzupełnienia do listy prezentów, o których nie wolno mi za nic w świecie zapomnieć. Nie szlocham, choć dobrze rozumiem, że okazałam się beznadziejną dziennikarką i bolesnym rozczarowaniem dla swojego szefa. Nawet prawie szczerze ucałowania od męża, który po raz kolejny mi przypomina, że jestem najwspanialszą na świecie żoną i kobietą jego życia, nie są w stanie przerwać tamy, za którą zamknęłam litość nad sobą.

Moje Izy nie zaleją budynku starej poczty w Dublinie. Nawet jedna słona kropla nie spada na czarną słuchawkę, choć nikt na mnie nie patrzy. Choć odarto mnie z godności, choć jestem już nikim i nic nie potrafię. Pocięsza mnie to, że ci, którzy mi to robią, nie widzą, jak jestem bezbronna w tym długim, chłodnym korytarzu poczty na ulicy O'Connell.

- Miałeś rację - odzywam się do starszaka, gdy wreszcie się zjawia pół godziny po umówionym czasie. - Nie opublikują tego artykułu.

- Naczelnemu nie przypadła do gustu moja teoria sejsmiczna?

- Nie. Szczególnie po tym, jak kolegium redakcyjne, zwłaszcza w osobie szefa redakcji technicznej Nurmiego, obwieściło, że podważanie wiary w postęp nie przystoi czasopismu o poważnym profilu naukowym.

- Człowiek z branży?

- Oczywiście. Fundacja spółki Olkikumpu SA to zaplecze pisma. Byli srodze mną rozczarowani. Zaofiarowałam się, że skrócę artykuł, ale i to nie pomogło. Bardzo mi przykro. Bo i ty poświęciłeś na niego tyle czasu. Musiałeś się dokopać do tych

wszystkich starych map i w ogóle.

- Tym się nie przejmuj. W końcu poza czasem już nic mi nie pozostało.

- Mówiąc szczerze, już się bałam, że mnie wyleją, ale zainteresował ich ten megalityczny grobowiec. To moja ostatnia szansa. Naczelný uważa, że nie byłoby od rzeczy, gdyby mi się udało dostać do Newgrange w dzień przesilenia zimowego i zobaczyć cały ten system w akcji. Skoro już jestem we właściwym czasie i miejscu.

- Z tym może być sporo kłopotu - odzywa się Sean. - Zwłaszcza teraz, w ostatnim momencie. Ale zawsze warto spróbować. Znam ludzi, którzy mogliby pomóc...

- Nie fatyguj się, proszę. I tak przysporzyłam ci aż nadto trudów.

- Wręcz przeciwnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłem.

Kłamie, ale mimo to robi mi się przyjemnie.

- Chyba rzeczywiście jednak zachowałam się nieprofesjonalnie. Kobiety w ciąży to nadzwyczaj irracjonalne stworzenia, to fakt naukowy. Odbija im od hormonów. W końcu to żadna filozofia, chodzi po prostu o złożenie uranu z powrotem tam, skąd go wzięliśmy. W skorupie ziemskiej. Ale mi nawet z tak prostej sprawy udało się zrobić podejrzany proceder, zadając niewłaściwe pytania, wywlekając rzeczy kompletnie nieistotne i...

- Spodziewasz się dziecka, Iris?

- Nie, nie *spodziewam się* go w najmniejszym stopniu. To znaczy noszę w sobie coś, co do mnie nie należy, zamierzam jednak pozbyć się tego przy najbliższej okazji. Po powrocie do Finlandii, kiedy załatwię już tę cholerną separację.

Uśmiecha się, kiwa głową z niedowierzaniem.

- Siostry oczywiście potraciły głowy dla tego dziecka. Chcą, żebyśmy koniecznie je urodziła. Ale ja nie jestem wrózką od niespełnionych marzeń... Nie mam najmniejszej ochoty zdręzczać się na śmierć tylko dlatego, że *one* uwielbiają biegać po sklepach i obmacywać śpioszki w zajączki i misie.

- Oczywiście.

Ogarnia mnie nagle rozdrażnienie, że cały czas mi potakuje. Mężczyzna i do tego katolik, dlaczego mi nie mówi, że to morderstwo niewinnego dziecka, za które będę się smażyć w piekle?

- Nie zamierzasz ustosunkować się do sprawy z etycznego punktu widzenia?

-Nie.

- To dobrze. Gdy mój mąż zaczął krytykować moją decyzję, podarłam mu koszulę. W biały dzień na ulicy. Leć do tej swojej zdziry, powiedziałał mu. Pieprz się z nią, ile wlezie, zrób sobie z nią nawet całą drużynę, ale ja nie urodzę ci już więcej ani jednego dziecka!

- Jasno i wyraźnie.

- Też tak myślę.

Drzwi kawiarni ratują nas przed drażeniem tematu. Wchodzimy do środka, nakładamy sobie kanapki i w milczeniu, przy brzęku filiżanek grzebiemy to, o czym nie należało nigdy wspominać.

- Słyszałam niedawno, że Amerykanie pracują nad reaktorem jądrowym, który spalałby własne odpady - zagajam rzeczową rozmowę przy kawie. - Obliczyli, że znalazłby się na rynku do 2010 roku. A wtedy problem geologicznego składowania wysoko- aktywnych odpadów promieniotwórczych przestałby w ogóle istnieć... To oczywiście smutna wiadomość dla burmistrza Olkikumpu. Wszystkie te miejsca pracy i w ogóle.

- Ale doskonały powód, by dalej inwestować w energię jądrową - zauważa Sean O'Brien z powagą, której wymaga temat.

- To prawda. Ten artykuł na pewno puszcza. - Znów zaczynam się niebezpiecznie użalać nad sobą, więc Sean próbuje mnie ratować:

- Megaloty i ofiary z ludzi to także dobry temat. I w ogóle interesująca sprawa.

Oczywiście. Bezsprzecznie. Temat, który ma wszystkie inne tematy pod sobą. I zawsze aktualny.

Na Oceanie Spokojnym, za milczącym przyzwoleniem władz, ciągle jeszcze potajemnie składa się ofiary z ludzi. Prześląganie



duchów przodków i zapewnienie bogom odpowiedniej rozrywki wymaga krwi. W Andach to samo. Nawet mój rodzony dziadek zafundował sobie prywatny megalit na stoku Olkikumpu. Ku czci ofiary ludzkiej, jakżeby inaczej.

Wygląda na to, że zawsze ktoś musi umrzeć, aby inni mogli się dobrze bawić. Bogom nigdy się nie znudzi żądać od nas największych możliwych ofiar. Powód też się zawsze znajdzie. Rytuał odbierania życia, powielany w nieskończoność - aż po kolejny wielki wybuch. Bo czymże innym jest wojna atomowa, jeśli nie skrajną formą krwawej ofiary oczyszczającej?

- A więc w końcu nie zobaczyłeś naszego słynnego megalitycznego monumentu w Olkikumpu - stwierdzam raczej niż pytam. W moim głosie nie ma przygany.

- Jeszcze tam stoi?

- Nie. Coś się z nim stało.

- Rosjanie zbombardowali?

Skąd mogę wiedzieć? Gdy Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom, a Kanada przestała dostarczać im niklu, zaczęła się regularna wojna o Olkikumpu. Musieli sobie szkopy płuć w brodę, że wcześniej nie raczyli nawet zapoznać się ze złożem, choć im je na złotej tacy podawali. Ale w przededniu wojny co rusz kogoś przysyłali i wypytywali o bezcenny nikiel.

- Ale koncesję mieli Brytyjczycy, którzy wiedzieli, że niklu jest tam tyle, co kot napłakał - uzupełnił staruszek. - Słyszałem, że zarząd spółki zwołał w Londynie posiedzenie nadzwyczajne. Było jasne, że skoro zainwestowali w Olkikumpu taką górę forsy, będą dążyć do zabezpieczenia swojej własności.

Oczywiście. A i Finom było wówczas bardzo na rękę, by Brytyjczycy dalej eksploatowali kopalnię, bo obligowało ich to do obrony terenu.

- Rząd fiński wystosował pisemną notę, że nie będzie zmuszał spółki do produkcji na korzyść wrogów Anglii - mówi.

Nic mi o tym nie wiadomo. Pamiętam za to, co przeczytałam w moim podręczniku historii z liceum: W tajnym aneksie do podpisanego przez Związek Sowiecki i Niemcy paktu o nieagresji ustalono, że Finlandia będzie należeć do sowieckiej strefy wpływów. W zamian za to Rosjanie zobowiązali się

sprzedawać Niemcom fiński nikiel.

- Zgadza się, lecz wtedy Związek Radziecki bał się jeszcze Anglii. No i Brytyjczycy mieli kilka scenariuszy planów obronnych. Jeszcze po wojnie zimowej rozważano sabotaż - w razie, gdyby Niemcy lub Sowieci zdecydowali się przejąć kopalnię.

- No, ale w końcu Niemcy położyli jednak na niej rękę.

- Ale bardzo się rozczarowali. Bo niklu było za mało. Na szczęście w Petsamo było go trochę więcej. Fiński nikiel był nieuleczalną obsesją Hitlera.

- Szkoda, że ciebie nie spytali.

Wzrusza ramionami. Znowu wydaje mi się starszy i bardziej zmęczony. Staram się nie patrzeć, jak podnosi filiżankę do ust. Nie najlepiej u niego z koordynacją. Powiedziałabym, że sposób, w jaki się do tego zabrał, obarczony jest dużym ryzykiem niepowodzenia.

- Pytali cię Rosjanie? W końcu musieli cię zatrzymać za nielegalne przekroczenie granicy?

- Oczywiście, pytali - odpowiada. - Lecz to było trzy lata przed wojną. A w porównaniu z ich zasobami Olkikumpu była kroplą w morzu.

- I to było całe przesłuchanie?

- Mniej więcej.

Jesteśmy znowu na bezpiecznych wodach. Kamienie zawsze dają pociechę, bezpieczniej zgłębiać przeszłość niż przyszłość, między nami znowu panuje pokój Boży. Obiecałam sobie, że nie będę się zadręczać z powodu odrzucenia artykułu; totalna klęska, ale w końcu to nie pierwszy raz. Tak to już jest z ludźmi, którzy od urodzenia nie przystają do otaczającej ich rzeczywistości. Na szczęście przywyłam już do łykania wstydu, uodporniliśmy się z siostrami na wybuchy złośliwego śmiechu. Wiedźmy cmentarne potrafią się stać niewidzialne dla pogardliwych spojrzeń.

Pamiętam dobre nauki z dzieciństwa - zawsze może być gorzej, dużo gorzej, mogłabym teraz umierać z głodu w jakimś obłożonym mieście, a tak piję sobie dobrą kawę, a i kanapka niczego sobie. Tym razem wybrałam indyka z sałatką, pozeram spore kęsy: ależ dobrze jest jeść, gdy człowiek jest bardzo

głodny i może posłuchać nowych, fascynujących teorii kamienia i człowieka.

- Przejrzałem wczoraj wieczorem te listy - odzywa się. Ściera okruszek z kącika ust, uśmiecha się jak uczeń.
- Dają bardzo sentymentalny obraz mojej osoby.
- Ja tak nie uważam.

No, jeśli mam być szczerą, trochę się ubawiłam. Czułam zazdrość, rozbawienie i żal. W tej kolejności.

*Trzysta razy przeczytałem tę cudowną wiadomość od Ciebie, ale ciągle nie mogę w niej znaleźć daty Waszego przyjazdu. I dlaczego, na Boga, nie pozwalasz mi przysłać Wam pieniędzy? Przecież dobrze wiesz, że nie kupuję Ciebie, lecz sprzedaję siebie. Cóż jeszcze mógłbym Ci o sobie powiedzieć, czego byś już nie wiedziała?*

*Nie pozostaje mi nic innego poza prawdą, która nie jest zbyt piękna.*

*Ze zrzędzę i jestem leniwy. Bardzo leniwy. I trochę zarozumiały. Samotny, zachłanny, wygodny. Mam zimne stopy, jestem praktycznie ślepy i zawsze zapominam nakręcić zegarek. Jestem uparty i nie cierpię, gdy ktoś mi narzuca swoją wolę. To dopiero początek. Zachęcające, co? Gdy kocham, jestem jak kamień w morskiej toni. Pogrążam się głęboko, do samego dna.*

*Nie, to nieprawda. Tak pokochałem tylko Ciebie i trochę mnie to przeraża - nie to, że tak kocham, lecz wielkie niebezpieczeństwa związane z naszą sytuacją...*

*Wczoraj nie mogłem zasnąć, w środku nocy musiałem wstać i wyjść na ulicę na spacer. Przed katedrą przyłączył się do mnie człowiek, który rozmawiał właśnie z Bogiem. Poczęstował papierosem, sam zapalił, po czym cichym, lecz mocnym, nawiedzonym głosem stwierdził, że Jezusa nigdy nie było, za to Bóg istnieje naprawdę: to taki zupełnie zwyczajny gość, który mieszka na Księżycu. Można go zobaczyć przez lunetę, wyjaśniał mi dalej cierpliwie, nie podnosząc głosu. Nosił się nawet z zamiarem napisania o tym*

książki, w której dowiódłby niezbitcie prawdziwości swych słów tudzież opowiedział, jak człowiek może skonstruować statek kosmiczny i polecieć nim na Księżyc. Zapytał, czy nie zechciałbym wesprzeć finansowo tej publikacji. Odpowiedziałem mu, że niestety nie.

Biedaczysko był niespełna rozumu, to nie ulega wątpliwości, lecz był przy tym elokwentny A nawet inteligentny. Cytował Spinozę i Erazma, wiedział też to i owo o Księżycu. Bóg objawił mu między innymi, że słynne równanie Newtona, w której siła została zrównana z masą, obowiązuje również na Księżycu. I że kiedy człowiek zużyje już wszystkie bogactwa swojej planety, przyjdzie czas spojrzeć w kosmos. A potem zaczął mi wyliczać nazwy księżycowych mórz i wzruszył mnie tym do łez - ponieważ były one wierszem o Tobie, o Twoich zmiennych nastrojach: Morze Spokoju, Morze Szlachetności, Morze Chmur, Morze Nieświadomości, Morze Deszczów, Morze Obfitości, Morze Przesileni, Morze Nektaru, Ocean Burz...

Wiesz, jesteś tylko w połowie człowiekiem... Ta Twoja siła. Ten Twój czarodziejski śmiech. Sama widzisz, moje myśli krążą wokół Ciebie, cały czas, zapominam, co robię, zapominam, gdzie jestem... Właśnie, gdzie ja jestem?

No i jest oczywiście Marę Frigoris. Na samą myśl o nim dostaję zimnych dreszczy. Jego obawiam się najbardziej, Morza Zimna. Za każdym razem, gdy list od Ciebie się spóźnia, śnię mi się okropne koszmary, w których mówisz mi, że Ci się znudziłem i że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego. Boję się, że pewnego dnia dostanę z powrotem własny list, ciągle zaklejoną kopertę ze skreślonymi na niej słowami: „Adresat nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany bez wątpienia żalonymi wycieczkami nadawcy”.

Jeszcze o tym piewcy Księżyca. Siłą rzeczy przysłała mi do głowy myśl, jak cienka jest granica między nauką a szaleństwem. I kto ją wyznacza? Wariat ostatni zdaje sobie sprawę z własnej choroby.

Tym razem to wszystko. Tęsknię za Tobą. Wyobrażam

*sobie, że odczuwasz mój brak równie paląco, jak mnie brakuje Ciebie. Wyobrażam sobie Ciebie w złotej aureoli piękna, a siebie -jak rozpinam Twój płaszcz, zdejmuję Twoją bluzkę i otwieram Ciebie.*

*Uważaj na siebie. Przekaż proszę ode mnie serdeczne pozdrowienia pani Natalii i wyrazy wdzięczności za to, że zgodziła się łaskawie być naszą pośredniczką. Napisz do mnie. Nie, nie pisz, po prostu przyjedź i zamieszkać ze mną. Nie czekaj lata. Przyjedź, przyjedź, przyjedź...*

- Ale nie przyjechała, a ty już nie wróciłeś po tej rosyjskiej przygodzie.

- Tak się złożyło.

- Nawet nie pisałeś?

Milczenie.

A ty czego się spodziewałaś, Vido, biedactwo? Myślałaś, że owinęłaś go sobie wokół palca, ale to on ci w końcu zagrał na nosie. Co z oczu, to z serca, ot, cała filozofia. Dostał, co chciał, i się zmył.

- Wiesz...

Jasne, wiem. U kobiet sprawy serca przyćmiewają cały świat, ale mężczyźni mają tyle innych spraw na głowie.

Mężczyźni mają swoje marzenia. Ten akurat marzył o lśniących kamieniach. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że śnił o potędze, o wynalazku, którym wzbudziłby wielką zazdrość kolegów i przy okazji rozwiązał wszystkie problemy energetyczne nieszczęsnej ludzkości oraz dał sposobność do odmówienia szlachectwa z powodu okrutnych prześladowań w Irlandii Północnej. Śnił o potędze, nie wiedząc, że profesor Fermi, który uciekł z faszystowskich Włoch do Ameryki, zdążył już poinformować amerykańskich generałów, że rozszczepiając jądro uranu, dowiódł prawdziwości równania Einsteina  $E=mc^2$ . To zaś oznacza, że Amerykanie mogą skonstruować broń, jakiej świat jeszcze nie widział, dzięki której pokonają antychrysta. Amerykańscy generałowie słuchali włoskiego profesora uprzejmie, lecz nie byli przekonani, więc sam

Einstein musiał wystosować list do prezydenta Roosevelta, aby go ostrzec, że Niemcy są bardziej zaawansowani w swoich doświadczeniach. Ale w tym czasie dubliński marzyciel myślał tylko o tym, że tona uranu może zastąpić tysiąc ton węgla kamiennego, i nie miał czasu ratować kobiety swojego życia z lodów Północy, wyrwać jej, jak obiecał, spod władzy szalonego męża i uwolnić od lęku, poczucia winy i tych wszystkich przykrości, z którymi ją tak tchórzliwie zostawił.

I Vida Harjula cierpiała. Nie wiedziała, co się stało. Biedna kobieta. Czekala i czekała. Nie mogła spać, umierała z żalu.

Ale się nie doczekała. Nigdy.

Kamień przebył długą drogę. Opadł na samo dno. I to by było na tyle.

- Nawet nie *próbowałeś* wrócić?

Śmieje się krótko, z goryczą.

- Oczywiście, że tak. Lecz Finlandia mnie nie chciała. Policja państwowa dała mi do zrozumienia, że nie mam już czego szukać na waszym terenie.

- No rozumiem, ale przecież znalazłeś się w Rosji zupełnie niechcący...

- Było, minęło. Dajmy temu spokój.

W jego głosie nagle zapala się czerwone światło. Staruszek wciska kapelusz na głowę.

Czas na kawę dobiegł końca. Wychodzimy na Grafton Street. Idziemy bez słowa, wsłuchując się w uliczny gwar. Jakiś paskarz oferuje tanio papierosy, lecz odwracam się plecami, spoglądam na nagie, bezpłciowe manekiny, pastelowe włosy, małe piersi bez sutków. Sprzedawczyni ubiera je w zimowe płaszcze i ustawia w nienaturalnych pozach między gwiazdkowymi girlandami.

Coś w tym starym człowieku nie daje mi spokoju. Irytuje mnie. Przeraza.

Coś tu nie pasuje, czegoś tu brak, coś się nie zgadza.

- Wiesz - odzywam się do niego, gdy mijamy pięknie oświetlony karmelicki kościół Św. Teresy - trochę gardzę Vidą z tego powodu. Że nie potrafiła się na to zdobyć. Że od razu nie rozwiązała złego małżeństwa. Że cała ta małomiasteczkowa

moralność zwyciężyła chęć rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

- To nie było to. Z technicznego punktu widzenia, oficjalnie, nie żyła w małżeństwie.

Uśmiecham się, coś nie chce mi się wierzyć.

- Miała epilepsję - mówi Sean.

- To dla mnie nic nowego.

- A wiedziałaś, że stanowiło to wtedy prawną przeszkodę do zawarcia małżeństwa?

- Chyba żartujesz?

- Tak było. W owym czasie nie umiano padaczki leczyć, więc uważano ją za chorobę dziedziczną. W świetle prawa miała taki sam status jak każda inna choroba psychiczna. Zmieniło się to w Finlandii dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych.

*Przyjedź do mojego kraju, Vida. U nas będziesz taka, jak wszyscy. Pobierzemy się i będziemy mieli dzieci, przecież sama dobrze wiesz, że tak jest nam przeznaczone...*

- A więc nie była winna cudzołóstwa - uśmiecham się.

Staruszek nie ma siły dalej iść, ból w nodze znów się odzywa.

Siadamy na ławeczce naprzeciw posepnego Stephena Greena.

- Nie była.

Czyżby w jego głosie zabrzmiała subtelna ironia?

- Tylko niewierności - dodaję niepotrzebnie.

Mężczyzna śmieje się.

- A Ja wam powiadam: Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa.

Ciągnę go za rękaw:

- Boże Święty, nie wciągajmy do tego Mojżesza. Połowę dzieciństwa spędziłam w szkółce niedzielnej, dziękuję, mam dosyć.

- Nie Mojżesza, tylko Jezusa. Nikt nie jest w stanie w pełni stosować się do prawa. Gdzie zatem twoim zdaniem przebiega granica?

- Na czynach, które wpływają na następne pokolenia. To chyba jednak ważne, kto jest czyim dzieckiem.

- Wszystko zależy od okoliczności. Nie zastanawiałem się nad tym.

Patrzę na ścielące się po chodniku prążki cienia, przed do-

mem towarowym, pod filarami na rogu rozbrzmiewają kolędy. Okutani w zimowe płaszcze chłopcy kopią na parkowej ścieżce piłkę.

- Nigdy?

- Nie, nigdy.

- Nie powiedziałbyś tak, gdybyś sam musiał rodzić i wychowywać.

- Nie, z pewnością nie. Myślisz o kimś konkretnym?

Tak, myślę o moim mężu, który wyznaje mi niewierność dopiero wtedy, gdy się dowiaduje, że jestem w ciąży. I o Vidzie Harjuli, o kobiecie, której zabroniono pragnąć tylko dlatego, że jej czas nie rozumiał natury jej choroby. Myślę o moim biednym ojcu, którego przezywali w szkole bękartem szpiega i który zapewne z tego właśnie powodu nabrał chorobliwej podejrzliwości wobec kobiecego rodu.

- Nie przeszkadzało ci to? Że Vida nie była zdrowa?

-Nie.

Siedzimy cicho. Mały chłopiec podbija piłkę kolanem, dziesięć, jedenaście, liczę w myślach.

- Naprawdę?

- Absolutnie. Nie lubię ludzi doskonałych.

Spoglądam na niego podejrzliwie. Sympatyczny, starszy pan na ławce, patrzący na bawiące się w parku dzieci.

Rozmowa schodzi na piłkę nożną. Staruszek opowiada ze śmiechem o żonie sąsiada, która na czas mistrzostw świata zaniósła na grób męża flagę republiki: *Brian kochał futbol. Kochał. Jestem pewna, że ogląda w niebie każdy mecz.*

Rozmawiamy również o sobotniej krwawej jatce w Laughisland po голу, który dał Irlandii prowadzenie w meczu z Włochami. Śmierć sześciu katolików w małym północnoirlandzkim miasteczku na oczach najbliższych, w sobotni wieczór, kiedy wszystkie puby pękają w szwach... / *co, patałachy, jak teraz wyglądacie?*

- Masz dzieci, Sean?

- Nie. Nie jestem żonaty.

No jasne. Oczywiście ewentualne bękarty się nie liczą. Nawet nie warto o nich wspominać.



- Oszczędziłeś sobie wiele trosk.

- Tak sądzisz?

Tak. Tylko idioci łączą się w pary jak popadnie i zapełniają świat nowymi idiotami. Takie idiotki jak ja, która zwraca uwagę na faceta wyłącznie dlatego, że ten na przejściu dla pieszych przebiega na czerwonym świetle: *W końcu trzeba mieć do siebie zaufanie, no nie?* Zakochuje się. Więcej - traci dla niego głowę. Od razu. Wierzy mu, ma do niego zaufanie, bo facet ma zaufanie do siebie. Taka idiotka jak ja myśli sobie, że jest szanowana, bo spełnia swój obywatelski obowiązek, bo zgadza się przez kilka lat śmierdzieć ulanym mlekiem, targać siaty ze sklepu i odciągać ryczące dzieciaki sprzed pólek ze słodyczami. I dopiero po latach przychodzi olśnienie: wyszłam za faceta, który zawsze będzie szedł pod prąd, bo nie znosi, kiedy mu mówią, co ma robić, a czego nie.

- Sam nie wiem - Sean O'Brien myśli na głos. - Gdybym mógł teraz wybrać, to nie wiem, czy chciałbym drugi raz się zestarzeć bez żony. Siedzieć w Wigilię i inne święta w domu sam jak palec, bo rodzice już nie żyją, a wpraszać się nie wypada, nawet do przyjaciół. Być kimś dla dzieci krewnych tylko wtedy, gdy się przynosi porządne prezenty... Chyba mimo wszystko jestem czło wiekiem rodzinnym i zostałem stworzony po to, by dożywać swych dni jako nestor i patriarcha rodu, otoczony gromadką wnucząt, z fajką w zębach i wiernym psem u nogi. Czerwonym seterem.

Albo irlandzkim wilczarzem, widziałeś kiedyś? To taki mutant wielkości konia, wuch, wuch...! Chyba jednak wolałbym siedzieć przy świątecznym stole na honorowym miejscu i zanudzać wszyst kich ciągłym narzekaniem na dzisiejszą młodzież. *Gdy ja byłem chłopcem, czytałem codziennie Wergiliusza, ale dzisiaj młodych nie interesuje nic innego poza grami wideo i bezpiecznym seksem! Za moich czasów to było nie do pomyślenia, żebyście wiedzieli...*

Rozbawił mnie do łez. Nie pamiętam, kiedy ostatnio śmiałam się na głos, dobrze mi z tym. Lecz właśnie wtedy staruszek nagle poważnieje i długo wpatruje się we mnie smutnymi oczami.

- Oczywiście, nie wiem nic o tych troskach i lękach - odzywa się. - O zmartwieniach. Nie mówiąc już o tym, że nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co znaczy stracić własne dziecko.

Chwyta mnie za dłoń.

- Moja droga, to musiało być dla ciebie straszne przeżycie.

Nieruchomieję.

- Ale ja... ja nie jestem Vidą.

Co za niepojęte przejęzyczenie! Żenujące i niemile. I trochę przerażające. Akurat wtedy, kiedy było już tak sympatycznie. Czy to ten mój śmiech? A może fryzura? Nie powinnam była zaczesywać sobie włosów do tyłu, jak babka. Idiotyczny kaprys. Ale kiedy tak mi jakoś z tym do twarzy; tu się muszę z nim zgodzić.

Staruszek uśmiecha się przepraszająco, cofa dłoń.

- Oczywiście. Przecież wiem. Przejdziemy się znów kawałek?

Potrząsa obolałą nogą, wstaje.

- Podagra?

- Coś w tym rodzaju.

Nie, ta rozmowa robi się zupełnie beznadziejna. Zbłądziliśmy. Ja zbłądziłam. Coś zagubiłam. Nie chciałam dostrzegać pewnych aluzji, ponieważ nie pasowały do mojej gotowej już teorii, do tego, jak sobie ich wyobrażałam. Co robili i dlaczego. Za bardzo się litowałam nad sobą. Albo upoiło mnie to miasto, uderzyło mi do głowy. Wszyscy dobrze się bawią, tylko ja nie. Moje cierpienie jest największe i najważniejsze.

I przez cały czas ten starzec mnie zwodził, pozwalał mi się ludzić, że wszystko o nim wiem. Ba, doskonale się czuł w nowej przeszłości, którą dla niego wydumałam. Przyglądał mi się z rozbawieniem, gdy snułam swoje fantazje. Czy on mi cokolwiek o sobie opowiedział? Nic, żadnych konkretów. Prowadził po muzeach, kościołach i cmentarzach, nie przeszkadzał mi w wymyślaniu coraz to nowych bajek, żalił się, jaką mam ciężką pracę – lecz nie pomógł mi ani trochę, słowem nie zdradził, co się wtedy naprawdę wydarzyło.

- Jak to się stało, że nie byłeś na nadzwyczajnym posiedzeniu spółki w Londynie? Przecież nikt nie wiedział o geologii Olkikumpu więcej od ciebie.

Nie odwzajemnia spojrzenia.

- Gdzie wtedy byłeś, Sean?

Coś mnie chwyta za gardło, zaczynam przeczuwać.

- Gdzie...?

Wchodzi na jezdnię tak nieoczekiwanie, że piętrowy autobus skłania się przed nim z piskiem hamulców. Jednak jakimś cudem udaje nam się cało dotrzeć na drugą stronę ulicy.

- Na Solówkach.

Marszczę brwi.

- Wyspy Solowieckie, na Morzu Białym - uściśla.

- Przecież one należą do Rosji. Co ty tam robiłeś?

- Poglębiałem kanał Stalina - odpowiada. Deszcz przemienił jego twarz w błyszczące kwadraty. Przechodzimy obok kiosku pod wielkimi, marmurowymi kolumnami, w którym reklamują dzisiejsze gazety i filmy Agfy. Małej Tereski ciągle nie odnaleziono, policja obawia się najgorszego. Wsuwam mu poufale do rękę pod ramię.

- Żartujesz sobie... Nie byłeś w łagrze, co?

- Możliwe, że byłem już wtedy w Altaju, w kopalni uranu...

Trudno powiedzieć.

Cisza. Nagie gałęzie przeciskają się przez druciany płot i czepiają się mojego płaszcza jak cienkie, mokre palce. W ustach mam włos, próbuję jakoś wypchnąć go językiem, bo dłonie mam skostniałe jak dwa sople lodu.

I co powinnam teraz powiedzieć? Co się zazwyczaj mówi człowiekowi, który właśnie powiedział, że zamiast popijać sobie Guinnessa w swoim ulubionym pubie na Bridge Street, taszczył kamienie w rosyjskim obozie koncentracyjnym: *Sorry*, to musiało być ciężkie przeżycie, bardzo przepraszam, nie wiedziałam.

Zatrzymuje się przede mną brudny włóczęga, prosi o pomoc. Oczy ma przekrwione, twarz bladą.

- Nie teraz - mamroczę.

Obdartus unosi czapkę:

- Dziękuję pani. Bardzo dziękuję.

Dlaczego mi dziękuję, zamiast mnie zbluzgać? Co to za dziwny naród, czy oni zawsze muszą być tacy nieszczerzy?

Wiatr się nasila. Otacza nas ciasnym kręgiem, zamyka w swym lodowatym uścisku. Jeśli czegoś nie cierpię, to na pewno marznięcia.

- A więc to jednak tak się skończyło?

Taka jestem twarda w obliczu cudzego cierpienia. Głos nawet mi nie drgnie; pobyt w łagrze to temat, jak każdy inny: gospodarka energetyczna, Unia Europejska, rozejm ogłoszony przez IRA albo pogoda.

- Tak to się skończyło.

Mówiący tylko po angielsku mężczyzna przebywający na terenie Związku Radzieckiego bez żadnych papierów. W co ja wierzyłam? Że usadzą go przed samowarem i poproszą, żeby raczył chwilkę poczekać, podczas gdy jakiś towarzysz wypisze mu nowy paszport, a potem odstawią na granicę i poklepią po plecach? No to szczęśliwej podróży, panie o'Brien!

- Jak długo byłeś w łagrze, Sean?

- Jedenaście lat.

Przed domem towarowym kłębią się tabuny ludzi obładowanych siatkami. Przez głowę przemknęła mi myśl, że najwyższy czas kupić chłopcom prezenty. Znalezienie w tym mieście czapek z nazwami klubów hokejowych to rzecz niełatwa, ale to żadna wymówka.

Jedenaście?

Jak łatwo powiedzieć. Mimochodem, ot, przerywnik w przyjacielskiej pogawędce: A już ci wspominałem o tych jedenastu latach, które spędziłem w łagrach?

- Powiedziałbym nawet, że mi się upiekło. Wielu zostało tam na zawsze.

- Mimo wszystko, szmat czasu - mówię, walcząc z nagłą, szarpiącą wnętrzości tęsknotą za domem.

- To prawda - przyznaje i wyciąga niezdarnie swoją papierosnicę. - Szmat czasu.

Zycie jest niesprawiedliwe i cholernie smutne, mówię sobie w myślach.

Robimy wiele złego, to fakt, a jednak nie zasługujemy na polewę tego, czym nas potem przygniatają do ziemi.

Jak cholernie smutne jest to nasze życie.

Dotykam jego dłoni, opuszków palców.

Ale nie płaczę. Nie płaczę nad losem mężczyzny, któremu łagry zniszczyły życie, nad losem usychającej z tęsknoty Vidy i trawionego zazdrością Eero Harjuli. Ani nad siostrzyczką mojego ojca, której przytrafiło się coś złego, ale nikt nie wie, co i dlaczego. Nie ronię nawet jednej łzy nad losem czteroletniej, ciągle nieodnalezionej Tereski.

Nie płaczę nad losem tych ludzi, którzy zginą w straszliwych męczarniach, jeśli atomowe silosy Olkikumpu zaczną przeciekać. Gdy skała się nami zmęczy, gdy nie wytrzyma już naszych ryzykownych machinacji, naszej wiecznej zachłanności i nietrwałych zasad.

Mogę się rozplakać na dobrym filmie, za to smutna rzeczywistość mnie nie wzrusza. Kto jeszcze dziś płacze, oglądając wiadomości? Niespotykane okropieństwa. Zrównane z ziemią szpitale. Dzieci Sarajewa, którym snajperzy strzelają w brzuch, aby dłużej umierały. Gwałcone, oszpecone muzulmanki. Puste oczodoły Ruandyjczyków. Padłe z głodu we własnych odchodach konie.

Niech Bóg płacze, jeśli jeszcze potrafi. Czymże innym jest ludzkość, jeśli nie tragiczną kreskówką, stworzoną przez Najwyższego dla własnej uciechy? Historia bez końca, która wciąż się powtarza. Odcinek po odcinku, pokolenie po pokoleniu; brutalny, bomba-styczny, przerysowany serial o próżnych intrygach, wygórowanych ambicjach i okrutnych zbrodniach omylnego człowieka. Kiepska opowieść, której początek stanowi przedmiot wiecznych sporów, choć nikt go już nie pamięta. Czy nie było tak, że na początku Bóg siedział w pustym studiu i popijając wino z kieliszka, kazał zapalić więcej świateł? Czy w pierwszych odcinkach nie było więcej błękitu, rozgwieźdzonego firmamentu, połyskującej wody i skubiących trawę zwierząt? Czy nie było w nich scen z pięknego, zadbanego sadu, w którym kulili się nadzy ludzie, mężczyzna i kobieta, nic sobie nie robiąc nawet z węży? Czy też wszystko zaczęło się jednak od wielkiego, abstrakcyjnego prawybuchu, a cała ta tematyka ludzka pojawiła się dopiero dużo później? Tak czy owak, już od dawna jedyną atrakcją całego serialu jest

rotacja głównych bohaterów: Bóg zawsze miał słabość do kozłów ofiarnych, zrobił nim nawet własnego syna. A że cenzury nie było, cierpienia i ofiary można było mnożyć bez ograniczeń. Ale jednak nie, dotychczas obejrzone odcinki nie dają żadnych podstaw, by przyznać Bogu nagrodę za scenariusz. Pozostaje więc czekać, kiedy wreszcie i Jemu do cna zbrzydni ta chałtura i zamknie ten swój kinematograf.

Ostatecznie nie przyjechałam do tego miasta, do tego kraju, by płakać. Obok mnie siedzi człowiek, który wiele w życiu wycierpiał. Jestem dla niego duchem z przeszłości, rozedrganą, bezlitosną zjawą, która rozdrapuje rany i próbuje mu wydrzeć ostatnie tajemnice, nim zabierze je z sobą do grobu.

Szukam jego spojrzenia, siłę się na uśmiech.

Tak, jestem zjawą. A zjawy nigdy nie płaczą.

## Olkikumpu, czerwiec 1936

Przyjeżdżają po Eero Harjule tydzień po pogrzebie. Nie jest zaskoczony. Vida codziennie ma wrażenie, jakby po przyjeździe z pracy na kogoś czekał. Na pewno przez cały czas wiedział, że jeszcze nadejdzie taki dzień, gdy czarne auto zatrzyma się przed jego furtką.

- Aha - odzywa się, gdy widzi samochód. - Więc tak.

Wstaje, idzie po buty.

Kobieta idzie za nim. Nie rozmawiają. Mężczyzna tego nie chce. Nie zamierza ustąpić, dopóki ona nie odda chłopca. Dopóki wszystko nie będzie tak, jak kiedyś.

Zamiast nich mówi radio. O królu Szwecji, który gości z wizytą w letniej rezydencji prezydenta w Naantali. Gustaw któryś tam. Właśnie jakaś dziewczynka wręczyła mu bukiet, dygnawszy i uśmiechnawszy się, jak przystało na dobrze wychowane fińskie dziecko.

Przez otwarte drzwi do środka wchodzi mężczyzna w szarym ulsterze. Reszta czeka na zewnątrz.

Kobieta spogląda na niego.

Nie idź. Nie.

Nie zostawiaj mnie teraz.

Nie jedź.

Jak pójdziesz, już nie wrócisz.

Jak pójdziesz teraz.

Spogląda na niego, ale nic nie mówi. Coś się zaczęło dziać. Dawno temu. Oboje nie wiedzą dokładnie, kiedy. Takie rzeczy zachodzą niepostrzeżenie, bez żadnych objawów.

- No to cześć - odzywa się tylko mężczyzna, wkładając kapelusz.

- Na razie.

Paznokcie ma połamane. Zawsze pokryte czarnymi rysami, choćby nie wiadomo, jak długo je szorował. Jak się fedruje skałę, zostają ślady, które już nie schodzą.

Jego twarz nie wyraża emocji. Czyste, przejrzyste lustro. Piękna twarz, myśli kobieta, pod *tym* względem nie zmienił się na jotę.

- No to cześć. Na razie.

- Nie - prosi kobieta.

- Nie ma się czego bać, wszystko w porządku - odpowiada jej mąż.

I już go nie ma.

To wszystko dzieje się zatem tydzień po pogrzebie dziewczynki. Wówczas kobieta nie pamięta w ogóle, co się wydarzyło wcześniej, i już nigdy sobie tych dni nie przypomni. Wszystkie gdzieś się ulotniły, rozplynęły w mętным sosie. W białej mgłę, w której błędziła po omacku od urodzenia syna, w której zgubiła się niemal na dobre, szukając ludzi: w końcu musiał w niej ktoś być, przecież wszyscy nie mogli tak po prostu zniknąć, tak nagle przestać istnieć.

Ciekawe, że chwile również mogą uciekać. I nikt nie wie dokąd. Ani dlaczego.

- Nie możesz zapominać, że masz dziecko - powtarza jej Natalia. - Kobiecie nie wolno zapominać o dziecku, które urodziła.

- Sprowadźcie go tu! - Prosi kobieta tak pięknie, jak potrafi. Cicho i grzecznie, jak przystało na osobę kulturalną i dobrze wychowaną.

- Nazywa się Sean o'Brien. Mam do niego sprawę. Sprowadźcie go tu, bardzo was proszę.

Natalia głaszcze jej włosy. Nie odpowiada.

- Tego człowieka już tu nie ma - odzywa się Eero Harjula.

Kobieta milczy: Dlaczego miałabym mu wierzyć? Nie mam żadnych podstaw, żeby mu wierzyć.

- Więc gdzie jest?

- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?! Zniknął, i tyle!

- Dlaczego?

- Dlaczego i dlaczego! Dlaczego wciąż się o niego dopytujesz? Twoja córka nie żyje, a ty pytasz o jakichś mężczyzn - gdera Eero Harjula.



Nie wolno ci tak mówić, myśli kobieta. Jakże mogłabym pytać o Kruszynekę? Przecież jej już nie ma. Moje ptaszatko nie żyje. Tak mi powiedzieli. Ktoś znalazł jej małe, nieżywe ciało i zawiózł do zimnej kostnicy. Jakże mogłabym jeszcze pytać o moje dziecko, które jest w kostnicy?

- Lepiej byś zapytała, co jej wcześniej zrobił.

Nic. Nic. Nie zrobiłby mojemu dziecku żadnej krzywdy. Nikomu. Kobieta zatyka dłońmi uszy, nastawia głośniej radio. W baletowej szkółce. Stryjek Markus z mikrofonem wśród przyszłych gwiazd. Uczniowie uważają, że piruety są najtrudniejsze.

- Ja nie wierzę, że to był nieszczęśliwy wypadek. Ktoś to zrobił. Z jakiegoś powodu. A potem się ulotnił.

Radio głośniej. Jeszcze głośniej. Piruety są najgorsze, trzeba je ćwiczyć przez wiele godzin. Bardzo wiele godzin. A najgorszy ze wszystkich jest *tour en l'air*, taki piruet w powietrzu. Mozolny trening każdego dnia. Lenie nie mają czego szukać w szkółce baletowej.

- Może się bał, że zmienisz zdanie z powodu dziecka. Bo ona nie chciała jechać. Tylko zostać. Bo córka chciała zostać z ojcem.

Mężczyzna milknie. Wszystko ma swoje granice. Aluzje. Kłamstwa. Cierpienia, które można zadawać drugiemu człowiekowi. Choć samemu cierpi się niewymownie.

Przepraszam, odzywa się kobieta.

Przebacz mi.

Przebacz, przebacz, przebacz.

Nie wiedziałam, nie rozumiałam, że ci zależało.

Wybacz, że tak bardzo cię zraniłam.

Przepraszam, wybacz mi. Nie, nie musisz mi wybacząć, nie masz powodu. Lepiej mnie uderz. Zabij.

Wybacz mi. I nie płacz. Ja też nie płacę. Sam widzisz: ja już nie potrafię płakać.

Nie żałuję, jakże mogłabym żałować, ale mimo wszystko przebacz mi. Przestań już. Nie wolno płakać. Mężczyźni nie

placzą, mężczyźni muszą być twardzi, nie mogą ronić łez.

Ja chcę tylko mieć z powrotem moją córkę, nic więcej. Oddaj mi ją. Nie musisz mi wybaczać. Bylebym tylko dostała ją z powrotem.

Rozumiesz?

Przerażające dni. Pełne okrutnego światła, choć kobieta szuka już tylko ciemności. Oj, jak bardzo ją ten mrok wabi, teraz gdy już go nie ma, nawet nocą. Ciągłe ta anielska jasność, piękna lecz pozbawiona życia. Okna rozwarłe tak szeroko, poruszające się lekko firanki. Tak ciepło jest i pięknie.

I każdej nocy kobiecie śni się ten sam sen. Dziewczynka stoi to w furcie, to na ulicy. W jej oczach czai się zawsze to samo, mroczne spojrzenie.

*Teraz możesz mnie uśmiercić, ojcze, jestem gotowa...!*

Nie, nic takiego się nie wydarzyło. Uspokój się. To nie było tak. To była opowieść, nie przepowiednia. Nikt nie mógłby być tak okrutny, tak bezmyślny. A już na pewno nie ojciec. Jest zły na ciebie, lecz nie zrobiłby krzywdy własnemu dziecku. Nie posunąłby się tak daleko, by zatrzymać cię przy sobie. Nigdy. A jeśli tak było sądzone? A jeśli istnieje Bóg zemsty, który wszystko widział? *Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę.* Nie wolno myśleć. To tylko sen. Dlaczego myślisz, że ktoś mógłby jej zrobić coś złego? Zdarzyło się nieszczęście, noga ześlizgnęła się z mokrego kamienia na brzegu, takie rzeczy się zdarzają, dzieci potrafią być bardzo nieostrożne. Taka mała, niesforna dziewczynka.

Nie ma sensu myśleć o tym, co było i minęło, czego odmienić już nie można. Nie, nie. Nie można. Czy to ja zabiłam własną córkę? Leż spokojnie, to nie ty spowodowałaś śmierć Aino. Nie ty. Ty ją kochałaś. I dobrze traktowałaś. Byłaś dobrą matką. Nie chciałaś jej, bo prawo zabraniało ci chcieć, a jednak byłaś jej matką. Najlepszą ze wszystkich. Nie słuchaj, jak ktoś ci będzie mówił co innego. Ona dobrze wiedziała, że ją kochasz. Że nigdy

byś jej nie zostawiła. Miłość nie zmusza do wyboru. Miłość jest wielka, największa na świecie. Wszystko zwycięża, wszystko daje. *Gdy król zobaczył, jak piękną będzie miał córkę, postanowił złożyć ją w ofierze.* Nie wolno myśleć. Upłynie trochę czasu i sama to zrozumiesz. Że tak było najlepiej. Że tak chciał los. To ty ją zabiłeś? Dlaczego tak się upiłeś tamtego dnia, Eero? *Teraz możesz mnie uśmiercić, ojcze, nie wyobrażam sobie większej chwały, niż zostać złożoną dla ciebie w ofierze...!* Nie. Leż spokojnie, wszystko dobrze. Zdław w sobie ten smutek. Żal można stłumić, tak jak pożądanie. Trzeba mieć tylko siłę. A ty masz przecież drugie dziecko. Małego chłopca. Chyba o nim nie zapomniałaś?

Tak, ten chłopiec.

Natalia przynosi go jej wiele razy dziennie, dzień po dniu. Kładzie krzepkie niemowlę na piersi matki, rozpina jej koszulę, przykładając ostrożnie skrzeczącą buzię do sutka. Vida wszystko widzi, lecz niczego nie czuje. Nie czuje, jak chłopiec ssie. Ja nic temu dziecku nie daję, myśli, już nikt nigdy nic ode mnie nie dostanie.

Zdumiewające dziecko. Rosłoby i tężało nawet bez jedzenia, buzia już mu się zaokrągliła, na paluszkach robią się małe dołeczki. Kobieta słyszy jego pomruki i posapywania, słyszy, jak w nim rośnie niezłomna, męska siła.

- Dostyc tego, Natalia - mówi Eero Harjula. - Zabieraj go i więcej tu nie przynoś.

- Nie - odpowiada kobieta. - Niech przychodzi.

Poza tym prawie nie rozmawiają. Chyba że o Mattim Jarvinenie, który jest w życiowej formie. Wygląda na to, że ustanowi swój ósmy rekord świata. Jego oszczep poszybował już na siedemdziesiąt metrów z hakiem. I o Tępe Tirkkonenie, który złapał raz za jednym zamachem sześć węży. Natalia idzie zrobić mu zdjęcie. Najprawdziwsza prawda. Ni mniej, ni więcej: sześć jadowitych żmij.

Mąż się cieszy, gdy dzwonię. Ma dla mnie dobre wiadomości. Zdobyć kopii protokołu przesłuchania Eero Harjuli nie było wcale takie trudne, jak nas wszyscy ostrzegali. To prawda, że wiele akt policji państwowej z lat trzydziestych utajniono, a część z nich później zniszczono, lecz na szczęście ten protokół się zachował. Mąż złożył stosowne podanie o przeprowadzenie kwerendy, które rozpatrzono od ręki i bez zbędnych pytań. Najwyraźniej sprawa sztygara kopalni Olkikumpu, Eero Harjuli, nie wyglądała jeszcze tak źle.

Mówi mi, że jeśli chcę, to może mi przefaksować te dokumenty nawet zaraz.

Pewnie, bardzo chętnie.

- Szalenie miło z twojej strony, że tak się dla mnie trudziłeś!

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, kochanie, dobrze o tym wiesz.

Jasne, wiem.

Postanowiłam być dla niego grzeczna przez telefon, więc jestem. Po co niepotrzebnie przygnębiać człowieka, który mimo wszystko pod moją nieobecność troszczy się o naszych synów?

Kończymy rozmowę kilkoma luźnymi uwagami o tym i owym, jak za starych dobrych czasów. Jestem pewna, że z tego grobowca w Newgrange wyjdzie mi naprawdę niezły artykuł. Opowiadam o Seanie i rewelacyjnym odkryciu w Galerii Narodowej, gdzie znaleziono obraz przedstawiający zdradę Judasza, który uznano za dzieło Caravaggia. Nie mogę się opanować i wspominam o zaginięciu małej Tereski, każąc mężowi przysiąc na koniec, że nie pozwoli dzieciom wałęsać się samopas po mieście, a małemu chodzić do szkoły bez czapki. Daje mi słowo honoru.

Odnajduję biuro oferujące usługi telefaksowe i dzwonię do Finlandii, by po chwili, błogosławiąc osiągnięcia współczesnej techniki, wrócić do hotelu z piwem i kanapką dyniową w ręce

oraz nową porcją obciążających materiałów pod pachą. Ściągam buty i nucąc pod nosem, rozkładam na krześle jedzenie, jakbym szykowała nie wiem jak uroczystą biesiadę. Wreszcie poznam oficjalną wersję wydarzeń tamtego dnia - i będę wolna. Czarna dziura przeszłości straci swą niszczącą moc. Przystanie już wsysać mnie do środka i czerpać ze mnie energię.

Kładę się na łóżku i zaczynam czytać.

Eero Harjula spędza w celi noc. Zatrząskują się za nim stalowe drzwi. Teraz jest więźniem. Może przeraża go myśl o przyszłości. Wie, co go czeka. A może zwyczajnie gapi się w ścianę i wsłuchuje się w upływ czasu. Leży na pryczy, przykryty szarym kocem, i rejestruje dobiegające zza ściany jęki. Albo po prostu śpi. Po co myśleć. Będzie, co ma być, teraz nie można już nic zrobić, by poprawić swoją sytuację. Głupotą było myśleć, że do tego nie dojdą, że ten dzień nigdy nie nastąpi. Oni wiedzą i widzą wszystko. W tym względzie są jak Bóg: przed ich wzrokiem nic się nie ukryje.

Nie żałuje. To nie ten typ mężczyzny. Co się stało, to się nie odstanie. Eero Harjula to wie. Wiedział już wtedy. Tak nie wolno, a jednak - tak trzeba. Sam wybrałem tę drogę, takie rozwiązanie. Nikt przed cierpieniem nie ucieknie. Nie w tym życiu. Człowiek może tylko wybrać, za co chce cierpieć. Za co i z czyjej ręki.

Może przeczuwa, że źle się to skończy. Przygotowuje się na najgorsze, aby potem nie było niespodzianek. Nie myśli o niczym innym. Ani o żonie, ani o przyszłości. Odsuwa wszystko od siebie i wlepia wzrok w ścianę. I czeka.

Przesłuchanie zaczyna się następnego dnia o 18.15. Według protokołu trwa, łącznie z przerwami na kawę dla przesłuchujących, jedenaście i pół godziny. Obecni są dwaj policjanci, kancelista i stenografka, którą później zastępuje mężczyzna.

Padają niezmiennie te same pytania.

- W jakich okolicznościach zetknął się pan po raz pierwszy z tajną działalnością Seana O'Briena na terytorium Finlandii?

- Czy odbyło się to za pośrednictwem pańskiej żony?
- Czy wiedział pan, że pańska żona była zaangażowana w działalność komunistyczną jeszcze przed powrotem do Finlandii?
- Dlaczego dwudziestego szóstego maja tego roku pomógł pan temu szpiegowi w przekroczeniu granicy Związku Sowieckiego?
- Jakie dokumenty miał przy sobie, gdy opuszczał terytorium Finlandii?
- Jakie mapy? Geologiczne? Raporty wiertnicze z okolic Olkikumpu?
- Czy jest pan komunistą, panie Harjula?

A mężczyzna odpowiada zawsze tak samo.

- Nie brałem udziału w niczym, o co mnie oskarżacie.

Po czterech godzinach i krótkiej przerwie:

- Dlaczego zdradził pan ojczyznę?
- Nigdy nie zdradziłem ani ojczyzny, ani nikogo.
- A jednak pomógł pan szpiegowi przekroczyć granicę. Człowiekowi, który wiedział wszystko o złożach Olkikumpu.
- Nie pomogłem.
- I nie wstyd panu tak kłamać? Przecież pana widziano. Widziano, jak brał pan auto, wchodził do środka z tym mężczyzną i odjechał, a potem wrócił już sam, bez niego.
- Nie wstyd mi. Nie zrobiłem nic złego.
- I do tego jeszcze oficer samoobrony! Który składał przysięgę na wierność ojczyźnie. I pan jeszcze może patrzeć nam w oczy?
- Mogę patrzeć w oczy każdemu. Nie splamiłem swojego honoru.
- Jaka jest cena oficera fińskiej samoobrony?
- Nie zrobiłem nic, o co mnie posądzacie.
- Za ile Fin jest gotów sprzedać swoją ojczyznę?
- Jeszcze nie wydrukowano tylu pieniędzy, za które można by kupić mój honor. I nigdy się nie wydrukuje.
- Dlaczego ciągle pan kłamie, panie Harjula?

- Ja nie kłamię. Wy kłamiecie.
- Za ile sprzedał pan swój kraj ? Czy dla pana nie ma żadnych świętości?
- Nie splamilem swojego honoru.

Godzinna przerwa, po której wszystko zaczyna się od nowa. Stenografka zostaje zmieniona. Od teraz stenografuje mężczyzna.

Przesłuchanie wciąż trwa. Udręka Eero Harjuli jest nie do opisanego. Tak, to prawda. Dziadek Harjula cierpiał okropne męki, do końca broniąc swojego honoru, a ja, która zdradziłam każdego na sam widok wiertła dentystycznego, nie mogę już nawet patrzeć na te powtarzające się w kółko pytania i odpowiedzi. Czytam dramat bez didaskaliów. Ta sama scenografia, dwie godziny później. Pięć godzin później. Osiem. Nie zapisano tonu głosu ani mimiki, a więc nie zapisano prawie nic.

Mam wrażenie, że mnie zdradzono. Znowu.

Wzdycham, wyciągam długopis i zaczynam uzupełniać:

- Kogo pan osłania, panie Harjula? *(Po ludzku, chce przemówić do rozsądku).*

- Nikogo. *(Szybka riposta, trochę zbyt szorstka).*

- To żona wciągnęła pana w to wszystko, co? *(Między nami, mężczyznami).* Doskonale to rozumiemy. Komuniści są diabelnie przebiegli. *(Stwierdzeniu wtóruje śmiech, czym pytający daje do zrozumienia, że i on kiedyś dał się nabrać).* Z nimi nikt nie może się czuć bezpieczny. *(Akcent na słowie „nikt”).*

- Moja żona nie ma nic wspólnego z rzeczami, o których mówicie. I nie jest komunistką. *(Ciągle bardzo zdecydowanym tonem).*

- A zatem jakie stosunki łączyły pańską żonę z tym szpiegiem? *(Z ordynarnym, oczywistym podtekstem, akcent na słowie „stosunki”).*

- Była od czasu do czasu jego tłumaczką. *(Z dumą).*

- Posuwał ją? *(Chamska zagrywka).*

- Nie. *(Patrzyprosto w oczy).*

- Skąd pan wie? Mąż zawsze ostatni się dowiaduje o tym, że ktoś posuwa mu żonę. *(Lodowato)*.

- Ja wiem. *(Zpodniesionym czołem)*.

- I po co pan ją osłania, panie Harjula? Pana zdradziła w pierwszej kolejności. Nam może się pan przyznać. Dajemy panu słowo, że pańskie słowa nie wyjdą poza ściany tego pokoju. *(Puszcza do niego oko, coś w stylu ręka rękę myje)*.

- Nie muszę jej osłaniać. Jest niewinna. *(Już trochę zmęczony)*.

- Więc po jaką cholerę pomógł pan temu szpiegowi przekroczyć granicę? *(Kolejna propozycja pójścia na układ)*.

- Nie pomogłem. *(Cicho, lecz bez wahania)*.

- Ale też mu pan nie przeszkodził. Miał pan przecież broń, dlaczego pan mu nie przeszkodził? *(Otwarty atak)*.

Brak odpowiedzi. *(Przesłuchiwany lekko się chwije, stanie przez tyle godzin nadwątlilo jego siły. Prowadzący przesłuchanie spoglądają znacząco na siebie. Mina ofiary mówi, że zrozumiał aluzję)*.

- Moim zdaniem powinien się pan zastrzelić. Czy jeśli dam panu broń, zastrzeli się pan? *(Zdecydowanym tonem i jakby ura żony, że przesłuchiwany nie chce zrozumieć, co dla niego dobre)*.

- Nie. *(Po raz pierwszy się śmieje, prawdopodobnie z nerwów)*.

- Jest pan tchórzem, panie Harjula? *(Z chłopięcym wyzwaniem w głosie)*.

- Nie. *(Trochę obruszony)*.

- A zatem proszę się zastrzelić! Proszę zrobić ojczyźnie chociaż tę przysługę! *(Tonem rozkazującym, nieznoszącym sprzeciwu)*.

- Nie zrobiłem nic złego. *(Po długiej przerwie, bardzo cicho)*.

- A więc dobrze, jedziemy od początku... W jakich okolicznościach zetknął się pan po raz pierwszy...

Co jeszcze można wyczytać między wierszami? Czy mam prawo wyobrażać sobie wepchniętą w usta szmatę i stłumione



krzyki? Czy to wpływ zbyt wielu obejrzanych amerykańskich filmów i przeczytanych opisów drugiego, bestialskiego oblicza zachwycającej, wesołej Irlandii: przesłuchań IRA i tortur stosowanych przez ultraloyalistów wobec swoich przypadkowych ofiar?

To one cię teraz dręczą? Ofiary dziesiątek lat seryjnych morderstw, połamane kości, wyłupione oczy, wycięte palnikiem organy płciowe. Mężczyzna wraca wieczorem z pracy do domu, idzie wyludnioną ulicą, gdy obok zatrzymuje się samochód. *Katolik czy protestant?* Nie wiesz, która odpowiedź jest tym razem właściwa. Tego się nigdy nie wie. Ale teraz wszystko zależy od tego, jak odpowiesz. *Człowiek czy zwierzę? Jabłko czy jarzębina? Książę czy żebrak?* Jak masz na imię? Kim jesteś? Jak odmawiasz *Ojciec nasz?* Od odpowiedzi zależy twoje życie. Zła przekłada się na godziny, dni, tygodnie niewyobrażalnych męczarni, cierpień, upokorzeń, modlitw i krzyków: tyle czasu będziesz musiał czekać, nim wreszcie wpakują ci łaskawie kulę w łeb i porzucą twoje ciało gdzieś przy wiejskiej drodze.

Inny kraj, inne czasy, lecz ten sam szatański sztajer. Mężczyzna wraca z pracy do domu. Twój mąż, syn, dziadek, z papierosem w ręku, z płaszczem przewieszonym przez ramię. Wtedy go zwija ją. *Czerwony, biały, katolik, protestant, Żyd, muzułmanin, komunista...* Zabawa, która nosi wiele nazw, lecz jej sens pozostaje niezmienny: okrucieństwo. Konieczność patrzenia, jak ktoś się czołga, cierpi, umiera, bo choć wygląda jak jeden z nas, jest jednak inny. Zabawa w zadawanie cierpień. W Pana Boga. Albo Szatana, jak kto woli.

Nie wiem i nigdy nie będę wiedzieć. Mogę jedynie przeczytać monotony protokół przesłuchania i starać się go połączyć z odpisem oględzin lekarskich Eero Harjuli po przewiezieniu go do szpitala: *liczne sińce na całym ciele...* Opuściłbyś już, dziadku, miejże nad sobą litość! W końcu cię dopadli. Przyznaj się do czegoś, dla głupiej formalności, ostatecznie Finlandia to nie barbaria, nie zabija cię!

Ale nie. Mężczyzna ma swój honor. A honorem się nie kupczy.

Dopiero po jedenastu godzinach wydarzyło się coś godnego odnotowania.

Tylko co?

W tym miejscu monotonne, rzeczowe sprawozdanie staje się dziwnie niejasne.

*Przesłuchujący oficer wyciąga „dla żartu” pistolet, a wtedy przesłuchiwany nagle wyrywa mu go z dłoni i kieruje na siebie. Podczas szamotaniny broń wypala i kula trafia w przesłuchiwanego. Nieprzytomny Harjula zostaje odwieziony do szpitala.*

To wszystko.

Eero Harjula nie zdradził swojej tajemnicy. A dziecko? Dziecko ich nie interesowało. Zagadkowa śmierć dziewczynki nie miała dla nich żadnego znaczenia.

Po niecałym tygodniu mężczyzna odzyskuje przytomność, lecz nie pamięta, co się z nim działo. Spędza w szpitalu dwa miesiące. Kula wyrządziła poważne szkody, dolna połowa ciała ulega częściowemu paraliżowi. Z orzeczenia lekarskiego wynika, że niedowład jest nieodwracalny.

Eero Harjula więcej przesłuchiwany nie był.

## CZWARTY POZIOM

Wagę trzeba przykładać do tego, co jest poważne, i Bóg jedynie godny jest tego, żeby mu poświęcać całą uwagę. Człowiek zaś jest Jego zabawką i to, że nią jest, stanowi największą jego wartość. Zgodnie z tym przeznaczeniem powinien każdy, mąż i niewiasta, bawiąc się w najpiękniejsze zabawy, przepędzać swe życie.

Platon (427-347 p.n.e).

## Olkikumpu, sierpień 1936

Pierwsze pytanie Eero Harjuli po odzyskaniu przytomności i dotyczy pomnika Emmanuela Aarnio.

Czy jeszcze jest?

Jest, jest, zapewniają go na wyścigi jego siostra i żona, patrząc z niepokojem na chwiejący się stojak z kroplówką. Obie chcą wiedzieć, co się stało, lecz o tym mężczyzna nie chce mówić; teraz to zupełnie bez znaczenia.

Eero Harjula się uspokaja i niedługo potem jego żelazne, szpitalne łóżko przekształca się w główny sztab operacji Król Pik. Ciężko mu jeszcze mówić, za to dłonie ma zupełnie sprawne. Rozkazy i szkice sytuacyjne przeplatają się w takim tempie, że pielęgniarki głośno wyrażają zatroskanie nadaktywnością pacjenta.

Eero Harjula jednak nie uważa się za pacjenta, lecz za człowieka z *misją*. Za żołnierza, który otrzymał rozkaz i musi go wykonać. Okoliczności sprawiły, że nie może walczyć na pierwszej linii, ale to bez znaczenia. Musi jeszcze tylko znaleźć sobie adiutanta, który rozumiałby go bez słów oraz mógłby poświęcić swój czas i siły na poprowadzenie przedsięwzięcia zgodnie z jego wolą.

Jedyną osobą, która przychodzi mu na myśl, jest jego żona Vida.

Oczywiście, kobieta się zgadza. Z litości. Bo chce coś robić, aby móc choć na chwilę zapomnieć. Bo przecież nie ma innego wyjścia.

Eero mówi jej, jak głęboko wiercić otwory strzałowe. Którą maszynę do tego wziąć. Vida przechodzi gruntowny kurs obsługi automatycznego Atlasa. Maszyna ma cztery solidne wsporniki i chłodzenie wodne, ale trzeba będzie wymyślić do niej jakiś napęd. Odstrzelenie głazu to oczywiście odrębna sprawa. Trzeba go borować specjalnym wiertłem, no i oczywiście otwory muszą być w jednej warstwie, to jasne jak

słońce. Najważniejsze, żeby wiedzieć, co się chce uzyskać. Trzeba mieć przed oczami kształt monumentu. Reszta pójdzie jak z płatka, to zwykła rutyna. Eero Harjula wie, kogo wziąć do tej roboty, żeby głaz odskoczył lekko, a podstawa była równa jak po pile.

Czy wszystko zrozumiałaś?

Tak, zrozumiałam.

I zapisałaś na kartce?

Tak, wszystko jest na papierze, dokładnie tak, jak mi powiedziałeś.

Potrzebna jest już tylko zgoda chłopaków, ale to czysta formalność.

Czyżby? - myśli żona, lecz nie wyraża swoich wątpliwości głośno.

Czekają na mnie i aż się palą do roboty. Bylebym się tylko z tego wykaraskał, zapewnia mąż. A to tylko kwestia czasu.

Pacjent zdrowieje, lecz nie tak szybko, jak by tego chciał. Co rusz jakieś przykre niespodzianki, odleżyny, wrzody, gorączka.

Gdy Eero Harjula wraca ze szpitala do domu, jest już koniec sierpnia. W ogrodzie przy baraku, w którym mieszkają nieżonaci górnicy, chłopaki urządzili swojemu sztygarowi imprezę powitalną, jakiej świat jeszcze nie widział. Zorganizowali w tym celu dwadzieścia litrów bimbru, a Tępe Tirkkonen obiecał grać na klarncie murzyński jazz.

Jest już późny wieczór, gdy auto zajeżdża pod dom. Najpierw wyciągają wózek inwalidzki, potem sadzają w nim mężczyznę. W dłoń wtykają szklankę z wódką. Wieje silny wiatr, zawieszona na gałęziach latarnie mocno się kołyszą. Śmierdzi naftą.

- Dziękuję, chłopaki - odzywa się wzruszony Eero Harjula do wystrojonej odświętnie brygady. - Mam wielką nadzieję, że dziś w Olkikumpu będzie naprawdę ostra popijawa na cześć mojego powrotu. Ale ja sam postanowiłem, że nie wypiję ani kropli, do póki na stoku nie stanie pomnik Króla Pik.

Konsternacja. Cisza.

Co ten chłop bredzi? Gardzi poczęstunkiem, który urządzili z takim nakładem sił i kosztów? Publicznie upokarza własną brygadę?

Eero Harjula siedzi sztywno w wózku, wodzi spojrzeniem po twarzach swoich ludzi.

- Emmanuel Aarnio był starym górnikiem, który nie szanował i nie kochał nikogo i niczego tak, jak tę skałę - odzywa się grom kim głosem. - Znałem go. Pracowałem z nim tyle lat, że mogę tak powiedzieć. Emmanuel szanował skałę i potrafił z niej czytać jak z otwartej księgi. Wiedział, kiedy można ją tknąć, a kiedy nie.

Uratował życie wielu kamratom, bo umiał słuchać. Taki to był człowiek. Skała była dla niego najważniejsza. Na drugim miejscu było dobre rozdanie kart...

Sztygarowi zasycha w ustach. Gdy wyciąga dłoń po coś do picia, trzy lub cztery ręce podsuwają mu usłużnie butelkę.

- Ful - ciągnie. - Kareta. I królewski poker, który był, trzeba to sobie uczciwie powiedzieć, dużą rzadkością nawet dla niego... Szczęśliwa ręka. Dlatego warto mu było grać. Był dobrym karcia rzem. Diabelnie szczwanym, bądźmy szczerzy. Ale uczciwym. Kantowania nie cierpiał. Cały urok gry polegał na tym, powiadał, że wszyscy mają równe szanse. Podstawą gry było więc *uczciwe rozdanie*, które dawało gwarancję, że wygrać mógł każdy: wystar czyło tylko dobrze rozegrać swoją kartę. Ale start był równy dla wszystkich. Pięć kart na łebka. Ni mniej, ni więcej.

Oniemiała Vida Harjula patrzy na męża, który siedzi w wózku prosto niczym sam prezydent Roosevelt wykrzykujący swój Nowy Lad dla Ameryki. Pełne zachwyty westchnienia kobiet mieszają się z cykaniem świerszczy w zapadającej sierpniowej nocy. Wszystkie wpatrują się oczarowane w tego płomiennego i ciągle pięknego mężczyznę, w którym każda mogłaby się zakochać choćby zaraz, mimo że okrutny los unieruchomił go na zawsze i niewykluczone, że sztygar nie tylko nogi ma już niesprawne. Lecz z Eero Harjuli ciągle jeszcze bije jakaś niewiarygodna siła, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- I właśnie dlatego - prawi dalej sztygar - właśnie dlatego Król Pik został socjalistą i społecznikiem: aby każdemu zagwarantować równy start. Właśnie tak Emmanuel Aarnio rozumiał uczciwą grę - oświadcza uroczyście.

-I właśnie dlatego go zabili - podejmuje po chwili. - Zaszlachtowali jak świnie. Żadnej różnicy. Poza tym, że przed tą okrutną śmiercią cierpiał o wiele bardziej. O wiele, wiele bardziej...

Słuchacze zaczynają spoglądać po sobie z zażenowaniem.

- Nie jestem socjalistą, i nigdy nim nie zostanę. A jednak ciągle uważam, że jego śmierć była złem. I to, że nikt niczego nie słyszał ani nie widział. Nawet ja, mimo że byłem blisko i nie mogłem się szczególnie skarżyć na słaby wzrok czy słuch - mówi.

Szklanka w jego dłoni lekko drży.

- Pochowano go ze wstydem i w ciszy. Jak zbrodniarza. Nie dostał nawet porządnego nagrobka. Zupełnie, jakby na niego nie zasłużył. A ja wam powiadam, że zasługuje na porządny kamień bardziej niż ktokolwiek. Kto jeszcze poza mną uważa, że to, co zrobili Królowi Pik, było złe?

Oniemieli mężczyźni stoją w milczeniu. Część z nich nie ma bladego pojęcia, czego Harjula od nich chce. Ktoś z żywą jeszcze goryczą przypomina, ile pieniędzy przegrał z Aarnio w pokera, lecz pozostali są po prostu wystraszeni, nie umieją odpowiedzieć na tak patetycznie wyrażone wyzwanie.

- Przyjaciele! Kto z was chce wziąć udział w stawianiu monumetu fińskiego górnika?

Mężczyźni stoją sztywno, nie wiedząc, co ze sobą począć. Jak przyłapani na gorącym uczynku, *in flagranti* z dawno oddalonym wstydem. Nadzy i w strachu, z którym żyją od dwudziestu lat, który wypełził z masowych grobów ich rozstrzelanych ojców i braci, i wlecze się za nimi od rana do nocy. Z brudnych dołów, z mogił widm, których nigdy nie było, bo tak orzekli zwycięzcy. W 01-kikumpu wszystkim żyje się dobrze, jak u Pana Boga za piecem, byle tylko pilnować swojej roboty i nie wtrącać się do nie swoich spraw. Ale zawsze znajdują się tacy, którym się spokojne życie przejadło, ci prędzej czy

później znikają. I dobrze, krzyżyk na drogę. Niech wypieprzają do Sowietów albo i jeszcze dalej, gdzie pieprz rośnie.

Aż nagle starszy górnik Eero Harjula, były oficer samoobrony, wygarnia publicznie i bez ogródek, że Emmanuel Aarnio wcale nie popełnił samobójstwa, że jednak nie odciął sobie sam po kolei wszystkich palców, że się nie zakopał w mrowisku i że na koniec nie przestrzelił sobie karku. Co jest nie tak z tym gościem, że jeszcze nie umie trzymać języka za zębami, choć stracił już żonę, dziecko i pracę. Niczego go nie nauczył los własnego ojca, który na białym koniu pojechał na wojnę, ratować kraj przed czerwoną zarazą? Wrócił z niej siwiuteńki jak gołębek, strzęp człowieka, który krzesło nazywał ptakiem, a własnego syna wujem? Czy do Harjuli nie dociera, że trzeba dobrze zważać na to, co i gdzie się mówi?

Nie, ich sztygar najwyraźniej nic sobie z tego nie robi. W milczeniu wodzi spojrzeniem po spłoszonych twarzach swoich ludzi i czeka. Jak aktor, który wierzy, że Bóg w swej nieskończonej mądrości stworzył ludzkość, by on miał publiczność. Nie znosił tych wszystkich cierpień tylko po to, by teraz przegrać z tymi, których zawsze bronił. Chłopy, nad czym wy się jeszcze zastanawiacie?

Wreszcie górę biorą emocje.

- Jeśli o mnie chodzi, to przyszedłem tu poświętować... - odzywa się któryś.

- Pewnie, dość się człowiek naharuje i napoci na dole!

- Prorok z Bożej łaski się znalazł, patrzcie go! Zwierzchności po godzinach nie ma! Nikt mi tu na wierzchu rozkazywać nie będzie, co to, to nie!

- Dobrze mówi!

- Co jest, chłopy, na kazanie my przyszli czy się napić, hę? Najbardziej spragnieni biorą ze stołu butelki w milczeniu znikają w pobliskich krzakach.

Eero Harjula wznosi swoją szklankę z lemoniadą wysoko pod gęstniejące od mroku niebo, spogląda na żonę, która stoi opodal ze śpiącym dzieckiem na ręku.

Jego oczy mówią: Postawię ten pomnik, choćbym miał poruszyć niebo i ziemię! Vida kiwa potakująco głową. Ona wie,



że ten głaz zapadł mężowi tak głęboko w duszę, że już nic nie może go powstrzymać.

Ja, Eero Harjula - grzmi wzrokiem sztygar - przesunę tę cholerną skalę i wzniosę ten pomnik, choćbym miał to zrobić sam! I tak zrobię, do stu piorunów, bo tylko to może zmyć moją hańbę, odkupić moje grzechy i zaniechania! A jak się nie da po dobroci, to wezwę na pomoc samego czarta! Tak czy owak, nie spocznę, póki kamień nie zawiśnie nad głowami złoczyńców, nie spocznę na chwilę!

- Nie miał tu który grać? - woła ktoś.

Tępe Tirkkonen wzdycha, podnosi klarnet do ust:

- Na mój rozum, to można by to pioruństwo trochę pogilgać  
- zastanawia się na głos, przecierając ustnik. - I zabrać z brzegu strumienia, psuje tylko widok. I tak diabelnie długo tam stał...

Z boku wtóruje mu kilka głosów:

- No, jak się białka nie zacznie gardłować o darmową robotę, można się zastanowić, czemu nie...

- Skrzypiące koło dłużej chodzi.

Jednomyślność tężeje z upływem czasu i liczbą wychylonych szklanek, bo w końcu piękna to idea, co tu dużo mówić... Harjula potakuje głową, kamień spadł mu z serca: a więc jednak jego zapal okazał się zaraźliwy! Dzięki niemu w czasach ucisku powstanie na wzgórzu obok kopalni, na mogiłach pomordowanych, których nigdy nie było, nowa, mocniejsza wieś. Tak zostanie zmyta przelana krew, a wtedy ludzie odetchną od niegodziwców, których toczył trąd bezprawia, odzyskają siłę i męstwo...!

Przodowi i ładowacze o najmocniejszych głowach do białego rana dyskutują przy butelce o szczegółach przedsięwzięcia: Harjula, pieronie, z ciebie to dopiero kawał skurczybyka! Twoje zdrowie! Między świńskimi kawałami powstają genialne rozwiązania problemów transportowych, całe towarzystwo ogarnia niespotykana jednomyślność, której nie jest w stanie zburzyć nawet dręczący ich następnego dnia potężny kac-enjamer.

Praca miała trwać sześć lat. Głaz stoi w trudno dostępnym miejscu i przy pracach nad brzegiem strumienia męża zastępuje Vida Harjula. Czasem przychodzi z synkiem, ale najczęściej zostawia go pod opieką Natalii. Zdarza się jednak, że szwagierka ma klientów, a wtedy Vida nie ma wyjścia i musi powierzyć syna mężowi.

Pierwsza zima, wczesne popołudnie, pełne odbitego od śniegu światła. Drzwi zamykają się za żoną i Eero Harjula pogrąża się w nieruchomym oczekiwaniu na siostrę. Przypatruje się przez okno spowitym w spokojną biel domom i budynkom kopalni, wieży windy, którą już nigdy nie zjedzie na dół. Chłopiec raczkuje do jego wózka, chwytając za koło i z trudem wstaje. Drugą rączką wczepia się w nogawkę mężczyzny i jakoś stoi na chwiejnych nóżkach, patrząc badawczo w jego twarz.

Mężczyzna przełyka ślinę. Nigdy nie chciał, by dziecko się do niego zbliżało, ale co ma teraz zrobić? Siedzieć sztywno i czekać, aż chłopiec znajdzie sobie lepszy obiekt badawczy?

- A ty co? - zagaduje do niego i odchrząka. - Idź sobie stąd, no już...!

Nienawidzę tego dziecka, upomina siebie surowo. I zawsze będę, choćby nie wiem.

Dziecko się wzdraga, słysząc jego głos. Mężczyzna się boi, że chłopiec zacznie krzyżeć, ale nie: puszcza nogawkę i wyciąga małą rączkę w górę. Przebiera w powietrzu paluszkami, jakby o coś prosił.

Mężczyzna patrzy na chłopca. Pierwszy raz zagląda mu prosto w oczy. Dziecko przekrzywia główkę, buzia rozwiera się w szerokim uśmiechu. Z głębi oczu tryska światło. Jak morze. Mężczyzna jeszcze nigdy nie widział tak jasnego spojrzenia. W głowie mu się kręci, policzki nabiegają krwią.

- A ty co, mały...?

Zawstydzone dziecko opiera główkę o nogę mężczyzny.

Eero Harjula obejmuje chłopca ramieniem, unosi na kolana.

Jaki lekki! Muska palcami pokrytą meszkiem szyję, czuje pod przezroczystą skórą mocny puls krwi. Piękny. Piękny, mały chłopiec. Ale cóż w tym dziwnego, w końcu codziennie ssie

pierś matki, w której nigdy nie braknie mleka.

*Nabiera sił i staje o własnych siłach.*

*Biegnie.*

*Próbuje przerząbać swoje pierwsze drwa i płacze, bo patyk nie łamie się od razu; postaw szczapę pionowo i celuj siekierą w środek, chłopcze. O, tak. I już zapalony z niego wędkarz, tyle ryb złapał, dopiero się mama ucieszy...'. Tylko nie zapomnij plecaka do szkoły, nauczyciel będzie krzyczał, jak nie będziesz miał książek!*

*Bije się, do domu wraca zakrwawiony; a chociaż wygrałeś? A ty co, brzytwę sobie znalazłeś, co, smarku jeden, co ty chcesz tym wichaj-strem zdziałać...?! Skąd się biorą te nieistniejące obrazy? Skąd?*

Ale zapach jest prawdziwy. Choć mężczyzna czuje go po raz pierwszy w życiu. Jeszcze raz wacha cienką skórę na szyi dziecka.

Zapachu córki nie może sobie nijak przypomnieć: Czy ja ją kiedykolwiek trzymałem na rękach...?

- Spójrz no, synek - odzywa się i pokazuje ręką za okno. - Śnieg. To jest śnieg. Zimno. Hu-hu-ha, zima zła. Brrr!

Uderza dłonią o dłoń, żeby pokazać, jak od śniegu grabieją palce.

W oczach dziecka zapala się ciekawość, chłopiec obraca główkę do okna. Mężczyzna chrząka. Coś go dziwnie ściska w gardle.

- Śnieg wszystko przykrywa - szepcze. - Rozumiesz? Wszystko w przyrodzie ma swoje zadanie. A zadaniem śniegu jest przykrywać.

## **Olkikumpu, listopad 1938**

Człowiek może wykonywać wciąż te same, nudne prace dzień w dzień, zawsze sumiennie i bez słowa skargi. Nie znaczy to jednak wcale, że zapomniał. Praca, jedzenie i sen wyznaczają rytm dnia, monotony jak wspinanie się po drabinie, lecz to nie tak, że z każdym jej szczeblem człowiek zostawia żal coraz dalej za sobą; nie, to nie oddalanie się, lecz brnięcie w smutku. Można codziennie wzuwać i zzuwać buty, za każdym razem licząc pod nosem, że po każdej stronie cholewki jest dziewięć haftek na sznurówkę, dziewięć czarnych, byle jak wygiętych haczyków -i nie widzieć, jak bardzo trzewiki są już znoszone i brzydkie. Można wietrzyć i składać pościel, nie odczuwając wcale ich chłodnej świeżości, można chodzić do sklepu, nie spoglądając nawet na bele nowych, opalizujących tkanin. Można przynosić sparaliżowanego męża z łóżka do wózka, nie czując jego pokrzepiającego uścisku; nosić ząbkujące dziecko na mdlejących rękach, nie widząc, że dawno już usnęło; przechodzić obok stojących przed biurami kopalni aut i kierowców w służbowych kaszkietach, nie czując zapachu holenderskich cygar.

Człowiek wykonuje wciąż te same ruchy, dzień po dniu, robi, co do niego należy, lecz to wszystko iluzja: nic nie jest dla niego prawdziwe, każdy ruch bowiem motywuje coś, czego już nie ma.

Ktoś. Zakopana w ziemi córka. Jej małą, piegowatą twarzyczkę podziurawiły robaki, a rośliny oplotły jej paluszki swoimi korzeniami. A ona odganiała muchy od jej kołyski, żeby nie zakłócały jej snu swym namolnym brzęczeniem.

Jak można tak dobrze pamiętać? Ze dmuchała na najmniejsze zadrapania na jej kolankach, przykładając plastry, całowała, aby przestało boleć. Czesła niesforne, bursztynowe włosy, wiązała z nich dwa cienkie warkoczyki, ozdabiała kokardkami z zielonej krepy. Ale w ostatni wieczór nie dała jej

suszonego daktyla, bo chciała go dodać do placka. Nie dała, mimo że dziecko tak pięknie ją prosiło. Jest już późno, teraz już nie, zobaczymy jutro, może zostanie coś od pieczenia, odpowiedziała córce na jej ostatnie życzenie.

Dlaczego właśnie wtedy musiała być taka nieustępliwa? Za jakie grzechy poskapiła jej głupiego daktyla, zamiast pójść do kuchni i dać go dziewczynce, której już nigdy więcej nie zobaczy żywej?

Nie ma co kryć, Vida Harjula jest w potrzasku.

Z jednej strony zmarłe dziecko, z drugiej dwaj mężczyźni. Jeden sparaliżowany, drugi wyjechał. Zniknął. On też przestał istnieć, nagle, bez ostrzeżenia. Tego samego dnia, gdy skończył się świat. Wyjechał bez pożegnania, odbierając jej ostatnią nadzieję.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Próbowała się czegoś dowiedzieć o śmierci swojej córki, o przesłuchaniach męża, o losie irlandzkiego geologa, ale nikt niczego nie wie. Eero Harjula nie pamięta żadnych wydarzeń poprzedzających jego nieszczęśliwy wypadek. Szok, informuje lekarz. Dyrekcja spółki umywa ręce od całego zamieszania, Natalia cały czas płacze, a komendant policji zawraca Vidę Harjulę w drzwiach swojego biura nieodmiennie grzecznie, lecz zdecydowanie: Okropne nieszczęście, ale takie rzeczy się zdarzają. Proszę nie wracać do przeszłości, pani Harjula, co było, minęło. Tak będzie lepiej dla wszystkich. I tak już nic nie wróci życia pani córeczce...

Wszystko to prawda, lecz co zrobić, kiedy ta straszna tęsknota ciągle się do człowieka lepi, nie znika, jak ręką odjął, choćby się przestało zadawać wciąż te same pytania.

Całą wieczność Vida Harjula nadzorowała ciężarówkę, wlokące za sobą głąz. Zimowe słońce odbite od maski silnika. Wiosenne roztopy, w których auta grzęzły co dwadzieścia metrów, w których co rusz trzeba było wychodzić z szoferki, żeby sprawdzić przeszkody albo poprawić liny i zaczepy. W letnie upały naradzała się z kierowcami, górnikami i pomocnikami, gotowała im kawy i przynosiła piwa. We wrześnie wieczory, przy świetle śmierzdzących naftą lamp,

śmiała się z ich żartów, zarówno tych niewinnych, jak i trochę nieprzyzwoitych. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku robiła to, czego od niej wymagano, lecz nigdy, ani na chwilę nie przestawała czuć, że jest rozdarta między zmarłą córką a zaginionym mężczyzną.

I przez cały ten czas, dzień w dzień, szła wieczorem na cmentarz i rozmawiała z marmurową płytą, która nosiła twarz jej dziecka, opowiadała, ile się znów udało ów wielki głaz przesunąć i jakie trudności pokonać, co jeszcze ich czeka. Pokazywała zdjęcia, które ciocia Natalia zrobiła jej braciszкови, kiedy siedział na drewnianym koniku, którego podarował mu na gwiazdkę tatuś. I o trojaczkach zawiadowcy stacji, które z powodu w porę niele-czonej angielskiej choroby będą miały do końca życia koślawe nogi. Czyż to nie przykre, takie ładne, wesołe dziewczynki? Latem śmiała się z nowych praktykantów, którzy nie odróżniają diorytu od kwarcytu, a podczas prac terenowych paradują w spodniach z mankietami i lakierkach, jakby byli wielkimi inspektorami. Opowiedziała, że braciszek nauczył się już siadać na nocnik, że mąż ciotki Natalii nadwerężył sobie plecy, że Hitler zajął Austrię, a fiński minister spraw wewnętrznych Kekkonen zakazał działalności proniemieckiego Patriotycznego Ruchu Ludowego. Niczego nie skrywając, relacjonowała najblahsze nawet wydarzenia dnia, plotki, tragedie, nowiny i wieści z szerokiego świata.

Lecz przez cały czas czuła, że Kruszyńska oczekuje zupełnie, ale to zupełnie innych wieści. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości: jej zmarła córka nie była z niej zadowolona. Nieprzypadkowo więc zawsze, gdy VIDA Harjula jest na cmentarzu, niebo zasnuwa się ciemnymi chmurami i zrywa się przenikliwy wiatr lub zaczyna padać. Nawet w rozśpiewane lato, choćby słońce prażyło na bezchmurnym niebie przez cały dzień, gdy kobieta uchyła skrzypiącą furtkę cmentarza, zza kościoła zawsze uderza ją w twarz gniewny podmuch; choćby nie wiadomo jak starannie ułożyła kwiaty na grobie, może być pewna, że zwiędną na jej oczach albo je porwie ten cholerny wiatr i porozrzuca po całej ścieżce. Nie przyjmuje się żadna róża, którą posadzi na jej grobie. Begonie gniją, nim zdążą

wypuścić pierwszy kwiat.

Wszystko to bardzo ją męczy i smuci, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co zaczyna się dzieć na jesieni.

Pewnego listopadowego wieczoru Vida Harjula, z powodu nawału pilnych spraw, przybywa do kościoła nieco później niż zwykle. Po wejściu na cmentarz przeżywa wstrząs.

Ktoś przewrócił cały rząd nagrobków. Jedne leżą na kopczykach, przygniatając kwiaty i rozbite wazony, inne na ścieżce, blokując przejście.

Kobieta podnosi dłonie do ust, wstrzymuje oddech.

Biegnie do kościoła, lecz w środku nie ma nikogo. Potem już spokojnie idzie do mieszkania kościelnego, bo wie, że winny nigdy się nie znajdzie.

- To ty, Kruszyńko? - zwraca się do marmurowej główki swojej córki, gdy jest już po wszystkim, gdy wstrząśnięty pastor wrócił już do siebie, a redaktor miejscowej gazety pojechał pisać artykuł o bezprecedensowej profanacji grobów. - Cóż cię do tego podkusiło...? Nic na to nie poradzę, że trochę się spóźniłam. W jednej ciężarówce pękła opona, twój braciszek cały dzień kaprysił, a Natalia pojechała do miasta kupić jakieś srebrowe klisze.

Ale to nie to.

Dziewczynka nie jest zła z powodu spóźnienia. Chodzi jej o coś zupełnie innego.

- A może nie chcesz, żeby mama do ciebie przychodziła? - pyta kobieta ze łzami w oczach, schyla się i wybiera mrówki z kopczyka. - Nigdy mi nie wybaczysz? Nie okażesz mamie litości?

Vida Harjula gładzi zimny, marmurowy policzek; w nieruchomym spojrzeniu kamiennych oczu nie dostrzega zrozumienia. Są pozbawione wyrazu, jak kwiatki na filizance do kawy.

Prostuje plecy, wzdycha. Gdzieś z daleka dobiega cichy śpiew. Kobieta jeszcze nigdy nie czuła tak wyraźnie furii emanującej z grobu jej córki. Może powinna się pomodlić, by się dowiedzieć, czego od niej chce jej zmarłe dziecko? Lecz i to wydaje się jej niewłaściwe.

- Ale takich rzeczy mimo wszystko nie wolno robić, to ludzi bardzo niepokoi...

Jej ciałem wstrząsają dreszcze, gdy patrząc z głębokim żalem na powalone płyty, odczepia niebieską, jedwabną wstążeczkę, która jakimś cudem wfrunęła w bezlistne pnące wiciokrzewu.

*Cesarz maleńki, siedzi na pieńku, czarny jak smoła, biały jak śnieg, a kto ostatni, na tego śmierć!*

Zaciska mocno zęby: czy to aż taka zbrodnia, że ciągle pragnie tego mężczyzny, że chciałaby go odzyskać? Nieważne, co się wydarzyło. Chciałaby dostać coś w zamian za to, co utraciła, poczuć jego dłoń na swojej szyi, na udach, na piersiach. Chciałaby, by dotknął ją tam, gdzie teraz jest tylko pustka i mrok. Żeby się przedarł przez tę zimną skorupę, tłocząc w nią gwiazdy i księżycy, całe galaktyki. Pulsujące światła, które rozproszą jej mrok.

*Wypadło na Aino, nie żyjesz. Wybieraj: człowiek czy zwierzę? jabłko czy jarzębina? Księżę czy żebrak?*

Kobieta stoi tak, wsparta o lodowaty mur, okręca sobie wstążkę wokół palca tak mocno, że przebijająca spomiędzy pętli biała skóra w końcu robi się czerwona. Lecz ona tego nie dostrzega, gdyż nasłuchuje, kołysząc powoli biodrami w przód i w tył, usypiając swą niewidzialną, nieutuloną tęsknotę, patrzy na oświetloną wieżę kościoła, która też się kołysze, krzyż i cała reszta kiwają się w lewo i w prawo na tle smoliście czarnego nieba.

Coraz głębiej ją wsysa milcząca przestrzeń bez dna. Wcześniej ją przerażała, lecz ostatnio fascynuje, jak zaznaczone niegdyś na mapie obce miasta i nazwy ulic, które wryły się w jej pamięć, choć nigdy tam nie była. Słyszy oszałamiający, rytmiczny zew, jak stukot kół ruszającego pociągu: teraz trzeba tylko znaleźć sobie miejsce i usiąść.

Ale nic z tego, to się nie może udać tylko dlatego, że ona by tego chciała. Świat ciągle jeszcze istnieje, jest mroczny cmentarz, śmierć i cała reszta. Vida odwija wstążkę z palca i wkłada rękawice. Odczuwa palący wstyd, jakby ją złapali na jeździe bez biletu.



To nie był odosobniony przypadek barbarzyńskiej profanacji cmentarza. Ledwo ustawiono z powrotem przewrócone nagrobki i wyrównano kopce, zostają zdemolowane kolejne groby. Cmentarza pilnuje teraz nocna straż, ale i to nie pomaga. Mieszkańcy Olkikumpu nie wiedzą, co o tym myśleć. Czegoś takiego nie mógłby dokonać zwykły szaleniec.

Sprawa trafiła już do miejskiej gazety, ba, nawet z Helsinek dzwoniło i pytano, czy systematyczna profanacja grobów może mieć podłoże polityczne.

Nie, nie, w żadnym wypadku, to zwyczajne akty wandalizmu, które nie mają ze sobą związku, zapewniają zarówno miejscowy pastor, jak i komendant policji. Mają jednak świadomość, że wścibscy, bezczelni redaktorzy ze stolicy tylko czekają na sygnał, by przyjechać do Olkikumpu i zacząć węszyć: zaraz zażądają dostępu do akt policyjnych, wezmą pod lupę historię kopalni i nie omieszkają oczywiście zatrzymać się pod sklepem spółdzielczym, żeby posłuchać, co mają do powiedzenia awanturnicy i pijacy.

Krótko mówiąc - są gotowi zszargać dobre imię gminy skandalicznymi, wysnanymi z palca teoriami, byle tylko przyciągnąć żądnych taniej sensacji czytelników i zwiększyć nakład.

Nie można do tego dopuścić, to pewne.

To się rozumie samo przez się.

Nagrobki muszą się wreszcie uspokoić, bo inaczej będziemy tu mieli niezły bigos. Cena nie gra roli.

Ale co zrobić, skoro nie ma nawet podejrzanego. Ani jednego kandydata na winnego.

Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Co prawda na groby chodzą bliscy zmarłych, a jedna kobieta, która straciła niedawno córkę, przychodzi nawet codziennie. To ludzie pogrążeni w głębokim smutku i te bezbożne wybryki ich właśnie dotyczą najbardziej, pozostają więc chyba poza wszelkimi podejrzeniami.

Czyżby?

Tak, tak.

Tego popołudnia Vida Harjula znów idzie na grób Kruszyнки. Już z daleka widzi stojące przed kościołem czarne auto. Komendant otwiera drzwiczki i zaprasza ją gestem do środka:

- Czy pani Harjula miałaby chwilkę na małe spotkanie...?
- Mogłabym najpierw zanieść te kwiaty?
- Ależ oczywiście, jak najbardziej...

Komendant wychodzi z auta, zapala fajkę i patrzy na smukłe plecy kobiety, która przykucnęła przy marmurowej płycie i zmienia wodę w wazonie. Kwiatów z poprzedniego dnia jak zwykle nie ma, lecz to dla Vidy Harjuli nic nowego.

- Grób pani córki jakoś się ostał? - odzywa się głośno komendant, podszedłszy w zamyśleniu pod kamienny mur.

Kobieta wzdrygnęła się nieznacznie, rzuca mu ukradkowe spojrzenie.

- Tak, rzeczywiście.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zrywa się rześisty deszcz, zimne krople biczą ziemię, niebo ciemnieje. Komendant wytrzepuje tytoń z cybucha, zarzuca na ramiona płaszcz i biegnie do auta. Kobieta się nie spieszy. Spokojna i dziwnie obojętna stoi nieruchomo w szarej ulewie. Zupełnie jakby, idąc na cmentarz, dobrze wiedziała, że będzie deszcz, unosi więc tylko dłoń do czoła i patrzy, jak strumienie deszczu spłukują z grobu przyniesione przez nią nagietki.

*/ ten czarny, czarny człowiek wszedł do czarnego, czarnego auta, a w tym czarnym, czarnym aucie było czarne, czarne pudełko...*

Gdy kobieta wreszcie wraca pod kościół, jest przemoczona do suchej nitki. Wystająca spod płaszcza ciemnoszara spódnica przywarła do łydek, kilka mokrych kosmyków wydostało się z koka i przykleiło do szyi. Komendant podaje jej chusteczkę, ale kobieta nie wyciąga ręki. Nieszczególnie też się kwapi z wejściem do środka, boi się zmoczyć czyste siedzenia.

- Ale też pogoda - zagają komendant.
- Kruszyńska się złości, to jej sprawa.
- Że jak?
- Moja córka. Zawsze się gniewa, gdy do niej przychodzę.

- A... rozumiem - komendant jest zdezorientowany. - To ci córka...

- Źle wychowana, prawda?

- Tego nie powiedziałem.

Kobieta zaczyna mu mówić, jaką była niedobłą matką, wylicza błędy wychowawcze, sytuacje, w których powinna być surowsza i pokazać dziewczynce, kto tu rządzi.

Komendant z początku sądzi, że Vida Harjula bezczelnie stroi sobie z niego żarty, lecz po chwil stwierdza, że to nie to: stojąca przed nim kobieta patrzy rozumnie. Ręce ma w kieszeniach, deszcz przestał padać równie nagle, jak zaczął.

- Sam pan widzi!

- Ale dlaczego pani córka... się złości?

- Wie pan, jak to ze zmarłymi, trudno powiedzieć.

- No tak, prawda - przyznaje komendant.

Vida Harjula uśmiecha się nieznacznie, wykręca wodę z włosów.

- A z czego pani wnosi, że to właśnie pani córka...

- Bo ona śpiewa.

- Pani coś słyszy?

- Słyszę albo pamiętam. Jedno z dwóch. Ale nie jestem szalona, proszę sobie nie myśleć. Kiedyś sama tak sądziłam, ale teraz wiem, że nie jestem.

Komendant wyciąga dłoń i wydobywa coś ze schowka. Czekoladki. Otwiera pudełko, w którym brakuje już kilku cukierków, i częstuje kobietę. Vida Harjula jest zaskoczona tą skrywaną słabością komendanta i tym, że zdecydował się przed nią zdemaskować.

- Jeszcze jedną? Polecam te okrągłe w czerwonym sreberku. Nugat.

- Dziękuję, jedna wystarczy.

Kobieta nie wzięła do ust nawet pierwszej. *A w tym czarnym, czarnym pudełku była czarna, czarna lalka, która miała czarne, czarne serce...*

- A te nagrobki? Nie spostrzegła pani czegoś, kiedy tu była?

- Ja ich nie przewróciłam, jeśli o to panu chodzi - odpowiada kobieta. - Nawet bym nie dała rady. I po co miałabym to robić?

- Nikt pani o to nie oskarża. Tak sobie tylko pomyślałem, kiedy pani powiedziała, że... pani córka jest z jakiegoś powodu niezadowolona, to... to przyszło mi do głowy, że...

Vidzie Harjuli robi się żal komendanta: zawsze taki pewny siebie, a teraz nie potrafi nawet skończyć zdania.

- To bardzo prawdopodobne, że maczała w tym palce, ale co z tego? Chyba nie będziecie jej wyciągać z grobu i stawiać przed sądem, co?

- Na pewno nie - przyznaje Purola. - To nie wchodzi w rachubę.

- I chyba nie warto o tym wspominać gazetom?

Mężczyzna wzrusza bezradnie ramionami i uśmiecha się:

- Niemniej sytuacja jest dla całego Olkikumpu bardzo nieprzyjemna, zgodzi się pani?

- Także dla mnie.

- Także dla pani.

Ach, cóż za wspaniała jednomyślność! Szkoda, że nie było jej między nimi wówczas, gdy czarne auta przyjeżdżały po Eero Harjule, gdy kobieta chciała dowiedzieć się czegoś o losie swojego męża, córki, zaginionego geologa.

- Bardzo tajemnicza ta nasza okolica - wzdycha Vida Harjula.

- Giną ludzie. Pojawiają się auta widma. Dzieci toną w strumieniach, w których prawie nie ma wody. Jeszcze tylko buntu na grobków nam brakowało.

- Może jednak pozwoliłaby się pani zawieźć do domu? - proponuje komendant. - Nim pani zmarznie na kość.

- Proszę się nie martwić. Przemakam prawie codziennie.

Policjant wyrozumiałe kiwa głową.

- Matki łączą z dziećmi niewidzialne więzy - mówi Vida Harjula i spogląda przytępiionymi od smutku oczami na komendanta.

- Sam pan zapewne miał się okazję o tym przekonać. Kiedy matka się o pana martwi, czuje pan to. Potrafi to być męczące. Nie widzialne więzy. I wieczne. Nic nie zdoła ich przeciąć. Nawet śmierć. Myślę, że moja córka wyczuwa mój niepokój. Dlatego i ona jest niespokojna. I nie spocznie, póki...

- Póki co?

- Póki się nie dowiem.

Właśnie. Póki nie będę wiedzieć. Od matek nie należy wymagać sprawiedliwości. Zawsze będą po stronie dziecka, gotowe stawić czoła nawet całemu światu, jeśliby do tego doszło. Matki muszą wiedzieć. Aby mogły zrozumieć. Innej możliwości po prostu nie ma.

- Bardzo chętnie pani pomogę. Proszę mi tylko powiedzieć jak.

Komendant odczuwa nagle palącą potrzebę pokazania kobiecie, że ją rozumie, całkowicie i bez słów. I że nie pozwoli, by ona i jej tragicznie zmarła córka cierpiały ani chwili dłużej, więc robi, co tylko w jego mocy, aby ukoić ten podwójny smutek.

- Co się wydarzyło na przesłuchaniu mojego męża? Czego dotyczyło?

Kobieta nie przycisza ani nie podnosi głosu. Stoi równie swobodnie, jak przed chwilą.

- Och, droga pani, to już są sprawy policji państwowej. A oni nam się nie zwierniają.

Póki nie będę wiedzieć. W spojrzeniu kobiety pojawia się ostrzeżenie. Póki się nie dowiem.

- Mogę j edynie zgadywać...

- Proszę zatem zgadywać. Dlaczego ochrana zainteresowała się Eero Harjula? Rozumiem, że szukają szpiegów. Że chcą popędzić kota komunistom. Czerwonym. Przyjaciołom Rosjan. Ale czego, na Boga, oni mogli chcieć od mojego męża?

Komendant przykładą dłoń do czoła:

- Może się pomylili? Takie rzeczy się zdarzają.

- Boże Święty, przecież należał do samoobrony, tak jak i pan!

- Niechże pani będzie tak łaskawa i wejdzie do środka - prosi komendant. - Wtedy porozmawiamy. Nie tak na widoku, pod samym kościołem.

- Obiecuje pan?

Póki nie będę wiedzieć, mówią oczy kobiety. Póki się nie dowiem.

Mężczyzna kiwa potakująco głową. I tym razem Vida Harjula mu wierzy.

Żałoba. To nie czarna woalka na głowie kobiety. To nie łzy, które się zazwyczaj wylewa, gdy ktoś umrze. To nie pastor, który ściska dłonie najbliższych, to nie *Eroica* Beethovena ani sonata b-moll Chopina. Żałoba to nie szepty za plecami, które się słyszy jeszcze miesiące po pogrzebie.

Żałoba to petryfikacja. Mrok trwania, które nie jest życiem. Obcowanie z kimś, kogo nie ma.

Żałoba to noc.

Ludzie pierwotni chcieli stworzyć żałobę z kamienia, do którego można wejść. Świątynię mocarnej śmierci. Stawiali więc cierpliwie kamień na kamieniu, blok na bloku, by móc odróżnić ciemność od jasności. Zbudowali niezniszczalną drogę do pustki wiecznego smutku, do samego jej jądra. Rozumieli, że mrok jest dobry - bo niesie pocieszenie.

I ja to rozumiem. Jest dzień zimowego przesilenia, za chwilę promień słońca dotknie zimnej, kamiennej macicy Newgrange. Odczuwam wielką ulgę, gdy jest już po wszystkim. Spływa na mnie dziecięcy spokój pogrzebanej żywcem Tanty Carhuy, doskonale widoczny w jej spetryfikowanym uśmiechu jeszcze setki lat później. Czuję wieczorny spokój Vidy Harjuli i ostatni, słaby uścisk matczynej dłoni.

Tak, prymitywni mieszkańcy tej doliny wiedzieli więcej od nas. Wiedzieli, że przepastna otchłań ciemności jest dobra. Chcieli ją poznać i rywalizowali o to, by zostać wybranym.

*Ojcze, jestem gotowa, nie wyobrażam sobie większej chwały...*

Nie odczuwali bólu ani lęku, bo potrafili chcieć śmierci. Marzyć o niej. O największej chwale, o najpełniejszym szczęściu. Życie jest przerażające. Życie. Nie śmierć.

I ja to teraz rozumiem. I mnie jest teraz dobrze, w kolebce wiecznego grobu. Po to były te poszukiwania, po to tu przyjechałam.

Aż nagle, właśnie wtedy.

Zabierają mi je. Wpuszczają do środka światło. Złote, skrzypiące życie.

I pokazują martwe dziecko.

Później Sean O'Brien twierdzi, że zasłabłam. W każdym razie niewiele brakowało. I dlatego musieli mnie czym prędzej wynieść na zewnątrz, na świeże powietrze.

- A ty widziałeś? - pytam szeptem, lecz staruszek interesuje się teraz wyłącznie tym, bym dostała coś do picia.

- Nie ma się co dziwić - odpowiada, gdy już usadził mnie na ławce przed kioskiem i przybiegł do mnie ze szklanką wody mineralnej. - W tym stanie. W środku jest ciasno, choćby i ludzi nie było. Sam już myślałem, że zaraz mi zabraknie tlenu. Jeszcze masz bladą obwódkę wokół ust... Ty płaczesz, Iris?

Wstaje, prosi w kiosku o serwetkę, przynosi mi.

Nie, ja nie płaczę, czasy mojego mazgajstwa już się dawno skończyły.

Lecz gdy staruszek pochyła się nade mną i przykłada mi serwetkę do oczu, papier nasiąka i czernieje od tuszu.

- To dziecko - odzywam się. - Ta zaginiona mała dziewczynka, ona tam była...

Jest bardzo troskliwy i uprzedzający, co chwilę pyta, czy już naprawdę dobrze się czuję, czy jestem całkowicie pewna, że niczego mi nie trzeba.

- Tak, to niewiarygodna historia - mówi wreszcie. - Choć raz celnicy stanęli na wysokości zadania.

Mam zupełnie sucho w gardle. Chyba się jednak czegoś napiję. Ale o czym on mówi?

- o tej zaginionej dziewczynce. Jej ojciec, Libańczyk, opłacił kogoś, żeby ją przewiózł przez granicę. Ale na lotnisku dziecko rozpoznano. Mimo że miało ścięte włosy i próbowano je przewieźć na paszporcie jakiegoś chłopca.

- Małą Tereskę...?

- Tak mówili rano w wiadomościach radiowych. W jutrzejszych gazetach będzie więcej.

To nie może być prawda. Przecież widziałam ją przed chwilą! Widziałam, jak ciemność się rozplywa, ukazując bose stopki, małą twarzyczkę, na zawsze zamknięte oczka.

Jeśli to nie była Teresa o'Connor, to kto?

- Było tam nieżywe dziecko. Mogę przysiąc, że widziałam na tej płycie ofiarnej ciało dziewczynki.

A więc co to było?

Halucynacje?

*Witamy na zebraniu. Iris znów w amoku. Uwaga na nisko przelatujące ciała astralne. Wprogramie straszliwa wizja numer sześć.*

Zjawy, fantazja, zdrada, kłamstwo.

Kłamstwo?

Czy ja słyszałam, że ktoś powiedział to słowo?

Nie, mężczyzna siedzi w zupełnym milczeniu i przygląda mi się z troską.

- Ktoś tam był. Ktoś zmarły. Nie wymyślam. Tym razem mówię prawdę.

- Wiem.

Próbuję czytać z jego twarzy, ale kontury rozmywają się w sztucznym świetle. Czyżbym i jego sobie wyobraziła?

Nie, jednak siedzi przede mną żywy człowiek z krwi i kości i podaje mi serwetkę, uśmiechając się krzepiąco, jakbym była zbudzonym właśnie z koszmarnego snu dzieckiem albo czubkiem, któremu trzeba we wszystkim potakiwać, bo inaczej dostanie szalu.

- Jestem tego pewna na sto procent. I nie zwariowałam.

- Nie zwariowałaś. Jesteś po prostu bardzo smutna. Marszczę brwi. Co on może wiedzieć o moim smutku? Co

ktokolwiek może o nim wiedzieć? Nie obnoszę się z nim, nie rozpowiadam wszystkim na lewo i prawo. Nie potrzeba mi niczyjego współczucia, to mój smutek. Moja własna, prywatna pustka. Jedni cierpią dramatycznie i oryginalnie, inni płacą za wielką namiętność albo obsesję, ale ja jestem jak żywcem wyjęta z bajek braci Grimm, głupia siostra, która prędzej czy później kończy w chacie czarownicy. Tak się płaci za głupotę, idiotyczne kaprysy i egoizm.



- Z jakiego powodu miałabym się smucić?

- Z powodu dziecka.

Dziecka? Chwileczkę, przecież właśnie sobie powiedzieliśmy, że żadnego dziecka nie było. Że wysłałam sobie małe zwłoki z palca. Nie, czas kończyć tę błazenadę, wracam do domu, bo kto wie, co tam się jeszcze gotowe wydarzyć w tym czasie, gdy ja się grzebię w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi jaskini.

- Niemowlęcia, które straciłaś.

Wstaję. On też. Idę tyłem, nie patrząc na smaganą wiatrem drogę, ręce mam wbite głęboko w kieszenie. Kiedy przyjedzie ten cholerny autobus? Jak długo jeszcze będę się tu trząść na tym zimnie?

- Iris...

- Nie chcę o tym mówić.

Skąd on o tym wie? Nie mówiłam mu o tym. Mam swoje wady, wiem, ale na pewno nie zaczynam zupełnie obcemu człowiekowi tuż po nawiązaniu znajomości opowiadać o tym, jak moje biedne maleństwo przestało oddychać, gdy ja łąziłam z siostrą po sklepach z ciuchami, gdy zaśmiewając się idiotycznie, przymierzałam sukienkę na chrzciny, której nigdy nie miałam na sobie włożyć. Gdzie było wtedy moje słynne jasnowidztwo? Dlaczego nie widziałam strug krwi i otwartych grobów, skoro zawsze się przechwalałam, jaka to ze mnie wielka wyrocznia?

Dlaczego bębny nie zawarczały w ten jeden, jedyny dzień, kiedy powinnam była je usłyszeć i nie zostawiać dziecka pod opieką mężczyzny? Nie, to nie jego wina, na śmierć łóżeczkową nie ma mocnych, jak zapewniali mnie na wyścigi lekarze, pompując we mnie swoje leki uspokajające, ale skąd mogę wiedzieć, czy może by do tego nie doszło, gdyby moja kruszynka była u mnie na rękach, gdybym nie była tak bezgranicznie próżna i nie nakupowała sobie butów jak dla stonogi, gdybym się nie wściekała, że po porodzie nie mogę już wejść w żadną spódnicę, gdybym...

- Przynieść ci jeszcze serwetkę?

- Nie trzeba.

Nie chcę z nim rozmawiać, bo wiem już z góry, co by

powiedział. Że to nie była moja wina. Niczyja wina. Że takie coś może się zdarzyć każdemu. Wszyscy to w kółko powtarzają, ale nic nie zmienia faktu, że najpierw myślałam o sobie, a dopiero potem o dziecku. I że nie było mnie w domu, gdy moja pięcioletnia córka przestała oddychać. Że nie poczułam nawet głupiego ukłucia w sercu, gdy to się wydarzyło. Nie, wręcz przeciwnie, ja chciałam jeszcze iść na kawę, chciałam poszpanować swoimi nowymi biodrówkami w kawiarence o pięknej nazwie Hamburger Bórs. Zachciało mi się przy filiżance cappuccino oceniać męskie tyłki akurat wtedy, gdy faceci z pogotowia oznajmili mojemu płaczącemu w głos mężowi, że nic już nie da się zrobić.

Przyspieszam kroku. Słyszę, jak staruszek z trudem człapie za mną po oblodzonej, wiejskiej drodze, i wiem, że powinnam mu pomóc, wziąć go pod ramię, ale nie chcę.

Przystanek otacza omszały, kamienny mur, za którym otwiera się łagodnie pofalowana dolina. Mur jest mokry i zimny, ale nic mnie nie obchodzi, niech się płaszcz pobrudzi. Opieram się o niego, tak jest mi dobrze. Patrzę na łąkę, która nie traci nic ze swej zieloności nawet w tym przenikliwym chłodzie środka zimy. W dali pasą się owce, wielkie jak krowy. Czym oni je karmią, że są takie wielkie?

Zasapany mężczyzna staje obok mnie, owija szyję ciasniej szalem, wieje zimny wiatr.

- W raporcie Departamentu Energii Stanów Zjednoczonych na temat stuprocentowo bezpiecznego, geologicznego składowania odpadów promieniotwórczych znalazł się jeden bardzo ciekawy punkt - odzywam się. - Zaproponowano tam, by po wypełnieniu i uszczelnieniu składowiska wzniesć nad nim olbrzymi monolit, aby jeszcze tysiące lat później ostrzegał przyszłe pokolenia o zakopanej pod ziemią zabójczej substancji z epoki człowieka atomowego. Ob liczono jednak, że tylko jedno takie składowisko o pojemności stu ton kosztowałoby prawie czterdzieści miliardów dolarów...

To ja się staram błysnąć dobrą znajomością tematu tak bliskiego jego sercu, a on co robi? Zamiast przedstawić rzeczową opinię o astronomicznych kosztach wzniesienia

podobnego mauzoleum, które z pewnością w tych trudnych czasach nie weszłyby do budżetu żadnego państwa, kładzie mi dłoń na włosach i gładzi mnie po głowie.

- Wiem, jak trudno przyjąć to, że nie wszystko da się wytłu maczyć - mówi. - Ale czasem trzeba się po prostu pogodzić z faktem, że nie wiemy i nie będziemy wiedzieć.

Jestem tak zdumiona, że nie mogę wydobyć z siebie słowa.

Opuszcza dłoń, wyciąga papierosa.

- Trzeba spróbować zrozumieć, że strata jest bezpowrotna.

- Zrozumiałam to.

- Czyżby?

Tak, zrozumiałam. Ale zrozumienie czegoś i pogodzenie się z czymś to dwie różne sprawy. Czy ty się pogodziłeś z tym, że cię zamknęto za tymi przeklętymi drutami? I myślisz, że Eero Harjula pogodził się z tym, że już nigdy nie będzie mógł chodzić? Że Vida pogodziła się z tym, że... Obracam się do niego.

- Myślisz, że zaczęłam kopać w sprawie Aino Harjuli dlatego, że straciłam swoje dziecko. Przyznaj się...!

Staruszek spogląda na mnie bezradnie, nie zaprzecza, nie potwierdza.

- To znaczy dla mnie bardzo wiele, że tu jesteś, że mogłam cię poznać - odzyskuje wreszcie mowę i zaciąga się głęboko papierosem, by pokryć zażenowanie.

- Jak ty tam wytrzymałaś? W tych obozach?

- Nieszczególnie dobrze.

Może nie powinnam pytać. Chyba bym jednak nie mogła tego słuchać. Może uchylanie bramy łagru jest równie niebezpieczne, co oglądanie ukradkiem w dzieciństwie rodzinnej Biblii z ilustracjami Dorego. Czytałam statystyki i wiem, ile milionów ludzi więziono w Gułagu. Ale cyfry nie płaczą. Opowieści tak, wiadomości nie. W głębi duszy nawet nie wierzę w te wszystkie informacje z ostatniej chwili, jak na przykład w to, że ktoś zgwałcił kobiety i urządził sobie krwawe gody na tym samym rynku, na którym machając sandałami i mnąc żółtą miniówkę, popijałam ze swoim przyszłym mężem zimne czeskie piwo. Przecież w Jugosławii wszyscy żyli ze sobą

tak zgodnie. Piękna muzyka. Przyjaźni ludzie: gdy zostawiłam torebkę na oparciu krzesła, kelner biegł za mną po ulicy, żeby mi ją oddać.

- Opowiedz mi coś - proszę go. - Jakiś szczegół. Inaczej nigdy nie uwierzę, że tam byłeś.

- To było już tak dawno temu. W tym wieku człowiek zaczyna już zapominać...

Akurat. Od Vidy wiem, że im człowiek starszy, tym lepiej pamięta dawne czasy.

- Ale to jednak jedenaście lat. W końcu coś musiało ci zostać w pamięci.

W moim głosie pobrzmiwa już błagalna nutka, balansuję już na granicy śmieszności.

Spogląda na mnie badawczo, chce pewnie ocenić, jak nagła jest ta moja dziwna potrzeba.

- Ach, przypomniał mi się jeden mak - odzywa się nagle, wyraźnie rozradowany.

Mak? Botanika mnie nie interesuje. Mnie jest potrzebny dreszcz emocji.

- Zapowiada się interesująco.

- Na Solówkach, najstarszym sowieckim łagrze, mieścił się kiedyś klasztor. Na wewnętrznym dziedzińcu co rano był apel z wyczytywaniem nazwisk. Czasem zastawaliśmy tam rano ciała tych, którzy próbowali uciec. Zazwyczaj były już mocno poszarpane przez psy, tak że nie mogliśmy ich nawet rozpoznać. Niektórym zakładano na głowę kaptur i strącano z wysokich schodów. Zazwyczaj delikwent skręcał sobie kark... a jeśli nie, to go dobijano z pistoletu. I jednego lata na tym właśnie dziedzińcu wykielkował pęd. Brudny, suchy dziedziniec, udeptany na kamień, lecz kwiatek jakimś cudem rósł. Nikt na niego nie nastąpił. Moim zdaniem to rzecz godna uwagi. Były tam tysiące ludzi i ogólna umowa była wykluczona, a jednak nikt kwiatka nie zdeptał. Ktoś na pewno nosił mu wody, inaczej na pewno by nie wyrósł. Może któryś z wartowników, kto to może wiedzieć...

- I wypuścił kwiat?

- Jak czerwona primadonna w szarym tłumie.

Tak. Mały, śliczny kwiatek. Śliczny i żywy. Ale w czym on im pomógł, tym, którzy zmarli tam z głodu, którzy nigdy nie wrócili?

- Człowiek więcej może znieść, gdy ma przy sobie coś pięknego, co może chronić - mówi.

- To cię utrzymało przy życiu przez jedenaście lat?

- Miałem wiele rzeczy, które mogłem chronić - odpowiada.

I po chwili wahania dodaje - Wiele wspomnień. Dużo radości.

Niskie gałęzie drzew strąciły mu kapelusz z głowy, który obraca teraz w dłoniach.

- To nie byłeś rozgoryczony? Nie żywiłeś urazy do Vidy ani do nikogo?

- Na pewno nie do Davidy. Do diabła, przecież to ona mnie uratowała.

Z drogi dobiega odgłos zbliżającego się autobusu i odwracamy się jednocześnie.

- Nareszcie. Przemarzałam już na kość.

Po drodze do Dublina i wygodnego, ciepłego pokoju hotelowego coś się we mnie otwiera. Zaczynam ryczeć na głos, jak dziecko. Staruszek otacza mnie ramieniem, pozwala mi w spokoju się wyplakać.

Wstyd mi, ale nie potrafię zatrzymać łez.

Mam wrażenie, że jeszcze ćwierć wieku temu ludziom można było zrobić niemal cokolwiek, a oni potrafili się zawsze podnieść. Raz za razem. Nie tracąc hartu ducha, nie tracąc ochoty do życia. Siedzący obok mnie mężczyzna doświadczył okropności łagrów, a mimo wszystko potrafi się jeszcze śmiać. VIDA Harjula też nie pograżyła się w wiecznym smutku, choć straciła za jednym zamachem dziecko i ukochanego.

My jesteśmy inni. To pokolenie. A przynajmniej ja jestem. Słaba. Słaba i żałosna. Powalają mnie najdrobniejsze przeciwności losu. I tak trudno mi się potem pozbierać.

To samo twierdzi mój mąż. Powiedział mi, że zdradziłam go dużo wcześniej, niż on mnie. Ze swoim smutkiem. I poczuciem

winy. Zdradzałam go przez kilka lat z nieżyjącym niemowlęciem: *Do jasnej cholery, kto ci dał wyłączne prawo bezustannego obwiniania siebie i odcinania się od całego świata?'. To przecież ja byłem wtedy z tym dzieckiem, do diabła! To ja powinienem był zauważyć, że coś jest nie w porządku. Ja, ja, ja, słyszysz?! Ja!*

*I mnie kiedyś cholernie korciło, żeby dać sobie spokój, ale tak się dziwnie składa, że wierzę w życie. I w to, co mamy. W dzieci. W ciebie. I z tego wszystkiego ty jesteś dla mnie najważniejsza. Właśnie ty. Jesteś i zawsze byłaś. Ale ja przy tym zmarłym bachorze jestem dla ciebie gównem warty!*

„Gównem warty”, tak powiedział, nim uniosłam rękę i uderzyłam go z całej siły. Poczulałam zew gwałtownej natury Harjulów, zdarłam z niego koszulę i uderzyłam, a potem biłam go jeszcze i jeszcze.

- Jesteś całkiem pewien, że na tej płycie w środku nie było dziecka? - pytam szeptem staruszka, gdy wreszcie uspokajam się na tyle, by można zrozumieć, co mówię.

- Kiedyś mogło być - odpowiada. - Ale już nie ma. Archeolodzy mówią, że to miejsce ma atmosferę rytualnej śmierci. W miejscowym folklorze są opowieści o dzieciach palonych wewnątrz tego kamiennego kręgu.

- Dlaczego nie zbrodniarze? Albo niewolnicy? Dlaczego właśnie dzieci?

- Nic innego nie mogłoby zapewnić dobrobytu społeczności. Dobrych zbiorów, pomyślnego handlu, szczęścia na wojnie. Bogowie żądali tego, z czego ludziom było najtrudniej zrezygnować. Inaczej nie byłaby to żadna ofiara. Często władcy poświęcali własne dzieci. Najpiękniejsze. Najdroższe. Najmądrzejsze.

- To prawda - mówię. - Właśnie to tam widziałam. Najdroższe ze wszystkich.

*Stara, prosta ścieżka.*

Tak ludzie twierdzą. Że istnieją miejsca, w których zbierają się niewidzialne siły. Pagórki, głazy, kurhany. Korzenie drzewa

dobrego i złego.

Autobus wspina się wąską drogą pod górę i jedzie między dwoma rzędami białych, kamiennych domów. Spokojne, sielskie życie przedmieścia. Sensowne, codzienne zajęcia, które mówią o gorących sercach, gasnących duszach, akty bohaterskiego poświęcenia.

- Skąd wiedziałeś? - pytam. - O mojej córeczce?

Jasnowidz. To oczywiste, przyciągam ich do siebie jak magnes.

Niektórzy ludzie wiedzą o rzeczach, o których nie powinni wiedzieć. Widzą różności. Jak ja. Widziałam od dziecka. Albo słyszałam. Kiedy byłam mała, słyszałam, jak mówią groby. Ale ludzie twierdzili, że to rojenia wyobraźni. Byłam podobno tak śmiertelnie wszystkim znudzona, że wymyślałam niestworzone historie, aby się czymś rozerwać. Lecz ten człowiek *wie*, że straciłam dziecko. *Wie*. Nie zgaduje, nie zakłada. Prawdopodobieństwo jest po-mijalnie małe; przybyłam z kraju o najmniejszej na świecie umieralności dzieci. Jeśli zatem fińska turystka ni stąd, ni zowąd zaczyna się mazać na Grafton Street, postronnemu obserwatorowi raczej nie powinno od razu przyjść do głowy, że kobiecie zmarło dziecko. Więc kto tu z nas jest medium?

- Davida mi opowiadała. Bardzo się o ciebie martwiła. Twój ojciec również.

Wilgotny płaszcz przykleił mi się do nóg, najpierw zaczynają mi drżeć nogi, potem plecy.

- Moja babka już nie żyje - odpowiadam z największą cierpliwością i uprzejmością, na jaką mnie stać. - A mojego ojca nic nie obchodzi mniej niż to, jak ja się czuję. Ale skoro twierdzisz, że to Vida opowiedziała ci o mnie, wierzę ci.

Po zaparowanej szybie spływają małe strumyczki, przecinając kamienne fasady i drzewa, których nagie gałęzie połyskują w szarej mżawce. Moim zdaniem autobus jedzie zbyt szybko; siedząc na pięttrze człowiek ma czasem wrażenie, że na następnym zakręcie wyląduje na trawniku.

- Pisała mi o tym - odzywa się Sean O'Brien, prostując się na siedzeniu. - Trzy lata temu. A raczej ktoś z jej opiekunów

napisał pod jej dyktando. Charakter pisma nie był już jej. To był chyba jej ostatni list.

Korespondował z Vidą aż do jej śmierci? Nie byłoby od rzeczy dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Skoro już przypadkiem o tym wspomniał.

- Nie wiedziałem, czy mogę ci o tym mówić - odzywa się starsuszek, jakby czytał w moich myślach. - Jeżeli sama wam o tym nie powiedziała, to może i ja nie powinienem.

- Pisała ci o nas?

- Tak. Kiedy się rodziłyście. Szłyście do szkoły. Gdy umarła twoja matka. I o tej drugiej wielkiej tragedii, która cię spotkała.

- Ale to akurat gówna prawda, że ojciec martwił się o mnie, czy o kogokolwiek. Skąd niby Vida mogłaby to wiedzieć? Nie chodził do niej. Nie znosił tego zapachu. Nie chodził nawet do szpitala odwiedzać własną żonę.

- W końcu istnieją też telefony.

- Istnieją, to prawda.

A więc takie to uczucie. Gdy nagle wałą ci się na głowę pokolenia, które próbowałaś ocalić od zapomnienia. Znow zrobiłam z siebie pośmiewisko: oni wiedzieli o wszystkim! A w każdym razie więcej niż ja. Vida, która nam pokazała piękno kamieni. Ciocia Natalia, która mi dała listy i pokazała fotografie. Sean O'Brien, który odkrył przed światem mikroskopijne pęknięcia tarczy bałtyckiej. To jest zмова, nazywajmy rzeczy po imieniu! Szatańska, perfidna zмова przeszłych pokoleń, przysiężenie starców chcących uratować nienarodzonego członka klanu. I wyrwać Kris ze szponów otepienia i smutku. Wiedząc o mojej słabości do okrutnych i mrocznych opowieści, nęcili mnie grozą, podsuwali pod nos fałszywe i prawdziwe wątki, stawiali na drodze czarne auta z czarnymi mężczyznami i czarnymi pudełkami wewnątrz czarnych pudełek...

- A gdy wasz ojciec pochował twoją matkę...

- Co miał zrobić, skoro umarła. Ale nagrobek wybrał najmniejszy z możliwych...

- ... nie zadowolił się chodzeniem na cmentarz, jak inni. Przeniósł tam swój dom i pracę - kończy myśl starsuszek. - Bardzo



mnie to wzruszyło, gdy to czytałem.

Wzruszyło?

Pewnie, czemu nie, w tej nowej przeszłości, którą dla mnie napisali, wszystko jest możliwe. To prawda, ojciec rzeczywiście spędzał wiele czasu na pagórkowatym trawniku za kapliczką. Do tego stopnia, że zaniebyszał swoje obowiązki w innych rewirach, lecz nigdy nie skojarzyłam tego z grobem matki. Myślałam po prostu, że bardzo lubi ów spokojny kątek za kaplicą w cieniu czerwonych klonów, bo nikt mu tam nie przeszkadza czytać i pisać.

- A więc to było zaplanowane?

- Co? - zapytał niewinnie.

- Wszystkie. Tajemnica Aino Heleny Harjuli i to, że ja jestem teraz tutaj.

Staruszek marszczy brwi.

- Nie, nie. O dziecku nic nie wiedziałem. Davida dała mi do zrozumienia, że wszystko u niej jest w jak najlepszym porządku. Że wspaniale się jej układa: wyprowadziła się z domu, gdy ja już byłam na wolności, nie pamiętam już teraz dokąd. Jest ciągle niesforna, jak wtedy, gdy była dzieckiem, ale ma dobre serce. Ma przyjaciół. I oczywiście psa. Interesuje się teatrem. I w ogóle... Idenia! Otóż to, tak to się nazywało. Idenia. Tam się wyniosła. Ładna nazwa, to musiało być dobre miejsce.

- Takie miejsce nie istnieje. W każdym razie nie w Finlandii - mówię bezlitośnie.

- Opisywała wszystko tak dobrze i dokładnie - broni się staruszek. - Nie przyszło mi nawet do głowy, że to mogło być zmyślenie.

Nie wszystko, co mija się z prawdą, jest kłamstwem. Czasem człowiek potrzebuje maski, żeby mógł wytrwać między ludźmi.

- Dobrze, że mi o niej powiedziałaś - mówi. - Teraz łatwiej mi zrozumieć jej decyzję. Przegrana ze zmarłym nie jest tak upokarzająca, jak z żywym człowiekiem.

Prawda. Zmarli są *mocni*. O wiele mocniejsi niż za życia.

Siedzimy długo w kompletnej ciszy, nie odzywamy się do siebie ani słowem. Jak gdybyśmy, wspominając naszych

zmarłych, nałożyli na siebie obowiązek milczenia, łącząc się zarazem w niemym zrozumieniu, że najgorsze zostało już powiedziane, a najpotworniejsza ewentualność wykluczona, i już nic nie mąci wzajemnego zaufania.

- I ty też pisałeś? Odpowiadałeś na jej listy?

- Oczywiście.

Stary człowiek. Stary, dumny kochanek. *Do samego dna.*

Ale tych listów nigdy nie zobaczę. Nie są przeznaczone dla naszych oczu. Vida zabrała je ze sobą do grobu. Może pozostałe również by zniszczyła, gdyby wiedziała, że się zachowały.

- Ta kobieta to dopiero umiała pisać - wzdycha.

Też tak słyszałam: śmieszne kartki z życzeniami i entuzjastyczne artykuły do „Towarzyszki” i pisma na zebrania rekrutacyjne Komunistycznego Związku Robotnic w Kanadzie. Lecz dopiero wtedy, wracając autobusem do Dublina, zaczęłam pojmować prawdziwą głębię i zakres epistolograficznej pasji Vidy Harjuli.

Że od roku 1938 bezustannie bombardowała pismami wszystkie możliwe urzędy i instytucje, próbując ustalić miejsce pobytu Seana O'Briena w Związku Sowieckim i prosząc o jego uwolnienie. Fińska policja państwowa poinformowała ją, że po przekroczeniu granicy rosyjskiej Irlandczyk stawał się bezpieczeństwa i Rosjanie mogli z nim zrobić, co chcieli. Kobiecie to nie wystarczyło. Skontaktowała się ze wszystkimi możliwymi ambasadami i konsulatami, napisała do głównej siedziby spółki w Londynie, do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR, w końcu do samego Stalina, a po wojnie również do różnych więzień, których nazwy i adresy wyciągała od powracających z niewoli fińskich jeńców wojennych.

Oczywiście tej listownej działalności kontrrewolucyjnej nie dało się zachować w tajemnicy i Vida Harjula dostała się na języki. Ta wariacka pisanina tylko potwierdzała plotki o niej i o irlandzkim geologu, które przed wojną krążyły w Olkikumpu. Ludziom nie mieściło się w głowie, że zamiast trzymać język za zębami, kobieta jeszcze się obnosi ze swoją hańbą. Vida Harjula rozumiała znaczące pochrząkiwania, lecz niewiele sobie z nich robiła.

Żałoba to nie *Adagio* Albiniego. Wiem, co mówię: żałoba to pustka, którą trzeba wypełnić, by móc dalej żyć. Wypełnić czymkolwiek. Pracą, wódką, podróżami, opowieściami, karmnikami, kamieniami.

Albo tak jak ona: listami.

## **Olkikumpu, listopad 1943**

To, że kraj prowadzi wojnę, nie oznacza wcale, że nie będzie wiosny, że chłopcy nie zaczną kompletować wędek i chodzić nad strumień łapać ryby, że kobiety nie zaczną wieszać na dworze bielizny i uśmiechać się do zdążających do pracy mężczyzn.

Przychodzi wiosna i przychodzi jesień, życie nic sobie z wojny nie robi, nawet kopalnia nie staje, mimo że wielu górników wyślano na front. Ich miejsce zajęli rosyjscy jeńcy, którzy są w tak kiepskim stanie, że ledwie trzymają się na nogach. Odkąd kopalnia jest w rękach Niemców, ludzie coraz bardziej przypominają duchy niż górników. Śmierć stała się ich chlebem powszednim.

I im dłużej wojna się przeciąga, tym bardziej Niemcy się de nerwują. Nie oszczędzają nawet swoich, rozstrzelują ich za najpospolitsze przestępstwa: za handel papierosami, spóźnienia, popijanie metanolu w prochowni. Prowadzą ich do wykopu za wzgórzem i tam z nimi kończą.

Raz mały Ołavi Harjula z kolegami idą na ryby skrótem przez łąkę i widzą kłęczącego w dole niemieckiego żołnierza. Niemiec płacze i kogoś woła, jakąś Marię. Chłopcy zrywają się do ucieczki, po chwili słyszą serię wystrzałów i wiedzą już, co się stało. Gdy dowiaduje się o tym Eero Harjula, wpada w szal. Nie z powodu egzekucji, ale dlatego, że pięcioletek był świadkiem tak odrażającej sceny.

Lecz do wszystkiego można się przyzwyczaić. Do wszechobecnej śmierci i do egzekucji. Do odległej kanonady dział. I do tego, że wiele rzeczy nie wygląda ani nie smakuje już tak, jak kiedyś. Teraz nawet kobiety pracują w kopalni - co prawda nie na dole, tylko w warsztatach, gdzie na pilach elektrycznych tną drewno do zabudowy wyrobisk. Takie czasy, że jeńcy i kobiety zastępują górników, a w domu starsze dzieci zastępują brakujące matki. Tak jest teraz ten świat urządzony.

Wszystkiego brak, więc dokoła same erzace. Nie tylko papierosów, kawy czy cukru, ale nawet lontów. Teraz miedziany drut okręca się rayonem i zalewa laką. Potem człowiekowi pozostaje się już tylko pomodlić: jeden Pan Bóg wie, jak długo się to będzie palić. Taki lont może się nie zapalić w ogóle, może też w kilka sekund pójść z sykiem cały metr. Otwory strzelają przed czasem i giną ludzie. Tak to jest, jak robotę muszą robić nowicjusze, bo doświadczeni strzałowi na froncie.

Ale można się przyzwyczać. Do wiecznego strachu i niepewności. Dopóki kopalnia jako tako działa, dopóki chłopcy dostają codziennie tytoń - nieważne, że muszą go teraz owijać w suszone na piecu liście mlecza - a kobiety mają co wrzucić do garnka, dopóty ludziom chce się jeszcze wstawać rano i z kartkami na chleb w rękę wychodzić z domu. Ulice niby te same, ale nazwy inne. Kramarska nazywa się teraz Pionier Strasse, a prowadząca do kopalni Ogrodowa to Prenzlauer Strasse, na cześć ulicy w Berlinie, przy której urodził się jej obecny dyrektor.

Niedługo pewnie niemieckie nazwy znikną, bo Hitler, który ma dość zmartwień z Petsamo, wyraził otwarcie swoje niezadowolone ze stanu Olkikumpu. Prace wydobywcze posuwają się zbyt wolno i jest za mało niklu, choć z Zagłębia Ruhry przysłano doświadczonych specjalistów z branży, żeby zwiększyć produkcję. Ale przywykli do miękkiego węgla kamiennego Niemcy są bezradni wobec twardej, fińskiej skały; ich stuletnie doświadczenie na nic się zdaje w tutejszych kopalniach. Fiński nadzór obiecuje znaczący wzrost tempa pracy i wydajności, jeśli uda się ściągnąć z frontu doświadczonych rębaczy i strzałowych. Więc dyrekcja śle podania, do których dowództwo sił zbrojnych ustosunkowuje się zasadniczo ze zrozumieniem, lecz z drugiej strony, w obliczu pogarszającej się wciąż sytuacji na froncie, ile może ważyć jakaś niewydolna kopalnia, jeśli po wojnie przy Finlandii może zostać tylko Turku i Pori...?

Eero Harjula posepnieje, gdy czyta wiadomości z frontu wschodniego. Wojna to nie tylko bezpowrotna strata dobrych

górników, lecz również przerwanie operacji Król Pik. Na stoku Olkikumpu ciągle brakuje pomnika Emmanuela Aarnio. Nie zostało już wiele: wręcz przeciwnie, głąz jest już tak blisko miejsca przeznaczenia, że Eero Harjula bardzo dotkliwie odczuwa własną niemoc. Dwieście metrów, nawet nie.

Mężczyzna prosi czasem, by żona zawiozła go do niego. Chce go zobaczyć. Ponieważ nie zjedzie już więcej na dół, musi przyłożyć ucho do wielkiego, kamiennego boku, aby posłuchać, co się wydarzyło głęboko pod ziemią ponad miliard lat temu. Musi poczuć głuche echo wstrząsów ziemi, ryczenia wulkanów, skrzypienia gnących się płyt. Usłyszeć szum płynącej magmy.

I jeszcze solenniejsz niż ostatnio przysiąc, że podjęty trud dokończy.

Nie wolno się poddawać. Nie wolno tak blisko.

Tak diabelnie blisko ostatecznego zwycięstwa nad mocarną skałą.

Poklepuje głąz, strzepuje dłonią brud i nasiona chwastów, które wciskają się w jego szczeliny: Nie próbujcie zapuszczać tu korzeni, nie jesteśmy jeszcze na miejscu!

Ale sprawy nie wyglądają dobrze. Chyba że wojna szybko się skończy.

Paru górników wróciło, ale w trumnach. Janne Natalii poległ na Przesmyku Karelskim. Także zawołany partyzant Olkikumpu, Tępe Tirkkonen, zniknął gdzieś za linią frontu pod Yla-Somme i wszelki słuch po nim zaginął.

Eero Harjula, któremu się zdawało, że wie wszystko o niespokojnych duszach i autach widmach, jest zaskoczony, ile upiórów potrafi się zmieścić pod jednym dachem. Mężczyzn potrafi znieść, z nimi zawsze człowiek znajdzie wspólny język, nawet z umarłymi, bo wiadomo, czego mogą chcieć. Ale co robić, gdy pośród tych ogorzałych twarzy pojawiło się teraz zupełnie nowe oblicze: okrągłe oczy dziecka, przezroczyście jak kalcyt? Nie były takie za życia Kruszyнки, lecz w jego snach na jawie dziewczynka traci swą cielesność: jest już tylko metalicznym połyskiem, bezruchem.

Czego ty ode mnie chcesz?

Mężczyzna siedzi przykuty do wózka. Mija lato, przychodzi

jesień. Księżyc łączy się z nocą, nabrzmiewa, tężeje. Jakoś udaje mu się przyrządzić sobie i chłopcu coś do jedzenia, gdy żona jest na kopalni, lecz cały czas faluje mu przed oczami zmora dziecka o twarzy jak lustro, w którym Eero Harjula widzi siebie i wszystkie swoje czyny.

I dziecko mówi. Ale cicho. *Tato, mogę przyjść do ciebie, mogę...?*

Nieśmiały, proszący głos.

Nie taki, jak u chłopca, głos gospodarza, pana i władcy. Mały przerywa ojcu, kiedy chce, choćby ten był w trakcie jakiejś pracy. Stuka młotkiem w klocki i klnie jak szewc, śpiewa na podwórku, aż skały jęczą, komenderuje z manierą sierżanta ciotką Natalią, dla której nic nie jest ważniejsze od spełnienia jego najmniejszej zachcianki.

Nie, to głos zjawy. Piękny, cichy dzwoneczek. I to kamienne spojrzenie. Twarz, w której nie ma lęku, cierpienia ani nawet przygany. Dlaczego więc nie chce zniknąć?

- Pamiętasz, jak Aino zawsze się paliła, żeby zobaczyć głaz, wielki kamień, jak mówiła? - mężczyzna zagaduje pewnego razu żonę.

Trzeba to powiedzieć, trzeba wyrazić w zdaniu tę myśl, od której głowa mu pęka, choć jest przekonany, że Vida się rozplacze i wybiegnie z pokoju.

Ale nie, kobieta kiwa głową, zwracając twarz w stronę przygaszonej tarczy jesiennego słońca. Nie bez trudu przypomina sobie, że rzeczywiście, bardzo ją tam ciągnęło. A po chwili powtarza słowo w słowo jakąś dojrzałą jak na wiek córki uwagę. Uśmiecha się nawet smutno.

I tak zaczęli z czasem o niej rozmawiać, porównywać charaktery i zachowania chłopca i jego starszej siostry, spierając się nawet niekiedy o drobne szczegóły. W najważniejszych kwestiach są całkowicie zgodni: Aino była nadzwyczaj rozwiniętą jak na swój wiek, wyjątkowo piękną i łagodną dziewczynką. Może nawet zbyt wrażliwą i dobrą w tak twardym świecie, w którym nie liczy się serce, lecz twarde pazury.

Tak. Kto wie, może i dobrze się stało...

Oszczędzona jej była wojna, naszej delikatnej Kruszyńce, i

kto wie, jakie jeszcze okropności.

I im częściej snują o niej opowieści, tym rzadziej ona chodzi na cmentarz, a on się budzi od szklanego spojrzenia zjawy. Wspomnienia przynoszą zapomnienie. Przeszłość powstaje na nowo, nabiera nowych cech. Staje się dobra i słuszna. To nie kuglarska sztuczka, lecz kontemplacyjna sztuka ozdobnej kompozycji.

Zdarzyło się to, co miało się stać. Nie mogło być inaczej.

A wieczorem, gdy mężczyzna pomaga żonie rozpiąć bluzkę na plecach, jednym głosem biadają nad gniewną przekorą syna. W skrytości serca jednak oboje się cieszą, że chłopiec ma taki charakter. Narwaniec, ale nie da sobie w kaszę dmuchać. Da sobie w życiu radę. Tym razem nie muszą się martwić; tego dziecka im los nie odbierze.

Lecz Eero Harjula nie zapomina o głazie. Gdy pewnego ranka się goli, przez głowę przebiega mu myśl: jeśli zdążę zebrać całą pianę, nim ulicą przejedzie auto, to wkrótce w sprawie głazu nastąpi przełom.

Zdąża.

Dobra wróżka wcieliła się w postać niemieckiego oficera. Podczas jednej z zimowych przechadzek uwagę nowego dyrektora kopalni przykuwa leżący na stoku wzgórza monolit.

Wygląda jak gigantyczny ślimak, który pozostawił po sobie na ziemi zamrożony, śluzowaty ślad. Koleina wypełniła się stopniowo wodą, która teraz w zimowym słońcu lśni jak złoty pas lodu. Tłumacz powtarza lukrowaną wersję zasłyszanej historii. W jego wydaniu jest to prosta pieśń o bohaterskim fińskim oficerze sławnych oddziałów samoobrony, który mimo utraty władzy w nogach na skutek nieszczęśliwego wypadku kierował transportem monolitu z samego brzegu strumienia Kaarmekoski i ciągle marzy, że któregoś dnia postawi go na grzbiecie wzgórza, by wieścił chwałę niezłomnego żołnierza.

Dyrektor jest wzruszony.

Marzenie tego Fina może stanowić piękny wzór do naśladowania. Kiedy, jeśli nie teraz, po rozgromieniu niemieckiej armii pod Stalingradem, gdy tutejsze gazety z bezczelną otwartością piszą o konieczności zawarcia



separatystycznego pokoju z Sowietami, wiarę sprzymierzeńców w fińsko-niemiecką współpracę należy podtrzymywać wszelkimi dostępnymi środkami? Dyrektor każe sprowadzić do siebie Eero Harjulę i obiecuje dać mu do dyspozycji dziesięciu rosyjskich jeńców, by doprowadził do końca swoje wspaniałe przedsięwzięcie.

Fin jest bezgranicznie zdumiony. Nie wie, co odpowiedzieć, widząc, że dyrektor uważa swoją propozycję za nadzwyczaj hojną. Ogarniają go jeszcze większe wątpliwości, gdy patrzy na tych biedaków, spuchniętych od głodu i choroby, którzy ledwo trzymają się na nogach. Od razu widać, że Niemiec nie ma pojęcia o potędze skały. Tu są potrzebne ciężarówki, dużo ciężarówek i na dokładkę dwa razy tyle ludzi, zdrowych ludzi! Lecz nowy dyrektor kopalni ma opinię człowieka nerwowego, a Eero Harjula nie chce go urazić.

I tak każdego ranka dwóch niemieckich strażników pędzi chwiejącą się na nogach, kaszlącą kompanię łachmaniarzy na stok Olkikumpu, lecz skala nawet nie drgnie, choć wszyscy robią, co mogą. Z braku wspólnego języka Eero Harjula rysuje, jak zaczepiać liny, jak ustawiać wciągi i podkładać belki. Lecz wszystko na próżno, ich siły są po prostu zbyt szczupłe.

Jest piętnaście stopni mrozu, a Rosjanie mają na sobie tylko cienkie płaszcze, pracują bez rękawic, z gołymi głowami. Wyglądają na śmiertelnie chorych i mężczyzna zgaduje, że to ci skazani na śmierć, którzy nie nadają się już nawet do pracy w kopalni.

Jakoś się jednak trzymają i dzień po dniu tańczą w brudnym śniegu wokół wielkiego kamienia. Zdani na łaskę coraz mniej litościwego, północnego wiatru. Milczący, z oczami rozpalonymi od zmęczenia i strachu.

Wiatr sypie śniegiem.

Po kilku dobach więźniowie rozumieją, że już nigdy tego głazu nie opuszczą, że pozostaną w jego lodowatych objęciach, póki śmierć ich nie rozdzieli. Zaraz zaczną padać martwi na śnieg, na moich oczach, myśli Eero Harjula.

Zaraz. Zaraz.

Lecz oni ciągle żyją. Mijają dni. Pada deszcz. A potem znowu

śnieg. Kilkudniowa zadymka. Pod koniec tygodnia jeden z Rosjan osuwa się na kolana w śnieg, jakby prosił, by go dobić. Strażnicy, obaj młodzi chłopcy, patrzą zdezorientowani na siebie, każą mu wstać, nieudolnie strojąc swoje kogucie głosy do szorstkiej komendy.

Wszyscy oddychają z ulgą, Rosjanin z wielkim trudem dźwiga się do pionu i znów przyłącza do tańczących widm.

Zimno.

Zimno i wieje, a kamień ani drgnie.

Eero Harjula czuje, że zabrnął w ślepą uliczkę. W nocy sapie w łóżku, śnią mu się koszmary: gigantyczny głaz przygniata mu klatkę piersiową i odbiera oddech.

- Ci ludzie już się do niczego nie nadają - skarży się żonie, zbudzonej jego krzykiem. - Umrą z głodu albo z zimna, nim zdąży my cokolwiek zdziałać. Dzisiaj rano jeden się nie stawił. Pewnie już nie żyje. Zostało mi dziewięciu, a i ci są na wykończeniu.

- Może powinienes dać im trochę chleba, albo co.

Mężczyzna się uśmiecha. Domyślił się, że żona to powie.

- Nie wolno ich karmić. Nie wolno im nic dawać. Wszyscy zginiemy, jak zacniemy łamać niemieckie rozporządzenia.

Eero Harjula leży z rękoma pod głową. Powoli wybudza się z koszmaru, jego oczy przyzwyczajają się do znajomego mroku sypialni. Żona leży obok niego z podwiniętymi nogami, wzdycha, kładzie mu dłoń na piersiach. Nie mówi, by dał sobie wreszcie spokój, nie wymyśla mu od barbarzyńców. Mężczyzna chwytając jej dłoń, unosi do swojego czoła. Czuje na twarzy kojącą miękkość flanelowego rękawa, chłodny dotyk jej palców we włosach.

I wtedy, właśnie wtedy, doznaje olśnienia:

Sanie!

Oto ich wybawienie - ogromne sanie!

Mężczyzna prosi żonę, by zapaliła światło i przyniosła przybory do pisania. Szybko, gorączkowo kreśli szkic. Wczesnym rankiem następnego dnia przesyła go dyrektorowi kopalni z prośbą o zgodę na zabranie jeńców do będącego jego własnością wąskiego pasa lasu, oddalonego od kopalni o

półtorej godziny marszu, ścięcia tam kilku drzew i zbudowania z nich ogromnych, mocnych sań, dzięki którym uda im się wreszcie ruszyć głąz z miejsca.

Deklaruje również, że zapewni jeńcom wyżywienie na własny koszt, do czego zresztą są zobowiązani wszyscy gospodarze zatrudniający ludzi z nakazem pracy. Do zbudowania sań potrzeba kilku pełnych dni roboczych. Reszta to już drobnostka.

Niemiecki dyrektor nie jest zachwycony pomysłem Fina. Nie podoba mu się, że rosyjscy jeńcy będą się włóczyć gdzieś po lasach. Jaką Harjula może dać gwarancję, że żaden z nich nie będzie próbował uciec? Teraz już wiadomo, że uszczuplenie sil wartowniczych kopalni na rzecz tego beznadziejnego przedsięwzięcia było fatalnym błędem, a poza tym dyrektor zaczyna się obawiać, że się wystawi jeszcze przez to wszystko na pośmiewisko.

Eero Harjula daje swoje słowo honoru, jako mężczyzna i jako oficer samoobrony, że głąz ruszy z miejsca, gdy tylko sanie będą gotowe. I obiecuje osobiście zastrzelić każdego, kto będzie próbował uciec.

Skąd mogę wiedzieć, czy ten człowiek nie jest wariatem? Skąd mogę wiedzieć, czy on w ogóle potrafi strzelać? Niemiec irytuje się na tłumacza, który zaczyna się bać, że cała ta sprawa jeszcze gotowa skrupić się na nim. Harjula cieszy się sławą wyborczego strzelca, zapewnia dyrektora kopalni. Przed wypadkiem był wielokrotnym mistrzem okręgu.

Niemiec wzdycha. Zaufanie dobre, lecz kontrola lepsza. Doskonale wie, że Północna Depresja to choroba bardziej niebezpieczna od nerwicy wojennej. Opowiadano mu ku przestrodze historie o tajemniczym Krzyku, który w tych skrajnych warunkach nieprzeniknionej ciemności zimy i nienaturalnej jasności lata wykończył wielu najtwardszych niemieckich żołnierzy.

Najważniejsze to zachować zawsze zdrowe proporcje. Ostatecznie chodzi tylko o kamień. Czy ta skala może jeszcze kogoś zbawić?

- Zobaczmy zatem, co my tu mamy za Wilhelma Telia! - Wy-

krzykuje dyrektor, zacierając pulchne dłonie. Rozkazuje strażnikowi zaprowadzić jednego z więźniów na drugą stronę kamieniska. Tam Rosjanin ściąga z nogi but i stawia go sobie na głowie. Strażnik wręcza Eero Harjuli swój karabin.

- Nie - odpowiada Fin. - Nie będę strzelać.

- Nie będzie strzelać - mówi tłumacz.

- Nie ma odwagi? - pyta dyrektor.

- Nie masz odwagi?

- Nie chcę.

- On nie chce.

- Dlaczego nie chce?

- Dlaczego nie chcesz?

- Po prostu nie chcę.

- Po prostu nie chce.

- Musi być jakiś powód.

- Musi być jakiś powód.

- Nie strzelałem do butów.

- On nie strzela do butów.

- Więc skąd ten geniusz wie, że trafi do biegnącego człowieka?

- Skąd wiesz, że trafisz do biegnącego człowieka?

- Wiem, że trafię.

- Mówi, że wie, że trafi.

Niemiec spogląda na ośnieżony głąz i na siedzącego w wózku inwalidzkim mężczyznę. Smutny kraj. Smutne czasy. Smutni ludzie. Nie może pojąć, dlaczego akurat jego pokarano takim miejscem, jego, który życzył sobie jedynie w spokoju się zestarzeć. Wypić po południu kufel dobrego piwa i mieć radio z krótkimi falami, żeby słuchać relacji z meczów futbolowych. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu widział w tej skale jakąś wielką metaforę. Zwycięstwo ducha nad materią! Wybucho cierpkim śmiechem i odwraca się na pięcie. Kręcąc głową, rusza oblodzoną, krętą ścieżką w dół: smutny kraj, smutni ludzie...

- Nie chciałem strzelać - Eero Harjula mówi wieczorem żonie i synowi. Zagląda w głąb siebie, tam mrok i chłód budzą w nim

jeszcze większy lęk i gorycz niż rozczarowanie. - Nie chciałem przestrzelić temu biedakowi jego ostatniego buta. Jak by potem pracował, gdyby sobie odmroził nogę?

- Dobrze zrobiłeś - odzywa się żona.

- Tata dobrze zrobił - śmieje się chłopiec z aprobatą.

- Pewnie, że tak. Dobrze zrobił - mówi jego matka.

Mężczyzna sądzi, że to już koniec. Zastanawia się nad tym przez całą noc, myśli o swoim życiu i o spadających z nieba kometach, które mogłyby zgasić niebo i rozerwać skałę, wbić całą ludzkość głęboko w ziemię. Myśli o pokrytym lodem gładzie. O więźniach, o jękach konania. Jest przekonany, że Rosjan prosto ze wzgórza zabrano do wykopu i rozstrzelano.

Nie śpi. Jego myśli zatruwa nienawiść; świat popadł w jakiś przerażający obłęd, wojna i zło posunęły się za daleko, poza granice przebaczenia.

Chciałby pobiec. Nieważne dokąd, byle tylko pobiec. Boso przez zasy, by poczuć w piętach palący chłód zmarzniętej ziemi. Uderza pięściami w nogi, które nie chcą go słuchać. Wali w nie raz za razem, ale nie czuje nic, zupełnie nic.

Leży ciężko jak kłoda, z rękoma na twarzy, słucha skrzypienia gwiazd i stukotu kopyt wracającego z wojny konia, który czuje, że dom jest już blisko, i przyspiesza biegu. I widzi swojego ojca, wielkiego, białego wyzwoliciela, jak ześlizguje się z siodła, siada na cembrowinie studni i nabiera w dłoń wodę, która przecieka mu między palcami na ziemię. Jak siedzi tam godzinami i polewa sobie wodą kolana i buty, nie odpowiadając na jego pytania, własnego syna, który bez słowa skargi znosił nienawiść macochy, żeby być taki, jak jego nieustraszony, bohaterski ojciec. Jak siedział przy studni niczym bezradne dziecko, zagubione na własnym podwórku, jak wyciągnął do swojego syna naczynie z wodą: *Wuj też chcą trochę ptaków...?*

Kiedy po kraju przetacza się wielka fala, nikt nie będzie suchy. Nikt.

Eero Harjula leży w łóżku pogodzony z klęską, leży ciężko niczym wyrzucona na brzeg ranna foka, która czeka już tylko na powolną, bolesną, upokarzającą śmierć.

Nie ma na świecie honoru, żadnych świętości. Jest tylko

koniec. To, że człowiek ma odwagę powiedzieć sobie otwarcie: wszystko przepadło. Ostatecznie mnie pobili. Jestem żaloszny, a moje marzenie o monumencie to lipa. Oszukiwanie samego siebie. Ludzie śmieją się ze mnie, tak jak śmieli się i drwili z ojca, i przeze mnie mój syn cierpi i się wstydzi, tak jak ja cierpiałem i wstydzilem się z powodu ojca.

Tym razem nie budzi żony. Głaz sprawił, że odnalazł w sobie godność, męstwo i siłę, a teraz stanie się narzędziem kary.

Kaleka, strzęp ludzki, który stracił wszelkie poczucie rzeczywistości.

Oblewa się zimnym potem, lecz oto beznadzieja przemienia się w postanowienie, pojawia się nagle, w pełni uformowane: Muszę się zabić. To jedyne honorowe wyjście. Zapłaci zmorom najwyższą cenę, tak jak tego żądają. Emmanuelowi Aarnio i Kruszyńce. Oni nie chcą żadnego pomnika, oni chcą mojego życia.

A zatem postanowione: umrę.

Mam jeszcze w sobie tyle z mężczyzny, myśli i odczuwa coś w rodzaju dumy. Po raz pierwszy, odkąd zaczął żyć we wstydzie. W upadku i rozpacz. Śmierć znów uczyni mnie całym i zdrowym, myśli Eero Harjula i słyszy, jak jego serce pędzi szybciej od galopującego do domu konia, czuje, jak w ciemności toczą się gwiazdy, jak wirują bezgłośnie w szaleńczym tempie.

*Umrę. Zastrzelę się.*

*Za wszystko trzeba zapłacić. Rachunek jest już wystawiony.*

I gdy w mroku nocy zbiera się przed nim rząd duchów, nie próbuje już oddalić przerażającego widoku, lecz patrzy prosto przed siebie. Zupełnie jakby chciał zakarbować sobie w pamięci ich rysy, by później, gdy przyjdzie chwila spotkania, niechybnie ich rozpoznać.

Ale nie, czas Eero Harjuli jeszcze się nie wypełnił. Bynajmniej. Stało się bowiem inaczej, niż się spodziewał: następnego ranka Rosjanie pojawiają się w bramie kopalni. A

strażnicy wręczają mu podpisaną przez dyrektora kopalni zgodę na wykorzystanie więźniów pod strażą dwóch niemieckich żołnierzy do prac przy wyrębie drzew potrzebnych do budowy sań specjalnego przeznaczenia.

Mężczyzna siedzi bez ruchu w swoim wózku. Ranek jest skąpany w świetle.

A przynajmniej tak mu się zdaje. Po raz pierwszy uśmiecha się do tych zarośniętych twarzy i zagląda w ich zamglone oczy: to mi się trafiła brygada, pożałuj Boże! Ale co za różnica, jak wyglądają, skoro to oni właśnie przynieśli mu szczęście. I im się poszczęściło, tym diabłom! Jeszcze o tym nie wiedzą, ale tak właśnie jest.

A więc są. Żywi i głodni. Gotowi do wielkiego, wiekopomnego czynu.

- Moja żona robi doskonale żarcie - odzywa się do nich, kiwając głową w stronę domu. - Mogę się założyć, że nie będziecie specjalnie rozczarowani.

Więźniowie go nie rozumieją, ale zobojętniali na wszystko kiwają potakująco głowami, cokolwiek im powiedziec.

- Jak znam życie, nie będziecie rozczarowani ani trochę.

Między narodzinami a śmiercią jest widać czasem miejsce na coś jeszcze poza pasmami błędów i górami niepokonanych trudności, myśli mężczyzna. Zdarzają się również cuda. Przygody, w których nikt nic nie traci. Przeciwnie: człowiekowi udaje się coś uratować.

Spoglądając na te żalosalne postacie, które mu powierzono, poddano jego woli, odczuwa silną więź solidarności z nimi. Cierpienie scala ludzi mocniej niż nie wiadomo jakie szczęście albo miłość.

Dokonali rytualnego poświęcenia swojego niemożliwego na pozór przymierza u stóp wielkiego głazu i przychylni bogowie przyjęli ofiarę. Skala nie może już pomóc szalonemu Królowi Pik ani nieostrożnej dziewczynce, ale ciągle może uratować tych dziewczęciu.

Choćby kilku. Nawet jeden zawrócony spod bramy śmierci będzie zwycięstwem.

Rozradowany Eero Harjula uśmiecha się i nuci pod nosem,

jest niemal upojony tą nową możliwością zadośćuczynienia: A więc po to wyśpiewałem ten kamień. Coś mi mówiło, coś czułem, że ten dzień nadejdzie.

Tak, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że się uda. Cóż za dzień dla nich wszystkich! Lecz nade wszystko dla niego. Dla człowieka, który powiedział: Nie, nie będę strzelać.



Natalia pokazuje mi fotografie z uroczystości odsłonięcia pomnika. Zorganizowano ją w dniu ósmych urodzin ojca, w maju 1944 roku. Nie ma wątpliwości, że Eero Harjula wybrał ten dzień nieprzypadkowo. Data nie miała nic wspólnego z życiem i śmiercią Emmanuela Aarnio. To był dzień, w którym zginęła córka byłego sztygara, jego pierwsze dziecko. Wtedy też urodził się jego syn. I zniknął kochanek żony.

Sporo problemów było z wydzwignięciem monumentu do pionu: pod ciężarem dziesiątek ton nawet najsolidniejsze dźwignie pękały jak zapalki, lecz w końcu, dzięki skonstruowanemu przez Eero Harjulę żurawiowi i sile ściągniętych z całej okolicy mężczyzn, którzy nie byli absolutnie niezbędni w swoich miejscach pracy, jakoś uniesiono kamienną kolumnę i umieszczono ją w otworze.

I tak na grzbiecie Olkikumpu stanął wreszcie ośmiometrowy obelisk z szarego granitu, wznosił się dumnie ku w wieczornemu niebu niczym gigantyczny fallus.

Na uroczystości odsłonięcia zgromadziło się całe Olkikumpu. Finowie, Niemcy, nawet rosyjscy jeńcy. Mundury i kwieciste sukienki. I sam Tepe Tirkkonen, który jednak przeżył i wrócił. Wskutek poważnego odmrożenia nie miał palców jednej nogi, lecz jak zawsze tryskał humorem. Opowiadał, że gdy tak siedział godzinami w okopie, rzucił mu się w oczy połyskujący w ziemi niebiesko-zielony przedmiot; wygrzebał go na tyle, na ile w tej niewygodnej pozycji mógł, i dokonał ważnego odkrycia labradorytu. Dlatego też bardzo się spieszył z powrotem na front, żeby ochronić swoje znalezisko.

Tepe zmontował nawet niewielką orkiestrę. Natalia nie pamięta, co grano. Mimo to słyszę jego smutny jak zawodzenie zorzy polarnej klarnet i rytmiczne uderzenia bębnow, słyszę zapierającą dech w piersiach, uroczystą przemowę, widzę, jak z wielkiego monumentu spływa wielka płachta materiału.

I widzę ich. Mężczyznę i kobietę. Nie wyróżniają się niczym na wspólnej fotografii, lecz mimo to dostrzegam ich od razu. Są blisko siebie, ona stoi, on siedzi, obejmując ją w pasie ramieniem.

Na moim zdjęciu są jednym. Wreszcie przestali wytykać sobie wady, porównywać swoje szaleństwa, mierzyć, które z nich więcej wycierpiało. Krótko mówiąc: wreszcie się zaprzyjaźnili. Zaakceptowali także każdy swoją mroczną stronę. Może nawet trochę się w sobie znowu zakochali. Patrząc na nich, każdy powie: piękna para.

Co prawda, kobieta nie kupuje już materiałów na ubrania, jak kiedyś, i nie chodzi już do fryzjera na nowy aparat do trwałej ondulacji, lecz ciągle jest szczupłą, smukłą jak gałązka śliwy i w oczach ma nadal ten niesamowity błysk. On zaś jest postawny, przystojny jak wszyscy mężczyźni z rodu Harjulów. Mimo że jeździ na wózku, ciągle przyciąga spojrzenia kobiet na ulicy.

I dlaczegóżby znów się w sobie nie zakochać? Rozpalenie na powrót pożądania to osobna sprawa, teraz kobieta nie musi już pewnie gryźć rogu poduszki, by nie obudzić w nocy dziecka krzykiem, lecz miłość ciągle jest możliwa. I nie ma wygórowanych wymagań: przebaczenie i odrobina dobrych manier, umiejętność dostrzegania partnera.

Szkoda, że Natalia nie nakręciła filmu z tej uroczystości, wiedziałabym wtedy, czy rzeczywiście byli tacy, jakimi ich zobaczyłam. Kto wie, może i nakręciła, lecz nie wywołała od razu, a potem negatyw gdzieś się zawieruszył. Można jej wybaczyć to roztargnienie, w końcu wdowa po bohaterskim żołnierzu fińskim miała w owym czasie pełne ręce roboty: jeśli nie była akurat w terenie, na pogrzebie kolejnego fińskiego bohatera, uwieczniając na kliszy kolejną wdowę, siedziała kamieniem w pracowni i powiększała zdjęcia poległych mężów i synów na portrety, które zawisną potem, jak podobizna jej męża Jannego Viity, w domowych sanktuariach, retuszowała policzki lekkim różem, usta zaś soczystą, żywą czerwienią pocałunku. A gdy zaledwie dwa tygodnie po odsłonięciu pomnika Rosjanie rozpoczęli gigantyczną ofensywę, została zalana taką liczbą

zamówień, że nie sprostaby wszystkim, choćby nawet zrezygnowała z ostatnich paru godzin snu.

Odsłonięcie pomnika było ostatnią na długi czas uroczystością w Olkikumpu. Już *juhannus* był z racji licznych ataków Rosjan piekłem na ziemi, mimo że pani Gerda Ryti, żona prezydenta republiki, odczytała przez radio modlitwę. Otrzymała ją poprzedniej nocy za pośrednictwem pisma automatycznego od samego Boga, podczas gdy jej mąż prowadził trudne negocjacje z niemieckim ministrem spraw zagranicznych. Nadszedł czas, kiedy Finlandia nie mogła już sobie poradzić bez pomocy zaświatów. Prezydent zniżył się do poziomu żony i udał się do Loviisy do tamtejszego jasnowidza, który szukał rozwiązania ponurej sytuacji u pojawiającego się regularnie za młynem archanioła. Wysłannik niebios zdradził, że kraj można ocalić przed bolszewicką zarazą przy pomocy sił zewnętrznych. Prezydent odwdzińczył się pośrednikowi za radę dwunastoma butelkami przedniego starego wina. Letnia ofensywa Rosjan zatrzymała się pod koniec lipca. Naród przeprowadził bilans strat i postawił na zmianę kierownictwa. Finlandia i Związek Radziecki zawiesiły działania wojenne. Rozpoczęła się pospieszna ewakuacja oddziałów niemieckich.

Lecz w maju, w jasny, wiosenny wieczór, był jeszcze czas na piękne przemówienia u stóp monumentu, na tańce, na jedzenie i picie. W programie nie mogło oczywiście zabraknąć turnieju strzeleckiego. Zdecydowanym zwycięzcą został Eero Harjula.

Gdy się nie ma, co się lubi, trzeba lubić, co się ma. Nie wolno się przejmować przeciwnościami losu, więc nawet pośledniejszy kawał budził gromki śmiech i mieszkańcy Olkikumpu nie byli tak wybredni w doborze towarzystwa, jak przed wojną. Byłe obok był ktoś, z kim można przyjaźnie pogawędzić.

Ja jednak wolałam myśleć, że ów pokój Boży, który zapanował między Vidą Harjulą i jej mężem, nie był wyłącznie funkcją czasu. Wyobrażałam sobie delikatne muśnięcia rąk przy wstawianiu od stołu, serdeczne uśmiechy, wypowiedane jak na komendę słowa.

Ich żałoba już się skończyła. Są smutni, ale inaczej niż kiedyś.

- Żałoba to największa zbrodnia przeciw życiu - mówi

Natalia, gdy Vida przychodzi do niej się poskarżyć, że Kruszyńska nie chce, by przychodziła na jego grób. - Nie możesz, i nawet ci nie wolno siebie za wszystko obwiniać. Ludzie odchodzą, gdy jest im pisane.

O tym decyduje kto inny, nie ty. I nikt na to nic nie poradzi. Kruszyńska nie odeszła dlatego, że zrobiłaś coś nie tak. Odeszłaby nawet wówczas, gdybyś robiła na drutach skarpetki i śpiewała w kościelnym chórze. Dlatego jest na ciebie zła. Że patrzysz na zmarłych, a nie na żywych.

- To nie mogę chodzić na grób własnego dziecka? - pyta Vida Harjula zbolalym głosem.

- Przecież, że możesz pójść ją czasem odwiedzić, ale przestać tam ciągle *łazić*. Nie zatrzymuj już jej. Pozwól jej odejść.

- Ale kiedy ja nie mogę, po prostu nie mogę! - Vida jest bliska płaczu.

- Przecież Genię też pochowałam i dobrze było.

- Ale Aino to moja krew, moje ciało!

- Już nie, Vida. Już nie.

Pozwól jej odejść, mówi Natalia. Powtarza jej to raz za razem, gdy przesiadują we dwie w szarej ciemni. Od czasu do czasu popłakują, stykając się niemal głowami. Wtedy jest im lepiej. Patrz, jak pięknie kwitnie wrzos. Tak bujnych kiści nie miał już od lat... Mówi jej to, gdy siedzą w ogrodzie, łuskając groszek i patrząc, jak jaskółki wycinają w powietrzu ciasne kręgi. Albo szeptają coś do siebie na tarasie, niosąc pełne spódnice pachnących, jesiennych jabłek. Cierpkich, pokąsanych od mrozu antonówek. Słuchaj. Już nie odróżniam ich od wiatru. Piosenek Kruszyńskiej. Nie, słyszę już tylko wiatr. Tylko szum wiatru.

I tak też było: ich rany się zasklepiły. Nie w jeden dzień, nie w rok, lecz stopniowo ból słabł. Nauczyły się z niego otrząsać. I znów się uśmiechać. Śmiać na cały głos.

Wojna się skończyła i nastał czas odbudowy. Trzeba było zmyć osad zła i samemu się oczyścić, przygotować na triumf życia.

Nie przesadzę, gdy powiem, że Vidzie się poszczęściło. Jej mąż nie był całkiem zdrowy, lecz miała przecież znacznie więcej

niż niejedna kobieta, jak chociażby Natalia, która musiała się zadowolić portretem na ścianie. Miała przynajmniej kogoś, z kim mogła rozmawiać, i co tu dużo gadać: nawet kaleka, jak jest zmyślny, wie, jak nocą uradować żonę. A do tego jeszcze śliczny, żywy chłopak, rosnący jak na drożdżach pod czujnym spojrzeniem trzech par oczu. Co prawda istniała obawa, że w tej atmosferze zbiorowego uwielbienia trochę się mały O1avi rozpuści, lecz co można było na to poradzić, kiedy takie już było z niego słodkie dziecko, że wszyscy nad nim cmokali.

Tak, wydaje mi się teraz, że życie moich dziadków, mimo wielu ciężkich doświadczeń, nie było wcale takie nieszczęśliwe. Chyba w końcu pogodzili się z tym wszystkim, co im przyniósł los, i odzyskali spokój, nawet oni.

Vida Harjula wysyłała oczywiście wiadome listy do wszystkich możliwych instytucji i urzędów, lecz robiła to wyłącznie dlatego, by pomóc mężczyźnie, który tyle wycierpiał z jej powodu. Nic poza tym. Nie dręczyła jej jakaś *nieopisana* tęsknota. Wcale nie było tak, że przez te wszystkie lata Vida tylko czekała, czekała i czekała, aż coś się wydarzy, aż coś się wreszcie w jej życiu zmieni.

- W końcu się jakoś w tym odnaleźli, góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie...? - potwierdza Natalia, zamykając album. - Eero i Vida. Oczywiście sprzeczali się czasem, jak to zawsze w małżeństwach, ale to nie były jakieś poważne kłótnie. Nie było już w nich tej dawnej złości, chęci skrzywdzenia. I nie widziałam nikogo, kto by płakał tak, jak Vida na pogrzebie twojego dziadka. Nigdy. A przecież, nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że już parę pogrzebów w swoim życiu widziałam...!

Kiwam potakująco głową. A więc znalazłam, czego szukałam: szczęśliwy koniec. Imiona męża i żony wryte obok siebie na jednym grobie. I to jest obraz, który chciałabym zachować w pamięci bez pęknięć; w końcu tyle się natrudziłam, by go złożyć z rozsypanych fragmentów. I dlatego tak się broniłam, tak nie chciałam, żeby mi Natalia opowiedziała historię dziwnego pomysłu jej brata. Jak to Eero Harjuia kazał zrobić sobie nagrobek na długo przed śmiercią. W październiku 1947 roku, gdy jego żona na dwa tygodnie wyjechała z domu do stolicy.

O nic jej nie pytał. Gdy Vida spakowała walizkę i powiedziała, że musi jechać, Eero Harjuia kiwnął tylko głową. Przecież słyszał rozmowę sprzed kilku dni, gdy był do niej telefon z urzędu osiedlania byłych sowieckich więźniów. Powinien był dostrzec rysujące się na jej twarzy niedowierzanie, zapytać, co nią tak wstrząsnęło. Zdziwić się, dokąd jej nagle tak spieszą. On jednak o nic nie spytał. Nawet o to, czy w ogóle zamierza wrócić. Nie wybuchnął, nie wyciągnął z szafy pistoletu, nie rzucił obręczką, nie zrzucił na ziemię pucharów syna za biegi narciarskie. Nie kazał wybierać. Nie powiedział, że Ołavi tak czy owak zostanie przy nim. Że nie da jej ani grosza. Że co powiedzą ludzie.

Odjazd Vidy Harjuli z walizką w rękę do Helsinek, ów ostentacyjny gest bezczelnej komunistki, nie mógł oczywiście przejść niezauważony w tak malej społeczności. Dla wielu był potwierdzeniem złej opinii, jaką mieli o tej kobiecie od samego początku, od pierwszej chwili, gdy ta dwadzieścia lat wcześniej zjawiła się w Olkikumpu, obnosząc się z tą swoją balową suknią żałobną z perłami i rosyjskim nazwiskiem. Jeszcze większą odrazę budziło to, że na taką hańbę trzeba było czekać tak długo. Przecież nie była już podlotkiem, miała grubo po czterdzieście. Krótko mówiąc

- miała już swoje lata i człowiek mógłby myśleć, że kobieta w tym wieku powinna mieć już trochę oleju w głowie i sama wiedzieć, co jej przystoi, a co nie.

A jednak jej mąż nie powiedział: Wybieraj.

Może nawet pomógł się jej spakować: Jesteś pewna, że cię nie przewieje w tym płaszczyku, tam może być bardzo zimno, jak napastliwy, nadmorski wiatr zaczyna hulać po szerokich ulicach...! Wyciągnął portmonetkę, wcisnął jej w dłoń zaoszczędzone na karty banknoty: A pieniędzy masz dosyć, twoi krewni na pewno nie będą ci mieli z czego dać...? Mówił o krewnych, jakby to było oczywiste, że tam kogoś ma, chociaż żona nigdy słowem nie wspomniała, jakoby kogoś tam znała.

Ale gdy kobieta wsiadła do pociągu, zmienił się nie do poznania. Poprosił siostrę, by go zawiozła do kamieniarza. Długo przeglądał magazyn, nim wreszcie wybrał spory, piękny

kamień, ciepłoczerwony granit o ciasno zbitych ziarnach, zazębiających się jak klocki układanki. Poprosił, by wyryto na nim oba imiona i daty urodzenia.

Widocznie Eero Harjula wiedział, że Sean o'Brien nigdy nie dostanie pozwolenia na osiedlenie się w Finlandii. Że władze fińskie wciąż są względem niego nieufne i wyślą go w dalszą drogę, gdy tylko stan jego zdrowia pozwoli na odbycie długiej podróży do Irlandii. A może potrafił sobie wyobrazić, co mogło zrobić z mężczyzny jedenaście samotnych lat spędzonych w wilgotnych lochach i kopalnianych korytarzach? Dla kobiety czas był łaskawszy, lecz i jej skóra nie była już tak jędrna jak kiedyś i w jej ruchach nie było już tej kokieterii co dawniej, gdy wiedziała, że przeżywa najpiękniejsze lata swej kobiecości. Nie, ani on, ani ona nie byli już tymi samymi ludźmi, co przed jedenastu laty.

Ale może być też i tak, że Eero Harjula rzeczywiście uwierzył w tych helsińskich krewnych, których sam do życia powołał: bezdzietną, dożywającą swoich dni ciotkę w toczku, grubego kuzyna, hałaśliwego mechanika z warsztatu samochodowego, którego najstarszy syn zginął na froncie. Uwierzył w nich i sam zaczął myśleć, że już wielki czas, by żona ich wreszcie odwiedziła. W końcu to już tyle lat.

- Coś mi mówi, że między nimi nigdy do niczego nie doszło - odzywa się Natalia, trzymając mi przed nosem drewniany statyw.

- O czym ty mówisz?

- Vida nie chciała, żeby cokolwiek się wydarzyło, póki mieszka pod dachem Eero. A potem, kiedy udało się go wyciągnąć z łap tych diabłów, było już za późno. No, ale sama się z nim spotkałaś zimą, nie muszę ci tego mówić. Nabrał już trochę ciała?

- Nabrał, nabrał.

- To dobrze. Oczywiście sama go już potem więcej nie widziałam, ale Vida po powrocie wszystko mi opowiedziała.

- Wszystko?

Natalia próbuje zamontować na trójnogu przedpotopowy aparat, odnoszę wrażenie, że już nie pamięta, jak to się robi.

- Jakżeby inaczej. Najlepszej przyjaciółce by nie powiedziała? Jak było, spytałam ją. Nie chciałam jej mówić, że Eero był przez cały ten czas kłębkim nerwów...

Niesamowite kobiety. Już widzę, jak siedzą z podkurczonymi nogami na sofie Natalii i szeptem plotkują o wielkiej miłości Vidy, jak dwie gimnazjalistki.

Przecież to się w głowie nie mieści. Przecież to niewyobrażalne.

Jak było Vidzie Harjuli w stolicy z tym mężczyzną? A raczej z tym cieniem, który z niego pozostał? Trzeba było go zobaczyć, inaczej człowiek nie byłby w stanie tego zrozumieć, nie mógłby w coś podobnego uwierzyć...

Na pewno nie.

Najpierw Vida po prostu siedziała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Myślała, że to nie może być ten sam mężczyzna. Myślała, że przysłali kogoś innego z dokumentami Seana O'Briena. Siedziała więc przytłoczona smutkiem, nie mówiąc ani słowa.

Wtedy on się odezwał, że mogliby się kawałek przejść. Jeśli Davida nie ma nic przeciwko.

Nie. Boże broń. Skądże, nie, nie.

Więc poszli na spacer. Z dżdżystej Bulevardi skręcili w ulicę Anny, weszli do parku. Siedli na lodowato zimnej ławce. Poszli na kawę. Wsiedli do tramwaju. Poszli nawet na Katajanokkę. Ale wszystko to było jakieś bardzo dziwne. Mężczyzna kulał. Oboje milczeli. Ani słowa, żadnego rozsądnego tematu rozmowy. I było tak straszliwie zimno. Mężczyzna mieszkał w jakimś punkcie zbornym, tam nie można było wchodzić. Więc poszli na drugą kawę. On powiedział, że wkrótce będzie musiał wyjechać z Finlandii, taka była decyzja policji państwowej. Ona była wyczerpana, czuła się bardzo stara i tęskniła do domu. Potem poszli coś zjeść. I do sklepu, kupić małemu O1aviemu, który wcale nie był już taki mały, jakąś pamiątkę z Helsinek. Ludzie obracali się w ich stronę i patrzyli z politowaniem, gdy kuśtykając, powoli weszli do środka i stanęli przed półkami z ładnie wyeksponowanymi chłopięcymi swetrami i skórzanymi butami. W co ten człowiek się ubrał! I głowa prawie całkiem



ogolona! Więc zaraz wyszli i znów poszli do parku. Dotarli do nabrzeża, weszli na jakiś mostek. I z powrotem.

I to wszystko?

Nie, nie, skądże znowu.

Więc co? W ogóle jej nie dotknął?

Ona dotknęła jego. A raczej próbowała. Poglądzić po policzku czy coś takiego. Lecz gdy podniosła dłoń, wzdrygnął się, skulił, jakby chciała go uderzyć.

Wtedy Vida wybuchnęła płaczem, rozpląkała się na głos na głównej ulicy: Kim ty jesteś, do diabła, ja cię nie znam, nie poznaję...?!

No tak, ale... Vida była w Helsinkach dwa tygodnie. Co ją tam zatrzymało? Przecież mogła napić się kawy i w domu: *Gdzie tak długo byłaś, Vida...?*

*Z nim. Z nim byłam tak długo.*

Irlandczyk chwycił Vidę za rękę, spytał, czy ma tyle pieniędzy, żeby wynająć dla nich pokój w hotelu.

Potem nastąpiło coś bardzo szczególnego. Dobrego i przerażającego zarazem. Wściekłość. Ale Vida nie mówi wcale o łóżku. On nie był w stanie się kochać.

Daj mi to lato, poprosił ją. Tę wodę, kamienie i martwą ryjów-kę. I tę burzę, która zabrała cię ze sobą. Nie chcę nic więcej. Tylko to lato i tę burzę.

Dwa tygodnie w tamtym pokoju. Od czasu do czasu przysypiał. Ona nie zmrużyła oka. A w każdym razie nie pamięta, by spała. Wystarczyło jej, że może leżeć przy nim i na niego patrzeć. Czekać, aż się zbudzi: zbudź się, zbudź, zbudź. I budził się. Uczyń mnie od nowa, prosił ją.

Nie rozmawiali już o kamieniach. Zresztą, co też w nich ciekawego? Wiedzieli o nich już przecież wszystko, co warto pamiętać: niektóre skały są twardsze od innych, a każdy wchodzący w jego skład minerał załamuje światło pod innym kątem. Gdy promień światła pada na jego powierzchnię, do oczu trafiają jedynie te barwy, których ten nie zatrzymał w sobie. Najtwardsze są diamenty, najbardziej odporne na zarysowanie. Ale nawet miękki kamień może się stać szlachetny, jeśli uda mu się wnikać w organizm perłoródki.

Małż otoczy go wtedy twardą, lśniącą powłoką, by się uchronić przed bólem.

Trzeba więc było znaleźć inną drogę powrotną. Musieli zacząć wszystko od nowa, zmasać całe zło tym, co było przedtem, co było czyste. Bez pomocy map, kompasu i słów, bez pośpiechu, nie zważając na uciekający szybko czas.

A potem on wyjechał.

A ona wróciła do domu.

Do rodziny.

On wyjechał, a ona wsiadła do pociągu i wróciła do domu, do Olkikumpu, gdzie czekał na nią nagrobek. Na którym obok imienia Eero Harjuli widniało również jej imię.

To wszystko. Głębiej w ich życie nie warto wnikać. Nie każdą skałę wolno borować. By nie osłabić zbyt szybko skorupy prywatności, by się nie skruszyła i zapadła w siebie.

*I nie widziałam nikogo, kto by płakał tak, jak Vida na pogrzebie twojego dziadka. Nigdy.*

- Oprzyj głowę na dłoni - mówi Natalia. - Tak jak teraz, będzie widać kwiaty na oknie. Mają w sobie tę samą zieleń, którą ty masz w oczach.

- Nie rób mi zdjęcia, jestem teraz taka gruba.

- Buzia na kłódkę. Będzie dobre zdjęcie.

Powykręcane od gościa palce prawie jej nie słuchają, ale Natalia po prostu musi stanąć po drugiej stronie aparatu. Kiedy czegoś chce, ma w sobie tyle determinacji, że aż strach się bać. Duma zawodowa.

Wyobrażam sobie te same dłonie podnoszące dziecko ze strumienia, ściągające z ciernia róg spódniczki, rozwierające małą piąstkę i wyciągające z niej to, co dziewczynka przyciskała do piersi: *Kto mógł zrobić coś takiego sześciolletniemu dziecku, które nic jeszcze nie wie o ciemnej stronie świata?*

Bóg mógł zrobić.

To miałam dla niej zbadać, co *Jego* do tego popchnęło. Znaleźć dla niej odpowiedź. Dla niej, która chciała zachować wiarę, lecz nade wszystko pragnęła dziecka. Bóg jej go nie dal, za to Vida tak. Prawie. Pożyczała jej swój najcenniejszy skarb,

tak jak się pożyczca najlepszej przyjaciółce. Vida wiedziała, co znaczy zachorować na dziecko. Tyfus to przy tej chorobie pestka. O migrenie nie ma nawet co mówić. Przynosiła dziecko do jej domu: Mogłabyś trochę popilnować Kruszynekę, a ja tylko...? Lecz to się Najwyższemu nie spodobało, więc zabrał swój dar. Zabrał im obu: *A macie, podstępne baby! Tak karzę tych, co knowają za Moimi plecami!*

Aby zrozumieć ludzkie przewiny, bada się motywy. Lecz przyczyn wyroków boskich należy szukać w ich następstwach. Postąpiłem tak, *ponieważ*. Robię to, *aby*. Niezbadane są ścieżki Pana. Aż przyjdzie ktoś, kto je zbada.

- Uśmiechnij się! Pomyśl o czymś miłym - słyszę polecenie Natalii.

Nie wiem, może jest niezadowolona z tych drobnych wątków, które dla niej zebrałam. Ostatecznie wiedziała już bez tego prawie wszystko. Jedyna pociecha, że lubi gościć nas u siebie, pokazywać stare fotografie, snuć opowieści o ludziach, których już nie ma. Obserwować przez okno moich rozbrykanych chłopców, rozbryzgujących pokryte kruchym jak szkło, wiosennym lodem kałuże.

- Nie przychodzi mi nic do głowy.

- No to wyobraź sobie, że Tepe Tirkkonen mi się oświadczył. I to wcale nie tak dawno temu. Na dodatek był prawie trzeźwy. I trochę w podobnej sytuacji, co ty: Może powinniśmy wreszcie przestać się bronić przed tym nieznośnym pożądaniem i razem zamieszkać, skowroneczku mój...?

Wybucham śmiechem, ale to też się jej nie podoba. Ona chce uśmiechu. I to nie byle jakiego, ale ściśle określonego.

- Pomyśl o dziecku. Połóż dłoń na brzuchu i pomyśl o swojej kruszyńce.

Nigdy nie powiedziała tego na głos: *Me dane mi było zająć w ciążę, ale tobie tak. Tobie. Ale nie mnie.*

- Co się stało ze wspaniałym pomnikiem dziadka? Rosjanie go zniszczyli? Czy Niemcy?

- Ani jedni, ani drudzy. Stał na drodze tego atomowego składowiska. Powalili go i pocięli, gdy budowali tunel transportowy. Jestem szczęśliwa, że Eero tego nie dożył. Był

święcie przekonany, że jego pomnik będzie stał wiecznie. To był znak: dopóki się nie dowiem, dopóki nie będę wiedzieć. Powinien był to przewidzieć. Czuć na skórze złowróżbne drżenia. Bo Harjule są szaleni, ale *wiedzą*. A może jest tak, że to właśnie ta ciężka świadomość czyni z nas takich furiatów...

Milknie na chwilę, aby pomierzyć natężenie odbitego od mojej skóry światła, ale jest tak pochłonięta wspomnieniami, że po chwili nie pamięta już odczytu i musi zmierzyć jeszcze raz.

- Twój ojciec oczywiście się wściekł. Zapowiedział, że będzie walczył z tymi handlarzami śmierci do ostatniego tchu. A ja oczywiście trochę mu pomagam, na ile mi pozwalają siły...

- Napisałam bardzo krytyczny artykuł o niebezpieczeństwach składowania geologicznego, ale go nie puścili.

- Wymyślisz coś innego. Powiesz to, co chcesz powiedzieć. Od razu to po tobie widziałam. Nieważne, czy zrobisz mądrze, czy nie

- powiesz. Na to nie ma rady, to się ma we krwi.

Natalia mruży oczy: coś jej jeszcze nie pasuje, ale niech ją diabli porwą, jeśli tego nie poprawi.

Staruszka pochyła się nade mną, wodzi delikatnie moim podbródkiem.

Siedzę zatem u Natalii, dałam się jej uwiecznić. W pełni mego nabrzmiałego, łagodnego macierzyństwa. W uszach mam złote kolczyki Vidy Harjuli. Uderzające podobieństwo: zaczesane do tyłu włosy i dołek w policzku dokładnie w tym samym miejscu. I oczy jak dendrytowe agaty, które w zależności od światła połyskują lodowatym gradem lub rozżarzoną lawą.

Poprawiam pozycję, chcę być taka jak ona na tamtym zdjęciu, dostojna i mocna, bez lęku patrząca w nieznaną przyszłość. Trzeba więc sobie powiedzieć: I ja potrafię. Także we mnie jest ta siła.

- Dobrze. Utrzymaj ten wyraz twarzy - mówi, wpatrując się we mnie z zadowoloną miną zza aparatu. - To będzie dobre zdjęcie. Chyba najlepsze, jakie w życiu zrobiłam.

Palec nieruchomieje na spuście, chwila zastyga na kliszy. Może kiedyś fotografia wpadnie w ręce moich wnuków albo pracowników jakiegoś muzeum, zrodzi komentarze. A potem czas zamaże wspomnienia, wyblakłe kontury zleją się z tłem.

Zdjęcia też nie są wieczne. Jeszcze nie wymyślono filmu, który by z biegiem czasu nie rozsypał się w proch. Wszystko ginie. Nawet obrazy wykute w kamieniu. Tylko skała jest wieczna.

I to wszystko? A co z tą czarną, czarną trumną w ów czarny od bólu dzień na czarnym, czarnym wzgórzu?

Dziewczynka.

Ta, która chodziła swoimi ścieżkami. Było ciepło jak latem, więc przez cały dzień tańczyła, ciągnęło ją w miejsca, gdzie nie powinna była chodzić. Chociaż słońce przypieka, w niebie czai się mrok i powietrze zachowuje się bardzo osobliwie: drży i faluje jak wielkie, przezroczyste skrzydło. W taki dzień wszystko staje się dla dziewczynki najtajniejszym znakiem, legendą, podszeptem.

Oto nieruchomieje i czeka. Siedzi przycupnięta na werandzie z pudełkiem od zapalek przyciśniętym do piersi, siedzi tak już całe wieki, siedzi i czeka. Już prawie straciła nadzieję, lecz wreszcie go widzi, idzie.

Tata nuci coś pod nosem, zatrzymuje się w furtce i stoi dziwnie długo, gładzi włosy. Wygląda zupełnie jak obcy, który się waha, czy wejść do środka. Lecz oto robi długi, niemal taneczny krok i już jest na podwórku.

Dostrzega dziewczynkę, zsuwa kapelusz na kark i przekrzywia głowę.

- I co tam, córcia?

- A ja mam biedronkę.

Zdumiony mężczyzna rozkłada ramiona, pochyla się w bok.

- Nie może być! *Prawdziwą* biedronkę? Jesteś tego pewna?

- Tak. Trzeba ją zakopać pod wielkim kamieniem.

Mężczyzna kiwa głową, siada na najwyższym stopniu obok córki:

- Pokaż no.

Dziewczynka odsłania pudełko zapalek, które mężczyzna bierze w swoje wielkie dłonie i podnosi do twarzy:

- Rzeczywiście. Wielka jak nie wiem co.

Przesuwa brudnym paznokciem kciuka po krawędzi pudełka, obraca je w palcach.

- Pod wielkim kamieniem, mówisz...

Ojciec oddaje pudełko córce i dobywa z kieszeni już prawie pustą butelkę.

- Ty już chyba jesteś dużą dziewczynką, co?

Dziewczynka kiwa energicznie głową, uśmiecha się.

- Też tak myślę. To dobrze, bardzo dobrze. Bo widzisz, może się zdarzyć tak, że...

Mężczyzna pochyla się nad dziewczynką, próbuje niezdarnie odgarnąć jej włosy z ucha, lecz traci równowagę i prawie się na niej kładzie.

- ...może się zdarzyć tak, że mama wyjedzie. Ale ty zostaniesz z tatą, co, córcia?

Dziewczynka zamiera. Zastyga w bezruchu. Tata powiedział coś niezrozumiałego, w co ona nie wierzy, czego nie chce słyszeć.

Obserwuje ruch jego nozdrzy, gdy mówi. Wcześniej nie spostrzegła, że w dziurkach od nosa tata też ma włosy.

- Mama wyjedzie?

- Może wyjechać - odpowiada zamyślony mężczyzna, kładąc się ciężko na deskach werandy. - Tego nie można całkowicie wykluczyć, no nie? No bo teraz ma to drugie dziecko i w ogóle... Tego się nie wie. Co tam kobiecie może strzelić do głowy. Więc może być i tak, że weźmie bachora pod pachę i wyparuje...

Dziewczynka czuje, jak żołądek robi się jej ciężki jak kamień. Wstaje i nogi też są jak z ołowiu.

- Mama nie wyjedzie, nie? Powiedz!

Głos jest tak ostry, że mężczyzna unosi dłoń z twarzy i próbuje skupić maślany wzrok na dziewczynce:

- Może tak, może nie - bełkocze. - Ale Aino zostanie z tatą, prawda...? Będzie ci dobrze z tatą i cicią Natalią, niepotrzebne nam jakieś matki, do diabła...!

Dziewczynka chwytą ojca za dłoń, czuje, że jest mokra. Spogląda ukradkiem na twarz taty, widzi cieknące z oczu łzy.

- Mama nie wyjedzie.

Mężczyzna nie odpowiada. Z powrotem przysłonił oczy dłonią i leży, nic nie mówiąc. Słychać szelest krzewów, gdzieś bardzo blisko śpiewa czarny ptak. Dziewczynka dotyka leżącego na plecach ojca, potrząsa nim delikatnie, ostrożnie, bada go wyciągniętymi dłońmi jak lunatyk, czeka, aż otworzy oczy i odwoła wszystko, co przed chwilą powiedział.

Ale mężczyzna nie chce rozmawiać ani z córką, ani w ogóle z nikim; nie chce już nawet o niczym myśleć.

- Mama nie pojedzie z domu, prawda?

Dziewczynka patrzy na mężczyznę, który leży nieruchomo jak trup. Nagle wszystko zamiera. Podwórko jest zielone, puste, bezgłośne. Nawet czarny ptak odleciał.

Dziewczynka wstaje, schodzi z werandy. RzUCA się ślepo przed siebie, biegnie przez podwórze, śmiga przez ulicę, przemyka przez plac budowy, pędzi szaleńczo przed siebie, na wzgórze, nad strumień. Jak spłoszone zwierzę rzUCA się przez wodę i biegnie dalej, aż całkiem opada z sił i nie mogąc złapać oddechu, staje, teraz może już tylko stać i być.

Opiera się o skałę, jakby chciała się w nią zapaść, zniknąć w jej wnętrzu.

Błysk światła gdzieś z góry. Co to było? Dziewczynka lekko mruży oczy, spogląda w złowróżbne niebo.

Wtedy kątem oka dostrzega w oddali nad strumieniem znajomą postać.

To cicia Natalia, która nigdy nie chodzi tu na górki, bo mówi, że mieszkają tu zmarli. Dziewczynka wstaje, wyciąga szyję: Co tam tak się skarży u cioci na rękach? *Placze?*

Słońce tańczy po piasku. Dziewczynka unosi dłonie do twarzy, wdycha zapach kurzu, patrzy przez palce na pochylone

plecy.

Patrzy, lecz nie rozpoznaje. Dziś wszystko jest jak w zaczarowanej baśni, nikt i nic nie wygląda tak, jak zawsze.

*...rozewrzyj swe podwoje, przybądź tu po swoje. Amen, złego, ode...*

Widzi zgiętą ciotkę, jej niebieską, kraciastą spódnicę, podciągniętą i zawiniętą w pasie, by się nie zmoczyła. I słyszy to coś, co się porusza w jej dłoni, co płacze. Piszczy, dopóki nie znika pod wodą. Długo to trwa. Czas mija, cioci jest zimno, unosi na przemian nogi, ale nie wychodzi ze strumienia. Dziewczynka wszystko widzi. I nic nie rozumie. Ciocia, która jest zawsze dobra i miła, zawsze dobra, zawsze, zawsze. Dziewczynka nie rozumie. Tylko patrzy.

Ciotka wychodzi z wody, spódnica opada na kostki. A to coś zostało w strumieniu!

To, co płakało. Ciocia zrobiła mu coś złego.

Leży w wodzie przy brzegu, między korzeniami drzewa. Ciocia Natalia je tam wsadziła, choć płakało, choć je bolało. Dziewczynka bez wahania wskakuje do wody, brodzi w sandałach w strumieniu, wsuwa ręce w nurt. Chwyta i unosi. Bezwładne, przemoczone, śliskie. Oczka zamknięte, z pyszczka wystaje różowy jęczyzek.

Mały piesek!

Ciocia Natalia zabiła małego pieska. A więc nie jest taka dobra, jak dziewczynka myślała. Na górkach przemienia się w złą czarownicę, która potrafi zadawać ból i krzywdzić, jak tata.

Dziewczynka słyszy, jak ciotka woła ją po imieniu, ale nie odpowiada, chce jej zrobić na złość.

Stoi na brzegu, głucha na wołania, kołysze na rączkach nieżywe szczenię. Czy może być coś bardziej smutnego, ślicznego, nieruchomego? Kręci jej się w głowie, gdy dotyka maleńkich łapek, czubeczka różowego jęczyzka, gładkiego, satynowego brzuszka, a pod nim najmniejszego na świecie pisiorka.

Co to był za odgłos? Grzmot?

Na wzgórzu stoi bezcielesne, jasnowłose dziecko. Kiwa się na boki, wpatruje w kałużę, widzi w niej drugą dziewczynkę, taką samą, jak ona.



Stoi w czerwonych kaloszach, spowita w diamentowe refleksy.

*Co z tobą? Nie znam cię, czego chcesz, dziewczynko?  
ja chcę umrzeć.*

*Dlaczego?*

*Bo moją mamę zakopano pod ziemią. I już nigdy stamtąd nie wróci. A tata zabił mojego pieska, bo na cmentarzu nie wolno trzymać zwierząt.*

*To rzeczywiście ci się nazbierało. Ale i tak nic z tego, teraz moja kolej.*

*Nie, bo moja.*

*Zobaczmy: Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc. Sama widzisz. Twoja kolejka jeszcze nie przyszła. I długo nie przyjdzie. No, dalej, idź już stąd. Na co jeszcze czekasz?*

*Nienawidzę taty, bo zabił mojego pieska. I odebrał mi mamę.*

*Tak ci się tylko wydaje. Tak czy owak, teraz moja kolej, nic na to nie poradzisz. A ty się nie gniewaj, ale ja już muszę powoli zniknąć...*

*Nie. Nie chcę tu być. Ja chcę z powrotem na Wyspę. Chcę do mamy. Tylko do mamy. Nie wiadomo, co tu robić. I wszyscy mi tylko dokuczają.*

*No i co z tego? Spójrz na ziemię. Można w niej znaleźć, co się tylko chce. To małe, czerwone wygląda trochę jak rubin... zobacz, jak się mieni.*

*Nie będę. W końcu to nie jest prawdziwy rubin.*

*Kto wie, może być. To miejsce to prawdziwa kopalnia skarbów. Bo tutaj się kuje skaty...*

To Aino Helena Harjula, lat sześć. Ale z kim ona rozmawia? Z kałużą, piaskiem, wiatrem. Czas biegnie od niej w dwie strony, jest jak światło, które się rozszczepia na dwie wiązki, gdy padnie na odpowiedni kamień. Pięć minut to dla niej cała wieczność, sto lat - okamgnienie. Wyjście na dwór to dla niej zawsze ekspedycja, wyprawa w nieznaną świat, choćby tylko na chwilę. To ona, moja siostra bliźniaczka, starsza i młodsza zarazem, która czeka na mnie w wiosennej kałuży; przyszła mi

pomóc pogodzić się z życiem, bo inaczej żyć się nie da.

Znów jakby grzmot. Dziwny odgłos. Czy to ten nieprzewidziany czynnik, którego nikt nie wziął pod uwagę? Jakiś znak? Przypomnienie, że nie wszystko zostało wybaczone i zapomniane, jak chciałam wierzyć? Czy to Olkikumpu, czy to pęka skała, niezdolna już dłużej znosić zła, które osadza się na niej, odkąd zamieszkał tam człowiek? Czy wreszcie nadszedł dzień, w którym góra, zbyt długo poddawana próbie, straciła wreszcie cierpliwość i za chwilę miasto i okoliczne wsie pogrążą się z hukiem w mrocznej czeluści?

Nie, Boże broń! Na szczęście to nie to. Ten majowy dzień roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego zostanie zapisany w annałach wyłącznie z racji nieco kapryśnej meteorologii. Nad Olkikumpu odnotowano wówczas niespotykane o tej porze roku, lecz najzupełniej naturalne wyładowania energii, bardzo przypominające procesy promieniotwórcze skorupy ziemskiej czy zaburzenia elektromagnetyczne kory mózgowej. To wszystko.

Aino Harjula spogląda w górę. Niebo jest teraz granatowe. Dziewczynka czuje pierwsze krople i szybkie bicie serduszka, do którego przyciska martwego pieska. Robi kilka kroków w stronę ścieżki. Lunęło, na jej gołe ramiona spada nagle zimny prysznic.

Pada! Jak cudownie!

Dobiega ją znów nawoływanie cioci Natalii, ale udaje, że jej nie słyszy. Stoi z odgiętą w tył głową, próbuje łapać krople na język. Odwraca się i widzi, jak padające z nieba krople dziurawią strumień, jak rytmicznie go chloszczą, burząc powierzchnię, tocząc po wodzie coś, co do niej nie należy.

Dziewczynka się prostuje. Czyżby w wodzie był jeszcze jeden szczeniak?

Tak, jest, miota się w niej, zaczepiony o gałąź. Będzie miała drugiego towarzysza zabawy. Ojjoj, ale fajnie! Przyskakuje do strumienia: Jest mój, mój, i tylko mój!

Nikt nie słyszy, jak dziewczynka się śmieje, wchodząc do wody, nikt nie widzi tego, co ona: świetlisty jęzor, strzelający z nieba w strumień, wygląda tak, jakby ogromny, granatowy

talerz nagle pękł na dwoje. Spomiędzy chmur otwiera się do samej wody gorący, fosforyzujący tunel, w którym skaczą rozpalone iskry.

Lecz nikt inny w Olkikumpu nie widzi tego, nie czuje. Ludzie są zajęci swoimi sprawami. Woda zalewa wieś, spływa strumieniami po omszałych dachówkach, zmywa pranie ze sznurów i przepędza z werand wylegujące się na poręczach koty. Przechodnie z zarzuconymi na głowy połami płaszczy biegną do najbliższego sklepu, gdzie biadają, że wczesna burza wróży złe czasy, i czekając na ustanie ulewy, trwonią nieprzyzwoite sumy na zupełnie niepotrzebne drobiazgi. Któż z nich by zgadł, że jakaś dziewczynka niepostrzeżenie zakradła się na wzgórze i należałoby się zatroszczyć o jej los. Mają pełne ręce roboty z własnym życiem, trzeba się klócić, kochać, rodzić w bólach krew i przyszłość. Robić błędy. Czekać z trwogą w sercu, kiedy przyjdzie czas zapłaty.

Czekać na ofiarę.

Na przykład na tę małą dziewczynkę, o której wielu powie później: To się stało przeze mnie. Wielu się będzie bić w piersi: Moja wina, moja bardzo wielka wina. Ludzie będą się prześcigać w dowodzeniu, czyja wina była największa. Tygodnie, lata później. Dlaczego właśnie ona, będą pytać w nieutulonym żalu: niewinne dziecko, które nikomu nigdy nie zrobiło nic złego. Biedni ludzie: dla nich śmierć jest karą, wymieniają ją jednym tchem obok choroby, cierpienia czy inwalidztwa. Jest dla nich czymś nieskończenie ciasnym i mrocznym, lodowatą, pozbawioną powietrza jaskinią.

Nie wiedzą tego, co wie taka mała dziewczynka.

Tak im jeszcze daleko do tajemnicy ostatniej kałuży.

Jeszcze nie wiedzą, że tryskająca z nieba świetlista smuga, błyszcząca jak metalowa, rozedrgana struna, jest ścieżką, po której można dojść, gdzie się tylko chce. Wystarczy rozpostrzec ramiona i unieść stopę.

Lekko, bez wysiłku.

Gdzie się tylko chce.

## Posłowie tłumacza

Zaplecze faktograficzne powieści *Niech się rozpęta burza* stanowią konsekwencje wojny domowej w Finlandii w roku 1918. Jej przyczyn szukać można już w końcu wieku XIX, kiedy postępujące uprzemysłowienie zależnej od Rosji Finlandii i przemiany w społeczeństwie doprowadziły do przekształcenia pracującej biedoty w rosnącą w siłę klasę robotniczą. Ostatecznym sprawdzianem tej siły był strajk generalny 1905 roku w Rosji, który ogarnął także terytorium Wielkiego Księstwa Fińskiego. Car formalnie zatwierdził daleko idące zmiany parlamentu stanowego, lecz carska polityka ucisku i opór samych stanów fińskich spowodowały, że strajk nie przyniósł oczekiwanej przez robotników poprawy. Podział społeczeństwa narastał podobnie jak w samej Rosji, gdzie pod koniec pierwszej wojny światowej wybuchła rewolucja.

W Finlandii coraz wyraźniej ścierały się dwie ideologie: „czerwona”, prorosyjska, reprezentowana głównie przez ubogi, pracujący lud, i „biała” - popularna wśród przedstawicieli zamożnej klasy posiadaczy, opowiadających się za uniezależnieniem od Rosji. Sprawa niepodległości, poza wymiarem ideologicznym, była kwestią praktyczną. Wobec rozwoju sytuacji w Rosji „biały” senat fiński uznał, że niepodległość zabezpieczy kraj przed rewolucją i pozwoli skuteczniej opanować wewnętrzne elementy radykalne, mimo że socjaldemokracja fińska ostatecznie odzegnała się od rosyjskiego bolszewizmu i nie planowała przewrotu.

6 grudnia 1917 roku senat przegłosował przyjęcie Deklaracji Niepodległości.

Jednym z głównych problemów stał się brak własnej policji i armii w nowo wyzwolonym kraju. Po całkowitym rozpadzie carskiego systemu policyjnego w Finlandii, zachwianego już

wiosną 1917 roku, nie było sił porządkowych zdolnych powstrzymać związane z falami strajków i brakiem żywności zamieszki. Dużym zagrożeniem dla stabilności sytuacji w kraju była wciąż stacjonująca tam osiemdziesiąt tysięcy armia carska, będąca w stanie rozprężenia i całkowicie posłuszna rozkazom bolszewików. Po obu stronach - socjalistów i konserwatystów - zaczęły się samorzutnie formować jednostki porządkowe. Biała Finlandia miała swoje oddziały samoobrony (*suojeluskunta*, dosł. straż ochronna), czerwona - czerwone gwardie i straż robotniczą, które z wybuchem wojny domowej zostały przekształcone w Fińską Gwardię Czerwoną.

Jednym z pierwszych zadań władzy w nowo powstałej Finlandii stało się powołanie sił porządkowych i stworzenie armii. Konserwatywny senat dekretem z 25 stycznia 1918 roku uznał kilkaset rozproszonych po całej Finlandii oddziałów samoobrony za armię rządową. To stało się dla „czerwonych” sygnałem do rozpoczęcia działań zbrojnych. Niektóre oddziały samoobrony w końcu stycznia 1918 roku podejmowały działania na własną rękę. Do starć doszło, gdy od 28 stycznia zaczęto wprowadzać w życie rozkaz głównodowodzącego armii, generała Mannerheima, o rozbijaniu oddziałów czerwonych. Rozpoczęła się wojna domowa: z jednej strony walczyła powołana przez legalny, konserwatywny rząd armia samoobrony, z drugiej: oddziały Gwardii, które stały się armią fińskiego Komisarjatu Ludowego. 28 stycznia Gwardia opanowała Helsinki, a krótko później - całą południową, najlepiej rozwiniętą gospodarczo część kraju. Rząd uciekł do Vaasy. Po początkowych sukcesach Gwardii Czerwonej nastąpił przełom, czerwoni po bardzo zaciętych walkach utracili Tampere i w połowie kwietnia zaczęli się wycofywać z zachodniej Finlandii. Wojna zakończyła się ostatecznie w początkach maja 1918 roku.

Ta krótka wojna domowa była niezwykle okrutna. W samych walkach po obu stronach zginęło niecałe dziesięć tysięcy ludzi, lecz całkowita liczba ofiar była czterokrotnie wyższa. W czasie trwania działań zbrojnych i długo po ich zakończeniu trwały napady i egzekucje. Po obu stronach motywy polityczne

mieszały się z chęcią osobistej zemsty i zwykłą żądzą mordu. Ludzi rozstrzeliwano bez sądów lub z błahych powodów. W czasie wojny „czerwoni” pozbawili życia około półtora tysiąca osób, „biali”

- ponad siedem tysięcy. Lecz terror zwycięzców, „białych rzeźni-ków” - ta etykieta przyłgnęła do nich na stałe - nie skończył się z ustaniem działań wojennych. W obozach jenieckich dla czerwonych zamęczono prawie piętnaście tysięcy ludzi.

Dziesięciolecia bratobójczych waśni utrwały podział na „białych rzeźników” z samoobrony i „czerwonych zdrajców ojczyzny”, którzy chcieli republiki fińskiej, a nie wolnej Finlandii. Obie strony uznawały swoje racje za jedynie słuszne: „biali” wierzyli, że bronią młodego kraju przed rewolucją bolszewicką i utratą niezawisłości, „czerwoni” zaś, że tylko ich zwycięstwo zapewni im godziwe życie w niepodległej Finlandii. Wielokrotnie granica tych dwóch, niedających się ze sobą pogodzić światów, dzieliła rodziny. W Finlandii lat trzydziestych, w której toczy się częściowo akcja powieści Leeny Lander, ów podział i niezabliźnione rany znów dały o sobie znać.

Nastroje w Finlandii ponownie zaczynają się radykalizować; w końcu lat dwudziestych powstaje prawicowy, nacjonalistyczny i antykomunistyczny „ruch z miasta Lapua” (*Lapuan liike*, od szwedzkiej nazwy miejscowości: Lappowcy). Początkowo spontaniczny ruch oddolny, zrzeszający robotników o prawicowych poglądach, zamożniejszych rolników i przedstawicieli klasy średniej, w końcu 1930 roku zostaje oficjalnie zarejestrowany jako organizacja o tej samej nazwie i wtedy staje się tubą i ramieniem najbardziej wpływowych warstw i osobistości w państwie. Latem 1930 roku Ruch rozpoczął akcję „wycieczek automobilowych”: działaczy i posłów partii lewicowych porywano na ulicach i podczas jazdy szantażowano. Najgłośniejszym przypadkiem było uprowadzenie i uwięzienie przewodniczącego senatu, drugiej po prezydencie republiki osoby w państwie. Niektóre „wycieczki” kończyły się odstawieniem na zieloną granicę ze

Związkiem Radzieckim i zmuszeniem do jej przekroczenia. W samym 1930 roku zanotowano ponad 250 takich porwań lub prób porwania. W ten sposób Lap-powcy chcieli całkowicie wyrugować partie lewicowe z parlamentu. W 1932 roku Ruch zostaje zdelegalizowany po nieudanej próbie obalenia rządu, w której po stronie Lapua opowiedziały się początkowo liczne oddziały samoobrony.

Spadkobiercą tej linii był Patriotyczny Ruch Ludowy, powstała w 1932 roku skrajnie prawicowa partia polityczna, która weszła do parlamentu. Jej ideologia nosiła ślady wpływów zarówno włoskiego faszystu, jak i niemieckiego narodowego socjalizmu. O młodzieżówce tej partii, „Niebiesko-Czarnych”, której działalności zakazano w 1936 roku za mieszanie się w wewnętrzne sprawy Estonii, wspomina się w książce. Adepti „Niebiesko-Czarnych” musieli być również członkami samoobrony i odbyć przeszkolenie wojskowe.

Lata trzydzieste w Finlandii były więc czasami niespokojnymi. Narastające zagrożenie zewnętrzne skutkowało nasileniem ruchów antykomunistycznych i zwiększeniem opresji względem wszelkich przejawów sympatii lewicowych. Na tym tle rozegrały się osobiste dramaty sztygara Eero Harjuli, byłego oficera samoobrony, i jego żony Vidy, socjalistki. Niektóre wątki tej powieści pisarka zaczerpnęła z historii swojej rodziny, w której do tej pory widoczne są dawne blizny po wojnie domowej z 1918 roku.

Znacząca jest także nazwa miasteczka, gdzie rozgrywa się znaczna część akcji utworu. „Olkikumpu” to zestawienie nazw dwóch autentycznych miejsc: Outokumpu, górniczego miasteczka we wschodniej Finlandii i wyspy Olkiluoto na południowo--zachodnim wybrzeżu, z elektrownią atomową i składowiskiem wypalonego paliwa. Metody

zagospodarowywania odpadów promieniotwórczych, o których mowa w powieści, to aktualny problem w Finlandii, gdzie dynamicznie rozwija się energetyka jądrowa.

Kiedy Iiris, dziennikarka z Helsinek, dowiaduje się o zdradzie męża, całe jej bezpiecznie uporządkowane życie nagle traci sens. Wyjeżdża do Olkikumpu na dalekiej prowincji, skąd pochodzi jej ojciec, by przygotować reportaż o składowaniu odpadów radioaktywnych w dawnej kopalni miedzi. Na miejscu nieoczekiwanie trafia na ślad mrocznej rodzinnej tajemnicy. Dzięki odnalezionym po latach listom i fotografiom ożywają wspomnienia z przeszłości – płomienne uczucia, miłość i nienawiść, zdrada, zemsta, szaleństwo, wreszcie śmierć. Iiris nie tylko odkrywa niezwykłą historię swojej rodziny, ale i prawdę o sobie.

*Niech się rozpęta burza* to pełen napięcia thriller psychologiczny, poruszająca historia miłosna, a także epicka opowieść o życiu w burzliwych latach trzydziestych, autorstwa jednej z najpopularniejszych fińskich pisarek.

ISBN 978-83-7453-825-1



9 788374 538251 >